

JACEK RĘBACZ

SPINA

LONGA



JACEK RĘBACZ

SPINA

LONGA



Projekt okładki: XAUDIO

Copyright © Jacek Rębacz

Copyright © for the Polish ebook edition by XAUDIO Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN 978-83-67330-52-7

Wydanie II

Warszawa 2022

Wydawca:

XAUDIO Sp. z o.o.

tel: 691962519

e-mail: kontakt@xaudio.pl

www.xaudio.pl

Maj tego roku był wyjątkowo zimny.

Pochmurne, szare dni następowały jeden za drugim. Każdy rozpoczynał się od wilgotnego, chłodnego poranka, przechodził w wietrzne i smutne południe, by dobiec szarego kresu w porze przedwczesnego wieczoru.

W taki właśnie wieczór do bocznych drzwi jednorodzinnego domu podszedł mężczyzna. Miał na sobie przeciwdeszczową kurtkę. Kaptur naciągnął głęboko na głowę. Zapukał kilkakrotnie. Niezbyt głośno. Gdy nikt nie odpowiedział, wyjął z kieszeni pęk kluczy. Łatwo otworzył drzwi. Wszedł.

Mieszkanie na niskim parterze domku składało się z pokoju, dużej kuchni i składziku-graciami. Mężczyzna zsunął kaptur. Brak włosów na środku głowy nadrabiał kucykiem z tyłu. Po kolei zaciągnął wszystkie zasłony w oknach. Dopiero wtedy zapalił latarkę.

Obejrzał pokój, gdzie znajdowała się szafa, wersalka, dwa fotele, dwa pufy, trzy taborety, stół i stolik ze starym telewizorem. Na stole zauważył trzy popielniczki. Umyte do czysta. Obok leżało kilka kolorowych ulotek ze zdjęciami rozebranych, powabnych dam. Nie bez przyjemności obejrzał wszystkie. W pokoju wisiał swąd spalenizny. Nie dawniej jak wczoraj rozpalano w kominku.

Zajrzał do szafy. Otworzył leżące na dnie walizki. Poszperał w nich.

Zamknął szafę i przeszedł do kuchni. Otwierał wszystkie szuflady i kuchenne szafki. Znalazł tam tylko to, czego mógł się spodziewać. Używane już od lat sztućce, sfatygowane garnki i patelnie. Jedyne nóż z czerwonym trzonkiem w plastikowym futerale wyglądał na nowy. Dla świętego spokoju przybysz zajrzał także do lodówki i zamrażarki. Przy wieku dużej zamrażarki, pamiętającej czasy gierkowskiej prosperity, wisiała kłódka. Kłódka była otwarta, a zamrażarka pusta. Odłączona od sieci elektrycznej.

Został mu już tylko składzik-rupieciarnia. Drzwi, obite boazerią przez domorośłego stolarza, były zamknięte. Mężczyzna z kucykiem znowu wyjął z kieszeni klucze. Poświecił na nie latarką. Przez kilkadziesiąt sekund pobrzękiwał kluczami, dobierając właściwy. Wreszcie zamek w drzwiach zachrzęścił zapadka ustąpiła.

W składziku bez okien o powierzchni nie większej niż cztery metry kwadratowe stały na drewnianych regałach puste, zakurzone słoiki. Trochę butelek, zasnuty pajęczyną kosz z balonem na wino. W kącie dwie pary odrapanych nart i szerniały ze starości sanki. Na betonowej wylewce podłogi leżała sterta gazet. Pochylił się. Zaczął je przeglądać. Szybko, ale dokładnie, strona po stronie.

Najczęściej napotykał „Wyborczą”, nieco rzadziej „Dziennik”, ale trafiały się również „Fakt” i „Super-Ekspres”. Tygodniki i miesięczniki pomijał, chociaż niektóre numery „Playboya” i „CKM-u” zachęcały okładkami.

Gdy natrafił na gazetę z pociętą nożyczkami stroną, zatrzymał się. W kilku miejscach z tytułów artykułów wycięto pojedyncze słowa. Pokiwał głową. Zaczął składać tę gazetę, żeby wsunąć ją do wewnętrznej, suchej kieszeni kurtki.

Nie zdążył.

Drewniana laga spadła na jego głowę. W powietrzu zawisł krótki jęk. Mężczyzna upadł twarzą w gazetę. Ten, który stał za nim z lagą, poprawił jeszcze raz. Głowa uderzonego podskoczyła na gazetach jak odbita od trampoliny. Trzeci cios był najmocniejszy. Spięte w kucyk jasne włosy leżącego zaczęły nasiąkać krwią.

Wtedy tamten odłożył lagę. Rozejrzał się po kuchni, jakby zapomniał, że poprzedniego dnia wszystko, co nadawało się do siedzenia, zostało wyniesione do salonu. Usiadł na podłodze, opierając się plecami o ścianę. Nie siedział dłużej niż minutę.

Wstał. Z kuchennej szafki wyjął rulon niebieskich, mocnych worków na śmieci. Oraz nóż. Wypiął go z plastikowego futerału, na którym widniała naklejka z apetycznym pstrągiem. Rozłożył kilka worków na kuchennej podłodze z linoleum. Przytrzymując je stopą, wciągnął na

posłanie z worków nieprzytomnego intruza. Rozchylił mu kurtkę. Podciągnął czarny sweter ze zbyt dużą, jak zauważył, ilością elany. „Już w porządku mój żołądka”, oznajmiał tekst reklamowy na T-shircie.

— Rzeczywiście w porządku — mruknął napastnik.

Podwinął bawełnianą koszulkę. Nie sprawdzał, czy serce nieprzytomnego jeszcze bije. Odnalazł tylko właściwe miejsce. Ujął w dłoń nóż o cienkim, ząbkowanym ostrzu. Drugą ręką docisnął z góry.

Ostrze weszło lekko. Aż po trzonek. Tamten nawet nie stęknął. Na wszelki wypadek morderca poruszył jeszcze wbitym ostrzem na boki. Potem wyjął nóż. Obtarł go o ubranie trupa. Wstał i umył nóż w zlewozmywaku. Ciepła woda z ludwikiem błyskawicznie zmyła krew. Do trupa wrócił, gdy tamten przestał wreszcie krwawić. Bez pośpiechu zdjął z niego buty i wszystkie części ubrania. Zapakował to do studwudziestolitrowego worka. Zmieściło się bez problemów. Teraz mógł zająć się intruzem. Jeden worek na śmieci naciągnął na niego przez głowę, a drugi od strony nóg. Pomyślał chwilę, co wykorzystać do zawiązania worków. Nieboszczyk nie należał do szczupłych ludzi. Zawiązywanie może nie było konieczne, worki zachodziły na siebie ze sporym zapasem, ale on lubił wykonywać swoją pracę dobrze i do końca. Nawet jeżeli ktoś nie potrafił tego docenić.

— Docenicie — mruczał pod nosem. — Docenicie. Już ja się o to postaram.

Poszedł do łazienki. Starannie złożył suche pranie. Uciął sznur do suszenia bielizny, który wisiał nad wanną. Związał nim mocno worki. Warto było. Przekonał się o tym, gdy wkładał trupa do zamrażarki. Gość był ciężki. Morderca musiał otworzyć wieko zamrażarki i zablokować je kijem. Postawił trupa obok, przytrzymując go kolanem, żeby się nie złożył jak marionetka, i wsunął najpierw jego głowę, a potem wepchnął resztę tułowia środka. Zamknął zamrażarkę na kłódkę. Włączył kabel zasilający do gniazodka. Sprężarka zakasłała. Zatrzęsło całym urządzeniem. Ruszyła.

Posprzątał kuchnię.

Rozpalił w kominku. Otworzył szyber na pozycję maksimum. Wkrótce w palenisku buzowały płomienie. Ciął i rozrywał na strzępy ubrania intruza. Palił je. Spalił także drewnianą łagę, którą rozbił tamtemu głowę. Dopiero wtedy zdjął rękawiczki.

Obejrzał całe mieszkanie, upewniając się czy niczego nie przeoczył. Kusiło go, żeby zajrzeć do zamrażarki. Nie zrobił tego jednak. Przystawił tylko ucho. Słyszał szum sprężarki tłoczącej freon.

— Sam tego chciałeś — powiedział cicho. — To nie moja wina.

Wrócił do salonu. Włączył telewizor. Rozpoczęły się „Wiadomości”.

— Będziemy mieli koalicję! — Zadowolona twarz polityka oznajmiała wiadomość dnia.

Popatrzył na wykrzywioną w nieszczerym grymasie uśmiechu twarz.

Zmienił kanał. Trzy tancerki w kusych sukienkach wymachiwały nogami. Magnolia, pralinki dla małej i dużej dziewczynki. Nie słuchał już dalszych słów. Jego oczy stawały się coraz mniejsze. Zaciskał usta.

Siedział ze splecionym rękami. Poczul na karku chłód. Jakby ktoś przyłożył mu lodu. Wstał i dorzucił drewna do kominka.

Maj tego roku był wyjątkowo zimny.

1.

„Będziemy mieli koalicję!” — oznajmiał poseł Remigiusz Kołuchowski w chwili, gdy na jego zadowolonej, okrągłej jak miseczka budyniu twarz upadła kropla keczupu.

Coraz lepsze te koalicje w naszej Świętej RP — pomyślał z niesmakiem Adam Knap, żując bułkę i wycierając serwetką sos z gazety.

Rozejrzał się dyskretnie. Egzemplarz gazety był przecież własnością McDonalda, gdzie jadł śniadanie. Cheeseburgery, cola i ciastko jabłkowe ze zbyt dużą ilością cynamonu. Po dwóch godzinach jazdy służbowym passatem z Lublina zatrzymał się na śniadanie. Wyjechał o piątej rano. Śniadanie jadał pod Piotrkowem, w McDrive. Potem już tylko trzy kolejne godziny jazdy rozklekotaną gierkówką, ze dwie łapówki na radarach i przed jedenastą będzie w pracy. W Bielsku Białej. Poniedziałek był jedynym dniem tygodnia, kiedy mógł sobie pozwolić na tak późne pojawienie się w fabryce. W pozostałe dni siedział tam po dwanaście godzin. Poza piątkiem. W piątki wyjeżdżał około piętnastej. Przed dwudziestą drugą witał się już z żoną i dziećmi, jeżeli akurat miały ku temu ochotę i chwilę czasu, w swoim lubelskim mieszkaniu.

W kieszeni jego marynarki zabręczczała komórka. „Wełpol-sekretariat”, migał napis.

— Tak? — popił colą ostatni kęs bułki z tajemniczym nadzieniem i odebrał telefon.

— Dzień dobry, panie prezesie — zaszczębiotała sekretarka. — Bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Przed chwilą telefonowała do sekretariatu jakaś dziennikarka, pani Aleksandra Kosma, z gazety... „Nowiny”. Prosiła o możliwość spotkania z panem prezesem i zgodę na przeprowadzenie wywiadu.

— Co to za gazeta?

Chwila milczenia w słuchawce.

— Nie bardzo wiem, panie prezesie, tak tylko pomyślałam... — nieco zmieszana się sekretarka. — Może sam pan zechce porozmawiać z nią przez telefon?

— Dobrze. Proszę dać jej mój numer komórki.

Gdy tylko to powiedział, pożałował. Jestem zbyt miękki dla podwładnych, uznał. Taki dobry wujek. To źle.

Dziennikarz to zawsze dziennikarz — myślał Adam, kończąc śniadanie. — Nawet z jakichś „Nowin”. Wszystkiego dowiem się od Zwierzaka.

Siedząc już w samochodzie, włożył telefon do zestawu głośnomówiącego i wybrał numer niedawnego jeszcze dyrektora personalnego „Wełpolu”, Roberta Bizona.

Nikt ze znanych mu współpracowników nie potrafił tak jak Zwierzak zadbać o właściwy pijar. Zaledwie trzydziestokilkuletni personalny dopracował się na tyle dobrych układów z prasą, że w ogłoszonym przez ogólnopolski dziennik konkursie na najlepszego dyrektora personalnego w kraju zajął medalową, trzecią lokatę. Ile kosztowało, tyle kosztowało, uśmiechał się tajemniczo Zwierzak. Ale warto było. Oprawiony w drewnianą ramkę wielki dyplom wisiał dumnie nad jego biurkiem.

— Cześć, Robert. Mam nadzieję, że nie obudziłem? Adam z tej strony.

— Ależ skąd — odpowiedział zaspianym głosem personalny. Ziewnęła i dodał: — Jestem jeszcze wprawdzie w mieszkaniu. Mam dużo pracy, do której potrzebuję spokoju, dlatego jeszcze pracuję w domu... Słucham, w czym mogę ci pomóc? Wszystko u ciebie w porządku, mam nadzieję, że dzieci i żona...

— Oczywiście — przerwał mu Knap. Nie chciał wysłuchiwać pytań o zdrowie żony, postępy w szkole jego dzieci ani wycieczek na kursach Amatekstów, że gdy spotkali się poprzednim razem, to Knap miał świetny krawat oraz gustowną spinkę i gdzie szykownie rzeczy kupuje. — Znasz gazetę „Nowiny”? Jakaś pani dziennikarz zgłosiła się do „Wełpolu”, że chce przeprowadzić z mną wywiad. Nie bardzo zresztą wiem, o czym.

— „Nowiny”?... To może być taki lokalny tygodnik. Coś kojarzę... — ze słuchawki dobiegł przytłumiony, kobiecy głos, więc Zwierzak zapytał głośnie: — A jak się nazywa ta dziennikarka?

– Niejaka Aleksandra Kosma.

– A to nie znam. Przykro mi. Jeżeli mógłbym jednak coś ci zasugerować, to umów się z nią w jakiejś dobrej knajpie na obiad. Dziennikarze zawsze są głodni. Pogadajcie.

– Tak zrobię. Dziękuję i miłego dnia życzę.

– Z wzajemnością. Wszystkiego dobrego, Adamie, i samych sukcesów. Pozdrów żonę i ... – wiadukt, pod który wjechał Knap, przerwał połączenie.

Ten to się umie ustawić – myślał Adam Knap, nie zwalnając poniżej stu czterdziestu. Nowy passat kombi, którego niedawno mu kupiono, po prostu nie tolerował wolniejszej jazdy.

Nie dalej jak dwa tygodnie temu Zwierzak został oddelegowany z Bielska do Gorzowa Wielkopolskiego, gdzie rodzina Laskowskich, właściciele „Wępolu”, kupiła od Narodowego Funduszu Inwestycyjnego następną podupadającą fabrykę tekstyliów. Teraz Robert Bizon robił tam czystkę, wyrzucając na zbitą twarz cały dotychczasowy wyższy i średni szczebel zarządzania. Jeżeli ktoś z nich okazał się na tyle naiwny, że nie poszedł od razu na zwolnienie lekarskie.

Zwierzak zorganizował powitalny bankiet. Przyszli prawie wszyscy. Ponad trzydzieści osób. Sekretarki roznosiły lampki z szampanem i koreczki z mozzarellą, a zaufany asystent personalnego zamknął drzwi na klucz. Żeby nikt nie wyszedł przed pokwitowaniem odbioru wypowiedzenia.

I już po dwóch tygodniach ma tam na miejscu jakąś nową dziewczynę – Knap przypomniał sobie kobiecy głos w słuchawce. – Bardzo operatywny menadżer. Prawdziwy zwierzak. Może wybrałbym się do tego Gorzowa, gdziekolwiek to jest?

Zadzwoił telefon. Nieznany numer.

– Adam Knap, słucham.

– Dzień dobry, panie prezesie. Aleksandra Kosma, dziennikarz „Nowin”. Pana sekretarka była tak miła, że udostępniła mi numer telefonu do pana. Czy byłby pan łaskaw umówić się ze mną na spotkanie w celu przeprowadzenia wywiadu? – mówiła swobodnie, w sposób zdradzający pewność siebie. Knap zwrócił także uwagę, że przedstawiła się słowem: „dziennikarz”, a nie „dziennikarka”.

– A o czym mielibyśmy rozmawiać, pani redaktor?

– Mamy taką cykliczną rubrykę w „Nowinach” pod tytułem: „Ciekawi ludzi w naszym województwie”. Może czyta pan naszą gazetę i zna pan już tę rubrykę?

– Jeżeli czas pozwala, to oczywiście czytam. Ale czasu mam niestety mało. Chętnie się z panią redaktor spotkam. Kiedy?

– Dzisiaj?.. Znajdzie pan prezes chwilę czasu?

– Zapraszam panią o szesnastej na obiad do Zajazdu Myśliwskiego. Dobrze? Podają tam wyśmienite flaki.

– Z przyjemnością. O szesnastej. Będę na pewno. Dziękuję.

Adam Knap natychmiast przełączył aparat na połączenie oczekujące. Znowu telefonowano z sekretariatu.

– Tak?

– Przepraszam, że ponownie pana prezesa niepokoję. Powinam była chyba powiedzieć panu prezesowi od razu, ale...

– O co chodzi? Proszę mówić krótko.

– Znowu dostaliśmy to.

– Co?

– Następną puszkę i list z żądaniem.

– To nic ważnego. Kretyński wybruk i tyle – odpowiedział szorstko Knap, chociaż serce zabiło mu szybciej. – Ale dziękuję za informację. Proszę umówić na siedemnastą tego detektywa, jak mu tam... Tego z kucykiem, wie pani.

– Zibik?

– Tak.

Zawsze jest tak samo – pomyślał. – Jeszcze nigdy poniedziałek nie zaczął się po prostu dobrze, bez żadnych problemów.

Docisnął pedał gazu, nie zwracając uwagi na mokrą nawierzchnię. Ukryci za kolejnym wiaduktem policjanci z radarem tylko na to czekali. Wpadł jak mucha w pajęczynę.

Bzyczała i bzyczała.

Krążyła w powietrzu, kreśląc kółka. Niczym śmigłowiec wojskowy, zanim pilot wybierze miejsce, gdzie wysadzi desant marines.

Wreszcie usiadła. Teraz szła na tych swoich pokracznych łapkach po biurku. Stroszyła przezroczyście skrzydła. Prostowała je i rozkładała.

Po kilkunastu długich jak szkolenie bhp minutach oczekiwania pułapka komisarza Burskiego zamykała się. Mucha laża po biurku. Nieświadoma oczekującej jej dłoni, uzbrojonej w rulon ze zwiniętej gazety.

Wielkie oczy ci nie pomogą — pomyślał Burski. — Jestem szybki jak rewolwerowiec. Zaraz się przekonasz.

Wtedy nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich komendant. Czar polowania przysł, a raczej uleciał.

— Bury!

Komisarz drgnął, poderwał się na nogi i mimowolnie najpierw odprowadził wzrokiem odlatującą ofiarę. Potem spojrział na szefa.

— Spałeś czy co?! — Komendant nadal stał w otwartych na oścież drzwiach.

— Dedukowałem, szefie.

— No to wydedukuj sobie spacer do archiwum. Akta sprawy Marii Kołuchowskiej. Prowadziłeś ją jakieś trzy lata temu. Pamiętasz coś jeszcze z tamtych zamierzchłych czasów?

— Jak przez mgłę, szefie. A powinienem coś pamiętać?

— Co to za gazetę ściskasz w ręce?

— Dzisiejszą „Wybiórczą”.

— No to ją rozłóż... Zobacz zdjęcie na pierwszej stronie... Teraz już pobiegiesz w podskokach po te akta?

— Tak jest, szefie — odpowiedział Burski po szybkim rzucie oka na zdjęcie posła Kołuchowskiego pod komunikatem: „Mamy nową koalicję!”. — Natychmiast pobiegnę.

Komisarz Burski był średniego wzrostu mężczyzną, wyglądającym na więcej lat, niż miał w rzeczywistości. Miał przetykane siwizną włosy i szare, zawsze zmęczone oczy. Lekka nadwaga nie przeszkodziła mu pokonać drogi do archiwum i z powrotem w czasie, który mógł rywalizować o rekord komendy.

Od sprawy zaginięcia Marii Kołuchowskiej zaczęła się jego zła passa. Potem były kłopoty z żoną. Kłótnia z synem, zakończona wyjazdem młodego do Irlandii. O alkoholu szkoda nawet wspominać. Kilka głupich wpadek na sprawach, które dawniej rozwiązałyby z zamkniętymi oczami, uzupełniało wizerunek, z którego sam Burski coraz lepiej zdawał sobie sprawę. Obraz faceta, który wziął już od życia wszystko. Więcej nie dostanie.

— Jestem, szefie — wysapał, zamykając za sobą drzwi.

— Czy może spacer odświeżył twoją pamięć? — zapytał komendant. Był znacznie młodszy od Burskiego. Mundur leżał na nim idealnie, jakby komendant całymi dniami zajmował się tylko udzielaniem wywiadów mediom i spotkaniami z ważnymi ludźmi. — Pamiętasz już, o co chodziło?

— Oczywiście. Zaginięcie żony polityka. Wtedy jeszcze nie, ale obecnie wpływowego posła na Sejm. Jak kamień w wodę. — Komisarz położył na biurku szefa akta i mówił dalej: — Podejrzenia Kołuchowskiego oraz pewne poszlaki wskazywały na udział w zaginięciu ludzi związanych z dawną Służbą Bezpieczeństwa. Motyw zemsty za wcześniejszą działalność opozycyjną Kołuchowskiego wydaje się... wydawał się wtedy, wobec nieodnalezienia ciała ofiary, całkiem prawdopodobny. Sprawa została umorzona.

— Jak kamień w wodę... — powtórzył komendant. — Trafnie to ująłeś.

— Tak?

— Kobieta, którą przed dwoma laty wyłowiono z rzeki w Bielsku-Białej, prawie rok po zaginięciu Kołuchowskiej i umorzeniu sprawy, dzisiaj rano odzyskała pamięć i oznajmiła, że jest żoną posła Remigiusza Kołuchowskiego.

— Słucham?

— Kobieta, której tożsamości nie ustalono, dzisiaj rano powiedziała, że nazywa się Maria Kołuchowska.

— Gdzie ona jest?

— W domu wariatów. To znaczy w szpitalu — poprawił się komendant. — W Szczyrku czy gdzieś tam w okolicy... Proszę. — Komendant położył na beżowej teczce z aktami sprawy sprzed trzech lat odręczną notatkę. — Jedź tam. Zobacz. Porozmawiaj. Słuchaj, Bury...

Ton i sposób zwracania się szefa mógł zasugerować Burskiemu, że nie wszystko jeszcze przeprał bezpowrotnie.

— Widzisz — po chwili przerwy i oblizaniu warg kontynuował komendant — ten Kołuchowski jest teraz w koalicji rządzącej. Profilaktycznie zatelefonowałem do prokuratury, no i zaczęło się... Krótko mówiąc, dzwonili już z województwa, a potem z Główniej. — Komendant machnął ręką. — Nie wdając się w szczegóły: sprawa jest delikatna. Rozumiesz?

— Tak jest.

— Żadnych przecieków ani komentarzy. Twarz w kubeł i wszystkie informacje tylko i wyłącznie bezpośrednio do mnie. Jasne, Bury...?

— Tak jest, szefie.

— Wiesz, że mógłbym tę sprawę dać komuś innemu?

— Wiem, szefie. Bardzo się cieszę, że daje pan ją jednak mnie. Naprawdę. Dziękuję bardzo.

Burski wyszedł z gabinetu komendanta.

Może nie jest wcale taką świnią, za jaką wszyscy go uważają? — pomyślał ciepło o swoim szefie.

Od dwóch lat nikt już nie nazywał jej inaczej, aniżeli Panna Nieznajoma. Mieszkała w ośmioosobowej sali na oddziale dla przewlekłe chorych. Tyle że z powodu braku miejsc i chronicznego kryzysu, toczonego niedrowy organizm służby zdrowia, nikt nie zwracał uwagi na nazwy oddziałów. Jeżeli akurat obok niej było miejsce, to lądował na nim narkoman, co nie mógł ani minuty wyleżeć, tylko nerwowo chodził po korytarzu z jednego końca na drugi, uśmiechając się przy tym na sposób głupkowato-przepraszający. Jakby ktokolwiek oczekiwał od niego przeprosin w takim miejscu. Albo mocno przypięty pasami do łóżka deliryk. Ci byli najgorszy. Rzucali się i krzyczeli. A przede wszystkim zbyt rzadko ktoś pod nimi sprzątał. Katatonicy byli bardziej znośni. Znacznie spokojniejsi, lecz niestety zdecydowanie za mało towarzyscy.

W czasie tych dwóch lat, od kiedy wyłowiono ją z rzeki, Panna Nieznajoma poznała wielu nowych pacjentów. Nigdy wszakże nie pojawił się żaden Napoleon ani Aleksander Wielki. Koleżanka, ta, która spała pod zakratowanym oknem z mleczną szybą, wytłumaczyła jej, że schorzenia psychiczne są zawsze adekwatne do czasów. Gdy czasy dobre, pomyślne, wtedy dużo jest ofiar urojeń maniakałnych. Napoleonów, papieży Piusów i Cesarzy Odległych Galaktyk. A kiedy czasy podłe, zdecydowanie więcej jest depresji. Wtedy nie trzeba wyobrażać sobie, że jest się kimś innym. Wystarczy spróbować zrozumieć świat i swoją w nim rolę. Deprecha gotowa.

Ta koleżanka spod zakratowanego okna, Ania, była wykształconą i czytana kobietą. Dziennikarką, która nawet jakąś książkę napisała. Bardzo światłą i inteligentną. Gdy nie miała ataków.

Kiedy nadchodziły te małe ataki, w czasie których człowiek czuje się tak, jakby wiatr wpadł mu do głowy i hulał między ścianami czaszki, szukając wyjścia, po prostu stała nieruchomo, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. Nie rozumiała, co się do niej mówi. Sama była w stanie wydobyć z ust tylko bełkot. Małe ataki epilepsji trwały kilka, góra kilkanaście sekund. Znacznie gorzej wyglądały te duże ataki. Ciało szarpane dzikimi podrygami, piana w ustach, charczenie. Kto był najbliżej, ten spieszył, żeby włożyć jej w zęby leżące na szafce, ponadgryzane już drewnisko. Aż pewnej nocy nikt nie usłyszał. Jeden z deliryków tak krzychał przez całą noc, że wszystko zagłuszał. Bardzo bał się pajaków.

Ania odgryzła sobie język i się nim udusiła.

Tego dnia, gdy straciła przyjaciółkę, Panna Nieznajoma postanowiła, że wyjdzie ze szpitala.

— Chciałabym wrócić do domu — powiedziała lekarzowi w czasie porannego obchodu. — Do męża.

— Słucham? — Siwy ordynator poprawił sobie okulary.

Dwa lata po wyłowieniu jej z rzeki w Bielsku Białej nadzieje na to, że odzyska pamięć były czysto teoretyczne. Ale cuda przecież się zdarzają. Zwłaszcza w Świętej RP.

Panna Nieznajoma przebywała pod wodą znacznie dłużej niż trzy decydujące o życiu minuty. Niczego, po odzyskaniu przytomności, co już przecież zakrawało na cud, nie pamiętała. Zmiany, które zaszły w jej mózgu mogły być nieodwracalne.

Mogły, ale nie musiały. Ordynator nie takich rzeczy już doświadczył. Przed laty, za poprzedniego ustroju, jako ambitny działacz partyjny wywiesił na budynku szpitala psychiatrycznego hasło dla uczczenia rocznicy 22. Lipca: „Socjalistycznej ojczyźnie — nasze serca i umysły”.

Kilka dni później wyrzucono go z partii i zamknięto drogę kariery. Dopiero po zmianie ustroju i wielu kolejnych latach doceniono jego odwagę, niezłomną postawę. Gdy otwarto mroczne archiwa i rozpełzło się z nich robactwo esbeckich raportów, dowiedział się, kto opacznie odczytał hasło i skwapliwie na niego doniósł. Został ordynatorem.

Tamten, który doniósł, przeprosił i załatwił mu awans. Nadal miał bardzo wpływowych kolegów.

— Przypomniałam sobie. — Panna Nieznajoma podniosła gazetę, którą trzymała na kolanach. — Nazywam się Maria Kołuchowska. Jestem żoną posła Kołuchowskiego.

Z pierwszej strony gazety uśmiechał się ponad sejmową mównicą poseł Remigiusz Kołuchowski.

— No tak — odpowiedział bez entuzjazmu lekarz, ucinając szmer wśród pielęgniarek, stażystów i praktykantów, których kilkunastoosobowy korowód kroczył za nim od łóżka do łóżka.

— Bardzo się cieszymy. Po obchodzie zostanie pani poproszona do mojego gabinetu na badanie, dobrze?

— Proszę zadzwonić od razu do męża. Na pewno zamartwiał się przez cały ten czas, co się z mną działo. Może trzeba go jakoś przygotować na tę wiadomość? — Panna Nieznajoma mówiła bardzo pewnie i spokojnie.

— Wszystkim się zajmiemy — potwierdził ordynator z zawodowym, zmęczonym uśmiechem.

— Kropelkę soku malinowego do herbaty? — zapytał ordynator, gdy po raz drugi tego dnia zaprosił Pannę Nieznajomą do swojego gabinetu.

— Bardzo chętnie. Poproszę — odpowiedziała. Wzrok jej uciekał do okna. Było duże. W tym oknie nie wstawiono krat. Za cudownie przezroczystą szybą kwitły kasztanowce.

— Jak się pani podoba nowy pokój?

Lekarz, zanim jeszcze zadzwonił na policję, kazał przenieść Pannę Nieznajomą do izolatki. Wysprzątanej, pachnącej i czystej. Z nowiutką pościelą.

— Ładny. Dziękuję. — Wypiła mały łyk herbaty z sokiem. — Kiedy przyjedzie mój mąż?

— Ach, czytała pani przecież... Przesilenie rządowe, nowa koalicja. Sprawy państwowe najwyższej wagi... Pan Kołuchowski będzie u nas może już jutro?

— Czy mogłabym zadzwonić do niego z pana gabinetu?.. W moim pokoju niestety nie ma telefonu.

— Bardzo proszę jeszcze o chwilę cierpliwości.

Profesor psychiatrii patrzył, jak Panna Nieznajoma zmieniała się w oczach. Jeszcze kilka godzin temu była tylko rozczochraną pacjentką w nieświeżej, poplamionej piżamie. A teraz... nawet paznokcie miała pomalowane.

Kto dał jej lakier? — pomyślał. — Przecież nie wolno... Wygląda na to, że pielęgniarki prześcigają się w uprzejmościach.

— Czy może przypomniała pani sobie coś jeszcze?

— Niestety — odpowiedziała uśmiechem. Takim w sam raz. Przepraszającym i zadumanym zarazem. — Na pewno, gdy wrócę do domu, wspomnienia zaczną same napływać. Jestem tego pewna. Igen, igen. Czuję to. Tak jak wtedy, gdy zobaczyłam zdjęcie Remka. To śmieszne niemalże, prawda...?

— Słucham? Dlaczego śmieszne?

— Jak kobieta mogła zapomnieć, kto jest jej mężem?... Zabawne. Dobrze, że przypomniałam sobie na czas, a nie na przykład przed ołtarzem z jakimś innym, przystojnym mężczyzną, prawda?

— Prawda. Rzeczywiście jest w tym pewien element komizmu... Użyła pani przed momentem słowa: „igen”.

— Tak powiedziałam? Doprawdy?

— Takie odniosłem wrażenie.

— To po węgiersku, prawda?... Nem tu dom lengyalu — dodała Panna Nieznajoma i uśmiechnęła się szeroko. Chyba do tych zaczarowanych kwiatów kasztanowca, które zaglądały w okno.

Ktoś zapukał do drzwi i otworzył je, zanim lekarz zdążył odpowiedzieć.

— Panie profesorze — przez uchylone drzwi zajrzała kobieca głowa w czepku — pan z policji przyjechał.

— Proszę, prosimy tutaj! — Lekarz wstał i przywitał się z wchodzącym komisarzem Burskim.

— Może herbaty z sokiem malinowym...?

— Poproszę, tak, chętnie. Z sokiem malinowym, oczywiście. Jeżeli można prosić. Sok malinowy, tak. Dzień dobry.

Komisarz Burski odwiedzał już takie miejsca nie raz. Dlatego wiedział, że nigdy nie uda mu się tak po prostu wejść tutaj jak do pubu na rogu ulicy i spokojnie usiąść.

Zamknięty oddział dla przewlekle chorych w szpitalu psychiatrycznym jest sto razy gorszym miejscem od na przykład prosektorium. Tam lekarze i technicy nie kroją ludzi. To, co leży na stołach, to są już tylko puste worki. Czasem nadpalone. Nieraz opuchnięte, z pofałdowaną skórą praczeki od zbyt długiego przebywania w wodzie. Z niepozornymi rowkami ran, co już nie wyglądają groźnie. Albo z sinymi pręgami od sznura na zimnych, niepotrzebnych szyjach. Zwykle puste worki, nie przypominające nawet ludzi.

Technicy rozdają kamienie żółciowe na pamiątkę dla odwiedzających. Zwłaszcza dla tych, co są na sekcji zwłok pierwszy raz i zawsze stają blisko wejścia do łaźienki. Właściwie tylko ten zapach... Mdły zapach prosektorium tkwi w nozdrzach przynajmniej do końca dnia. Wiele godzin po wyjściu z krajalni. Przedostaje się do ust. Wszystko, co chciałbyś przełknąć, gdybyś jednak miał apetyt i potrafił cokolwiek zjeść, smakuje smrodem rozkrojonego trupa.

Ale szpital psychiatryczny jest sto razy gorszy. Bo tutaj nadal są ludzie. Chociaż najczęściej wcale nie wyglądają i nie zachowują się jak ludzie. Zawsze coś ścisnęło Burskiego w gardle na widok tych ludzkich resztek.

— To jest ta pani, o której rozmawialiśmy przez telefon, panie...?

— Komisarz Burski. — Policjant ucisnęła dłoń lekarza, a potem zwróciła się do siedzącej nadal Panny Nieznajomej. — Miło mi panią poznać, Burski, komisarz.

— Dzień dobry. — Nie wstała i nie podała mu ręki. — Maria Kołuchowska, jak się pan zapewne domyśla.

Po kilku kurtuazyjnych, grzecznościowych zdaniach ordynator pozostawił policjanta i Pannę Nieznajomą w swoim gabinecie. Zszedł do barku mieszczącego się w piwnicy. Zjadł pierogi z kapustą. Wrócił pół godziny później.

Komisarz Burski czekał już na lekarza. Był sam w gabinecie psychiatry. Przyglądał się książkom na półkach. Poza publikacjami z dziedziny psychiatrii zauważył także kilka pozycji historycznych o starożytności. Raczej popularnonaukowych. Na oddzielnej, starannie odkurzonej półce stało zoo. Kilkanaście figurek zwierząt z tworzywa sztucznego.

— Już po rozmowie, komisarzu?

— Telefonował pan do posła Kołuchowskiego, profesorze? — odpowiedział pytaniem policjant.

To nie jest dobrze wychowany człowiek — pomyślał lekarz. — Zresztą wcale nie wygląda na dobrze wychowanego człowieka.

— Pana zwierznik, ten, który tu pana przysłał, prosił, abym powstrzymał się z powiadamianiem kogokolwiek, zanim pan nie porozmawia z... tą panią — odpowiedział. — Zresztą nie mam w notatniku telefonów do posłów na Sejm RP.

— Bardzo dobrze. I co pan myśli, profesorze...? Czy ona mówi prawdę?

— Myślę, panie policjancie, że niewłaściwie pan sformułował pytanie. Pyta mnie pan jako lekarza psychiatrę?

— No.

— Pacjent lekarza psychiatrii zawsze mówi prawdę. Swoją prawdę. Czasem chwilową prawdę. — Lekarz wcale nie zamierzał udawać, że jest miły dla tego policjanta. Był już pewien, że tamten dotykał jego figurek na półce.

— To znaczy, że pana zdaniem to jest Maria Kołuchowska-Hurtanyi?

— Nie mam bladego pojęcia — uśmiechnął się złośliwie lekarz. — Ja nawet nie wiem, kto to jest albo była ta pani Kołuchowska. Nie widziałem jej nigdy na oczy. Nawet zdjęcia.

— Proszę bardzo — zreflektował się Burski i wyjął z teczki plik spiętych spinaczem zdjęć.

Lekarz przejrzał je szybko. Z wyraźną niechęcią. Wzruszył ramionami.

— To rodzina powinna się wypowiedzieć, panie komisarzu. Nie my.

— W zasadzie tak, ale wie pan... — Odbierając od lekarza zdjęcia, zerknął przelotnie na srebrny pierścionek, który psychiatra nosił na małym palcu. Umocniło go to w postanowieniu, by w takim miejscu nie dziwić się niczemu. Nawet temu, że lekarz kłamie.

— Nie wiem. Nie wiem, co chce pan powiedzieć, nie mówiąc nic. Czy mogę liczyć, że bezzwłocznie zawiadomicie jej męża, czy też mam sam zadzwonić do telewizji?

— Spokojnie, panie profesorze. Po co te nerwy. Oczywiście, że zawiadomimy, kogo trzeba. Jeszcze dzisiaj.

— Bardzo bym prosił. — Lekarz wstał zza biurka. — Mam nadzieję, że nie jestem już panu potrzebny?

— Czy pana zdaniem, jako lekarza, osoba ze zdjęć jest podobna do tej pani?

— Osoba na zdjęciach waży około sześćdziesięciu kilogramów. Nasza Panna Nieznajoma nie więcej jak pięćdziesiąt. Szpitalny wikt... Trudno porównać.

— Pan to się zna na kobietach... Czy człowiek w ciągu trzech lat może zmienić się aż tak bardzo?

— Słyszał pan o żołnierzach na wojnie, którzy siwieli w ciągu kilku sekund...? Może pożyczyć panu kasety, żeby pan zobaczył, jak wyglądają ludzie po załamaniu nerwowym, na przykład na wojnie, skoro już posłużyłem się tym przykładem? Często nawet nie przypominają tych ludzi, którymi byli wcześniej. W mózgu Panny Nieznajomej zaszły daleko idące zmiany. Uderzono ją w głowę.

Potem została utopiona. Przeżyła cudem. Naprawdę. Jakie zmiany zaszły w jej mózgu...? Nie wiem. Gdybym wiedział, to może wiedziałbym, jak ją uleczyć.

— Dziękuję za pomoc, profesorze.

— Naprawdę nie ma za co.

Komisarz wyszedł z gabinetu lekarza z przykrą świadomością, że nie dowiedział się niczego. Poza tym, że lekarz kłamał oraz że nie odczuwał do Burskiego sympatii. To akurat nie dziwiło policjanta. Właściwie nie znał nikogo, kto by go darzył sympatią.

Godzinę później Burski był znowu w gabinecie komendanta. Położył na jego biurku teczkę z aktami i rozłożył ręce.

— Nie wiem — dodał.

— Dobra — westchnął komendant. — Zadzwonimy po pana posła. Pojedziesz z nim i będziesz przy okazaniu.

— Jasne... Może chłopcy od kryminalistyki z Głównej potrafiliby porównać zdjęcia na tych swoich kosmicznych komputerach?

— Odkrywca się znalazł. Coś jeszcze? Dam ci znać, kiedy przyjedzie pan poseł.

— Proszę go zapytać, czy nie ma może pukla włosów żony... Najlepiej byłoby zrobić test DNA.

— Słuchaj, Sherlocku, poprosimy po prostu kogoś z jej rodziny o badanie wymazu z jamy ustnej. Nie będę robił z siebie kretyna i pytał posła przez telefon o pukiel włosów jego zaginionej przed trzema laty żony.

— No, bo z tą rodziną to może być problem, szefie.

— Jak to?

— Jej matka, Helen Hurtanyi, wyjechała z Polski, zanim umorzylismy sprawę zaginięcia. I wcale nie wróciła na Węgry, skąd pochodziła. Ojciec Kołuchowskiej zginął w 1956 roku. A dokładnie rozplynął się w powietrzu, gdy ruskie czołgi wjechały do Budapesztu. Zaginął. Mówiła, jej matka mówiła, że nie wraca na Węgry, bo nikogo tam już nie ma. Wspominała coś o Urugwaju, o ile dobrze pamiętam.

— Cholera.

— Ten pukiel włosów byłby najlepszy, szefie.

— Pomyślę jeszcze. Zostaw mi akta. Dam ci znać.

Punktualnie o godzinie szesnastej Adam Knap wszedł do Zajazdu Myśliwskiego. W sali restauracyjnej siedziało zaledwie kilka osób. On jedyny miał na sobie dobry, nowy garnitur. Nie obawiał się zatem, czy zostanie rozpoznany.

Wełna z dodatkiem kaszmiru. Miękka tkanina z lekkim, ledwie zauważalnym połyskiem. Nie do kupienia w normalnych sklepach. Jak kilkanaście pozostałych jego garniturów, ten także uszyty został na zamówienie w myślenickiej Vistuli. Tam, jak wiadomo, pracują najlepsze igły, zaraz po Bytomiu. Prezes firmy produkującej wełniane tkaniny musi jakoś wyglądać. Raczej nic oficjalnego. Stonowany luz. Delikatny brąz. Wiadomo, do banku by takiego nie założył. Bankowcy rozumieją tylko czarne, w najgorszym razie granatowe garnitury. Facet w brązach od razu ma o połowę mniejszą zdolność kredytową.

Adam Knap lubił ten garnitur, dobrze komponował się z jego cerą, która stawała się śniada już w maju. Wystarczało kilka słonecznych dni, żeby opalenizna pokryła jego twarz, sprawiając, że kobiety jeszcze częściej i chętniej zawieszały na nim powłóczyście spojrzenia. Szczupły, wysoki, opalony brunet o brązowych oczach. Wyglądał jak gwiazdor filmowy. Mężczyzna z dobrym samochodem, stanowiskiem i nieprzyzwoicie wysoką pensją. Czego więcej można wymagać?

Knap usiadł przy jednym z wolnych stolików. Dziennikarka natychmiast go poznała. Wstała od swojego stolika i podeszła, uśmiechając się z daleka.

— Pan prezes Knap...? Bardzo mi miło. Aleksandra Kosma.

Dziennikarka miała na sobie luźne spodnie typu bojówki i rozciągnięty włóczkowy sweter. Z ramienia zwisała jej płócienna torba, rozmiarów takich, w jakich normalni ludzie noszą laptopy. Na nogach jakieś trzewiki, na głowie krótkie, czarne jak smoła włosy.

Zapewne jeszcze godzinę temu były przykuta łańcuchem do drzewa rosnącego na planowanej trasie obwodnicy — pomyślał Knap, odpowiadając grzecznym uśmiechem i podając dziennikarce rozłożoną kartę dań.

— Podobno podają tu pyszne flaki — powiedział.

— Podobno — przytaknęła.

Miała nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Gdyby używała podkładu, szminki, cienia do oczu i maskary, mogłaby nawet uchodzić za atrakcyjną kobietę.

— Podobno — powtórzyła. — Ale ja tego nie sprawdzę. Jestem wegetarianką.

Dlaczego mnie to nie dziwi? — pomyślał Knap, zamawiając porcję flaków i cordonbleu na drugie.

Pani redaktor jadła chłodnik litewski oraz pierogi ruskie, bez skwarek. Potem kawa. Przed deserem oboje skapitulowali, mimo że szarlotka na ciepło z lodami potrafi zawrócić w głowie.

Knap opowiadał o swojej karierze zawodowej. Jak zaczynał po studiach jako przedstawiciel handlowy sprzedający chrupki kukurydziane. Tam się wybił. Pracował po czternaście godzin dziennie. Niestety firma z Krosna, w której pracował, szybko splajtowała. Przy okazji przepadło gdzieś sporo pieniędzy, jakie zagraniczny kooperant zamierzał przeznaczyć na promocję i akcje reklamowe. Właściciel tej krośnieńskiej firmy wkrótce został parlamentarzystą SLD i zaślnął z głosowania na dwie ręce. Takie tam ciekawostki... Potem następny szczebel kariery, w innej już firmie. Sukcesy przy dystrybucji barwiących język lizaków i żelków o kształcie szczurów kanałowych lub dżdżownic. Wreszcie prawdziwy sukces przez wielkie „S”, z gumą do żucia. Sprzedawał jej całe TIR-y. Pani wie, pani redaktor, ile to jest TIR gumy do żucia...? Mnóstwo pieniędzy. Nie wspominał oczywiście, że odszedł z tej branży po drobnej wpadce, jaką było wprowadzenie na rynek gumy do żucia z naklejkami rozebranych panienek. Guma trafiła do sklepików szkolnych.

Zrobiła się z tego niemiła afera. Telewizja, radio, gazety...

Jako uznana gwiazda od organizacji sprzedaży Knap trafił potem do funduszu emerytalnego. Właśnie startował trzeci filar emerytalny. Wiele można by o tym opowiadać. Zwłaszcza o politykach ze świętej pamięci AWS-u, co nadzorowali tę reformę... Jak na przykład o wicepremierze Henryku, co nie zbudował wprawdzie szybkich autostrad, ale stosowne licencje dla partyjnych kolegów Maryjana załatwiał bardzo szybko. Pomyliły mu się autostrady dla wszystkich z licencjami dla wybranych. Ale to już inna bajka. Oczywiście Knap okazał się najlepszym dyrektorem regionalnym w całym funduszu. Stamtąd, z funduszu, przeszedł do Laskowskich. Pewnego dnia po prostu pojawił się jego biurze dyrektor personalny familii Laskowskich, pan... zresztą mniejsza o nazwisko. Rodzina Laskowskich, wiadomo, właściciele „Ziemowita”, dużej fabryki cukierniczej notowanej na giełdzie. Prawie osiem procent udziałów w polskim rynku cukierków. No i kilka mniejszych spółek. Szeroko pojęta branża spożywcza oraz tekstylna. Pierwsza liga polskiego biznesu. Jak mógłbym odmówić? Tak, mam mniej niż czterdzieści lat... Zdarzają się jeszcze młodszy prezesi, pani redaktor. Na pewno ja nie jestem rekordzistą.

— Bardzo panu prezesowi dziękuję za tak interesującą rozmowę. — Dziennikarka wyłączyła mały, leżący na stole dyktafon i schowała go do swojej płóciennej torby. — Nasi czytelnicy będą zachwyceni.

— Cieszę się, jeżeli to było interesujące.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć, tak prywatnie już, co jest właściwie motorem pana poczynań...? Pracuje pan dla pieniędzy?

— Ależ skąd, pani redaktor. O pieniądzach w ogóle nie myślę. Koncentruję się na zadaniach. Wie pani, jak ktoś dobrze wykonuje swoją pracę, to pieniądze same przychodzą.

— Doprawdy...? Mam kolegę z podstawówki, co zbiera złom na osiedlu. Dobrze to robi. Bardzo dobrze. Naprawdę.

Wegetarianka, ekolog, socjalistka i na pewno także feministka — uznał Knap. — Skąd się biorą takie dziwolągi?

— Chyba już na mnie czas — zerknął na zegarek i dał znać kelnerowi, że oczekuje rachunku.

— Czy myślał pan kiedyś o tym, żeby zrobić coś na przykład dla kraju? — zapytała ciszej.

Podszedł kelner, wziął od Knapa firmową kartę kredytową. Upewnił się, czy fakturę wystawić na „Wełpol”, i odszedł.

Knap nie odpowiedział kobiecie. Czasem lepiej udawać, że się nie słyszy głupich pytań.

— Proszę się zastanowić — znowu cicho powiedziała Aleksandra Kosma. — Ja mówię poważnie.

Nie wytrzymał.

— Mam się przykuć do torów kolejowych czy iść na jakąś manię?

— Nic z tych rzeczy. Po prostu ma pan szansę zrobić coś pożytecznego dla innych, nie tylko dla siebie. A przy okazji spełnić swoje marzenie.

— Pani zna moje marzenia...? Jestem pod wrażeniem możliwości czwartej władzy. Naprawdę.

— Przypuszczam, że potrzebuje pan czasu do namysłu.

— Kim pani jest?

Na pewno nie dał po sobie poznać irytacji. Nie takie negocjacje już prowadził. Dziwaków też spotykał już w swoim życiu wielu. Nawet zbyt wielu.

— Ma pani może jakąś legitymację służbową albo coś takiego?

— Ile pan chce, panie Adamie, ile pan chce legitymacji i jakie tylko pan chce. Ale prawdziwą tylko jedną. Z orzełkiem w koronie na okładce.

— Pokaże mi ją pani?

— Na pewno chce pan tutaj, w knajpie, oglądać legitymację tajnej rządowej agencji?

Wrócił kelner. Knap podpisał rachunek i fakturę. Schował wszystko razem ze służbową kartą do portfela.

— Zastanowię się — powiedział wstając. — Miło było panią poznać. Do widzenia.

— Do zobaczenia, panie prezesie.

Adam Knap wyszedł z zajazdu, nie czekając na swoją towarzyszkę obiadu. Szybko wsiadł do passata i odjechał.

Dlaczego powiedziałem, że się zastanowię? — myślał, szukając w schowku papierosów. Powinny tam być. Nie palił od kilku miesięcy, ale widział wyjmując płyty CD, że leżała tam jakaś zapomniana, napoczęta paczka. — Powiniennem odmówić. Jasne, że powinienem... Ale nie odmówilem.

Wreszcie znalazł fajki. Zapalił. Już po drugim sztachu poczuł ten przyjemny zawrót głowy.

Przed godziną siedemnastą był z powrotem w fabryce. Większość pracowników biurowych wyszła już do domów. Tylko członkowie zarządu, wedle wprowadzonego przez Dudusia zwyczaju rodem z Japonii, nie opuszczali biur dopóty, dopóki prezes zarządu nie zakończy pracy. Siedzieli beczynnynie w swoich gabinetach, czekając na sygnał z sekretariatu prezesa, że już wyszedł.

— Pana Zibika jeszcze nie ma — oznajmiła sekretarka, gdy Knap otwierał wyciszane drzwi swojego gabinetu.

— Ale potwierdził, że będzie?

— Nie rozmawiałam z nim. Cały dzień miał wyłączonej komórkę. Nagrałam się kilkakrotnie. Nawet wysłałam esemesa.

Knap westchnął ostentacyjnie. Pracownicy powinni widzieć, kiedy szef jest niezadowolony.

— Proszę mi pokazać tę przesyłkę.

Wszedł do gabinetu. Kilka kroków za nim weszła sekretarka i postawiła na stoliku niewielką, starannie rozciętą paczkę. Po uchyleniu tekturowego wieczka wyjął z niej puszkę psiej karmy. W jednej z hal „Wępolu” pół roku wcześniej uruchomiono produkcję pokarmu dla psów i kotów. Z kolorowej etykiety puszki patrzyły słodkie oczy długouchego spaniela. Obok puszki leżał list. Kilka zdań wyklejonych wyciętymi z gazet literami na kartce w kratkę.

Ostatnia szansa. Wpłaćcie po 50 tysięcy na każde z kont.

Pod spodem także techniką wycinanki wyklejono dwa dwudziestosześciorzędowe ciągi cyfr.

— Proszę już nie telefonować do tego pana detektywa — powiedział Knap z nieukrywanym zadowoleniem. — A gdyby sam się zgłosił, proszę nie płacić mu już ani złotówki. Wygląda na to, że niedoszły szantażysta sam chce się oddać w ręce policji.

— Tak? — zapytała zdumiona sekretarka. Niczego takiego w liście załączonym do puszki nie przeczytała.

— Podał numery bankowych rachunków. To tak, jakby przesłał nam wizytówkę. Proszę zatelefonować na policję. Zgłosić próbę wymuszenia czy szantażu, nieważne. Niech ktoś tam od nich przyjedzie jutro. Proszę zamknąć paczkę z przesyłką w szafie pancерnej. Teraz jadę już do domu. Do widzenia pani.

Wygląda na to, że nie każdy poniedziałek musi być do bani — myślał Adam Knap, wracając na parking. Pogwizdywał pod nosem. — Szkoda tylko, że pogoda taka beznadziejna. Wyjątkowo zimny ten maj.

Jednorodzinny domek, który „Wępol” wynajmował dla prezesa Knapa, stał na przedmieściach miasta. W dzielnicy o nazwie Straconka. Z okien rozpościerał się pyszny widok na pagórki Beskidów. Adam Knap mieszkał sam w pięciopokojowym domu, za wynajem którego płacono miesięcznie tyle, ile wynosiły pensje trojga pracowników farbiarni „Wępolu”. W odróżnieniu od wynagrodzeń dla ludzi z farbiarni, za domek płacono bez opóźnień. W całości, a nie zaliczkami.

Dopiero wieczorem w domu miał czas, żeby przejrzeć w intencie strony gazet o nazwie „Nowiny”. Nie znalazł takiej lokalnej gazety z okolicy Bielska, gdzie pracowałaby w redakcji niejaka Aleksandra Kosma. Nie znalazł w ogóle dziennikarki o takim nazwisku.

Jednak nie był zdziwiony, gdy ta kobieta wkrótce zatelefonowała.

— Zastanowił się pan, prezesie?

— Czy to takie pilne?

— Jeżeli się zastanowił pan, to będę za pięć minut.

— Dobrze.

Knap odłożył komórkę i poszedł do kuchni. Nie zapalał światła. Stał przy oknie obok dużej zamrażarki. Kuchnia miała okna od frontu. Uliczna latarnia świeciła mlecznym światłem

tuż przed furtką.

Porozmawiam i dowiem się, o co chodzi — tłumaczył sobie. — Tylko tyle. Jedynie porozmawiam, a potem podejmę decyzję.

Przed kilkoma dniami jadł kolację w meksykańskiej restauracji na Starym Mieście. Z kobietą, którą poznał dzień wcześniej. Tortilla była całkiem dobra. A salsa wyborna. Ta nowa znajoma, długonoga blondynka, też nieźła. Potem przyjechali tutaj. Gdy całował ją, głęboko w płuca wciągał zapach jej perfum, rozpiął guziki bluzki, a potem zsuwał ramiączka biustonosza, czuł taki sam przyjemny przypływ emocji.

W snopie białego światła przed domem pojawiła się postać kobiety. Podeszła śmiało do furtki. Nie czekając na dzwonek, Adam Knap ruszył do drzwi.

— Proszę — otworzył.

— Witam. — Aleksandra Kosma na męski sposób wyciągnęła rękę. Nawet ścisnęła dłoń Knapa, czego kobiety zwykle nie robią, ograniczając się do zawieszenia w powietrzu swojej wiotkiej rączyny. Ubrana była tak samo, jak podczas spotkania przed kilkoma godzinami przy obiedzie. To także było mało kobiece.

— Czego ode mnie chcecie? — zapytał, kiedy weszli do salonu i usiedli w głębokich skórzanych fotelach. — Czy teraz mógłbym zobaczyć pani legitymację?

— Proszę bardzo. — Położyła na stole małą legitymację z groźnie stroszącym pióra orłem w koronie na okładce. — Chcemy współpracy.

„Agencja Wewnętrznej Ochrony”, przeczytał Knap.

— A konkretnie co was interesuje?

— Może poda pan drugą szklaneczkę? — Kobieta wskazała na stół, gdzie obok butelki whisky stała tylko jedna szklanka. — Powinniśmy chyba coś wypić za dobry początek współpracy.

— Jak pani się właściwie nazywa? — zapytał Knap, stawiając drugą szklaneczkę.

— Pozostaniemy przy Aleksandrze Kosmie. Numer telefonu na wizytówce też jest okay. W razie czego zawsze może się pan do mnie lub kogoś z moich kolegów pod tym numerem zadzwonić.

Mówiąc to, nie patrzyła na Knapa. Jej wzrok powędrował na stronę komody, gdzie stały dyżurne zdjęcia żony z dziećmi. Oraz to zdjęcie, które Adam Knap lubił najbardziej. Gdy miał na głowie czarny kowbojski kapelusz i z rewolwerem w dłoni naprawdę przypominał Clintę Eastwooda.

— O co chodzi?

— Najpierw toast, potem autograf na zobowiązaniu, a później szczegóły — odpowiedziała pani Aleksandra, wlewając whisky do szklanek.

— Nie. Najpierw chcę wiedzieć, co was interesuje.

— Laskowscy.

— Ależ to są moi pracodawcy. Mam nadzieje, że rozumie pani, czym jest stosunek pracodawcy i pracownika oraz co z niego wynika. Wie pani, że istnieje coś takiego jak etyka menadżera i niektórzy ludzie w to wierzą?

— No właśnie... — Kobieta podniosła szklankę, nie czekając na zaproszenie. Wypiła łyżeczek.

— Dobra... No właśnie, panie Adamie. Pracodawcy...

Szybki remanent w głowie Adama Knapa dał oczywisty wynik.

Jeżeli pracując dla Laskowskich mam się wpięprzyć w jakieś gówno, pomyślał, to muszę być ubezpieczony.

— Ja też lubię chivasa — uśmiechnął się nieznacznie i uniósł szklaneczkę z grubego szkła.

Czasem jedna szklaneczka whisky odmienia życie człowieka. Problem polega na tym, żeby zgadnąć, która.

2.

Adam Knap ostrożnie przejechał przez wąski most. Mgła jeszcze wisiała nad rzeką, a kierowcy samochodów dostawczych znani byli z pogardy dla zjawisk atmosferycznych. Do tej rzeki niedawno jeszcze trafiały ścieki z fabrycznych farbiarni. A było ich niegdyś dwanaście. Marka „Bielska Wełna” słynęła nie tylko w granicach Układu Warszawskiego. Woda w rzece mieniła się barwami tęczy. Pełną paletą kolorów. Od zieleni mundurów, poprzez czerwień szkockich kiltów, po czerń smokingówki. Teraz większość fabryk zamknięto, reszta musiała zainstalować filtry. Kolorowe czasy socjalizmu minęły bezpowrotnie. Do rzeki wracały ryby.

Sto metrów za mostem stała brama „Wełpolu”. Bariierka uniosła się.

Pozdrowił gestem ręki strażnika w granatowym mundurze. Rencista przytrzymał czapkę, żeby mu nie spadła w trakcie głębokiego ukłonu. Knap wjechał na teren fabryki i zaparkował przed budynkiem zarządu. Jacyś przechodzący placem ludzie kłaniali mu się i przyspieszali kroku. Fabryka zatrudniała ponad siedmiuset pracowników. Nie Uczęc tych pracujących w hali przy psinie i kocinie. Po trzech miesiącach pracy rozpoznawał najwyżej pięćdziesięciu. Nie po to zresztą go zatrudniano. Prosty i zawsze skuteczny pijarowski chwyt, za opracowanie którego Zwierzak otrzymał dodatkową premię, zakładał, że właściciele zawsze są ci dobrzy. Błędy mogą popełniać jedynie najemni menadżerowie. Prezesi spółek należących do holdingu rodziny Laskowskich nie byli zatem ulubieńcami pracujących w nich małp, jak Duduś Laskowski zwykł określać pracowników.

Na wielkim prezesowskim biurku w gabinecie, do którego wchodziło się, mijając uśmiechającą się w pozycji na baczność sekretarkę, leżała już sterta porannych gazet. Po chwili z tym samym przyszytym do twarzy uśmiechem pojawiła się sekretarka, niosąc termos kawy, filiżanki, mleczko i jakieś czekoladki małą in Ziemowit na tacy.

— Sekretariat pana przewodniczącego Rady Nadzorczej, pana Andrzeja Laskowskiego, potwierdził, że pan Andrzej odwiedzi pana prezesa o dziesiątej — oznajmiła oficjalnie. Była niewiele ponad dwudziestoletnią dziewczyną w wystarczająco, jak na sekretarkę prezesa, krótkiej spódniczce. To znaczy nie za bardzo. Do kolan. Gabinet prezesa to przecież nie pokoik dyrektora handlowego, gdzie laski mogą, a nawet powinny biegać z majtkami na wierzchu, żeby łatwiej się rozmawiało z kontrahentami.

— Korespondencja, panie prezesie. — Po ustawieniu tacy z kawą położyła na biurku plik kopert. Odsiawszy uprzednio ziarna od plew, czyli wyrzuciwszy do kosza wszystkie nieproszone oferty, reklamówki i prośby o pomoc.

Dziewczyna należała do typu: sekretarka-ważka. Wiotka, cicha, niemal niezauważalna, ale zawsze krząca gdzieś w pobliżu.

Poprzednia, z gatunku sekretarka-smok, została zwolniona mimo protestów związku zawodowego, odwołującego się do jej ponad dwudziestoletniego doświadczenia i stażu na wspomnianym stanowisku. Sekretarka-smok była reliktem poprzedniej epoki. Ale miewała również zalety. Do prezesa nie wszedł nigdy nikt nieproszony. Zawsze gotowa była zasłonić drzwi własną piersią. A że miała czym, natręci szybko rezygnowali.

Adam Knap zagłębił się w poranną kawę i lekturę prasy.

— Masz chwilę? — W drzwiach stanął Duduś Laskowski.

— Oczywiście. — Knap poderwał się i przywitał.

Duduś był młodszym z dwóch synów seniora Andrzeja Laskowskiego. Niespełna trzydziestoletnim, krępy młodziencem o puciołowatej twarzy. Miłej, jasnej i przyjaznej niczym księżyc w pełni, o ile księżyc w pełni może wydawać się przyjazny. Duduś był niższy od Knapa o dobre pół głowy. A głowę miał nie od parady.

— Byłem na squoshu — oznajmił, siadając na dużej skórzanej kanapie. — Grałeś kiedyś? Nie...? Umówmy się na jutro rano.

— Z wielką przyjemnością.

Knap wrócił na swoje miejsce za biurkiem. Nachylił się do stojącej przy biurku teczki, żeby wyjąć ładowarkę do telefonu. Długo jej szukał.

— Wczoraj jadłem kolację z chłopakami od Mitchena — zmienił temat Duduś. Teczka Knapa była tej właśnie firmy. — Sprytnie chłopaki. Z niczego zbudowali markę. Ludzie myślą, że to jakaś nobliwa zachodnia firma z tradycjami. A jeszcze niedawno tłukli tę galanterię skórzaną w garażu i sprzedawali na bazarze.

— Nie miałem okazji poznać — odpowiedział Knap. Wbrew wcześniej żywionym obawom wiedział już, że niczym się nie zdradzi. — Kto im wymyślił kampanię reklamową? Wynajęta agencja czy to był ich pomysł?

— Myślę, że po trochu każdego, ale siłą sprawczą są przecież oni... Zapalimy po cygarze? Też dostałem wczoraj. Kubańskie!

W rodzinnym biznesie rodziny Laskowskich siłą sprawczą był niewątpliwie Duduś Laskowski. Tak uważał Adam Knap.

— Mój ojciec w czasach komuny pracował tu i tam na państwowym, jak to w tamtych czasach. Potem został oddelegowany do handlu[^] a następnie sprawdzał się na odcinku przemysłu — opowiadał Duduś przy jednym z pierwszych spotkań z Knapem. — Kiedy komuna upadła, rozpoczęliśmy rozkręcanie własnych drobnych biznesów, bo ojciec wyleciał z roboty w „Ziemowicie”. Wywieźli ich wszystkich na taczkach. „Ziemowitem” zaczęła kierować Rada Pracownicza. Upadł jeden socjalizm, nastał następny. Jak to u nas. Nie minął rok i doprowadzili firmę na granicę bankructwa. Wiesz, daj związkowi zawodowemu firmę... Po prostu nie mogło być inaczej. Sami przyszli do ojca, żeby ich ratował. Siedzimy wieczorem przy kolacji, a ojciec mówi, że wróci do pracy w „Ziemowicie”, bo go załoga prosi. Mój stary zawsze się doskonale uśmiechał. Wszyscy bardzo go cenili za ten uśmiech. Ja wtedy mówię: Tato, kupmy to, zamiast żebyś tam wracał na etat. Teraz są inne czasy. On patrzy na mnie, jakbym z drzewa spadł, i pyta: Za co mamy kupić? A ja mu na to: Gdzie teraz pracują twoi kumple z komitetu partyjnego? Nie w bankach, funduszach, zusach i tym podobnych skansenach? No tak. Weź kredyt, mówię. Zastawimy dom, jak bardzo będą chcieli. „Ziemowita” przemianujemy na zakład pracy chronionej. Nie załatwisz dotacji od kolegów, którzy pracują w funduszu dla niepełnosprawnych? Załatwię, czemu nie, ale to kosztuje. Przecież ich znam, odpowiada. Wszystko kosztuje, tato, mówię mu, niedawno wystartowała giełda papierów wartościowych w Warszawie. Jest hossa na wszystko. Takie branie, że łeb urywa... Giełda?!, niemal przeraził się ojciec. Spokojnie, tato, jest przecież rynek równoległy. Tam są znacznie mniejsze rygory i wymagania. Jak zdążymy załapać się na hossę, to będzie okay. No i było. Zgarnęliśmy, kurwa, ponad dwadzieścia baniek z giełdy. Wtedy to była kasa. Mając już forszę, podkupiliśmy ludzi od sprzedaży i marketingu. Zaskoczyło. Mamy szpiegów u konkurencji. Wiemy, kiedy startują z promocją i reklamą nowego wyrobu, i na tydzień wcześniej towarujemy odbiorców bardzo podobnym, ale znacznie tańszym produktem. Może do jedzenia to się za bardzo nie nadaje, ale słodczyce z „Ziemowita” są na sprzedaż. Nie do jedzenia. Niestety popełniłem błąd, za który teraz cierpię. Stary chciał, żeby to była firma rodzinna. On, ja i mój brat Romek. Jak kapitalizm, to kapitalizm. Słyszał od kogoś, że na Zachodzie tak jest. Firmy rodzinne to podstawa zdrowej gospodarki, przeczytał pewnie w jakiejś kolorowej gazecie. Podzieliiliśmy kasę z giełdy na trzech, no bo na nowe inwestycje w „Ziemowicie” wzięło się kredyty. Przecież robienie biznesu polega na tym, żeby go robić za cudze pieniądze, prawda...? Jasne i oczywiste. Trzeba tylko coraz więcej sprzedawać. Banki patrzą na wzrost sprzedaży. Jak jest wzrost sprzedaży, to nie interesują ich koszty. Bo wzrost sprzedaży wypracuje dodatkowe środki na pokrycie kosztów. Po co ja ci to mówię? Przecież wiesz o tym wszystkim doskonale... Naiwnie się zgodziłem. Niestety. Niestety, bo mój brat to kretyn, a ojciec... Ojciec tylko uśmiechać się potrafi.

Duduś był gawędziarzem. Dużo mówił. Dyktafon w teczce Knapa wszystko nagrywał.

Mgła, która nocą spłynęła z gór, zasnuła okolice. Zapewne dlatego poseł Kołuchowski zadzwonił, że się spóźni. Komisarz Burski czekał przed budynkiem zamkniętego zakładu dla psychicznie chorych. Wreszcie srebrnym volkswagenem bora zajechał na parking poseł Remigiusz Kołuchowski.

— Komisarz Burski, z tutejszej komendy — przedstawił się Burski, usiłując odkręcać nieco w bok usta. Mimo wszystko nieładnie zionąc piwem w twarz parlamentarzysty, uznał. Zwłaszcza o tak wczesnej porze. Słusznie przypuszczał, że polityk nie będzie go pamiętał.

Odpowiedziało mu kiwnięcie głowy.

Posel był znacznie mniejszy niż w telewizorze. Ale twarz ta sama. Swojska i okrągła jak bochen chleba.

Zważywszy, że jest zawodowym politykiem, wygląda jednak na zaniepokojonego. Chyba nie spał zbyt dobrze ostatniej nocy, po telefonie komendanta — zauważył Burski. — Przyjechał zresztą sam, bez kierowcy i obstawy.

— Proszę mnie do niej zaprowadzić — powiedział parlamentarzysta.

Otwierał przed posłem drzwi, tamten grzecznie, ale oschle dziękował, aż dotarli do gabinetu ordynatora. Tam Kołuchowski się zatrzymał. Nie chciał wejść pierwszy.

— Dzień dobry. — Burski wszedł do niewielkiego gabinetu, za oknem którego kwitły kasztanowce. Był tam siwy profesor psychiatrii i wyglądająca jakby bardziej świeżo niż poprzedniego dnia Panna Nieznajoma. W szlafroku, którego dzień wcześniej nie miała.

— Dzień dobry.

Okazało się, że nawet politycy mają nerwy, gdy Burski usłyszał łamiący się głos Kołuchowskiego. Zupełnie inny niż ten znany z telewizji.

Panna Nieznajoma zerwała się na nogi. Patrzyła w twarz Kołuchowskiego. Stali tak oboje przez chwilę, patrząc na siebie w milczeniu wielkimi oczyma.

— Remek — powiedziała wreszcie kobieta i objęła go. — Remus...

Komisarz Burski popatrzył na ręce Kołuchowskiego. Zwiślały bezwładnie ku podłodze. Oczy miał puste. Nie mówił nic.

Policjant zerknął na lekarza. Nie wiedząc, dlaczego, chyba z zawodowego nawyku, odnotował w pamięci, że poprzedniego dnia ordynator nosił swój dziwny sygnet na innym palcu.

— Sorry, Duduś, że ci przerywam, ale powinieneś wiedzieć, że o dziesiątej przyjedzie tu pan Andrzej — powiedział Adam Knap, gdy już zadymili gabinet cygarami i zjedli drugie śniadanie przyniesione przez sekretarkę-ważkę.

— No to spadam — odpowiedział Duduś, wstając z kanapy. — Nie chcę oglądać swojego starego.

— Twoja wola. Niektórzy muszą.

— I właśnie za to im płacę. Aha, nie pojechałbyś ze mną na targi tekstylne do Paryża?

— Oczywiście, że chciałbym pojechać z tobą na targi do Paryża. To całkiem miłe miasto — potwierdził Knap.

— Nie wiem, nie byłem jeszcze.

— Możesz mi wierzyć na słowo. Zdecydowanie bardziej miłe niż Bielsko-Biała.

Gdy tylko Duduś Laskowski wyszedł, Knap otworzył swoją teczkę marki Mitchen.

Nikt nie może ci do niej zajrzeć, mówiła mu ostatniego wieczoru niejaka Aleksandra Kosma z AWO. Własność prywatna. Zresztą ty wiesz lepiej ode mnie, że pracownikowi nie można nawet, niestety, zajrzeć bez jego zgody do szafki pracowniczej. A co dopiero do teczki prezesa.

Zielona dioda w małym magnetofonie migała nadal. Licznik czasu pokazywał, że zmieści się w nim jeszcze ponad dziesięć godzin nagrania bez potrzeby wymiany minidysku.

— Dzień dobry. — Senior Andrzej Laskowski wszedł do gabinetu Knapa bez zapowiedzi i pukania. Jak do siebie.

— Widziałem pod budynkiem Dudusia... — Usiadł i zaczął grzebać za czymś niezwykle pilnym w teczce, nie patrząc nawet na Knapa.

— Tak, był u mnie.

— W tym gabinecie się nie pali. — Senior Laskowski pierwszy raz podniósł wzrok.

— Duduś przyniósł jakieś cygara.

— Ach, ten Duduś... — Przewodniczący Rady Nadzorczej pokręcił siwą głową. — Same kłopoty.

— Napije się pan kawy, panie przewodniczący?

— Raczej herbatki. Zjadłbym śniadanko.

— Zaraz będzie herbatka. — Knap sięgnął po telefon.

— Może ma pan ochotę na kanapeczkę? — zapytał senior, wyjmując przezroczystą torebkę z kanapkami zawiniętymi w papier śniadaniowy. — Żonka robi mi takie z kotlecikami cielęcymi. Bardzo dobre. Proszę.

— Dziękuję uprzejmie, panie przewodniczący. Jadłem już drugie śniadanie.

Senior Laskowski był wzrostu Dudusia, czyli raczej skromnego. Ważył o dobre dwadzieścia kilogramów więcej. Wyglądał na ponad sześćdziesiąt lat i miał niewielkie, nieokreślonej barwy oczy. Siwizna oraz słynny, wzbudzający zaufanie uśmiech dopełniały obrazu.

— No i co tam nowego, panie prezesie? — zapytał, pogryzając kanapkę z cielęcina.

Klimatyzacja zlikwidowała już woń kubańskich cygar. Gabinet wypełnił teraz zapach smażonych mielonych kotletów z cebulą.

— Walczymy z brakiem środków, panie przewodniczący. Gdybyśmy mieli przynajmniej z milion złotych na zakup przędzy i uregulowanie najpilniejszych zobowiązań, byłaby szansa wyjść na prostą.

— Ile wyniosła strata za zeszły miesiąc?

— Niewiele ponad dwieście tysięcy. Udaje nam się systematycznie zmniejszać straty, ale wisi nad nami konieczność szybkiej spłaty niektórych zobowiązań. Żadna przedzalnia nie dostarczy nam już surowca na kredyt. Wszędzie mamy przeterminowane płatności.

— Jak załatwiliście... — przełknął zbyt duży kęs chleba z kotлетem — ...sprawę z komornikiem?

— Jolka, dyrektor finansowa, zawarła z nim taki cichy układ. Nie będzie nam wchodził na majątek trwały ani szukał, w jakich bankach mamy konta, tylko ograniczy się do zabierania co miesiąc stu tysięcy ze wskazanego rachunku, na który będziemy wpłacać pierwszego po stówie. Wyrok na półtorej bańki zabiły nas, a tak komornik będzie miał co miesiąc te swoje czternaście procent kosztów egzekucyjnych, resztę odda wierzycielowi, a my będziemy spłacać pieniądze przez ponad rok.

— Dobrze... Na pewno nie ma pan ochoty na kanapeczkę? Jakiegoś nowego kredytu nie uda się panu załatwić? Rozmawiał pan z bankami?

— Oczywiście. Niestety, mamy straty od zawsze i spadek sprzedaży na dodatek, bo brakuje pieniędzy, żeby kupić surowce do produkcji. Poza tym dokładnie wszystko w fabryce jest już przecięte od dawna zastawione.

— No właśnie, przyszedł mi do głowy pewien pomysł, panie prezesie. — Laskowski zmiął papier po kanapkach i położył go na stoliku. — Kotłownia.

— Kotłownia została zbudowana za kredyt, o ile wiem. Jeszcze wtedy mnie tu nie było. Hipoteka na niej stanowi w związku z tym zabezpieczenie spłaty kredytu.

— Mógłbym porozmawiać z panią od tego banku, która dawała kredyt na nową kotłownię. To moja znajoma. Poproszę ją o zdjęcie zabezpieczenia. Powinna się zgodzić i przepisać zabezpieczenie na coś innego, co i tak jest już u nich zastawione. Zwłaszcza że zaproponujemy bankowi odkupienie od „Wełpolu” tej kotłowni, którą wtedy my od razu od nich wyleasingujemy... Co pan myśli o takim pomysle, prezesie?

— To genialne, panie przewodniczący. Za kotłownię można by dostać ze trzysta tysięcy. Byłoby na przędzę.

— No to robimy. — Po raz pierwszy tego ranka Andrzej Laskowski użył swojego legendarnego uśmiechu. — Pojadę do banku jeszcze dzisiaj. Aha, czy mógłby pan odwiedzić mnie i moją żonkę dzisiaj wieczorem w naszym domku? Zaprosiłbym kilku ludzi z „Ziemowita”, porozmawiamy sobie, co dalej robić z tym nieszczęsnym, przynoszącym straty „Wełpolem”, dobrze?

— Oczywiście, panie przewodniczący. Z przyjemnością.

Pod drzwiami gabinetu Knapa czekała już dyrektor finansowa. Wymieniła pozdrowienia z wychodzącym seniorem Laskowskim i weszła do środka.

— Cześć, poproszę o kilka podpisów. — Położyła na biurku dokumenty.

Jolanta, dyrektor finansowa, była osobą w wieku Knapa. Całkiem atrakcyjną jak na kobietę, która jakąś tam karierę przecież zrobiła.

– Wpłynęło trochę pieniędzy – dodała. – Co mam zapłacić: przeterminowaną fakturę za przездę czy składki na ZUS?

– ZUS, Jolu, ZUS – odpowiedział.

Wśród przyniesionych dokumentów przeważały weksle i deklaracje wekslowe. Nikt już nie chciał niczego sprzedawać „Wełpolowi” bez podpisanego weksla. Niektórzy myśleli naiwnie, że posiadanie weksla przyspieszy odzyskanie pieniędzy za dostawę. Ci mądrzejsi, którzy wiedzili, co robią, żądając weksla, rzeczywiście na tym zarabiali.

– Tak myślałam, że zusy – powiedziała niezbyt głośno finansowa.

Nie musiałaś tego mówić – pomyślał Knap, przeglądając i podpisując dokumenty. – Każde dziecko wie przecież, że za zobowiązania wobec ZUS-u prezes zarządu odpowiada także prywatnym majątkiem. A ja tutaj tylko pracuję. Nie mam zamiaru za nic odpowiadać.

– Proszę – przesunął w jej stronę podpisane weksle i deklaracje.

– Co ciekawego mówił pan Andrzej? – zapytała niby od niechcenia dyrektor finansowa.

Posel Remigiusz Kołuchowski wstał z krzesła i wyszedł z pokoju ordynatora.

Panna Nieznajoma patrzyła na kasztanowce kwitnące za oknem. Usta jej zaczęły drżeć. W końcu się rozpląkała.

Komisarz Burski wyszedł za posłem, tylko lekarz pozostał z nią w gabinecie.

– Jak mógł mnie nie poznać? – chlipała.

– Ludzie się zmieniają – odpowiedział psychiatra.

– Co ma pan na myśli, doktorze?

– To, że... pani wygląd uległ zmianie w porównaniu do zdjęć sprzed trzech lat – powiedział, ale takim tonem, jakby mówił tylko część prawdy.

– Własny mąż mnie nie poznał. Igen, własny mąż. Co ja mam teraz robić, panie profesorze?

Lekarz opuścił wzrok na blat biurka. Potem zerknął na korkową tablicę, gdzie wisiały kolorowe widokówki.

Ona znowu patrzyła w okno. Mgła unosiła się coraz wyżej. Zasnuła białym obłokiem kwitnące kasztanowce.

Kołuchowski stał przy zakratowanym oknie. Jakby widział coś przez mleczną szybę. Wreszcie odwrócił się do policjanta.

– Chyba nie można zapomnieć własnej żony, prawda? – zapytał.

– Proszę mnie o to nie pytać – odpowiedział Burski. – Moja opinia w tej kwestii nie będzie miarodajna.

– To nie ona, panie... policjancie. – Głos Kołuchowskiego brzmiał już stanowczo. Jak wtedy, gdy wypowiadał się z trybuny sejmowej albo przemawiał na wiecu wyborczym. – To nie jest moja żona. To jakaś oszustka.

– Proszę pamiętać, że wygląd zewnętrzny osoby po tragicznych doświadczeniach może ulec zmianie. Tak jak jej psychika.

– W takim razie tym bardziej to nie ona.

– Powinniśmy jednak zrobić badania, panie pośle.

– Jakie badania?

– Badanie DNA określiłoby ponad wszelką wątpliwość, czy ta pani jest z rodziny Hurtanyi. Gdzie możemy znaleźć kogoś z jej krewnych?

– Zupełnie nie mam pojęcia, panie policjancie. Jej matka jest chyba gdzieś w Afryce.

– Myślałam, że w Urugwaju.

– Zdaje się, że wyjechała stamtąd do Afryki. Kiedyś na Boże Narodzenie dostałem od niej kartkę z życzeniami. Świąteczna kartka ze zdjęciem lwa leżącego na zielonej trawie Serengeti, pod akacją. Wariatka. Na ostatnie święta już nie przysłała mi życzeń. A szkoda. Bo może tym razem byłaby to kartka z nosorożcem albo z małymi hipopotamami?

– Ma pan jej adres?

– Ależ skąd. Nie napisała. Życie ją także ciężko doświadczyło. Mąż zginął w pięćdziesiątym szóstym w Budapeszcie. Była wtedy w ciąży z Mary. Nie uciekła z Węgier, jak wielu innych, długo szukała męża, no i ta ciąża... Potem jedyna córka zaginęła tutaj, też bez śladu... Nie zdziwiłbym się gdyby ona również miała problemy z psychiką.

— Nie ma pan przypadkiem włosów żony? — zapytał komisarz. — Czasem ludzie trzymają w jakichś szkatułkach takie rzeczy.

Parlamentarzysta popatrzył na niego bez wyrazu.

— Nie. Nie mam, panie policjancie.

Mógłby się wysilić i zapamiętać moje nazwisko — pomyślał Burski. — Albo przynajmniej stopień. W ogóle chyba kiepsko u niego z pamięcią.

— Zrobimy dokładne badania porównawcze zdjęć. Komputerowe techniki kryminalistyczne są do tego bardzo przydatne.

— Czy takie badanie da stuprocentową pewność?

— O ile wiem, to nie.

— To nie róbcie go wcale. Wątpliwości to ja mam akurat pod dostatkiem.

Kołuchowski popatrzył, jak dwaj pielęgniarze pchają przez korytarz łóżko z przywiązanym do niego człowiekiem. Pielęgniarze rozmawiali o ostatnim meczu Wisły Kraków. Szanse na awans w rozgrywkach pucharowych oceniali optymistycznie.

Leżącemu na łóżku mężczyźnie płynęła z ust piana. Na nogach miał krwawe odciski od pasów, którymi przywiązywano go widocznie nazbyt często.

— Będę jeszcze jutro w Bielsku — dodał Kołuchowski. Poprawił marynarkę. Zapiął ją na jeden guzik. — Zastanowię się. Przemyszę wszystko. Odezwę się dzisiaj albo raczej jutro.

— A jak się panu wydaje, czy...

— Proszę zaczekać do jutra — przerwał mu polityk. Odszedł kilka kroków. Zatrzymał się.

— Panie policjancie...? — Zaczekał, aż Burski nie spiesząc się podejdzie do niego.

— Tak?

— Dlaczego ona nie ma palca?

Policjant tylko wzruszył ramionami.

— Pan mnie chyba nie lubi.

— A powinienem?

— Mam nadzieje, że nie ma pan zamiaru zadać mi kolejnego głupiego pytania w rodzaju: „Co wy z tym krajem robicie?”

— Nawet mi to przez głowę nie przeszło. A jaki kraj ma pan na myśli? Burkina-Faso?

Polityk milczał przez chwilę. Widocznie nie miał nastroju na użycie jednej ze słynnych ciętych ripost, w rodzaju: „Spieprzaj, dziadu”.

— Proszę się dowiedzieć, co to za historia z tym palcem. Do widzenia.

Kołuchowski odwrócił się i poszedł w stronę schodów.

Komisarz odczekał jeszcze pół minuty w holu. Aż zbliżył się do niego przechodzący pielęgniarz.

— Przepraszam — zaczął pielęgniarza, który wyglądała na emerytowanego boksera. — Tam w rogu, za tą usychającą palmą stoi facet. Taki w zielonym szlafroku. Nie znam się na tym, ale chyba on powinien być w środku. Na oddziale zamkniętym.

Telefon Dudusia uparcie powtarzał, że numer jest zajęty.

Oczywiście — pomyślał Knap. — Jolka, dyrektor finansowa, jak tylko wyszła ode mnie, natychmiast zadzwoniła do Dudusia powiedzieć o wszystkim, co usłyszała na temat mojej rozmowy z seniorem Laskowskim. Dodając jeszcze trochę od siebie, rzecz jasna. Każdy walczy o swoją pool-position, jak najlepszą pozycję startową do codziennego wyścigu.

Zerknął do teczki. Magnetofon migał zielonym światłem. Wzruszył ramionami.

Przecież tu, jak we wszystkich firmach, każdy każdego śledzi i na każdego donosi — tłumaczył sobie. — Ja jedynie podtrzymuję standardy. Gdyby kiedyś tak powstał odpowiednik IPN-u dla współczesnych pracowników korporacyjnych i chciał wytknąć palcem wszystkich donosicieli, władzupców, brązowonosych, gumowe uszy, szpicli oraz zwykłych wykorzystywanych przez przełożonych głupków, to kto by został w biznesie?

— Można, panie prezesie? — wsunęła głowę sekretarka.

— O co chodzi?

Weszła, zamknęła za sobą drzwi i odezwała się z przepraszającym wyrazem twarzy, który był jej wielką zaletą:

— Pan ze związków zawodowych chciałby rozmawiać z panem prezesem.

— O rany... O co mu chodzi? Przecież widzi pani, że nie mam czasu. — Na potwierdzenie swych słów pokazał leżące na biurku od kilku dni raporty sprzedaży. Zawsze leżały w tym samym miejscu.

— Podobno jakiś poseł albo senator chce jutro odwiedzić nasz zakład. To jego znajomy.

— No, chyba że tak... Wpuść go. Ale za dwie minuty przyjdź albo zakończ spotkanie jakimś pilnym telefonem. Zanim się rozgada.

— Oczywiście, panie prezesie.

Ważka znikła za drzwiami i po chwili wprowadzała już przewodniczącego zakładowej „Solidarności”.

— Wiem, wiem, panie prezesie. Dzień dobry. Wiem, że pan nie ma czasu. Ja tylko na chwileczkę. Szacuneczek. — Uśmiechnięty od ucha do ucha człowiek podszedł do biurka Knapa i uścisnęli sobie dłonie. — Pan prezes jak zawsze zapracowany. Jasne. Wiem o tym doskonale. To przecież duży zakład. A jak zdrowie pana prezesa? Dobrze? No to się cieszę. Nie, nie... Nie będę nawet siadał, ja tylko dosłownie na minutę. Zresztą pani w sekretariacie uprzedzała. A szkoda. Szkoda, bo czasem moglibyśmy dłużej porozmawiać. Jak dwaj gospodarze zakładu, prawda? Już do rzeczy, panie prezesie. Zna pan może posła Remigiusza Kołuchowskiego...? Nie. A ja znam.

Dopiero teraz zrobił dłuższą pauzę. W odpowiedzi Knap spojrzał ostentacyjnie na zegarek.

— Pan poseł Kołuchowski jest stąd, z Bielska — kontynuował szef „Solidarności”. — Nasza organizacja związkowa popierała go w wyborach. Zgodził się, będąc tutaj niejako przy okazji, odwiedzić nasz zakład. Pomaga nam w wyborach samorządowych, wie pan prezes? Wystawiamy listy z ramienia związków zawodowych i będziemy... ale mniejsza o to. Pan poseł jest zainteresowany także postępami rozmów pomiędzy zarządem a organizacją związkową w sprawie przeprowadzanych przez zarząd grupowych zwolnień pracowników.

Ty prostaku — myślał Knap, uśmiechając się życzliwie do przewodniczącego związku zawodowego. — Myślisz, że mnie weźmiesz na takie chwytły? Cienki jesteś. Zbyt wcześnie pozbywasz się najlepszej amunicji.

— To bardzo dobra wiadomość — odpowiedział Adam Knap. — Wie pan przecież, że nikomu tak jak mnie nie leży na sercu sprawa dobrego, solidarnego załatwienia tych zwolnień grupowych. Pomoc pana posła będzie dla nas wielką radością. O której godzinie się spotkamy?

Rozległo się pukanie do drzwi. Sekretarka wsunęła głowę.

— Przepraszam, panie prezesie. Bardzo pilny telefon — powiedziała i spojrzała z wyrzutem na związkowca.

— O jedenastej rano — powiedział tamten. — Już biegnę. Nie przeszkadzam. Telefonowałem już do pana przewodniczącego Andrzeja Laskowskiego. Też przyjedzie. Potwierdzę jeszcze jutro, dobrze?

— Tak, oczywiście. Proszę potwierdzić spotkanie w sekretariacie — odpowiedział Knap. Począł, aż działacz związkowy wyjdzie, i podniósł komórkę. Duduś oddzwaniał.

— No, co tam? Telefonowałeś do mnie.

— Chciałem ci opowiedzieć o spotkaniu z panem Andrzejem.

Przez dobre dziesięć minut Knap relacjonował rozmowę z ojcem Dudusia. Miał świadomość, że Jolka powtórzyła już wszystko, co od niego usłyszała. Widział zatem, że musi się postarać, by to jego wersja była ciekawsza.

— Żadnych większych pieniędzy mój stary nie chciał dać? — podsumował opowieść Duduś.

— Niestety.

— Numer z leasingiem da parę groszy, ale to nie jest rozwiązanie. Spłacić trzeba będzie jeszcze więcej. Ojciec musi dać ci ze dwa miliony na „Wełpol”. Naciskaj go.

— Będę. Jutro odwiedzi nas poseł Remigiusz Kołuchowski — powiedział Knap i długo odkasływał, żeby do Dudusia dotarło, że nie dowie się wszystkiego z donosów innych członków zarządu.

— Poważnie? Kto to załatwił?

— Przewodniczący „Solidarności”. To jego znajomy. Pan Andrzej też chyba będzie. Związkowiec już telefonował do niego, zanim przyszedł do mnie.

— Tamta pierdoła ze związku potrafi załatwić spotkanie z posłem Kołuchowskim...? Cholera. Dobrze wiedzieć. To ja też będę. Trudno. Jakoś przeżyję towarzystwo ojca. Po co przyjeżdża?

— Będziemy rozmawiać o zwolnieniach grupowych. Rano przy squoshu powiem ci, jaki mam pomysł w tej sprawie, i ustalimy strategię postępowania.

— Okay.

Knap obrócił się razem z fotelem do okna. Nareszcie mgła się uniosła. Widział odległe, szare bloki miasta za rzeką. Gęste chmury zapowiadały deszcz.

Korzystając z chwili samotności, postanowił zatelefonować do żony.

Bożena odebrała za trzecią próbą. Widocznie długo szukała komórki w śmietniku nazywanym torebką albo zostawiła ją w innym pokoju, jeżeli akurat była w domu.

— Cześć. Nie spodziewałam się, że zadzwonisz o takiej porze. Zwykle telefonujesz po pracy, wieczorem.

— Mam właśnie wolną chwilę. Co słyhać? Jak tam dzieci?

— Wszystko w porządku.

— To fajnie. Nie wiem, czy zadzwonię wieczorem. Mogę wrócić bardzo późno ze spotkania u seniora Laskowskiego.

— Dzieci idą spać o dziewiątej.

— No to najwyżej zadzwonię jutro albo... — W drzwiach pojawiła się jasnowłosa głowa sekretarki. — Przepraszam, muszę kończyć. Zadzwonię później. Pa.

— Pan z policji — powiedziała sekretarka-ważka.

— Proszę, niech wejdzie. Proszę także przynieść obie przesyłki.

Knap nachylił się do swojej teczki. Wyłączył dyktafon. Nie miał zamiaru nagrywać policjanta.

— Kogo moje piękne oczy widzą? — usłyszał.

— Bury...? Jak pragnę zdrowia, Bury! Kopę lat.

Uściskali się.

— Nie wiedziałem, że sprowadziłeś się do Bielska-Białej — powiedział komisarz Burski.

— Nie sprowadziłem się na stałe. Tylko tu pracuję. Od trzech miesięcy.

— U Laskowskiego?

— Aha. A ty? Przez wszystkie lata od studiów w policji?

— Prawie. Po studiach w Lublinie wróciłem do Bielska. I tak tu ugrzązłem.

— Musimy się spotkać, wypić coś, pogadać o starych strzelbach. Może wieczorem...? Albo nie. Dzisiaj nie mogę. Może jutro? Jutro powinienem mieć chwilę wieczorem. Zadzwonię.

— Zadzwoni — odpowiedział Burski.

Do gabinetu weszła sekretarka z kawą i ciasteczkami.

— Proszę przynieść przesyłki — przypomniał Knap. — Pokażemy je panu komisarzowi. Wiesz co? — Odczekał, aż za sekretarką zamkną się drzwi. — Gdy cię widzę, natychmiast przypomina mi się tamta impreza, kiedy tak się spieszyłeś na pociąg, pamiętasz? Z jakiej okazji to było?

— Na studiach imprezowało się często i zwykle bez okazji.

— Wtedy, jak odprowadzaliśmy cię na przystanek trajtka przy Raclawickich. Mieliliśmy nadzieję, że spotkamy po drodze kogoś znajomego albo uda się załatwić na mecie flaszkę na kredyt, pamiętasz? Ostatni trolejbus na dworzec PKP właśnie odjeżdżał. Pamiętasz? Pobiegłeś za nim. Złapałeś go za szelki. Zdjąłeś druty z elektrycznych przewodów. Trajtek stanął. Z kabiny wyskoczył trolejbusiarz. Miał takie grube, płócienne rękawice. Był wściekły. Myślałem, że da ci w mordę. A ty podchodzisz do niego i bełkoczesz, ledwie trzymając się na nogach: „Na dworzec PKP poproszę!”

— Pamiętam.

— Nigdy tego nie zapomnę! Każdy trolejbus przypomina mi ciebie.

— To miło.

Zapukała sekretarka i wniosła dwie niewielkie paczki. Postawiła je na stoliku.

— Popatrz, Bury. — Knap spoważniał. — Ktoś chciał łatwo zarobić parę groszy. Przed tygodniem dostaliśmy tę pierwszą paczkę. W jednej z hal „Wełpołu” prowadzona jest obecnie

produkcja karmy dla psów. Za komuny ta fabryka była wielka, teraz trzeba jakoś tę przestrzeń wykorzystywać. Facet napisał: „Karma jest zatruta. Zapłaćcie sto tysięcy złotych”. Napisał: „złoty”, żebyśmy się nie pomylili i nie zapłacili mu przypadkiem w euro, kretyn jeden. Puszka jest otwarta. Została zbadana w laboratorium. Zatrął ją trutką na szczury. Nie wiem jak, puszka była fabrycznie zamknięta. Pomyśleliśmy, że to może być któraś z małą, to znaczy z pracowników przy taśmie. Zatrudniłem detektywa...

— Kogo?

— Niejaki Zibik. Znasz?

— Kiedyś spotkałem gościa. Co ustalili?

— Nie wiem. Nie mamy z nim kontaktu. Nie odzywa się. Może wpadł pod pociąg? Na pewno nie pod trolejbus, bo tutaj nie ma trolejbusów. To był numer z tymi szelkami... — Knap uśmiechnął się znowu do kolegi i pokręcił głową. — Wczoraj dostaliśmy drugą paczkę. Popatrz... Tej puszki nie kazałem jeszcze otwierać. Zobaczyłem tylko, że gość podał nam numery swoich rachunków bankowych, na które mamy wpłacić okup. Debil jakiś. Kazałem zadzwonić po ciebie. Dla policji fraszką będzie ustalić, czyje to rachunki, prawda?

— Aha.

Burski wziął w rękę puszkę z długouchym spanielem na etykiecie. Obejrzał ją.

— Zawsze tak solidnie przyklejacie etykiety? — zapytał.

— Bez przesady — odpowiedział zaskoczony Knap. — Jedno maźnięcie klejem i tyle. Klej też kosztuje.

— A ta etykieta jest przyklejona dokładnie, na całej powierzchni. Możliwe, że została zdjeta, a po wprowadzeniu strzykawką czegoś do środka znowu przyklejona. Muszę zabrać te paczki do ekspertyzy.

— Jasne. Są twoje.

— Dam ci znać o wynikach. Teraz wybac, ale spieszy mi się.

— Jasne. Pamiętaj, że mamy się zadzwonić na któryś wieczór.

— Pamiętam. Cześć.

Przypadkowe spotkania ze starymi kolegami zazwyczaj kończą się właśnie tak. Obietnicami telefonowania i niechybnego spotkania, które rzadko dochodzi do skutku.

W samochodzie przed budynkiem zarządu czekał na Burskiego młody aspirant Sołtysik. Niezbyt zadowolony, że zwierzchnik kazał mu nudzić się w aucie. Z demonstracyjną obojętnością wziął siatkę z dwiema przesyłkami, wysłuchał poleceń Burskiego i skinął głową.

— Dzwonili z komendy, że ustalili, gdzie szukać jednego z tych, co wyłowili Pannę Nieznajomą z rzeki — powiedział. — Prowadzi firmę „Super-Car” na Kijowskiej.

— Zawieź mnie tam — zażądał Burski.

— Zawieźć pana...? Myślałem, że mam w policji etat aspiranta, a nie kierowcy.

Przez moment Burski poczuł chęć, żeby zjechać chłopaka. Zgnoić go. Przeczłogać. Wybić z głowy stawianie się i nadmiar ambicji. Jeszcze kilka lat temu tak by postąpił.

— Zawieź mnie — powtórzył spokojnie. — A potem wracaj na komendę. Zajmij się tymi paczkami.

Nawoskowane i błyszczące samochody stały na wysypanym żwirem placu. W równych rzędach. Ustawione fachowo z wystarczającymi odstępami pomiędzy nimi, żeby klient mógł je dobrze obejrzeć. Tablice rejestracyjne zakrywały nakładki z napisem: „Super-Car to pewnoś i zaufanie”.

Trzech mężczyzn w marynarkach i jaskrawych krawatach rozmawiało przy wejściu do budki z Szyldem: „Biuro Handlowe”. Jeden z nich natychmiast ruszył do Burskiego. Dwaj pozostali weszli do biura.

— Dzień dobry. W czym mogę panu pomóc? — pytał, śląc zawodowy uśmiech.

— Szukam właściciela.

— Och, szefa niestety dzisiaj nie ma. A w czym mogę panu pomóc?

— Gdzie znaleźć szefa? Telefon, adres... — Burski niedbale pokazał odznakę.

Tamtemu nawet nie zadrgał uśmiech na ustach.

— Szef wyjechał na urlop. Podróżuje. Skąd mnie wiedzieć, gdzie szukać pryncypała? Jestem tylko skromnym sprzedawcą. Może, korzystając z obecności, obejrzy pan nasze wozy? Tanie

i dobre, jak...

— Zwołaj Migacza.

— Słucham?

— Nie jesteś głuchy ani głupi, jak udajesz. Widziałem go. Zwołaj.

Burski zetknął się z człowiekiem nazywanym Migaczem przy sprawie komisju samochodowego w pobliskim miasteczku. Miałem nieuczciwego współnika, dowodził Migacz. Ja też zostałem oszukany. Samochody w jego komisju rzeczywiście sprzedawano niedrogo. Klienci szybko to zauważyli. No i jeszcze na kredyt. Komis pośredniczył w uzyskaniu kredytu. Klient nie musiał sam jeździć do banku. Wszystko załatwiał na miejscu. Po wybraniu samochodu wpłacał pięćset złotych zaliczki i wypełniał wniosek o kredyt. Po kilku dniach jednak telefonowano z komisju, że pojawił się problem. Auto, które klient wybrał, nie jest w tak dobrym stanie, jak zapewniano. Posiada ukryte wady, a tak solidna firma jak komis Migacza nie może sprzedać klientowi wozu z usterkami. Wyjścia są dwa: albo klient poczeka na naprawę, oczywiście na koszt komisju, albo zaczeka, bo może uda się sprowadzić dla niego z Zachodu inny, podobny wóz. To oczywiście potrwa. Klienci najczęściej nie byli zainteresowani żadnym z proponowanych wyjść. Obruszyli się, nie doceniając faktu, iż komis sam poinformował ich o wadliwości zamówionego samochodu. W takich sytuacjach Migacz bez entuzjazmu, ale jednak proponował zwrot zaliczki w podwójnej wysokości. Według zasad wynikających z kodeksu cywilnego. To zwykle rozwiązywało problem. Klienci łaskawie się godzili. Odbierali tysiąc złotych, składali pismo o anulowanie wniosku kredytowego i dopiero za bramą komisju zacierali ręce. Pięć stów za friko. Super.

Po miesiącu, kiedy już pieniądze wydali, a o sprawie zapomnieli, przychodziła z banku książeczka wpłat za zaciągnięty kredyt.

Po komisju Migacza zostawał już wtedy tylko pusty plac. Razem ze współnikiem, pracownikiem banku, zarobili po kilkaset tysięcy. Wpadli jednak. Z tego samego powodu co zawsze. Zbyt dużo chcieli zarobić.

— Witam szeryfa — nadszedł Migacz.

— A ty znowu w branży motoryzacyjnej, jak widzę?

— Ja kocham samochody, szeryfie. Nie potrafię bez nich żyć. — Zamrużył całą serią mrugnięć. Dlatego jeszcze w domu dziecka nadano mu przydomek „Migacz”. — Pracuję. Zszedłem na dobrą drogę i uczciwie pracuję.

— Na pewno. Już ci wierzę. Szukam gościa, na którego zarejestrowany jest ten biznes. W zupełnie innej sprawie. Nic więcej.

Oszust w marynarce i w czerwonym krawacie wzruszył ramionami.

— Szeryfie... — objął Burskiego, który strzepnął jego dłoń. — Proszę mnie tylko do niczego nie mieszać. Ja usiłuję uczciwie pracować. Wiem jedynie, ale to między nami, że mieszka gdzieś na końcu ulicy Gajowej.

To nie było daleko. Postanowił przejść się piechotą.

Dopiero kiedy oddalił się od placu komisju, zajrzał do kieszeni kurtki. Migacz wsunął mu plik banknotów. Trzy tysiące złotych.

Wąska ścieżka prowadziła pod górę. Do miejsca oddalonego o kilkaset metrów od ostatnich zabudowań. Gdzie wiatr otwierał i zamykał zardzewiałą furtkę.

Policjant wszedł na teren posesji. W szopie nie było nikogo. Usiadł na trawie w takim miejscu, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy, i czekał. Gospodarz pojawił się wkrótce, wyprzedzany skrzypieniem wózka. Starego, dziecięcego, głębokiego wózka. W czapce, nieco spiczastej, która w połączeniu z brodatą twarzą i niskim wzrostem sprawiała, że kogoś policjantowi przypominał.

Wyraz zaskoczenia na twarzy, szybko zastąpiony nazbyt grzecznym uśmiechem, nie uszedł uwadze Burskiego.

— Gość w dom, Bóg w dom — powiedział kloszard. — Ta paremia dotyczy także policji.

— Burski, komisarz. Chciałbym... — już miał powiedzieć „z tobą”, ale usłyszane przed chwilą słowo: „paremia” sprawiło, że zmienił zamiar. — Chciałbym z panem porozmawiać. Pan Karwowski?

Brodacz nieznacznie skinął głową.

— Może się przyda. — Burski podał mu siatkę z kupioną po drodze butelką wódki.
— Oczywiście, że się przyda. — Kłoszard zairzał do środka. — Jak policja teraz dba o obywateli, ho, ho! Dziękuję.

Zupełnie bez potrzeby, widocznie dla przyjemności, odbił łokciem butelkę i otworzył.

— Wygoniłem złe duszki — wyjaśnił. — O czym będziemy dyskutować? Pan pija na służbie?

— Nie, dziękuję. Proszę mi opowiedzieć o wyłowieniu kobiety z rzeki. Przed dwoma laty. Pamięta pan, prawda?

— Co tu opowiadać? Płynęła rzeką, głową w dół. W kremowej sukience w wielkie czerwone maki. My odpoczywaliśmy na brzegu po trudach poranka i spożywaliśmy „Leśny Dzban”. — Kłoszard pociągnął z butelki mały łyżeczek. Roztarł trunek po podniebieniu. Posmakował. Poprawił większą dawką. — On pierwszy ją zauważył. Wszedł do wody, podał mi pasek od spodni, żeby go trzymał. Złapał ją za włosy i wyciągnął z rzeki. Wtedy pobiegłem do najbliższej stróżówki, to chyba „Wełpol” był, żeby zadzwonili po karetkę i policję. Czy mógłby mnie pan komisarz poczęstować papierosem?

— Jasne... Pan pobiegł do stróżówki?

— Ja, no bo kto? On był kulawy. Utykał, dlatego wszyscy go nazywali Kulawy.

— Nazywali?

— Dawno nie widziałem Kulawego. Nie wiem, czy przetrwał ostatnią zimę. Ostra była.

— Chciałbym się z nim zobaczyć.

Kłoszard znowu pociągnął z butelki. Był już wstawiony.

— Naprawdę nie wiem, jak panu pomóc.

— Szkoda. Smakuje?

— Niezła.

— Gdy wyłowiliście tę kobietę z wody, miała wszystkie palce u rąk?

Burski zauważył, że jego rozmówca się spłoszył.

— Pytam, czy miała wszystkie palce u rąk?

— Nie pamiętam.

— Pamięta pan. Pamięta pan, że piliście „Leśny Dzban”. Pamięta pan jej sukienkę w maki. Pamięta pan także, że pobiegł na stróżówkę „Wełpolu”.

— Nie zwróciłem uwagi. — Kolejnym łykiem wódki zyskał trochę czasu do namysłu.

— To ważne.

— Wydaje mi się, że miała. Ale ręki nie dam sobie za to obciąż.

— No właśnie, obciąż... — mruknął Burski.

— Nie rozumiem?

— Głośno myślałem. Dziwny z pana kłoszard. Kim pan właściwie jest?

— Krasnoludki rosną w lesie. Mają specyficzny zapach i białe brody. Występują pojedynczo. Gdyby dało się zebrać ich garść, ususzyć i powiesić nad drzwiami — może mielibyśmy spokój.

— Rzeczywiście wygląda pan trochę jak krasnoludek.

— Tak na mnie wołają. Są tacy, którzy w głowach hodują ogrody. Tb także ja.

Burski przypomniał sobie, czyje wiersze cytuje kłoszard. Słyszał już kiedyś o tym bezdomnym.

Nauczyciel. Bodajże filozofii uczył. Jego żona i córka zginęły w wypadku. TIR jechał przez wioskę sto na godzinę. Zgarnął matkę i dziecko z pobocza. Zbierano je potem do worków. Wtedy nauczyciel wybrał bezdomność.

— Będzie miał pan problem z tą firmą założoną na pana nazwisko.

Brodacz rozłożył ręce.

— Byłem w reżimie finansowym. Musiałem.

Burski sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął kilka banknotów. Bez słowa podał je kłoszardowi.

Zaraz po wyjściu za skrzypiącą furtkę zadzwonił po aspiranta Sołtysika. Czekał ponad dwadzieścia minut, zanim tamten przyjechał. Zaczął padać deszcz.

Deszcz dzwonił o blaszany parapet, gdy oficer dyżurny skrupulatnie liczył banknoty.

— Tysiąc pięćset złotych? — upewnił się.

Podkomisarz Gawron miał kartoflany nos i małe oczy, jakimi Bóg lubi obdarzać szpicli i konfidentów.

– Nie liczyłem – odpowiedział Burski. – Ten komis to firma krzak. Zarejestrowana na bezdomnego. Wygląda na to, że menadżerem jest tam nasz stary znajomy Migacz.

– Znowu przewał na kredytach? – zapytał Gawron.

– Nie wiem, jaki przewał. Zajmuję się inną sprawą. Może auta są kradzione? Trzeba sprawdzić. Gdzie mam podpisać?

Za oknem mocniej zawiął wiatr. Krople deszczu zastukały w okno.

Padało jednostajnie przez cały wieczór. Było już oczywiście, że nie przestanie przynajmniej do rana. W koleinach drogi stała woda. Knap jechał do położonej kilkadziesiąt kilometrów od Bielska miejscowości, gdzie znajdował się Zakład Pracy Chronionej „Ziemowit”.

Swój samochód zostawił w garażu. Jechał ze Zbigniewem Jaszukiem, znanym mu od kilku lat człowiekiem, z którym pracowali w firmie od gumy do żucia i który doprowadził do spotkania Knapa ze Zwierzakiem. Jaszuk mieszkał na stałe w małym miasteczku w pobliżu ukraińskiej granicy. Był z wykształcenia wuefistą i zanim na mitingu Amwaya odkrył swoje powołanie do handlu, zdążył zostać najbardziej znieawidzonym wuefistą w mieście. Konieczność udowadniania, że jest najlepszy, gnała go przez całe życie.

– Przyjechałem tylko po swoje rzeczy – wyjaśnił powód swojej obecności Jaszuk. – Ale skoro pan Andrzej zaprasza na kolację, to nie mogłem odmówić.

Przez ponad rok Jaszuk pracował w „Ziemowicie” jako specjalista od kontaktów z odbiorcami hurtowymi. Kiedy zatowarował hurtowników tak, że ich systemy komputerowe obliczały zapas produktów z „Ziemowita” na co najmniej dwa lata, czyli znacznie dłużej, niż wynosił ich termin przydatności do spożycia, został w uznaniu zasług awansowany na dyrektora handlowego w fabryce tekstyliów. Tej kupionej przez Laskowskich w Gorzowie. Wydawało się, że sprzedać potrafił wszystko i każdemu.

– Pan Jaszczuk?! – W komórce włożonej do zestawu głośnomówiącego odezwał się głos seniora Laskowskiego.

– Tak, dobry wieczór, panie Andrzeju. – Jaszuk uśmiechał się szeroko do telefonu. Twój rozmówca nie widzi cię, ale wyczuwa. Jaszuk wiedział o tym.

– Jedziecie już?

– Tak, panie Andrzeju, już dojeżdżamy – odpowiedział promiennym głosem kierowca. – Będziemy za dwanaście minut.

– No to dobrze – oschle skwitował Laskowski i rozłączył się.

– Dokładnie za dwanaście minut będziemy na miejscu? – zapytał Knap.

– Tak sądzę.

– A jeżeli spóźnimy się trzydzieści pięć sekund?

– To na szczęście nie będzie poważne spóźnienie.

– Odetchnąłem z ulgą... Dlaczego Laskowski mówi do ciebie Jaszczuk? Ty chyba nazywasz się Jaszuk?

– No tak... Ale pan Andrzej trochę przekręca moje nazwisko.

– Nie wkurza cię to? Powiedz mu.

– Nie. Dlaczego...? To nic poważnego. Myślisz, że powinienem powiedzieć?

– Przecież nazywasz się Jaszuk.

– No tak, ale... to taki drobniaczek. Naprawdę myślisz, że powinienem...? To w gruncie rzeczy trochę niezręczne. Mam wielki szacunek dla pana Andrzeja.

– Eee... tak sobie tylko gadam. To przecież nie moja sprawa.

– Może i powinienem... Aha. Chciałem cię przy okazji uprzedzić, że pani Krysia Laskowska, żona pana Andrzeja, jest inwalidką. Porusza się na wózk. Lepiej, żebyś wiedział. Jakiś wypadek samochodowy. Kilka lat temu potrącił ją samochód.

– Czy to może drażliwy temat?

– Nie, skąd. Mówię ci tylko, żebyś wiedział. To ważne, żeby właściwie przygotować się do wizyty u państwa Laskowskich.

– Aha – potwierdził Knap dla świętego spokoju.

Jechali przez chwilę w milczeniu. Miarowo szurały wycieraczki. Woda z rozjeżdżanych kałuż biła o podwozie.

Dzieci w Tomaszowie Lubelskim powinny postawić mi pomnik — pomyślał Knap. — Za to, że wyciągnąłem ambitnego Jaszuka ze szkoły do handlu i wybawiłem je od konieczności wygrywania międzyszkolnych zawodów sportowych we wszystkich możliwych dyscyplinach.

— Awansujesz, Zbyszku. Pierwszy raz będziesz miał w pracy asystentki i sekretariat. Dotychczas pracowałeś zawsze jako samodzielny sprzedawca...

— Menadżer liniowy — poprawił Jaszuk.

— Teraz czekają cię trochę inne wyzwania.

— Tak, wiem. Na szczęście ja szybko i łatwo się uczę. Dużo czytam. Rozpocząłem też MBA.

— Super. Uważaj zwłaszcza na kobiety.

— Słucham?

— Tego nie uczą na kursach ani w książkach w rodzaju Jak odnieść sukces lub Zarządzanie w pigułce. Bo temat jest drażliwy.

— Co masz na myśli, Adamie? — zainteresował się Jaszuk.

— Kobiety zazwyczaj mają wielką skłonność do facetów na stanowiskach. Wynika to z naturalnych, biologicznych uwarunkowań. Każda intuicyjnie szuka najlepszego ojca dla swoich dzieci.

— Będę umiał się odnaleźć. Dziękuję, że mnie uprzedzasz.

— Warto pamiętać, że gdy kobieta w pracy cię kokietuje, podrywa i uwodzi, wówczas wszystko jest w porządku. Ale gdy ty zaakceptujesz to uwodzenie, wtedy już mamy do czynienia z molestowaniem seksualnym pracownicy. Granica jest, jak widzisz, trudno zauważalna.

— Jeszcze raz dziękuję. Będę się pilnował — odpowiedział Jaszuk. Jednak uśmiezek, który drgał mu w kąciakach ust, mógł sugerować, iż będzie wołał sprawdzić tę tezę empirycznie.

Światła nadjeżdżającego z przeciwka samochodu sprawiły, że Jaszuk dopiero w ostatniej chwili zobaczył pieszego. Człowiek szedł drogą. Tuż przed nimi. Jaszuk zahamował gwałtownie. Koła zabuksowały na wodzie. U uruchomił się mechanizm ABS-u. Samochód jechał dalej. Wprost w plecy idącego pijaka.

Jaszuk zahamował jeszcze raz. Jeszcze mocniej. Szarpnęło nimi do przodu. Coś uderzyło Knapa w plecy. Wóz nie zatrzymał się, ale zwolnił. Na tyle, że Jaszukowi udało się wyminąć spacerowicza. Jadący z przeciwka samochód przeraźliwie trąbił. Szybko przemknął obok. Wreszcie się zatrzymali.

Jaszuk wypadł z samochodu. Rozglądał się za pijanym piechociarzem. Wymachiwał rękami. Tamten jednak rozplynął się w strugach deszczu.

Jaszuk wyjął papierosa. Stał w padającym deszczu i palił. Knap widział, jak trzęsą mu się nogi w kolanach. Obejrzał się, żeby sprawdzić, co go uderzyło w plecy. Jego teczka w chwili hamowania zleciała z tylnego kanapy i walnęła z impetem w oparcie fotela. Leżała teraz na podłodze. Wśród rozsypanych papierów połyskiwał srebrny magnetofon. Knap wrzucił wszystko z powrotem do teczki. Szybko, bez porządkowania.

— Nie mów nic u pana Andrzeja — powiedział Jaszuk, wsiadając.

— Co?

— Nie wspominaj o tym zdarzeniu, proszę.

— Jak chcesz. — Knap wrzucił ramionami. Uznał, że myśli Jaszuka podążają zbyt tajemniczymi i nieodgadzionymi ścieżkami, by próbować je zrozumieć. Przez chwilę także wmawiał sobie, iż nie warto się martwić, czy magnetofon w teczce działa. Na pewno nie działa. To dobrze. Nie będę musiał się denerwować.

— Pobiegę szybko do kibelka — odezwał się Jaszuk na widok świateł stacji benzynowej. — Szybciutko.

Jaszuk zawsze tak reagował na stres. Gdy kilka lat wcześniej Knap wiozł go na rozmowę kwalifikacyjną do firmy handlującej gumą do żucia, przystanki na siku były tym częstsze, im bardziej zbliżali się do Rudy Śląskiej. W Paniowach, Paniówkach i na przedmieściu Rudy zatrzymywali się dosłownie co pięć minut. Jaszuk biegł do przydrożnego rowu.

Adam Knap podłączył wyrwany kabelek od mikrofonu. Sprawdził, czy magnetofon funkcjonuje. Działał.

Zdążył także jeszcze raz zadać sobie pytanie, czy aby na pewno postępuje właściwie. Odpowiedź znowu wypadła mętnie.

Bez ryzyka nie ma zabawy, uznał na koniec i ponownie uruchomił nagrywanie.

3.

Na obrzeżach miasteczka w pobliżu czeskiej granicy, w zgrabnej willi mieszkali państwo Laskowscy. Ich dom powstał bardzo szybko i sprawnie, przy okazji budowy nowej hali do produkcji wafelków w „Ziemowicie”. W ramach jednej faktury od firmy budowlanej. Innymi słowy, został zasponsorowany w czterdziestu dziewięciu procentach przez mniejszościowych, giełdowych udziałowców „Ziemowita”.

— Zapraszamy, panie prezesie — przywitał gości w drzwiach właściciel słynnego uśmiechu, Andrzej Laskowski. Jaszuka nie zauważył.

Wewnątrz czekali na nich dwaj menadżerowie z „Ziemowita” oraz Romek Laskowski, starszy syn seniora. Ten, o którego poziomie umysłowym brat Duduś nie wypowiadał się inaczej niż: „kretyn”.

Powinien zabrać te swoje miliony, które ja mu sprezentowałem — uzasadniał Duduś — i mieszkać do końca życia na Karaibach. Romek Laskowski był fanem gier komputerowych oraz surfowania po internecie, co zajmowało mu gros czasu, gdy urzędował w swoim gabinecie prezesa „Ziemowita”, na szczycie zabytkowej wieży ciśnieni przerobionej na budynek zarządu. Lubił także testować nowe samochody, dostarczane mu przy każdej okazji przez dilera zaopatrującego flotę samochodową w fabrykach Laskowskich. Te, które przypadły mu do gustu, zatrzymywał. Diler i tak był szczęśliwy, że tak niskim kosztem obsługuje tak wspaniały interes.

Knap poznał także Mulickiego, dyrektora handlowego „Ziemowita”, człowieka faktycznie zarządzającego firmą. Tyleż zdolnego, co naiwnego, skoro wierzył w obietnice, że pewnego dnia zostanie na miejsce Romka Laskowskiego prezesem fabryki. Mulicki był także książkowym przykładem choroby zżerającej menadżerów, którzy odnieśli sukces. Wydawało mu się, że jest w pracy niezbędny i niezastąpiony.

Szef logistyki i transportu w „Ziemowicie”, Nowak, siedział w kącie. Jak przystało na zaufanego człowieka Laskowskich, był niepozornym mężczyzną pozostającym zawsze w drugim szeregu. Potrafił utrzymywać koszty transportu na poziomie dwa razy wyższym, niż w firmach konkurencyjnych. Nie wzbudząc przy tym podejrzeń mniejszościowych udziałowców. Prawdziwy skarb.

— Jak wyprowadzić „Wełpol” na prostą, panie prezesie? — zapytał senior Laskowski, gdy mieli już za sobą prezentację.

— Fabryka wymaga dofinansowania, panie przewodniczący. W kwocie co najmniej dwóch milionów — odpowiedział oficjalnie Knap. Czuł się jak na przesłuchaniu.

— Dwie banieczki... — powtórzył pod nosem Laskowski.

Po chwili ciszy dyrektor handlowy „Ziemowita”, Mulicki, zapytał:

— A czy po takim dofinansowaniu „Wełpol” zacznie przynosić zyski?

— Nie powinien przynosić strat — wyjaśnił Knap. — Dofinansowanie, o którym mówimy, ma umożliwić pokrycie najbardziej pilnych zobowiązań, od zapłaty których już się uciekać nie da, oraz zapewnić środki na normalne funkcjonowanie. Nie rozmawiamy teraz przecież o rozwoju firmy i wspieraniu sprzedaży. To jest kwestia kolejnego etapu restrukturyzacji „Wełpolu”.

— Cholera... — westchnął Laskowski. — A to nas Duduś urządził, prawda?

— Prawda, panie Andrzeju — potwierdził ziemowitowiec Mulicki. — My wszyscy mamy ciężko pracować po to, żeby dostarczać Dudusiowi środków na jakieś chore inwestycje... A ta druga fabryka? W Gorzowie...

— Po co dałem mu się namówić na zakup tej „Gielany”? — kręcił głową Andrzej Laskowski. — Tam też są tylko straty.

— Jak pan pamięta, panie przewodniczący — wykorzystał chwilę ciszy Knap — zostałem zatrudniony w „Wełpolu” w celu przeprowadzenia restrukturyzacji fabryki. I wyprowadzenia jej na prostą. Zrobię to. Ale potrzebujemy środków. Tak jak pan obiecywał.

— Tak, tak, wiem.

— Oooo! — radośnie zakrzyknęli ziemowitowcy.

W salonie pojawiła się żona Andrzeja Laskowskiego. Jechała na wózku inwalidzkim, za nią kroczyły dwie kucharki z tacami.

— Pani Krysia jak zawsze nas rozpieszcza!

— Jeżeli to pani Krysia doprawiała, to jedzenie będzie boskie!

Krystyna Laskowska odpowiadała uśmiechem, nie bez przyjemności taplając się w wazelinie zalewającej salon.

Ktoś kopnął teczkę Knapa, stojącą pod stołem. Przewróciła się.

— Sorki — powiedział Nowak, szef logistyki. Pochylił się i postawił teczkę ponownie tak, jak stała przedtem.

— Chyba nie masz tam niczego, co mogłoby się stłuc?

— Same papierzyska — odpowiedział Knap.

Nie podobało mu się spojrzenie tego Nowaka.

Kilka minut po godzinie dziewiętnastej opel astra z Burskim i Sołtysikiem w środku zatrzymał się przez blokiem na ulicy Piastowskiej. Ten adres otrzymali z banków, gdy prokuratura zwróciła się z zapytaniem, kto jest właścicielem kont bankowych wymienionych w przesyłce zawierającej zatrutą puszkę psiej karmy oraz żądanie okupu. Sołtysik wiercił się na fotelu. Uwierała go uprząż i kabura z pistoletem.

— Idź sprawdź, która to klatka schodowa — powiedział Burski. — Zobacz, na którym piętrze mieszka pan Roman. Sprawdź, czy drzwi...

— Są zamknięte — dokończył niecierpliwie Sołtysik — czy posiadają domofon, etcetera, etcetera.

— Idź już.

Sołtysik wysiadł z samochodu, nie zapinając kurtki przeciwdeszczowej. Trzymał ją tylko lewą ręką. Na głowę założył czapkę z daszkiem.

Kropki deszczu dudniły o dach samochodu. Węże wody wiły się po szybach.

Burski wyjął z kieszeni komórkę. Sprawdził, czy nie dostał esemesa, którego mógł nie usłyszeć. Już prawie miesiąc nie miał informacji od syna. Z Irlandii. Jeżeli nie pisał do syna zbyt często, dostawał odpowiedzi na swoje wiadomości. Trzy tygodnie to nie jest natręctwo, uznał. Zaczął pisać esemesa.

— Już. — Do astry wsiadł zasapany Sołtysik.

Burski schował komórkę.

— Mieszka na trzecim piętrze — mówił aspirant, przekreślając w palcach niewielki klucz. — Klatka obok prześwit. Drzwi są zamknięte. Klucz pasuje.

— Chodźmy.

Pospiesznie, kuląc się przed zacinającym deszczem, pobiegli do drzwi. Czekając, aż Sołtysik otworzy je prywatnym wytrychem, Burski zerknął na tablicę domofonu z numerami mieszkań. Nie było na niej nazwisk.

— Ustawa o ochronie danych osobowych — odezwał się Sołtysik.

— Pytałem cię?

Burski rozpiął kurtkę i marynarkę. Wszedł pierwszy. Na schodach minęli jakiegoś dzieciaka. Miał w dłoni pistolet na wodę. Mierzył do policjantów, przymrużając oko.

Burski zadzwonił do mieszkania numer trzydzieści dwa. Za drzwiami słyszał głośną muzykę. Sołtysik stał oparty o ścianę, żeby nie być widoczny przez wizjer judasza. Burski zadzwonił jeszcze raz. Dłużej przytrzymał palec.

W judaszu mignęło zapalone światło. Potem zostało zasłonięte.

— Kto tam? — zapytał kobiecy głos.

— Policja, proszę otworzyć.

Usłyszeli kroki na schodach. Chłopiec z bronią wbiegł na półpiętro. Przyglądał im się.

Drzwi uchylły się jakby po namyśle.

— Policja? — Kobieta w wieku balzakowskim patrzyła zaskoczona na legitymację Burskiego.

— Komisarz Burski i aspirant Sołtysik. Możemy wejść? — Burski ruszył przed siebie, zmuszając kobietę, żeby się odsunęła. Zza zamkniętych drzwi jednego z pokoiw dobiegała głośna hip-hopowa muzyka.

– Zastaliśmy pana Romana? – zapytał Burski.
– Kogo? – Kobieta wydawała się przestraszona i rozkojarzona.
– Pan Roman Klewik, mieszka tutaj, prawda?
– Lutek! – Kobieta zastukała w drzwi, zza których słychać było głośny hip-hop. – Lutek! Chodź na chwilę!

Mamy taki kraj, jaki potrafimy zrobić, Oddaj cześć wodzowi, Niech żyje Ko-no-nowicz!
– rapował wokalista.
– Co?! – Drzwi uchyliły się i stanął w nich osiemnastoletni młodzian, ogolony ma zero, wyższy od Burskiego o głowę.

– Znasz jakiegoś Romana Krecika, synku?
– Klewika – poprawił szybko Sołtysik.
– Nie – odwarknęła pociecha. – Menty?
– Policja, komisarz Burski. Proszę ściszyć muzykę i okazać dowody osobiste.
– Z mentami nie gadam – oznajmił młodzian. – Nakaz macie?
– Lucuś, przestań, bardzo cię proszę... – jego mama już wyjmowała z torebki plastikowy dowód tożsamości. – Anna Zdrojewska, z domu Nowak. A to nasz synek Lucjan Zdrojewski.

Chłopak powoli, ostentacyjnie ociągając się, także przyniósł dowód osobisty. Stał teraz w drzwiach, oparty o framugę. Miał na sobie spodnie z krokiem w kolanach, tak długie, że tylko duży palec prawej nogi w bawełnianej skarpecie wystawał mu spod nogawki. Napis na jego koszulce oznajmiał: „Przeżyliśmy trzy rozbiory, przetrzymamy i kaczozy”. Patrzył z obrzydzeniem na policjantów.

– A pani mąż? W domu? – zapytał Burski, starając się nie zwracać uwagi na gniewnego młodzieńca.

– Mąż jeszcze w warsztacie. Pracuje.
– Jak się nazywa?
– Krzysztof Zdrojewski, syn Antoniego.
– Czy ktoś z państwa zna Romana Klewika?
– Nie – odpowiedzieli zgodnie.
– Gdzie znajduje pani męża?

Zdrojewska podała adres warsztatu. Burski zerknął, czy Sołtysik notuje. Poprosił także o numery telefonów.

– Słuchaj, Lucuś – zwrócił się do nastolatka. Zrobił dwa kroki w jego stronę. Stanął bardzo blisko chłopaka. – Lepiej, żeby to nie tobie przyszedł do głowy pomysł, że na szantażu łatwo zarobić trochę kasy. Rozumiesz?

– Tak – syknął chłopak i zacisnął usta.

Wtedy Burski cofnął but z jego palców.

– Ale o co właściwie panom chodzi? – zapytała mama nastolatka.

– Niejaki Roman Klewik podaje ten adres jako swój adres zamieszkania. Od dawna państwo tutaj mieszkają?

– Od zawsze. Od kiedy spółdzielnia ten blok postawiła. Nigdy tu żaden Klewik nie mieszkał, jak Boga kocham. – Kobieta przyciskała pięść do piersi.

– Pojedziemy jeszcze do warsztatu pani męża – powiedział Burski. – To moja wizytówka na wypadek, gdybyśmy się z nim minęli albo gdyby ktoś z państwa przypomniał sobie coś ważnego.

Spojrzała na nastolatka. Tamten spuścił wzrok.

Kwadrans później stali już pod parterowym budynkiem z szyldem PPUH „Zdro-Ex”. Otworzył im mężczyzna w niebieskim ochronnym fartuchu. Zaprosił do kantorka, gdzie pokazał policjantom dowód osobisty. Krzysztof Zdrojewski. Nerwowo skakał wzrokiem z Burskiego na Sołtysika.

Burski chrząknął i zaczął rozglądać się po pomieszczeniu. Jego uwagę przykuł przedmiot wiszący na ścianie. Miał wielkość blatu od stołu w jadalni. Trzy rzędy okrągłych okien żarzyły się prawdziwym światłem. Migotały gwiazdy.

– Poszukujemy Romana Klewika – po chwili milczenia zreflektował się Sołtysik. Burski nie odrywał wzroku od tego, co wisiało na ścianie. – Zna pan takowego?

— A powinienem? — Zdrojewski uśmiechał się porozumiewawczo.
— Proszę odpowiadać na pytania. My jesteśmy z policji. Klewik to pana przyjaciel?
Znajomy?

— Nie przypominam sobie. — Uśmiech zwiął na twarzy Zdrojewskiego. — Chyba nie znam nikogo takiego.

— Klewik podaje adres na ulicy 3. Maja 8/93 jako swoje miejsce tymczasowego zamieszkania.

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Bo to ja tam mieszkam. Z rodziną. Tb jakaś pomyłka. — Tym razem na twarzy rozmówcy Sołtysika pojawił się inny wyraz. Wyrażonej ulgi.

— I nie zna pan żadnego Romana Klewika?

— Nie. Nie znam. Przykro mi, że nie mogę panom pomóc. Naprawdę, bardzo mi przykro. Podobna się panu? — zwrócił się do Burskiego.

— Jestem pod wrażeniem — odpowiedział komisarz, odrywając wzrok od frapującego przedmiotu. Westchnął i pokręcił głową. — Pan to produkuje?

Po ciemnogrnatowej lustrzanej tafli morza płynął statek. Wielki. Z wysokimi, przekrzywionymi kominami. Wydmuchiwały kłęby dymu. W trzech rzędach okrągłych okien paliły się prawdziwe światła. Na fioletowym niebie połyskiwały gwiazdy. W górnym rogu obrazu zawiśł księżyc. Pod nim jaśniała lodowa góra. Ostra, spiczasta. Czaiła się na transatlantyk.

Najnowsza i największa wersja plastycznego dzieła „Titanic” wisiała na ścianie.

— To będzie model dla najbardziej wymagających klientów. Te mniejsze, produkowane seryjnie i sprzedawane od dłuższego czasu w całej Europie i w Ameryce, są prawdziwym przebojem — wyjaśnił Krzysztof Zdrojewski. — O rynkowym sukcesie zadecydował pomysł z zasilanymi bateriami diodami w oknach statku i w migoczących gwiazdach. Każdy lubi, zwłaszcza po zgaszeniu światel w sypialni, popatrzeć sobie spod ciepłej kołdry, jak „Titanic” płynie na spotkanie góry lodowej, prawda?

— A z muzyką pan próbował? — zapytał Burski.

— Słucham?

— Kwintet smyczkowy na przykład. Głośniki można by wbudować w ramę.

— Ciekawy pomysł. — Producent tytaników podrapał się w brodę. Patrzył na wielki transatlantyk. Wyobrażał sobie dźwięki smyczków i szum morza.

— Naprawdę ciekawy. Kwestia zasilania tylko pozostaje... Z gniazdka by trzeba było...

Nadal padało, gdy wyszli. Zamyślony Burski wszedł w kałużę. Zaklął. Woda wlała mu się do pantofla. Wsiadł do samochodu. Wylał wodę z buta.

Sołtysik milczał, nie chcąc się narażać na wybuch gniewu komisarza.

— No i co o tym myślicie, młodszy aspirancie? — zapytał Burski, gdy zakończył operację „but”.

— Myślę, że to może być ten młody. Ukradł komuś dowód albo kupił na bazarze i wymyślił z kumplami sposób na szybką kasę. Trzeba wezwać wszystkich na odciski palców.

— Zrób to — polecił Burski. — Szukaj też tego Romana po numerze PESEL. Możemy po prostu mieć do czynienia z fałszywym adresem. Gość korzystał ze sfalszowanego dowodu, zakładając konta bankowe. A potem każdy może wejść do klatki schodowej w bloku i wyjąć list ze skrzynki, jeżeli mniej więcej wie, kiedy i czego się spodziewać.

— Tak pan myśli, szefie?

— Zawsze trzeba najpierw sprawdzić najprostsze rozwiązania. Przystępcy to najczęściej prymitywne typy, a nie finezyjni gracze.

— Jasne.

— No to szukaj tego Romana. Ustal także, na podstawie jakich dokumentów klient może sobie założyć konta w tych bankach. Czy był tam osobiście? Niech ci prześlą mailem skany dokumentów, bo oryginałów zapewne nie będą chcieli użyczyć. Przyłóż się. Trzeba tę sprawę szybko załatwić.

— Tak jest, szefie... Coś pana gryzie. Ta sprawa?

— Nie. Nic nie gryzie.

Burski nie uznał za stosowne tłumaczyć młodszemu funkcjonariuszowi, że chodzi o kobietę ze szpitala psychiatrycznego, posła Kołuchowskiego i pewne stare dochodzenie.

— Gdzie cię wysadzić?

— Tam, za rogiem.

Miałem wstąpić do sklepu — uzmysłowił sobie Burski, gdy wszedł do mieszkania i otworzył lodówkę.

Zerknął w okno. Deszcz nadal zaciął. Znalazł w lodówce kawałek dosyć twardego żółtego sera, trochę smalcu i napoczęty dżem o kwaśnym zapachu sfermentowanych owoców. W chlebaku leżało kilka kromek czerstwego chleba.

Wrzucił smalec na patelnię. Obsmażył chleb z jednej strony. Przekręcił na drugą i ułożył na każdej kromce po kilka kawałków sera, jakie udało mu się odłupać z twardej bryły. Nakrył patelnię przykrywką. Znalazł jeszcze w lodówce resztkę ketchupu. Polał nim gotowe grzanki, sandwicze, tosty czy jak by tego wymyślnego dania nie nazwać. Zjadł bez przyjemności. Ubrał się i jednak poszedł do sklepu.

Do wypicia nie miał kompletnie niczego.

Rankiem deszcz zelżał. Nie ustąpił jednak. Uparcie kapało. Kałuże rosły i rozlewały się po krzywych chodnikach. Dzień w pracy Adam Knap musiał rozpocząć od przetarcia butów nawilżoną chusteczką oraz oczyszczenia nogawek spodni. Zależało mu, żeby wyglądać dobrze.

Punktualnie o jedenastej w drzwiach jego gabinetu zajaśniał uśmiech przewodniczącego związku zawodowego. W ślad za nim do wnętrza dostojnie wkroczył majestat parlamentu RP w osobie posła Remigiusza Kołuchowskiego.

— Pozwolisz, Remku, że przedstawię... — związkowiec wykonał skromny, zbyt skromny zdaniem Knapa, graniczący wręcz z gestem od niechcenia, ruch ręką. — Nasz prezes. Pan Adam Knap.

— Niezmiernie mi miło poznać pana, panie pośle — uklonił się Knap.

Nawykły do kadzenia mu od świtu do nocy Kołuchowski przymrużył tylko oczy i niezauważalnie niemal kiwnął głową.

— Cześć — powiedział. Był także starszy od Knapa, więc od razu dał mu do zrozumienia, jak zamierza go traktować. — Nowy, młody prezes „Wełpolu”? Bardzo dobrze, bardzo dobrze. A swoją drogą nie za młody jesteś...? Nie mam oczywiście nic przeciwko młodym, wykształconym kadrom. Absolutnie. Tutaj będziemy rozmawiali?

— Zapraszam do sali konferencyjnej — odpowiedział Knap, starając się nie zwracać uwagi na promieniejącą z radości twarz związkowego działacza.

Pożałujesz, gnojku — zanotował w pamięci.

W małej sali konferencyjnej, połączonej rozsuwanymi drzwiami z gabinetem Knapa, siedzieli już Andrzej i Duduś Laskowscy. Każdy po przeciwnej stronie stołu, na którym ustawiono półmiski z ciastkami i kanapkami, kosze ze słodyczami z „Ziemowita”, butelki i termosy z napojami.

Od kiedy w „Wełpolu” wybucha awantura pomiędzy działami, dlaczego wszystko, co zostaje po poradach na stole w sali konferencyjnej, trafia do działu finansowego, trzeba było wprowadzić demokrację. Każdy dział po kolei miał prawo do tego, co zostało, a nie nadawało się do przechowywania. Nazywano to Prawem Niespodzianki.

Tego dnia jeden z działów będzie miał dobry dzień, pomyślał Knap.

— Słyszałem, że planujecie zwolnienia grupowe? — zapytał Kołuchowski po krótkim powitaniu z Laskowskimi.

Wszystkie twarze odwróciły się w stronę Knapa.

— Taka jest ekonomiczna konieczność, panie pośle — wyjaśnił.

— Ilu ma być zwolnionych i jakie warunki ustaliliście...? Dwie — dodał parlamentarzysta pod adresem związkowca, który wlał mu już kawę do filiżanki i teraz pytał oczami, ile ma posłodzić.

— Planowaliśmy zwolnić trzysta pięćdziesiąt osób. Niestety pan przewodniczący związków zawodowych okazał się twardym negocjatorem i musieliśmy ograniczyć liczbę zwalnianych do zaledwie trzystu — powiedział Knap.

— Rodzina Laskowskich, podpisując umowę nabycia „Wełpolu” od Narodowego Funduszu Inwestycyjnego, zobowiązała się do utrzymania zastanego zatrudnienia, prawda?

— Przez rok, panie pośle. Ten rok właśnie mija.

— O ile dobrze rozumiem, nie ma już pomiędzy zarządem a związkiem zawodowym rozbieżności co do liczby zwalnianych. Ale jakieś różnice zdań jednak pozostały?

— Owszem.

— Oj, są, są — potwierdził związkowiec.

— Jakże?

— Chcielibyśmy — jako pierwszy odezwał się przewodniczący związku — żeby do grupowych zwolnień trafiły te osoby, które i tak wkrótce odeszłyby na emeryturę, mają prawo do zasiłku przedemerytalnego lub same chcą odejść z pracy.

— Bardzo słusznie — pochwalił poseł. — Prawa pracownicze są bardzo ważne.

Zapadła chwila ciszy. Jakby związkowiec liczył na to, że ktoś jeszcze potwierdzi prawo związku zawodowego do decydowania o losach prywatnego zakładu pracy.

— Kanapeczkę? — zapytał senior Laskowski.

— No i żeby odprawy zostały wypłacone jak najszybciej — dodał związkowiec. — No, bo wielkość odprawy jest regulowana ustawowo. Tu już niczego wywalczyć się dla załogi nie da.

— Racja — pokiwał głową Kołuchowski, gryząc kanapkę. — Słucham, co powiesz?

— Proszę nie traktować zarządu fabryki jako strony w walce — powiedział wywołany do odpowiedzi Knap. — Tu nie chodzi o walkę, ale o porozumienie w imię restrukturyzacji i przetrwania fabryki...

— To tylko taki nasz związkowy żargon — przerwał mu poseł. — Proszę o konkrety, panie... Adamie. — Związkowiec życzliwie podsunął przed oczy parlamentarzysty wizytówkę Knapa.

— Jako prezes zarządu tej fabryki chciałbym w pierwszym rzędzie zwolnić tych pracowników, którzy charakteryzują się niskim stopniem produktywności... to znaczy tych, którzy są nam najmniej potrzebni. Może nie brzmi to najlepiej, ale chodzi o to, żeby doprowadzić tym samym do zwiększenia wydajności i efektywności pracy. — Knap starał się, by jego słowa brzmiały niepewnie i nerwowo. Zerkał przy tym na obu Laskowskich, jakby szukał u nich ratunku. — Jeżeli ktoś z pracowników i tak za miesiąc odchodzi na emeryturę, to moim zdaniem nie powinien korzystać z przywilejów dla zwalnianych grupowo. Otrzymywać wysokich odpraw... — przerwał w pół słowa, jakby zabrakło mu tchu albo po prostu się przestraszył. Napił się wody, odchrząknął.

— Słucham nadal. — Kołuchowski nie spuszczał wzroku z prezesa fabryki.

— Żeby „Wełpol” mógł udźwignąć ciężar odpraw dla pracowników, nie możemy wypłacić ich szybciej, aniżeli poprzez rozłożenie na co najmniej rok — zakończył Knap jednym tchem, jak dziecko nerwowo recytujące wiersz na szkolnej akademii.

— Zróbmy tak... — Poseł postukał łyżeczką w spodeczek. — Lista zwalnianych będzie ze związku. Odprawy wypłacicie w sześć miesięcy. Dobrze? Stoi...? Ja uważam, że trzeba podejmować szybkie, męskie decyzje. Tego nauczyła mnie polityka.

— Lista trzystu pięćdziesięciu ze związków. Odprawy w dziesięć miesięcy — odpowiedział cicho Knap. Odkaslnął i dodał głośniej: — Takie porozumienie mogą podpisać natychmiast.

Parlamentarzysta spojrział na związkowca. Ten pokręcił głową. Obaj Laskowscy udawali, że pilnie studiują swoje terminarze.

— Proszę coś jeszcze opuścić, prezesie Adamie. — Tylko słowo użyte na początku zdania mogło sugerować, że z ust Kołuchowskiego padła prośba.

— Trzystu trzydziestu... — słabym, łamiącym się głosem zaczął Knap. — No, niech będzie trzystu dwudziestu ludzi... Tak może być?

— Absolutnie — odpowiedział poseł. — Przecież umówiliście się już na trzystu. Prawda? Ten temat jest zamknięty. O liczbie zwalnianych nie będziemy dyskutować.

— Oczywiście — wtrącił zadowolony przewodniczący związku zawodowego.

— No, trudno — westchnął prezes fabryki. — Niech będzie... Ciężko się z panem posłem negocjuje... Tylko trzystu ludzi i odprawy już w ciągu dziesięciu miesięcy. Będzie nam trudno. Ale skoro musimy, to na pewno wywiążemy się z umowy.

— No to sprawa załatwiona! — oznajmił podniesionym głosem parlamentarzysty. — Zawsze powtarzam kolegom w Sejmie: Kompromis i zgoda. To buduje. Tak trzeba rozwiązywać konflikty.

— Ma pan rację.

— Czy mógłbym teraz, skoro zakończyliśmy mediację, zamienić kilka słów z panami Laskowskimi? — zapytał Kołuchowski.

Knap i związkowiec potulnie opuścili salę konferencyjną.

— Ma pan tę listę do zwolnienia? — zapytał Knap, gdy rozsuwanymi drzwiami przeszli do jego gabinetu. Nie denerwował się już. Był bardzo spokojny. — Proszę przynieść. Od dzisiaj zacznę podpisywać wypowiedzenia.

— Dobrze, panie prezesie. — Uśmiech zniknął z twarzy przewodniczącego związku zawodowego.

Związkowiec zrozumiał chyba, że niewiele zyskał. Ustalanie, kto ma się znaleźć na liście zwalnianych, nie miało dla zakładu pracy żadnego znaczenia. Każda mała potrafi stać przy taśmie produkcyjnej, jak słusznie zauważył Duduś. To była tylko podpucha. Ważny był jedynie termin wypłaty odpraw. A te zostaną wypłacone w ciągu dziesięciu miesięcy, podczas gdy Knap z Dudusiem zakładali, że nie uda się wytargować terminu dłuższego niż sześć miesięcy. Zatem czysta oszczędność. Cztery miesiące darmowego kredytu.

Adam Knap usiadł za swoim biurkiem. Zaczął przeglądać gazety. Nie potrafił jednak skupić się na żadnym artykule.

Za oknem jakiś ochlapany wodą z kałuży człowiek złorzeczył kierowcy samochodu.

Nagrywanie Laskowskich to jedno — myślał Knap. — Ale z nagrywaniem parlamentarzysty to już trochę przesadzam.

Od momentu, gdy wstał, wiedział już, że się spóźni. Pogodzony z tą myślą Burski wypił dwa kubki przegotowanej wody o smaku żelaza. Zrobił sobie kawę. Siedział w kuchni. Palił drewnianego papierosa. Pił trociniastą kawę. Po raz kolejny sprawdzał, czy młody odpisał na wysłanego mu wieczorem esemesa. Nie odpisał.

Bez pośpiechu ubrał się i szedł do samochodu. Najpierw sklep, uznał. Jeżeli nie zrobię zakupów teraz, to wieczorem może mi coś znowu wypaść. Pojechał do supermarketu. Uzupełnił zapasy. Zatrzymał się przy bankomacie. Maszyna odmówiła wypłaty. Sprawdził zatem stan konta i przestał się irytować na maszynie.

Plan B. Program oszczędność, pomyślał. Reszta pieniędzy z tych, które Migacz wcisnął mi do kieszeni, na długo nie starczy.

Pod drzwiami jego pokoju młodszy aspirant Sołtysik nerwowo przestępował z nogi na nogę. Pod pachą trzymał naręcze akt.

— Wszystko ustaliłem, szefie — oznajmił.

— Wejdźmy i opowiadaj.

— Pan dzisiaj w kiepskim nastroju? — niepewnie zapytał aspirant.

— Nic ci do tego.

Burski opadł ciężko na krzesło. Nie było jeszcze jedenastej, a on już czuł się zmęczony kolejnym szarym, deszczowym dniem.

— Roman Klewik mieszka w rzeczywistości w Lublinie, na ulicy Sikorskiego. PESEL, jak pan komisarz słusznie zakładała, jest prawdziwy. Dostaliśmy już także kopie dokumentów z banków. To są banki internetowe. Aby założyć w nich konto osobiste, wystarczy wypełnić formularz online i wysłać do centrali banku kserokopię dowodu osobistego.

— Ale jaką umowę klient z bankiem podpisać musi, prawda?

— Umowę wysłała się pocztą. Wysłano ją na znany nam adres w Bielsku. Klient odesłał podpisaną umowę. Wezwałem wszystkich Zdrojewskich na złożenie odcisków palców. Dzisiaj, na czternastą. Myślę, że powinniśmy poprosić Łódź i Warszawę o zdjęcie odcisków z dokumentów, które zostały przesłane do central banków.

— Okay. Wyniki z laboratorium?

— Karma dla psów została zatruta roztworem trutki na szczury. Mocnym roztworem. Wprowadzono ją do puszki poprzez wstrzyknięcie. Potem gość zalutował otwórki, a na puszcze ponownie przykleił etykietkę. Brak jakichkolwiek odcisków palców i mikrośladów, poza

miniwłóknami z lnianej szmatki, którą wycierano puszki. I b świadczy o obrazie charakterologicznym sprawy. Jest pedantyczny.

— Świadczy — kiwnął głową Burski. Niezbyt energicznie. Ból głowy, przytłumiony wcześniej proszkiem, powracał.

— Poproś komendę w Lublinie o pomoc. Przekaj postanowienie o wszczęciu postępowania w sprawie i pytania, jakie mają zadać panu Romkowi.

— Już przygotowałem pytania. Sprawdziłem także, że Roman Klewik zgłosił zagubienie dowodu osobistego pół roku temu. Zapytamy, w jakich okolicznościach doszło do zagubienia.

— Zapytajmy. A przy okazji mógłbyś zrobić dobry uczynek?

— Tak, szefie.

— Kup mi w sklepie naprzeciwko karton soku pomidorowego.

— Można? — Przez uchylone drzwi zajrzała dyrektor finansowa.

Laskowscy i poseł Kołuchowski wyszli już dobre pół godziny wcześniej. Knap pakował właśnie teczkę, żeby wyrwać się z fabryki pod pretekstem obiadu.

— Co nowego? — zapytał.

— Weksle, o których mówił Duduś... Podobno jutro jedziesz do Łodzi?

— A mam inne wyjście?

— Chyba nie... Rano dam ci pieniądze.

— Powiedz mi, nigdy o to nie pytałem, skąd bierzesz środki na taki wykup weksli? — zapytał Knap, gdy uzmysłowił sobie, że to też zostanie nagrane. Dodał lekceważącym tonem: — Jak powstaje taka... czarna kasa?

— Są sposoby.

— Jakie?

— Nie chciałbyś wiedzieć.

— Może jednak?

— Przepraszam cię, ale zakończmy ten temat, dobrze?

— Dobrze — bez entuzjazmu zgodził się Knap.

Weksle „Welpolu” trafiały często do pewnego wiceprezesa dużej firmy włókienniczej z Łodzi. Prezes ten był gotów je odsprzedać wystawcy za jedyne sześćdziesiąt procent wartości. Jak trafiały do niego z innych firm oraz w jaki sposób udawało się uczestnikom tego wianuszka indosów, czyli przeniesienia praw do weksla, zachowywać pozory legalnego działania bez widocznej szkody dla finansów zarządzanych przez nich fabryk, to już pozostawało ich tajemnicą. Z Knapem wspomniany prezes umawiał się tylko na odbiór weksli. Oficjalnie za trzydzieści procent wartości płatne przelewem bankowym oraz kolejne trzydzieści procent przywożone w grubej kopercie i wręczone pospiesznie. Gdy milkła rozmowa. W zawsze nieco nerwowej atmosferze.

Był to jeden z tych cudownych interesów, na którym każdy z uczestniczących w operacji prezesów firm zyskiwał. I nikt nie tracił. Nie licząc jakichś tam fikcyjnych właścicieli w rodzaju NFI, Skarbu Państwa czy giełdowych udziałowców. Wszyscy prezesi firm byli zadowoleni.

Zamiast do restauracji na obiad, Knap pojechał najpierw na parking pod hipermarketem. Tam odsłuchiwał treść nagrania z sali konferencyjnej, gdy jego już przy rozmowie nie było.

— Co tam u was? — pytał poseł.

— Dziękujemy — odpowiedział głos seniora Laskowskiego. — Wszystko dobrze. Wszyscy zdrowi... Moja Kryśka też czuje się dobrze. W miarę dobrze, rzecz jasna.

— A pamiętasz, Andrzej, moją żonę?

— Marysię? Oczywiście. Przecież nieraz pracowała dla mnie jako tłumacz. Dlaczego pytasz?

— Jakaś kobieta, którą dwa lata temu wyłowiono z rzeki, przedwczoraj odzyskała pamięć i twierdzi, że jest Mary.

— Co ty mówisz?

— Byłem wczoraj w tym szpitalu dla czubków pod Szczyrkiem. To nie ona. To nie Mary, ale...

— Tak?

— Powinienem...

— Mów, co możemy dla ciebie zrobić. Zawsze możesz na mnie liczyć. Wiesz przecież.

— Wiem i doceniam. Zastanawiałem się... ale jeszcze sprawę przemyślę.

— Daj znać, jeżeli mógłbym ci jakoś pomóc. Wiesz co, Remek — senior Laskowski ściszył głos. Jakiś chrobot mógł oznaczać, że wstał z krzesła. — Tak przy okazji... Jest jedna ważna sprawa...

Odgłosy rozmowy przeszły w cichy szept. Knap nic już nie rozumiał. Deszcz jak na złość głośniejsze zadudnił o karoserię samochodu. Podkręcił potencjometr. Nadal nic poza szmerem. Pojedyncze słowa. I jeszcze to pukanie.

Ktoś pukał w szybę samochodu.

Jakaś kobieta. Adam Knap popatrzył na nią zirytowany. Dopiero po chwili jej twarz za mokrą od deszczu szybą wydała mu się znajoma.

Otworzył przyciskiem zamek centralny.

— Przepraszam — powiedział, uchylając drzwi dla pasażera. — Nie poznałem pani w tej... To nowy image?

— Taka praca.

Aleksandra Kosma wsiadła do passata, składając parosol. Poprawiła krótką spódniczkę. Na całkiem zgrabnych nogach w kozaczkach z obcasami połykiwały pończochy. Obcisła bluzka pod żakietem podkreślała niezły biust.

— Czasem muszę ubierać się jak małpa — dodała.

— To znaczy kiedy...? Teraz czy poprzednio?

— O! — powiedziała, jakby nagle zauważyła leżący na kolanach Knapa magnetofon. — Bawimy się w szpiega?

— Tylko sprawdzam.

— Mówiłam...

— Co pani mówiła?

Milczała chwilę, patrząc na Knapa oczami w kolorze akacjowego miodu.

— Mówiłem, że ci się spodoba — powiedziała cicho. — Ja wiem, co chłopaki lubią najbardziej.

— Nie było mnie przy tej rozmowie, a to poważna sprawa. Dzisiaj mieliśmy gościa. Parlamentarzystę.

— Wiem.

— Siedzicie mnie przez cały czas? Dlaczego?

— Dla bezpieczeństwa. Daj dysk, proszę. Mam mało czasu.

Oddał magnetofon. Kobieta wymieniła wkład i zwróciła urządzenie.

— Do zobaczenia.

Otwierała już drzwi, gdy Knap zapytał:

— Dla czyjego bezpieczeństwa? Mojego?

— Oczywiście.

Słyszałem już lepsze kłamstwa, pomyślał Adam Knap.

Sok pomidorowy to najlepszy pomysł, jaki mi dzisiaj przyszedł do głowy, uznał komisarz Burski, dolewając gęstego czerwonego płynu do kubka.

Przeglądała stare akta dotyczące zaginięcia Mary Hurtanyi-Kołuchowskiej, kiedy pojawił się Sołtyśnik.

— Policjanci z Lublina byli już u tego Klewika. Przesłuchali go. Ale nie zatrzymali.

— Zabrakło im miejsc w areszcie?

— To emerytowany policjant. Rok temu odszedł ze służby. Znają go. Od dwóch tygodni nie ruszał się zresztą z Lublina. Dwa razy dziennie chodzi do przychodni zdrowia na zabiegi. Mamy oczywiście próbki pisma, skieruje je do grafologów razem z umowami z banków.

Burski pokiwał głową.

— Dowód osobisty ten Klewik zgubił w niewyjaśnionych, jak twierdzi, okolicznościach. Gdy jutro dostaniemy wszystkie odciski palców, z umowy bankowej, od Zdrojewskich i Klewika, sprawa powinna się wyjaśnić.

— Dupa.

— Słucham, komisarzu?

— Oby tak było. Ale wątpię. Teraz wybac. Spieszę się. Do jutra.

Było już po południu. Deszcz paskudnie siępił za oknem.

Jeżeli nie wypiję piwa albo dwóch — pomyślał Burski — niczego mądrego w taki dzień nie wymyślę.

Komisarz Burski leżał w wannie i strzepywał popiół z papierosa prosto do wody. Czasem sięgał po butelkę, stojącą na podłodze z popękanej terakoty. Przed wejściem do wanny jeszcze raz uważnie przejrzał akta w sprawie zaginięcia Marii Kołuchowskiej.

Teraz palił papierosa, patrzył w sufit, na którym skraplała się para wodna, i zastanawiał się, jakie błędy popełnił wtedy, przy prowadzeniu dochodzenia. Bo że popełnił, to pewne. Inaczej wyjaśniłby sprawę. Ślady były. Zawsze są. Trzeba tylko je zauważyć.

Skraplająca się na suficie woda kapała do wanny. Przypominała mu, że raz przegapiona myśl czy skojarzenie może już nie wrócić.

Przed trzema laty czterdziestokilkuletnia Maria Hurtanyi, po mężu Kołuchowska, wyszła z mieszkania około dziewiątej rano. Sąsiedzi widzieli, jak wsiadła do samochodu. Czerwonego daewoo. Kołuchowski, jej mąż, był tego dnia na jakimś wiecu przedwyborczym. Nikt więcej nie widział już Marii od tamtego ranka. Samochód znaleziono następnego dnia na jednym z parkingów w centrum Bielska. Jakby właścicielka zaparkowała, żeby odwiedzić kilka sklepów. Burski i jego ludzie obeszlą je wszystkie. Nikt nie pamiętał, żeby widział Kołuchowską. Żadnych śladów. Po prostu rozpułyła się w powietrzu.

Burski dolał gorącej wody do wanny. Głośno zadudniły rury. Rzucił niedopałkiem do otwartej muszli sedesu. Trafił. Nie taki ramol jeszcze ze mnie, pomyślał. Sięgnął po butelkę.

Dwa dni po zaginięciu żony Kołuchowski przyznał, że dostawali listy z pogrozkami. Wręcz typowe. „Nie pchaj nosa. Zabierz łapy, bo je stracisz”. Nie przywiązując do nich wagi, wyrzucił anonimy. Brzydzą się anonimami, tłumaczył, nie pierwszy raz próbuje się mnie zastraszyć. Idealista, z przeszłością w walce z komunizmem. Można takiego zrozumieć. Można, chociaż trudno.

Burski pytał, szperał, poganiał swoich informatorów, aż tu trzy tygodnie później w ogólnopolskiej gazecie dziennikarz śledczy pisze, że to była zemsta komunistycznej SB z za grobu. Rozmawiał z jakimś byłym esbekiem, który słyszał, że Madziarka karmi rybki w jednym z beskidzkich jezior. Wybuchła afera na cały kraj. Burski zbiera po głowie, że gazety wiedzą więcej od niego. We wspomnianym jeziorze całymi tygodniami szukano zwłok. Bez skutku. Ale podobno jest tam podwójne dno.

Podwójne dno, cholera.

Od esbeka nie można było dowiedzieć się niczego więcej. Słyszał, biedak, nie wiadomo od kogo. Na imprezie. Takim zjeździe kombatanatów, na koszt pewnej bankowej fundacji, gdzie byli sami swoi i wszyscy mieli już w czubie.

Wkrótce Kołuchowski, zostaje posłem, a jego pozycja w klubie parlamentarnym staje się coraz bardziej eksponowana. Burski, po umorzeniu sprawy, przez następny rok nie dostaje premii.

Kiedy kilka miesięcy później z rzeki płynącej przez Bielsko zostaje wyłowiona Panna Nieznajoma, nikt nie zwraca uwagi na ten fakt. Akurat w tym czasie jedna z ulic w mieście zmienia nazwę z Ludwika Waryńskiego na ulicę Marii Hurtanyi-Kołuchowskiej. Samorządowcom zależy przecież na dobrym kontakcie z ich posłem w parlamencie.

Burski leżał wtedy w szpitalu. Po tej przykrej historii z żoną i po pierwszym zawale. Tam podjął męskie postanowienie, że przestanie pić.

Nie tknie już kolorowej. Tylko czystą.

Zadzwoiła komórka. Policjant wyszedł goły z wanny, zarzucając na ramię ręcznik.

— Bury? — Usłyszał głos komendanta w słuchawce.

— No.

— Telefonował pan poseł. Nie rozpoznał tej kobiety.

— No...

— Powiedział jednak, że zależy mu, żeby została otoczona opieką. Ma ku temu pewne możliwości i zadba o to.

— No...?

— Nie wkurwiał mnie.

— Przepraszam, szefie.

– Jedź do tego... ośrodka. Dowiesz się wszystkiego na miejscu.

Komisarz zamówił taksówkę i wypił dwa głębsze łyki z butelki w trakcie ubierania się.

Jadąc taksówką, znowu powrócił w myślach do sprawy Kołuchowskiej: Przyjmijmy, że Panna Nieznajoma to jednak jest Mary Kołuchowska. Dlaczego mąż nie chce jej rozpoznać? Ułożył sobie nowe życie. To jasne. Ale to słaby powód. Czy może istnieć inny? Różni ludzie mają różne hierarchie wartości. To, co dla jednego jest śmiertelnie ważne, dla innego będzie fraszką. On jest politykiem. Co jest dla niego najważniejsze...? Dobro społeczeństwa, interes kraju, zadowolenie ogółu, czyli przekładając na język polski: jego własna kariera. Przede wszystkim kariera. Nie pieniądze, nie związek z inną kobietą, nie jakieś zadawnione sprawy. Tylko kariera i władza. Władza jest wszakże największym z narkotyków. Jaki zły wpływ na jego karierę może wyrzucić odnalezienie żony? No, jaki...? Ślepy tor. Próbuj inaczej.

A jeżeli on pomógł żonie rozstać się z życiem...?

Wtedy może rozpoznały Pannę Nieznajomą? To logiczna reakcja obronna. Też źle. Motywy?!

Jeżeli nawet to nie jest Kołuchowska, coś mi tu nie gra. Coś zgrzyta, jak piasek w trybach. I to coś ma związek z Mary Kołuchowską. Muszę znowu wrócić do jej zaginięcia. Muszę sięgnąć jeszcze głębiej.

– Jesteśmy – oznajmił taksówkarz, zatrzymując samochód przed otoczonym wysokim ogrodzeniem budynkiem szpitala.

Mimo późnej wieczornej pory policjant zastał jeszcze w szpitalu ordynatora.

– Tak – potwierdził lekarz. Zamiast jednak zaproponować policjantowi, aby usiadł, sam wstał zza biurka i rozpoczął pakowanie swoich szpargałów do teczki. – Pan Kołuchowski i pan Laskowski to ludzie wielkiego serca. Zaoferowali stworzenie fundacji, która ma pomagać ludziom enen. NN, czyli nieokreślona tożsamość. Nasza Panna Nieznajoma będzie pierwszą pensjonariuszką fundacji. Fundacji imienia Mary Hurtanyi-Kołuchowskiej. – Psychiatra głośno zatrzasnęła teczkę i postawił ją na blacie biurka w pozycji oczekującej.

– Andrzej Laskowski...? Taki siwy starszy pan o miłym uśmiechu?

– Ten sam. Już wkrótce ma zostać uruchomiony pierwszy dom fundacji. Wtedy Panna Nieznajoma może tam trafić. Czy to wszystko?

– Chciałbym jeszcze zapytać, czy nie wie pan przypadkiem, dlaczego pani, o której rozmawiamy, nie ma małego palca u lewej ręki?

– Niestety, nie wiem.

– W taki stanie trafiła do pana szpitala?

– Nie wiem. Nie pamiętam. To było przed kilku laty. Już?

– Proszę mnie poinformować, gdy pani Koł... to znaczy Pani Nieznajoma zostanie zabrana do tego domu fundacji, dobrze?

– Oczywiście. Na mnie już czas. Chciałbym dzisiaj wrócić wcześniej do domu.

– Mieszka pan w Bielsku?

– Aha.

– Wraca pan samochodem?

– Owszem.

– Mógłby pan mnie podrzucić?

– Czy to konieczne, panie komisarzu? Mam wrażenie, że żaden z nas nie przepada za drugim.

– Zrobiłby pan dobry uczynek.

– Z dobrych uczynków składa się całe moje życie. To działalność wysoce nieopłacalna. Ale zgoda. Zabiorę pana.

– Dzięki... Zawsze wraca pan tak późno do domu? – Burski pierwszy wyszedł z gabinetu.

– Nie. Dzisiaj zostałem dłużej z powodu wypadku. – Lekarz zamknął drzwi i poprowadził policjanta do wyjścia z oddziału.

– Tak? Jakiego? – zapytał komisarz bezmyślnie. Aby tylko podtrzymać drętą rozmowę.

– Pacjent odgryzł sobie palec.

– Palec...? Sam sobie odgryzł?

– Powiedziałem.

– Który palec?

— Ten mały u lewej ręki.
— Który pacjent? Mógłbym go zobaczyć? — Burski zatrzymał się na schodach, zmuszając lekarza, żeby także po kilku krokach przystanął.

— Po co to panu?

— Panna Nieznajoma, jak ją nazywacie, też nie ma małego palca u lewej ręki, prawda?

— Nie ma, ale kojarzenie tych dwóch rzeczy jest pozbawione sensu. Proszę nie doszukiwać się jakiegos racjonalizmu w postępowaniu moich pacjentów. To próżny trud... Jeżeli pan chce, proszę wrócić na oddział. Pielęgniarsze pana wpuszczą. Ma pan przecież swoją odznakę, co otwiera wszystkie drzwi. Ja jednak nie będę już dłużej czekał. Wracam do domu.

— W porządku. Dziękuję za chęci.

— Nie ma za co. Wcale nie chciałem pana podwozić.

— No to dziękuję za szczerość.

— Przecież jestem lekarzem. Dobranoc.

Policjant wrócił po schodach i znowu zadzwonił do drzwi oddziału dla przewlekle chorych. Kratę otworzył pielęgniarz z blizną na policzku.

— Palca sobie, kurwa, odgryzł — mówił, prowadząc policjanta do sali. — Taki twardziel. I główkował, kurwa, do tego. Najpierw sobie obwiązał, jebany, drutem palucha, żeby krwi za dużo nie stracił. Potem, skurwiel, naćpał się uspokajających prochów, co je musiał od dłuższego czasu kiścić w jakimś schowku, i dopiero wtedy odgryzł sobie, pojebany czubek, palucha... Oto i on. — Pielęgniarski zatrzymał się przed łóżkiem, gdzie leżał błądy mężczyzna w zielonym szlafroku. — Nasz Jastrząb pierdolony.

— Cześć — odezwał się Burski. — Poznajesz mnie?

Widział już tego człowieka przyczajonego za palmą, na szpitalnym holu.

— Mhm — mruknął Jastrząb. — Policja.

— Dziękuję — zwrócił się komisarz do pielęgniarza. — Sam z nim porozmawiam, dobrze?

Twarz z blizną okazała doskonałą obojętność i pielęgniarz odszedł.

— Dlaczego to zrobiłeś? — Policjant usiadł na brzegu łóżka.

— Musiałem.

— Co jest, kurwa! — dobiegł z korytarza podniesiony głos pielęgniarza. Nie było w nim jednak złości, tylko swoboda i pewność, które dają poczucie władzy. — Spać, pierdalone kadłubki!

— Dlaczego musiałeś? — zapytał niezbyt głośno Burski.

— Bo oni już tu są. — Usłyszał jeszcze cichszą odpowiedź.

— Tak? Są już? Widziałeś ich?

— Są, są. Wiem, że są. To znaczy w szpitalu jeszcze nie... Na zewnątrz są. Przebierają się. Najczęściej wyglądają jak robotnicy drogowi. Że niby drogi budują. A naprawdę... to wie pan, kapitanie...

— Co mam wiedzieć?

— Policja... — zachnął się Jastrząb. — Ib ma być policja... A naprawę to kopią w ziemi. Tunele drążą. Wiesz, po co...

— A, ci... No jasne, że coś tam słyszałem. Chciałem tylko upewnić się, kogo masz na myśli.

— Uff... tyle dobrego.

— A palec?.. Dlaczego odgryzłeś sobie palec?

Jastrząb uniósł się ma łóżku, dając znać, że powie, ale na ucho. Burski niezbyt chętnie się nachylił.

— Wszczepili mi czipa — wyszeptał chory. — W tym palcu był czip. Wszczepiają je zawsze w mały palec. Ciekawe, dlaczego, prawda? Akurat w malucha, a nie w fadera albo we wskazujące czy w kciuka? Może czipy są nieodporne na kwasy z kobiecej pochwy, co? Jak myślisz...? Psują się od tego i dlatego nie wszczepiają ich w kciuka, bo bywa przydatny w łóżku, albo fadera i wskazującego, co użyte razem doprowadzają laski do obłędu? — Jastrząb mlasnął. Po brodzie pociekła mu ślina. — Odgryzłem go i wyrzuciłem do kibla. Razem z czipem.

— Teraz już rozumiem.

— Nie dopadną mnie. Mam ważne zadanie.

— Aha.

— Nic więcej nie mogę powiedzieć. Nie pytaj. Jako policjant powinieneś rozumieć, co to znaczy tajemnica służbowa.

— Rozumiem jak mało kto. Trzymaj się. Cześć.

— Cześć... Uważaj na siebie!

On wcale nie ma rozbieganych oczu, w których szaleje obłąd, uzmysłowił sobie Burski. Wygląda zupełnie normalnie. Stąd ten mój niepokój.

Zaschło mu w gardle. Alkohol powoli przestawał działać. Skręcił do drzwi toalety. Przepłukał usta wodą z kranu.

Obok sedesu, na półce wnęki w ścianie leżało coś, co wyglądało jak mały kawałek leszczynowego kijka po zdjęciu wierzchniej warstwy. Ale to nie był mały patyk. Na półce leżał odgryziony palec. Miał nie więcej jak trzy centymetry długości. Był siny.

Burskiego zemdliło. Przemógł się nie bez trudu. Przełknął kilka razy ślinę. Splunął do umywalki.

Bardzo szybko wyszedł z oddziału. Zatrzymał się dopiero za drzwiami wyjściowymi z budynku.

Znowu padało mocniej. Czekając na taksówkę, stał i wystawiał głowę pod deszcz. Pozwalał, żeby woda obmywała mu twarz.

Facet odgryzł sobie palec. Burski wzdygał się na samą myśl, że mógł to zrobić własnymi zębami. Włożył palec do ust i nie bacząc na ból, przegryzł skórę, mięso i ścięgna. Chrupnęła torebka stawowa. Dreszcze przeszły Burskiemu po karku.

Panna Nieznajoma także nie ma palca. Tego samego. Dlaczego? Przypadek, jak twierdzi doktor?

W kieszeni kurtki zapipczął telefon. Esemes od młodego. Burski uśmiechnął się, odganiając chore myśli o obciętych palcach.

Wszystko w porzo. Zaręczyłem się. Pozdrawiam — przeczytał esemesa.

4.

Sołtysik szukał odpowiedzi w przekrwionych oczach Burskiego. Na próżno.

Tego dnia komisarz Burski zjawił się w pracy jeszcze bardziej zmęczony życiem niż zazwyczaj. Poprzedniego wieczoru dokończył napoczętą śliwowicę w intencji udanych zaręczyn syna. Potem zaczął układać plan wyjazdu na ślub. Przecież na ślub Młody go zaprosi, był tego pewien. Zanim podjął decyzję co do prezentu ślubnego, wyszła następna flaszka. Zasnął na stole.

Burski zamrugał ciężkimi powiekami. Wlał do kubka resztkę wczorajszego soku pomidorowego. Wypił.

— No i co? — zapytał w taki sposób, jakby mówienie sprawiało mu piekielną mękę.

— No właśnie — odpowiedział Sołtysik. — Jesteśmy w punkcie wyjścia. Na dokumentach bankowych nie ma odcisków palców nikogo. Ani Zdrojewskich, ani Klewika.

— No i czym się martwisz? Schowaj akta do szuflady i czekaj, co się będzie działo dalej. Jak gość przestanie domagać się okupu, umorzmy postępowanie.

— Przyjemniej byłoby wykryć sprawcę. Żeby w przyszłości już nie próbował.

— Przyjemnie to by było, kolego, położyć się pod kocem i poleżeć. Będziesz miał takich spraw jeszcze setki, zanim przejdziesz na zasłużoną emeryturę. Nie martw się. Nic się nie stało. To dobrze. Może ktoś zamierzał zostać przestępcą, ale na szczęście zabrakło mu determinacji? Miejmy nadzieję, że nie skrzywdzi żadnego pieska.

Po wyjściu Sołtysika znowu rozłożył akta zaginięcia Mary Kołuchowskiej. Który to już raz?

Tak jak się umawialiśmy, nic o polityce...^{1?} Ostatni raz widziałem Mary na miesiąc przed zaginięciem. Na urodzinach Remka. Byłem u nich, w Bielsku. Po skończeniu studiów nasze kontakty były coraz rzadsze. Incydentalne... A poznałem Mary chyba w tym samym czasie co Remek. Strasznie egzaltowana była. Przyjechała do Krakowa studiować slawistykę. A my, wie pan... opozycjoniści. Długie włosy, rzadkie brody, kurtki sztorfmówki zakładane przez głowę i obowiązkowo płócienne zielone plecaki. Z tymi plecakami chodziło się na zajęcia i biegało po piwo. Jeździliśmy z Remkiem do Warszawy po bibułę. Woziliśmy to w tych plecakach. Sprzedawaliśmy potem w Krakowie... Był dreszczyk emocji. Była adrenalina. Była i kasa... Skąd?

Niech pan nie będzie dzieckiem, komisarzu. Czy ktoś sprawdzał, po ile sprzedaje się książki w drugim obiegu? Kto miał możliwość i chciał kupić, płacił tyle, ile mu się powiedziało. Bez przesady oczywiście. Ale student zawsze potrzebuje pieniędzy, nie? Byliśmy studentami. Była to też swoista rekompensata za ryzyko. Bo przecież było ryzyko. Raz mnie zamknęli. W areście pierwszy raz w życiu jadłem salceson. Bo ja byłem z porządnej rodziny. Ojciec dyrektor techniczny, mama urzędnik, a syn czarny baran się trafił. Mieli przeze mnie trochę kłopotów, no, ale nie o tym... Wie pan, była kasa, więc była także zabawa. Laski Ignęły do nas. Wtedy trzeba było coś sobą reprezentować. My naprawdę poważnie traktowaliśmy pytanie: „Mieć czy być?”. Dzisiaj nikt już o to nie pyta. Raczej: „Ile mieć, aby być?”. Jeżeli już w ogóle... Cholera. Rzeczywiście starzeję się, prawda? Zaczynam głądzić... Remek od razu wpadł Mary w oko. A jak dziewczyna weźmie faceta na cel, to koniec. Kaplica. No i skończyło się w kaplicy ślubów... Bardzo ją kręciła opozycyjność. Zaczęła jeździć z nami po bibułę. Przemiała dziewczyna. Lubiłem ją. Bardzo ją lubiłem. Zdolna była. Wtedy już znała ze cztery języki. Uczyla się ich z dziecinną łatwością. Od niechcenia. Co...? Chyba pan żartuje... Po co takie pytanie? Po tylu latach wszystko odbiera się inaczej. Uczucia też. To, co kiedyś wydawało się uczuciem na zabój, po latach jest już tylko nic nieznaczącym obłokiem mgły we wspomnieniach... Może i podkochiwałem się w niej... Nie ja jeden. Naprawdę Mary była fajną dziewczyną.

Nic nowego, pomyślał Burski. Nic. Następne zeznanie:

No więc nazywam się Joanna Fajkowska, mieszkam w Krakowie... to się już nagrywa? Przepraszam... Mary... ach, Mary. Ach... Wszyscy faceci na nią lecieli, wie pan, komisarzu? Nie

wiem, dlaczego. Nie była nawet specjalnie piękna... Trudno dojść za facetami. Miała jakiś taki sposób bycia... Było w niej coś, co bierze facetów. Taki power of woman. Mogłabym pojechać zobaczyć, czy to ona. Kobieta zawsze patrzy inaczej niż mężczyzna. Nawet mąż... A może zwłaszcza mąż... Tak. Jestem po rozwodzie. No i co z tego? Trafiłam na skurwysyna. Zmarnował mi najlepsze lata życia... Nie każdy facet nosi na czole tabliczkę: „Jestem skurwysynem”. Najczęściej kobieta dowiaduje się po fakcie, że źle wybrała. Ale wtedy jest już za późno... Mary była spod szczęśliwej gwiazdy. Wszystko jej wychodziło. Każdy facet, na którego skinęła tylko palcem... Do czasu... Bardzo jej współczuję, że nie może mieć dzieci. To nie jest dla kobiety sytuacja normalna... Kiedy ją ostatni raz widziałam? Ze trzy miesiące przed zaginięciem. Ale często telefonowałyśmy do siebie... Ostatni raz chyba ze trzy dni przed... Na pewno trzy dni przed. Była podenerwowana. Na pewno. Pamiętam... Podobno grożono im. Nic dziwnego, że była zdenerwowana... Nie, nie mówiła mi o tym, o ile pamiętam. Było w gazetach... Może i później, po jej zaginięciu. Nie pamiętam dokładnie. Kolejne zeznanie:

Dwa razy w roku przyjeżdżały. Obie. Matka i córka. Aha, no tak. Teresa Strącek, z Zakopanego, ja jestem. Dzień dobry... Nie, to nie... Kilka razy to był nawet z nimi ten jej mąż. Poseł teraz czy co? Poseł, tak. Ważny. Węgrzy zawsze lubili polskie góry. Za komuny też przyjeżdżali. Teraz to już mogę powiedzieć. W pięćdziesiątym szóstym, po tym, jak im ruskie czołgi ucieknęły, tfu, znowu przywozły, to ich tu sporo było. Madziarzy mieli przez Zakopane szlak ucieczki do Szwecji i dalej na zachód. Dwóch takich młodych u nas wtedy mieszkało. W innych domach też było sporo. Teraz już mało kto o tym wie, że Madziarzy tędy uciekali. Ci dwaj czekali, wyobraź sobie pan, panie policjancie, pół roku na przerzut do Szwecji. U nas mieszkali, na poddaszu mieli pokoik. A gdy przyszło co do czego, to ten młodszy nie mógł znaleźć paszportu. Zgubił mu się jakoś. Wyjechał tylko ten starszy. Wtedy okazało się, że Brońcia, dziewczyna z sąsiedztwa, zakochała się w tym młodszym. Ona mu paszport schowała. Żeby nie wyjeżdżał. Został prawie rok, Istvan mu było, ale jakoś im się z Brońcią nie ułożyło. Wyjechał do Szwecji... Eee? No dobrze, będzie na tamten temat. One obie to u nas zawsze mieszkały. Zawsze jak przyjeżdżały w góry. Bardzo miłe panie. Kulturalne. Kartki na święta sobie wysyłałyśmy. Chodziły po górach, po lasach. Prawdziwe turystki. Nie takie jak większość teraz, co to dla nich łązienka w pokoju ważniejsza od gór. Na ostatnie święta wysłałam starszej pani pocztówkę z Morskim Okiem zimą i spadającą gwiazdą, betlejemską. No... Gdzieś mam ten adres. Na jakiejś kartce. Z Afryki bodajże. Pisała, że tam, pod Kilimandżaro, też są bardzo mili górale. Ale czy w Afryce to mogą być górale? Czarne górale? No powiedz pan sam, panie policjancie. Czarne górale...? Już szukam... No, nie ma... Kędyś musi być...

— Dzień dobry. — Burski usłyszał w słuchawce odległy głos. Niemal chłopięcy. Natychmiast poderwał się z łóżka.

— Tak?

— Sołtysik z tej strony, nie przeszkadzam?

— Nie. Nie przeszkadzasz — wychrypiął komisarz. Nadzieja uleciała z pierwszymi błyskami świadomości.

— Żona detektywa Zibika była rano na komendzie. Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć.

— Dlaczego? — Burski próbował przełknąć ślinę. Bez powodzenia. Kalahari. Brak śliny w gardle. Tylko Kalahari.

— Niepokoi się o męża. Od kilku dni nie wrócił do domu.

— Doprawdy? — zaskrzeczał komisarz do telefonu. — Powinna się cieszyć.

— Nie rozumiem...

— Nieważne. — Drewniane gardło policjanta nadal jednak jakoś pracowało. Chociaż wydawało z siebie odgłosy jak silnik tuż przed zatarciem.

— Będę za pół godziny. Pogadamy. Cześć.

Pić. Wody. Pić. Wody albo trucizny. Mimo zawrotów głowy wstał i ostrożnie podszedł do zlewozmywaka. Wsadził w usta koniec wylewki kranu.

Pił łapczywie. Woda miała wstrętny smak, jakby czerpano ją z przydrożnego rowu. Najpierw beknął, a potem wyrzygał do zlewu większość tego, co wypił, z dodatkiem czegoś gęstego i żółtego. Usiadł na kuchennym taborecie.

Przez czas, jaki potrzebował na wypalenie pierwszego, pozbawionego smaku papierosa, ludzi się, że za chwilę dojdzie do siebie.

Dziewiąta, cholera, już dziewiąta — pomyślał. — No to spieszyć się nie muszę. Nigdzie już nie zdążę... Piwa! Nie... Mam obowiązki. Jeszcze tylko ta jedna sprawa... Alka Seltzer, fuj... Ale ja się poświęcam... Czy ktoś to kiedyś doceni? Nie.

Nie. Coś normalnego... Stary dobry, ukraiński sposób na kaca. Aspiryna rozpuszczona w szampanie. W smaku wstrętne, ale w działaniu jak balsam na zszargane ciało. Tak. Przecież zasłużyłem.

Pomogło.

Pół godziny później komisarz Burski był już innym człowiekiem. Zbiegł ze schodów pogwizdując. Nawet pozdrowił mijaną sąsiadkę. Wyjął listy ze skrzynki pocztowej. Przejrzał je. Rachunki. Tylko rachunki.

Sorry, choćbym chciał, to nie dam rady wszystkiego zapłacić.

Jego astra stała nie dalej jak sto metrów od drzwi klatki schodowej. Przy linii końcowej boiska przerobionego na parking. Mniej więcej w tym miejscu, z którego Frank Lampard strzelił swojego słynnego gola Barcelonie. Otworzył pilotem drzwi i zanim wsiadł, zauważył leżącą na fotelu kierowcy białą kopertę formatu A-4.

Kolejny rachunek? Nie, to niedorzeczne.

Spojrzał na drzwi samochodu. Szyba od strony kierowcy była minimalnie uchylona. Musiałem nie domknąć jej wieczorem, uznał, rozglądając się dyskretnie. Syrenę alarmu Burski wyłączył już dawno temu, po kolejnym nocnym spacerze w samej piźniamie z trzeciego piętra na parking.

Rozchylił kopertę. W środku była złota obrączka, krótki list: „Nie potrzebowałem. Zwracam” i kilka odręcznie zapisanych kartek. Policjant obrócił w palcach obrączkę. Ozdobnymi literami wygrawerowano na niej datę.

Schował obrączkę i papiery z powrotem do koperty. Rzucił ją na fotel obok kierowcy. Wsiadł do samochodu i ruszając z miejsca, jeszcze raz się rozejrzał.

Mężczyzna, który na ławce nieopodal czytał gazetę, wstał i oddalał się powoli. Powoli, ponieważ utykał.

Dopiero po kilku sekundach, wyjeżdżając już z parkingu, policjant zareagował. Zatrzymał się i wyskoczył z samochodu. Popatrzył tam, gdzie przed chwilą widział utykającego mężczyznę.

Tylko dwóch chłopców szło chodnikiem z tornistrami na plecach. Kręcili młynki workami z obuwiami. Tamtego już nie widział.

Cholera — pomyślał Burski. — A jeszcze pięć minut temu miałem taki dobry nastrój. Znowu coś ważnego przeszło mi koło nosa. Ten list... Czyżby to jednak był rachunek?

— Sołtysik! — Burski stał przed drzwiami swojego pokoju i krzyczał w głąb korytarza. — Aspirant Sołtysik!

Okrążyła głowa aspiranta wychynęła zza rogu. Zobaczyła Burskiego i zabrawszy resztę ciała Sołtysika, podbiegła do niego.

— Zadanie — oznajmił Burski. — Na tej obrączce jest data. Zapewne data ślubu. Nie wiemy, czyjego. Wiesz, jak dowiedzieć się, kto brał ślub w tej dacie?

— Wiem, ale...

— W pierwszym rządzie Mary Hurtanyi i Remigiusz Kołuchowski. Sprawdź, czy to nie jest data związana z ich małżeństwem.

— A dlaczego miałyby być? Skąd pan to ma...?

— Ty sprawdzaj, Sołtysik. Ty pracuj. Ty nie pytaj. To policja, a nie klub dyskusyjny.

— Tak jest. Normalnie papę z dachu zrywa.

— Słucham?

— Tekst. Dobry — wydukał niepewnie aspirant.

Burski roześmiał się. Głośno i szczerze. Aspirant zmierzył go wzrokiem. Dawno nie widział komisarza w tak dobrym nastroju.

Kiedy Sołtysik wyszedł, Burski wyjął na biurko odręczne notatki, które podrzucono mu do samochodu. Zabrał się za czytanie.

Brudnopisy notatek służbowych dotyczyły wypadku samochodowego sprzed czterech lat. Same znajome nazwiska przewijały się w tekście. Kołuchowski, Laskowscy, prokurator Iwański. To ostatnie nazwisko było jak wisienka na torcie.

— Znalazłeś te akta?

Archiwista pokręcił głową.

— A szukałeś w ogóle?

— Jasne, że szukałem. Tak jak prosiłeś z rana. Tyle że niezbyt długo.

— Dlaczego? — zapytał komisarz Burski.

— Bo wiem, że zaginęły.

— Wiesz... Sam je zaginałeś?

— Nie sam. Ale wiem. Mało to akt ginie...? Nie one pierwsze i nie ostatnie.

— Chcesz mi coś powiedzieć?

Archiwista, który z racji zbliżającego się wieku emerytalnego niejedno już w archiwum akt nowych widział, zachnął się i rozejrzał po piwnicy.

— Długo tu już pracuję.

— No właśnie — podchwycił Burski.

— I do emerytury będę pracował.

— No to chcesz mi coś powiedzieć?

— Nie strasz. Nie tacy próbowali.

— Nie straszę, Tomasz, pytam tylko.

— Na próżno. Akt nie ma. Zaginęły.

— Może pamiętasz, w jakich okolicznościach?

— W takich, jakie zwykle towarzyszą zaginięciom. Nieznanych.

— Popatrz na to. — Burski wyjął z kieszeni kilka złożonych kartek, lych, które podrzuciono mu do samochodu nocą. Pisane były na papierze w linię, wyrwanym z bloku o formacie A-4. Pożółkłe już. Położył je na blacie oddzielającym go od stanowiska archiwisty. Rozłożył jedną obok drugiej. Tamten przeczytał pobieżnie i spojrzął na komisarza oczami bez żadnego specjalnego wyrazu.

— Jesteś inteligentnym człowiekiem, więc zwróciłeś na pewno uwagę, że nie pytałem cię, czy wiesz, co było w tamtych aktach, prawda?

— Nie pytałeś — mruknął archiwista.

— Czy to są notatki z tamtych akt? Mają numer funkcjonariusza, sygnaturkę itede.

— Nie. Tb nie są notatki z tamtych akt.

— Na pewno?

— Na pewno. Tamte akta zaginęły.

Burski głośno wypuścił ustami powietrze. Opanował się jednak. Zebrał kartki, złożył je i schował do kieszeni.

— To są kopie notatek służbowych z tamtych akt — powiedział cicho archiwista.

— Kopie?

— Raczej brudnopisy, mówiąc ściśle. Jesteś inteligentnym człowiekiem, więc na pewno zwróciłeś uwagę na skreślenia — odpowiedział z lekkim sarkazmem rozmówca Burskiego. — Potem przepisał je na czysto i oddał do akt.

— Kto?

— Marnujesz mój cenny czas, kolego.

Komisarz wstał.

— Nie wiesz może, co się z nim dzieje? To będzie już ze cztery lata, jak twój syn odszedł z firmy?

— Nie utrzymujemy kontaktów.

— Od dawna?

— Tak. Ostatni raz widziałem go, jak wrócił z Austrii po tym wypadku na budowie. Gdy poszedłem następnym razem do szpitala, już go tam nie było.

— Chciałbym się z nim zobaczyć.

— Od czasu, gdy zmarła jego matka, widziałem go tylko raz. Wtedy, w szpitalu. Myślałem tak: Rób sobie, gówniarzu, co chcesz. Trzydzieści lat cię utrzymywałem, chuchałem na ciebie,

dbałem, a ty do mnie teraz z pretensjami. Że źle postępuję. Że tak się nie godzi. Zamiast wdzięczności pretensje. Jak to z dzieckiem... A po tych kilku latach pewny jestem tylko jednego: Też chciałbym się z nim spotkać.

— Jak można się skontaktować z Arkiem?

— Nie wiem.

— On utyka po tym wypadku na budowie?

Archiwista rozłożył ręce. Uniąknął wzroku Burskiego. Uciekał z oczami. Opuścił głowę.

— Mam zamiar to wyjaśnić — dodał komisarz.

Odpowiedziała mu uniesiona dłoń.

Wtedy, gdy prowadziłem dochodzenie w sprawie zaginięcia Mary Kołuchowskiej, nie natrafiłem na ślad wypadku samochodowego. Dlaczego? — Burski wracał do swojego pokoju i myślał.

Arek Łyska, który prawdopodobnie podrzucił mi ten list, już wtedy nie pracował. Ówczesny komendant urzęduje teraz w Warszawie. Wydaje patrolom pilne rozkazy, żeby o dziesiątej dwadzieścia dwa czekały na trzecim peronie, tor piąty, Dworca Centralnego z wieśniakiem i napojem dla pani wiceminister. Awansował. Zanim zaginęła Kołuchowska, awansował.

Tylko prokurator Iwański wtedy był.

Iwański zawsze był, jest i zawsze będzie. Niezależnie od tego, jakie aktualnie nosi nazwisko.

On, oczywiście, nie mógł mi wspomnieć, że taką sprawę rok wcześniej umorzył.

Po co podrzucono mi te dokumenty i obrączkę?

Dlaczego właśnie teraz? Jaki związek ma zatuszowanie sprawy wypadku samochodowego z zaginięciem Mary Kołuchowskiej?

Złożył gazetę w rulon. Miał dosyć kampanii wyborczej i zakłamanych polityków, szczerzących zęby na zdjęciach. Rozgniół nią jeszcze komara szamoczącego się na oknie. Wysiadł z samochodu. Rzucił gazetę do kosza.

Człowiek, na którego czekał, siedł drugą stroną ulicy. Niósł w obu rękach pękate siatki z hipermarketu. Policjant przeszedł na tamtą stronę i zaczął na starszego pana.

— Policja. — Zastąpił mu drogę. — Komisarz Burski. Chciałbym z panem porozmawiać. Pan Szulc, prawda?

Zgarbiony mężczyzna z sześćdziesiątką na karku zmierzył go wzrokiem.

— To w tym kraju jeszcze jest policja? Naprawdę jeszcze istnieje jakaś władza pilnująca porządku?

— Może pomóc? Wezmę od pana siatki.

— Sam sobie dam radę. Starzy ludzie muszą sobie zawsze radzić sami. Chodź pan.

Skinął głową na Burskiego, każąc mu dreptać za sobą do mieszkania na drugim piętrze w pobliskim bloku.

Wewnątrz przywitał ich mały czarny kundelek. Łasił się do nóg Szulca i równocześnie warczał na policjanta.

— Pan się nie boi. Nie ugryzie. To szczeniaczek — powiedział gospodarz. Położył siatki z zakupami na blacie meblościanki w ciasnej kuchni bez okien. — Może herbaty zrobić?

— Poproszę.

Burski pomyślał, że nie będzie to krótka wizyta. Dziadek potrzebuje sobie z kimś pogadać.

— Jak się wabi pana piesek?

— Ipeenek.

— Aha.

— Masz, Ipeenek, mięsko. — Gospodarz rzucił psu kawałek pasztetowej. Pies wyfrunął w powietrze i złapał ją w locie. — Głupie bydlę. Uwierzyło, że to mięso. Czego ode mnie chcecie? — zapytał.

— Był pan świadkiem wypadku samochodowego. To było ponad cztery lata temu. Pamięta pan może?

— Pamięć to ja zawsze miałem doskonałą, młody człowieku. I nadal mam. Herbatka. Słodzi pan czy raczej nie?

— Nie. Nie słodzę. Dziękuję.

— To o tamten wypadek chodzi?

— Pamięta go pan?

— Mówiłem. — Starszy mężczyzna usiadł naprzeciwko policjanta, przy małym kuchennym stoliku. Ślady na pokaleczonym blacie świadczyły, że od wielu lat krojono na nim chleb. — Chodzi o tego wartburga?

— Właśnie.

Szczeniaczek zaczął szarpać go za nogawkę. Burski niezbyt energicznie próbował pozbyć się natręta.

— Ipeenek, spokój. — Starszy pan cmoknął na pieska. — Chodź do pana. Nie zjadaj gościa. Słodzi pan herbatkę czy nie?

— Nie dziękuję. Nie słodzę — powtórzył cierpliwie komisarz. Ostrożnie uniósł do ust szklankę z herbatą. Chybotąła się w zbyt dużym plastikowym uchwycie z rączką.

— Takie teraz szklanki robią — pokręcił głową starszy mężczyzna. — Za małe. Niczego już dobrze nie potrafią w tym kraju zrobić. A może to chińskie szklanki, co?

Policjant zrobił minę mającą mówić: Wszystko jest możliwe. Niezbyt ekspresyjnie, wszak walczył ze szklanką niebezpiecznie ulegającą zakusom grawitacji. Udało mu się. Wypił łyk.

— Dawniej to były porządne szklanki.

— Ano były — z żalem w głosie potwierdził policjant.

— I dopiero po czterech latach, ośmiu miesiącach i dwudziestu dwóch dniach przypomniałście sobie?

— Gorąca — pokręcił głową Burski, odstawiając szklankę na stół. — Uff... Pyszna herbata, ale jeszcze gorąca... Tak jakoś wyszło. A co pan ma właściwie na myśli?

— Wy myślicie, że starzy ludzie to gazet nie czytają?

— Proszę mi opowiedzieć o tym wypadku.

Szulc wstał od stołu. Bez słowa wyszedł z kuchni do drugiego pokoju. Po chwili przyniósł stamtąd grubą papierową teczkę. Rozsznurował ją. Wyjął pierwszy z wierzchu gazetowy wycinek i położył go na stole. Dzisiejsza gazeta.

„Problemy w nowej koalicji” — oznajmiał tytuł nad zdjęciem zafrasowanej twarzy posła Remigiusza Kołuchowskiego.

— Zawsze w tym kraju byli, są i będą ludzie bezkarni — powiedział. — Wszystko się zmienia. Samochody, telewizory, miasta, ustroje. Wszystko. Tylko niesprawiedliwość jest niezmienna.

— Jako policjant staram się walczyć z niesprawiedliwością.

— Akurat. Proszę, oto kopia moich zeznań, które wtedy złożyłem. Poprosiłem o kopię i dostałem. Proszę sobie przeczytać. Wszystko podtrzymuję.

Burski przeczytał pobieżnie.

Przechodzień, Antoni Szulc, emeryt, był świadkiem wypadku samochodowego... dnia tego a tego o godzinie... poszkodowana kobieta Krystyna Laskowska, lat... sprawca uciekł. Przekreślone, parafowane i dopisane: odjechał czasowo. Świadek Antoni Szulc zapamiętał numery rejestracyjne... nie zapisywał, tylko zapamiętał. Twierdzi, że nie było zbyt ciemno, a pamięć miał zawsze — tu na miejsce przekreślonego słowa: doskonałą, wpisano słowo: dobrą.

— Co pan robił, zanim przeszedł pan na emeryturę? — zapytał Burski.

— Pracowałem.

— Ale gdzie? Co pan robił?

— Pracowałem.

— Czyżby to było jakieś zajęcie, którego pan się teraz wstydzi?

— Absolutnie. Niczego w moim życiu się nie wstydzę i wszystko zrobiłbym raz jeszcze dokładnie tak samo. Żadne kaczki nie obrzydzą mi mojej młodości. Bo piękna była. Dla kraju ją poświęciłem. Niczego nie żałuję i wszystko zrobiłbym raz jeszcze... Jeżeli już pan przeczytał, to dziękuję za towarzystwo przy herbacie. Do widzenia.

— Do widzenia.

Nie ma sensu przedłużać rozmowy, uznał Burski. Uraziłem go. Zapiekł się. Już nie będzie szczyry.

„Sprawca odjechał czasowo”. Co za wyszukany zwrot, pomyślał ze złością.

Wrócił na komisariat.

Sołtysik poinformował go, że data na obrączce nie jest dniem ślubu Kołuchowskich. Ustalenie wszystkich osób, które wzięły wtedy w Polsce ślub, zajmie kilka dni do tygodnia, dodał. Będą to setki osób. Jeżeli pan komisarz zechce wykluczyć śluby brane poza Polską.

— Sorry, czasem jestem zbyt szorstki — powiedział Burski, poklepując Sołtysika po ramieniu. — Bierz poprawkę na mój wredny charakter. Dobrze byłoby ustalić, czyja to obrączka. To może mieć znaczenie.

— Dla której sprawy?

— Ktoś podrzucił mi tę obrączkę razem ze starymi notatkami dotyczącymi Kołuchowskich.

Więcej Burski nie chciał powiedzieć. A nawet gdyby chciał, musiałby to odłożyć. Telefon na jego biurku dzwonił niecierpliwie. „Komendant wzywa”, usłyszał.

— Jedna krótka sprawa. — Komendant jak zawsze miał na sobie nienaganny mundur. — Otrzymaliśmy wyniki badań porównawczych zdjęć Mary Kołuchowskiej i tej chorej kobiety z wariatkowa. To są dwie różne osoby. Postępowanie zakończone.

— Kto otrzymał te wyniki badań? Bo chyba nie ja?

— Organ nadzorujący śledztwo. Prokurator. — Komendant zerknął niecierpliwie na zegarek.

— Iwański?

— Prokurator Iwański. Wyraziłem się jasno?

— Oczywiście. Jeden ze środków dowodowych wskazuje, że mogą to być dwie różne osoby. Mam nadzieję, że zrozumiałem poprawnie.

— Burski, zajmij się tropieniem człowieka, którego przestępcze działania zagrażają psiej populacji. Masz przestać grzebać w starych, zamkniętych sprawach. Umarzamy postępowanie w sprawie konfabulacji chorej kobiety.

— Kto dzwonił z prośbą o interwencję?

— Idź już.

Prokurator Iwański jest bardzo dobrze poinformowanym człowiekiem, myślał Burski, wracając do siebie. Zaledwie przed kilkoma godzinami zacząłem się interesować starą sprawą wyciszonego wypadku samochodowego. Zaledwie kilka osób o tym wiedziało. A już ktoś mu doniósł.

5.

Następnego dnia nad ranem Knap, Duduś Laskowski i Zwierzak wysiedli rozbawieni z samolotu na lotnisku Charlesa de Gaulle'a w Paryżu. Duduś i Knap byli tak zajęci rozmową, że wyszli z sali odpraw i dopiero przed budynkiem lotniska, rozglądając się za taksówką, stwierdzili, że nie ma z nimi Zwierzaka. Bagażu zresztą także nie mieli.

Po chwili zobaczyli Zwierzaka, jak zмага się bez użycia wózka z torbami całej trójki.

— Zapomnieliście o bagażu? — zapytał niepewnie, sapiąc.

— Ależ skąd! — Duduś wybuchnął śmiechem. Po nim Knap, a na końcu, dla towarzystwa, także Zwierzak. Odreagowywali długą podróż z przygodami.

W Paryżu mieli być już poprzedniego dnia wieczorem. Po południu wyjechali we trzech passatem Knapa z Gorzowa Wielkopolskiego. Dział Eksportu w gorzowskiej fabryce „Gielwana” zorganizował im przelot do Paryża z Berlina. Wyjechali z Gorzowa po południu, mając niewielkie tylko opóźnienie. Do nadrobienia na niemieckich autostradach. Gdy dojeżdżali do berlińskiej obwodnicy, Zwierzak postanowił zatelefonować, żeby upewnić się, czy lotnisko Schönefeld, którego znaki już widzą, jest miejscem, gdzie powinni zmierzać. Jego obawy okazały się uzasadnione. To nie było właściwie lotnisko.

Okay, odpowiedział, Tempelhof. Jedziemy na Tempelhof, lotnisko w dawnym Berlinie Zachodnim. Znanie każdemu w Polsce, kto zagnał życia za socjalizmu. Tam zazwyczaj uprowadzano polskie samoloty, aby prosić o azyl polityczny. Gdy byli już blisko, zadzwonił telefon Zwierzaka. Telefonował człowiek z działu eksportu w „Gielwanie”, który kupował bilety.

— Dojechaliście już panowie, panie prezesie? — zapytał niepewnie.

— Zbliżamy się do Tempelhof — odparł Zwierzak.

— Ale, panie prezesie, w Berlinie są trzy lotniska, panie prezesie.

— Słucham?!

— W Berlinie są, panie prezesie, trzy lotniska. Sprawdziłem w internecie. Panowie macie bilety na lot z tego trzeciego. Nazywa się Tegel, panie prezesie. Niewielkie lotnisko położone w północnej części miasta, przy wyjeździe na Hamburg, panie prezesie.

— Dziękuję za informację — odpowiedział kamiennym głosem Zwierzak. — Kretyn — dodał po wyłączeniu telefonu.

— Po co komu trzy lotniska w jednym mieście? Ci Niemcy są naprawdę dziwni. To im się musi zawalić — nie bez satysfakcji komentował sytuację Knap. Teraz on prowadził passata. Zerkał kątem oka na Zwierzaka, w którym wzbierała zwierzęca złość.

— Czy któryś z was mógłby spojrzeć na mapę, jak mam jechać? — zapytał, spoglądając w lusterko na poważną twarz Dudusia.

— Na Hamburg — odpowiedział Duduś.

— Miałem kolegę na studiach — zaczął opowiadać Knap, widząc stężale twarze Dudusia i Zwierzaka. — Na pierwszym roku powinęła mu się noga bodajże na prawie rzymskim. Skreślono go z listy studentów. A w tamtych czasach, wiadomo, wojsko tylko czekało na takich. Tyle że Bury, tak go nazywaliśmy, miał znajomego majora. Pił z majorem tydzień, załatwiając odroczenie od wojska, aż libację przerwało dwóch z Żeglugi Wiślanej, to znaczy ŻW, Żandarmeria Wojskowa. Zabrali go. Dostał bilet do Kołobrzegu. Służył tam dwa lata. Potem wrócił na studia. Przez te dwa lata w Kołobrzegu ćwiczył, jak to sojusz obronny, jakim był Układ Warszawski, zdobywa Hamburg. Bury, nawet wyrwany w środku nocy, zna każdą uliczkę i zaułek w Hamburgu, jakby co...

— Co to za baran załatwiał bilety? — przerwał mu Duduś Laskowski.

— A taki jeden z eksportu... — odpowiedział Zwierzak. — Nieważne, już tam nie pracuje. Jeszcze tylko o tym nie wie.

— Jak myślisz, czy to był przypadek?

— Nie wierzę w takie przypadki, którym nikt nie pomaga.

– Słusznie – skwitował Duduś.

– Wyobrażam sobie, jak pospadali z krzesel i tarzają się po podłodze, trzymając się za obolałe od śmiechu brzuchy... – wycedził przez zęby wściekły Zwierzak.

– Wywal wszystkich z tego eksportu – podsumował Duduś. – Zatrudnij nowych. Nie mozesz sprawy tak zostawić.

– Oczywiście. Tak właśnie zrobię.

Na biletach, które Zwierzak ma w teczce, na pewno jest nazwa i adres lotniska – myślał Knap, zdecydowanie za szybko jadąc ulicami Berlina. – Właściwie wystarczyłoby wyjąć je, otworzyć i przeczytać... Ale to nie moja sprawa.

– Zerknijcie, proszę, na mapę tego miasteczka – odezwał się. – Daleko jeszcze? Zdążymy...?

Oczywiście spóźnili się i oglądali odlot boeinga do Paryża przez okno obok stanowiska odpraw. Zwierzak musiał użyć całej swej dyplomacji oraz skromnej znajomości języka angielskiego, żeby miła brunetka ze stanowiska Lufthansy zorganizowała im przelot trasą awaryjną. Małym, dwudziestokilkumiejscowym odrzutowcem do Hamburga, którym wracali z pracy w Berlinie niemieccy krawaciarze. Stamtąd, trzy godziny później, znowu takim samym niepozornym samolocikiem mieli odlecieć do Paryża.

– Chodźmy coś zjeść – zarządził Duduś na lotnisku w Hamburgu. Kanapki z bagietek i szampan w plastikowych lampkach, którymi częstowano w samolocie, tylko zaostrzyły apetyt.

– Wiecie co... – odezwał się Zwierzak, gdy usiedli w restauracji na lotnisku. – Tutaj pracował mój krewny.

– Najlepszy polski towar eksportowy – powiedziała Duduś, szukając wzrokiem kogoś, kto przypominałby kelnera. – Istny hicior. Wykwalifikowana obsługa zmywaków.

– No, ale już tu nie pracuje. Po dwóch tygodniach miał tak serdecznie dosyć swojego szefa, że na złość pluł do każdego talerza. Potem znalazł lepszą pracę.

– Prawidłowo – wtrącił Knap. – Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz.

– Racja – zaśmiał się Duduś. – Ale szczerze mówiąc, straciłem apetyt. Zapewne pracują tu teraz inni Polacy, na miejsce twojego krewniaka... Chodźmy. W samolocie podadzą jakieś kanapki.

– Idziemy. A co teraz robi ten twój krewny? – zapytał Knap.

– Poszedł na jumę – odpowiedział Zwierzak.

Usiedli w fotelach sali odpraw, gdzie za oknami migwały w ciemności światła kołujących samolotów. Każdy postawił swoją skórzaną teczkę na podłodze, pomiędzy nogami.

– Coś nowego z moim starym i pieniędzmi? – zapytał Duduś.

– Niestety – westchnął Knap.

– Naciskaj go, naciskaj cały czas. Jesteś dobrym dyplomatą. Takim ciepłym, wzbudzającym zaufanie człowiekiem – tłumaczył Duduś. – Robisz na ojcu dobre wrażenie. To ważne, wiesz przecież. Ładnie to rozgrywasz.

– Dziękuję.

– Pod względem mentalnym, oczywiście. Bo mógłbyś już chyba zacząć działać nieco bardziej stanowczo... Nie zrozum mnie źle. Nie neguję twojej strategii. Nie chcę ci przeszkadzać. Mam tylko takie wrażenie, że już czas przycisnąć starego.

– Dziękuję za twoje spostrzeżenia – odpowiedział Knap, nie bardzo wiedząc, o czym Duduś mówi. – Takie spostrzeżenia są ważne. Tobie, patrząc poniekąd z boku, łatwiej jest ocenić sytuację.

Do momentu zatrudnienia Knapa Duduś sam prezesował w „Wełpolu”. Finansując bieżącą działalność i inwestycje z pieniędzy dostawców, zadłużył fabrykę wszędzie, gdzie tylko było to możliwe. Po zatrudnieniu Knapa został doradcą zarządu z kilkoma tysiącami euro pensji. Podobnie jak jego uroczą małżonka, nie bez racji zwana przez złośliwych Elwirą Krzywozębą.

– Naciskaj na ojca – powtórzył Duduś. – On wprawdzie nie ma już kasy. Wszystkie swoje akcje „Ziemowita” zastawił, ale mój brat kretyn ma jeszcze z dziesięć milionów w wolnych akcjach. A on się słucha ojca.

– Tak staram się robić, a przepraszam, że pytam: ty?

— Nie patrz tak na mnie, Adam. Ja swoich akcji, przynajmniej na razie, nie zamierzam zastawiać. Wystarczająco dużo ten kretyn i mój ojciec już na moich pomysłach zarobili. Teraz chcę przecież tylko dać im szansę, żeby zarobili jeszcze więcej — Duduś uśmiechnął się i Knap już nie wiedział, czy tamten mówi poważnie, czy tylko kpi z własnych słów.

— Kiepsko jest w „Wełpolu” — powiedział niepewnie. — Nie znam się specjalnie na tej branży, nigdy wcześniej nie zeszmaciłem się i w segmencie tekstyliów nie pracowałem...

— „Zeszmaciłeś się” — zarechotał Duduś.

Po dłuższej chwili zastanowienia głośnym śmiechem dołączył Zwierzak.

— Jesteś pewien, że ta branża ma jeszcze w Polsce rację bytu? — zapytał Knap, gdy już nacieszył się swoim żartem.

— Tak. Zdecydowanie tak. Oczywiście nie na skalę masową, jak dotychczas. Przy takich kosztach produkcji to wykluczone. Dlatego musimy zredukować zatrudnienie. I iść w jakość. Jak Włosi. W niszą produkcję dobrej jakości. Przecież „Bielska Wełna” to znana marka. Trzeba ją tylko reaktywować. Marka to podstawa.

— Masz rację — odezwał się Zwierzak. — Jak zawsze Duduś ma rację. Nie możemy przecież konkurować z Chińczykami.

— W żadnym wypadku. Byłeś w Chinach? Nie? Widzisz, ja mam znajomego takiego Chinola. On ma fabrykę džinsów. Zatrudnia osiemset osób. To są dzieci. Trzynasto-cztemastolatki, którym rodzice w rodzinnych wsiach załatwiają lewe dowody stwierdzające, że ukończyły piętnaście lat. Osoby młodsze niż piętnastoletnie nie mogą w Chinach pracować. Jakies tam przepisy prawa pracy nawet w Chinach teoretycznie obowiązują. Zatrudnia oczywiście dziewczyny. No bo tam, wiadomo, kontrola urodzeń, jedno dziecko na rodzinę, każdy chce mieć chłopaka, a jak trafi się niestety dziewczyna, to tylko kłopot i koszty. Wysyłają je więc do fabryk. Zarabia taka dwadzieścia groszy za godzinę. Mieszka na miejscu. W piętnastoosobowym pokoju, ale z łazienką. Za zarcie w pracy jej potrącają. Mniej więcej godzina roboty za miskę ryżu. Nawet ciepła woda kosztuje. Wiadro za godzinę pracy. Zrzucają się po dwie, trzy na to wiadro. Pracuje taka chińska małpa od ósmej do dziewiętnastej. A potem nadgodziny. Obowiązkowe nadgodziny. Do trzeciej, czwartej rano... No i jaką my możemy zaferować konkurencyjność kosztów? Przy tak wysokich w Polsce płacach, zusach, podatkach, no, jaką? Żadną. W żaden sposób. Jesteśmy na straconej pozycji. Nasze prawo niestety nas dyskryminuje. Nasza własna, wybrana w wyborach władza, której płacimy ciężkie podatki, robi nam koło pióra. Niestety. Nie mamy szans z Chińczykami.

— Masz rację, Duduś — z przejściem pokiwał głową Zwierzak.

— Po ile taki Chińczyk sprzedaje te swoje džinsy? — zapytał jeszcze Knap.

— Cztery, góra cztery i pół dolara za parę. Wiesz, klienci walą drzwiami i oknami. Z całego świata. Nikt im przecież nie uszyje taniej... On, ten mój znajomy Chinol, wyciąga jakieś czterdzieści tysięcy dolarów miesięcznie. Niby niewiele, ale co to za robota? Sprzedaż idzie sama. Klienci przyjeżdżają z całego świata. A zarządzać ośmiuset małpami w fabryce to żadna robota.

— Oczywiście — westchnął Zwierzak. — Nie dogonimy ich.

— A kim był ten chiński fabrykant, zanim założył fabrykę džinsów? — znowu zapytał Knap.

— Komendantem milicji w miasteczku. Chińskim miasteczku. Osiemset tysięcy mieszkańców.

— No to wszystko jasne — podsumował Knap.

Sięgnął do swojej teczki stojącej między nogami. Długo czegoś w niej szukał. Zrobił to pod wpływem impulsu. Po prostu pomyślał nagle, że otworzy teczkę, żeby obaj, Duduś i Zwierzak, zainteresowani jego zachowaniem, zajrzeli do środka. Niech widzą, że nie ma tam niczego niestosownego.

Bał się elektronicznych bramek na lotniskach. Dyktafon, który dostał od Aleksandry Kośmy, zostawił w kraju.

Burski przyjechał do pracy taksówką. Zanim samochód podjechał pod budynek komisariatu, komisarz włożył do ust dwie gumy do żucia.

— Gdzie mam się zatrzymać?

— Pod drzwiami — odpowiedział kierowcy. — Bez obaw, ja tu pracuję.

Zapłacił i wysiadł. Twarz stojącego przy wejściu mundurowego funkcjonariusza złagodniała. Zasalutował komisarzowi. Szybko jednak spojrzął na ulicę i włożył do ust gwizdek. Przeciągnął gwizd sprawił, że Burski aż zmrzył oczy.

Mundurowy groził palcem jakiemuś przechodniowi.

Komisarz Burski stał dwa metry od funkcjonariusza i patrzył na ten uniesiony palec.

Palec policjanta. Odgryziony palec schizofrenika zwanego Jastrzębiem. Odjęty w niewyjaśnionych okolicznościach palec Panny Nieznajomej. Obrączka zdjęta z czyjegós palca. Co jeszcze?

Jeszcze jedno. Jeszcze jedno skojarzenie nie daje mi spokoju.

Dlaczego uparcie powraca myśl o tym dziwnym pierścieniu na palcu ordynatora?

Funkcjonariusz stojący przy drzwiach patrzył zmieszany, jak komisarz gapi się na jego rękę. Uśmiecha się przy tym dziwacznie. Wreszcie komisarz zamrugał. Podrapał po czole. Rozejrzał się i zamiast wejść do komisariatu, szybko ruszył w inną stronę. Na Stare Miasto.

Po pięciu minutach otworzył drzwi salonu jubilerskiego w jednej z secesyjnych kamienic. Zza gabloty pełnej biżuterii przywitał go zapraszającym uśmiechem sprzedawca.

— Dzień dobry. Czy ma pan może kartkę i ołówek?

Uśmiech na twarzy sprzedawcy przyszał.

— Ib jest salon jubilerski. Nie sklep papierniczy.

— Oczywiście. Wiem. Przepraszam, że się nie przedstawiłem. Komisarz Burski, policja. Proszę pana, widziałem niedawno taki srebrny pierścionek. Wyglądał jak obrączka, ale to nie obrączka. Pierścionek był niepełny, nie wiem, jak to określić, bo nie był kółkiem, tylko zaginał się, rozumie pan?

— Oczywiście.

— Mężczyzna, który go nosił, wkładał ten pierścionek na różne palce. Raz na mały palec, raz na serdeczny, na różne. To dziwne, prawda?

— Nie.

— Gdyby jednak użył mi pan kartki i ołówka, narysowałbym wzór z tego pierścionka.

Sprzedawca schylił się za ladą. Ale zamiast kartki papieru położył przed policjantem srebrny pierścionek. Z takim samym wzorem jak tamten, który ordynator szpitala psychiatrycznego nosił raz na jednym, raz na drugim palcu.

— Taki sam — pokiwał głową Burski.

— Pierścień Atlantów.

— Słucham?

— To jest Pierścień Atlantów. W drugiej połowie dziewiętnastego wieku pewien egiptolog odnalazł w Dolinie Królów pierścień z niezwykłym symbolem. Symbol ten, jak pan widzi, to trzy proste, potem sześć punktów, po jednym z każdego końca prostej, i dwa trójkąty równoramienne na obu brzegach. Taki symbol nie przypomina żadnego egipskiego znaku. Dlatego uznano, że pochodzi on z legendarnej Atlantydy. Stąd jego nazwa. Wkrótce przekonano się, że ma on zadziwiające właściwości ochronne i uzdrawiające. Słyszał pan o kłątwie Tutenchamona?

Bury, jesteś kretynem — pomyślał policjant, gdyż dopiero teraz zauważył na kciuku sprzedawcy taki sam pierścień.

— Słyszałem tyle, co każdy. Z horrorów o mumiach.

— W rzeczywistości naukowcy, którzy uczestniczyli w otwarciu grobowca i oględzinach mumii, zaczęli wkrótce umierać. Często w niewyjaśnionych okolicznościach. Uznano, że winna może być kłątwa faraona. Nieważne, co było powodem. Kłątwa, mikroby czy jeszcze coś innego. Ważne, że jedynym człowiekiem, którego kłątwa nie dotknęła, który żył długo i odszedł ze świata z przyczyn naturalnych, był Howard Carter.

— Howard Carter, mówi pan?

— Tak. Howard Carter nigdy nie rozstawał się z Pierścieniem Atlantów.

— Aha.

Drzwi od zaplecza salonu jubilerskiego uchyliły się i wyjechała z nich kobieta na wózku inwalidzkim.

— Do widzenia — powiedziała do sprzedawcy.

— Do widzenia.

Dopiero widząc głęboki ukłon sprzedawcy, policjant przyjrzał się uważniej kobiecie. Minęła go już i z cichym odgłosem elektrycznego silnika wózka zbliżała się do drzwi. Otworzyły się automatycznie.

— Chwileczkę — rzucił do sprzedawcy i wyszedł za nią.

Tuż obok sklepu parkował bus z opuszczaną platformą, umożliwiającą wstawienie wózka inwalidzkiego do środka. Kierowca forda pomagał kobiecie. Platforma uniosła się. Wózek zniknął we wnętrzu samochodu.

Kierowca zauważył zaciekawienie Burskiego. Popatrzył na niego. Znacznie dłużej, niż zazwyczaj patrzy się na twarz przypadkowo spotkanego nieznanego.

— Kto to był? — zapytał Burski po powrocie do salonu.

— Szefowa.

— To znaczy?

— Pani Krystyna Laskowska.

— Żona pana Andrzeja Laskowskiego, prawda?

— Możliwe. — Sprzedawca pokazał palcem na ulotkę leżącą obok srebrnego pierścionka. — Może pan sobie wziąć ulotkę i poczytać o Pierścieniu Atlantów. Niektórzy ludzie w to wierzą.

— Dziękuję bardzo.

Policjant złożył ulotkę i wsunął ją do kieszeni spodni. Niezbyt starannie. Miał nieodparte wrażenie, że spotkanie z Laskowską należy do tych przypadkowych i początkowo niezrozumiałych zdarzeń, która wywołują poważne skutki.

Na tym samym parkingu, gdzie stał bus przystosowany do przewozu niepełnosprawnych, przed laty znaleziono porzucony samochód Mary Hurtanyi-Kołuchowskiej. To niczego nie oznacza. Ale niepokoi.

Z rozmyślań wyrwał go dzwonek telefonu.

— Tak?

— Sołtyś, panie komisarzu. Telefonowano z fabryki „Wełpol”. Dostali następny list.

— Kto telefonował?

— Sekretarka prezesa. Otrzymali tylko list. Naklejanekę o treści „Czas minął”.

— Jedź po ten list — nakazał Burski.

Skoro szanowny kolega prezes Adam Knap nie mógł znaleźć pół minuty, żeby do niego osobiście zadzwonić, nie muszą się fatygować — uznał.

— Jesteś tam jeszcze...? Pomyślałem o jednej rzeczy. — Burski aż uśmiechnął się do swojej myśli. — Ci Laskowscy mają kilka fabryk. Cukierki także produkują. Może szantażysta zechce ich zachęcić do zapłacenia haraczu także w inny sposób? Nie tylko grożąc zatruciem karmy dla psów. Poproś w „Wełpolu” o dane kontaktowe do pozostałych zakładów rodziny Laskowskich, zajmujących się produkcją spożywczą. Jak wrócisz, wysmarujemy do nich oficjalne pismo, informujące o zagrożeniu i proszące o współpracę. Niech nas zawiadamiają o każdej podejrzanej reklamacji od klientów.

— Świetna myśl. Prewencyjna. Aczkolwiek nieco ryzykowna.

— Doprawdy?

— Gdyby to się przedostało do mediów, interesy holdingu Laskowskich mogłyby ucierpieć.

— A to już nie nasza sprawa. My jesteśmy od przestrzegania prawa, panie aspirancie, a nie od pilnowania interesów jakiegoś holdingu.

— Oczywiście, szefie.

Miał poczucie, że działa po omacku. Nie wiedział, gdzie jest lisia nora, a chciał z niej wykurzyć lisa. Może wystarczy do tego po prostu trochę dymu?

— O, w mordę, jak mnie nogi bolą... — westchnął Knap, ciężko opadając na krzesło.

Pomysł, żeby na targi nałożyć eleganckie pantofle, okazał się nieporozumieniem. Po sześciu godzinach chodzenia między stoiskami w hali wielkiej jak piekło Knap zniecierpliwiony buty marki Enrico Trapottoni. A po dziesięciu godzinach był gotów wbić na pal właściciela fabryki tego obuwia. Gdyby oczywiście Jan Nowak, produkujący pod Elblągiem buty marki Enrico Trapottoni, miał pecha i pojawił się na szmacych targach w Paryżu.

Dopiero późnym wieczorem usiedli we trzech z Dudusiem i Zwierzakiem w przytulnej knajpce, nie więcej niż dwieście metrów od katedry Notre-Damę. Wieczór był pogodny i ciepły. Nad Paryżem migotały gwiazdy.

– Tanio to tutaj nie będzie – pokręcił głową Zwierzak.

– Dzisiaj „Wełpol” płaci, prawda? – zapytał z uśmiechem Duduś.

– Jasne – odparł Knap. – Moja karta firmowa nie boi się takich miejsc. Co jemy...? Bo pić będziemy oczywiście francuskie wina. Może nie najlepsze, ale nie wypada w sercu Paryża zamawiać innych.

– No właśnie. – Duduś uniósł palec. – Umówmy się tak: Każdy zamawia inne danie. Jedziemy po kolei z menu... Jest wprawdzie dosyć grube, ale jeżeli coś nie będzie smakowało, to nie musimy zjadać. Poprosimy o trochę dodatkowych talerzy, żeby każdy miał okazję wszystkiego spróbować. Co wy na to?

– Doskonali pomysł – podsumował Zwierzak.

Tak zrobili. Kelnerzy w bordowych kamizelkach, z muszkami na szyjach, zapełniali stół francuskimi specjami, udając przy tym, że nie rozumieją żadnego innego języka poza ich rodzimym. Gdy rachunek przekroczył tysiąc euro, zaczęli się uśmiechać. Po dwóch tysiącach przypominali już sobie angielskie słowa. Kiedy kolejne butelki wina w towarzystwie homarów, ślimaków, żabich specjałów, serów i całkiem sympatycznych pasztetów nabiły licznik do blisko czterech tysięcy euro, znali już wiele polskich wyrażań.

– Przyzwoita kuchnia, prawda?

– Niezła – potwierdził Duduś. – Ale jednak przereklamowana. Desery...?

– Nie. Już nie mogę – skapitulował Zwierzak.

– Może fondue? – zaproponował Knap. – Do przegryzania przy następnej fłaszce chablis będzie okay.

– Tak. Dobra myśl.

Laskowski skinął głową na kelnera. Ten błyskawicznie pojawił się przy stoliku.

– Doskonale wybór – potwierdził po polsku, komicznie akcentując sylaby i przeciągając gardłowe „r”, co wywołało śmiech u Zwierzaka i zmusiło kelnera do przeprosin.

– Duduś... Mogę zapytać o coś związanego z pracą? – odezwał się Knap niezbyt głośno.

– Jasne.

– Nie myślałeś o sprzedaży „Wełpolu”? Teraz wszędzie hipermarkety szukają dobrych lokalizacji, a to niemal centrum miasta...

– Nie wierzysz w „Wełpol”? Przecież jest tam wspaniały nowy prezes, co ma rękę jak Midas.

– Tylko pytam.

– Jest... to znaczy, byłby z tym pewien problem. Ale, wiesz, to nie ma nic wspólnego z bieżącą działalnością fabryki. Nie chciałbym być niegrzeczny, lecz właściwie nie powinienes się o to martwić.

– Nie martwię się. Przepraszam, że w ogóle pytałem. Za dużo wina. – Knap uśmiechnął się przepraszająco.

– Nie ma sprawy – odparł Laskowski. – Idę do wucetu, zanim przyniosą fondue.

Gdy Duduś odszedł, Knap popatrzył na Zwierzaka. Ten siedział jak za szkolną ławką. Sztwno wyprostowany, opierając się dłońmi o blat.

– Ej...

– Sorki – odpowiedział Zwierzak. – Za dużo wina, rzeczywiście. Ja tak nie mogę mieszać białego z czerwonym... Nie wstanę od stołu. Wywróć się, cholera.

– No to co? Obsługa zanieś cię do taksówki. Bez obaw. Zdrowia.

– Zdrowia. – Zwierzak wlał w siebie następną lampkę bordeaux.

– Tam jest jedna działka... – czknął głośno i chwilę potem drugi raz. – Ta działka jest problemem.

– Nie rozumiem.

– Na środku posesji, gdzie stoi „Wełpol”, jest mała działka, która nie należy do Laskowskich.

Sięgnął po lampkę i dopił czerwone wino. Ułamek sekundy później znikąd pojawił się kelner, niosący nowe kieliszki na białe chablis, które stało już na stole.

— Jak to? — zapytał Knap.

Zwierzak wzruszył ramionami.

— Za komuny nikogo to nie obchodziło. — Ponownie czknął. — Ale w księgach wieczystych jest zapis. A ta rodzina Rosenzweigów mieszka teraz w Nowym Jorku i nie chce w ogóle rozmawiać o sprzedaży działki. Pan Andrzej jeździł już do nich... — Zwierzak wykonał szybką serię trzech donośnych czknień i uśmiechnął się przepraszająco. — Właśnie. Trzy razy jeździł.

Działka — zrozumiał Knap. Niemal wytrzeźwiał.

Na tym zbyt cichym nagraniu rozmowy seniora Laskowskiego z postem Kołuchowskim wyłowił kilka razy powtarzane słowo: „działka”. Teraz to skojarzenie wydawało mu się oczywiste.

Robicie mnie w trąbkę — ołśniło Knapa, gdy uśmiechał się szeroko do wracającego Dudusia i unosił kieliszek z chablis, którego odrobinę wlał kelner do degustacji.

Było to niestety ołśnienie częściowe. Nie zawierało odpowiedzi na pytanie: Dlaczego?

— Niezłe — potwierdził po wypiciu łyka chablis.

— Dziękuję barrrdzo. — Kelner poliglota znał także ten zwrot. Wlewał wino do kielichów.

Zwierzak czknął, aż zatrzęsło stołem.

Kelner przeprosił, gdyż wskutek tego uronił krople wina na obrus.

Niosąc w rękę siatkę z wystającą bagietką, mężczyzna wracał do domu. Na chodniku stała grupka wyrośniętej młodzieży. Ubrani w bawełniane dresy i adidasy. Nie zamierzali nikomu ułatwiać przejścia.

Mężczyzna okrążył młodzież idąc po trawniku. Nie patrzył niestety pod nogi. Wdepnął w psie odchody. Spoglądający na niego spod nasuniętych na twarz kapturów młodzieńcy zaśmiali się. Donośnie i szczerze. Wymarł but i teraz już uważnie stawiał ostrożne kroki.

— Nie połam sobie nóg, dziadku! — krzyknął któryś.

— Spoko. Nie połamię.

— Spoko?! — zaśmiali się znowu. — Jesteś cool, dziadek! Nara.

Kilkanaście metrów dalej, przed wejściem do klatki schodowej czekała na niego sąsiadka, Wiśniewska. Kobieta o posturze zmutowanego na skutek wybuchu w Czarnobylu, monstrualnego obwarzanka. Jej mały piesek, pekińczyk, załatwiał przed blokiem potrzebę.

— Widzi pan, panie Tomaszu? Co za dzika młodzież teraz? — mówiła niezbyt głośno, żeby młodzieńcy nie usłyszeli.

— Widzę.

— Zero wychowania. Zero kultury. Ambicji u takich za grosz. W kościele to żaden od komunii nie był. Co z nich wyrośnie? Do czego to dojdzie, panie Tomaszu? Ojciec Roman mówił rano na mszy, oj, jak pięknie ojciec mówi! — Pokręciła głową w zachwycie.

— A pani to do kościoła codziennie biega, prawda?

— Prawda. Tak ładnie ojciec Roman nieraz mówi, że...

— I co? Nie mówi tam ten przystojny, szpakowaty ksiądz Roman, że psy dobrych chrześcijan to nie srają po trawnikach?

— A co ma pies do chrześcijaństwa?! Nie bluźnij pan, panie Tomaszu. — Wiśniewska przeżegnała się.

— Oj ma, pani sąsiadko, ma.

— Będzie mnie tu chrześcijaństwa uczył, komunista jeden, Luter zatracony albo i mason, co gorsza... — mruzczała jeszcze pod nosem, gdy mężczyzna otwierał drzwi na klatkę schodową.

Wszedł. Siedzący na schodach człowiek o włosach przyprószonych siwizną wstał.

— Witam, panie Tomaszu.

— Pan tutaj, komisarzy? Nie wiedziałem, że mamy wspólnych znajomych w moim bloku.

— Nie mamy. Nie chciałem znowu nachodzić pana w archiwum ani czekać do poniedziałku. Potrzebuję kontaktu do pana syna. To ważne. Naprawdę — powiedział Burski.

— Nie wiem, gdzie go szukać. Mówiłem już.

— Proszę. On może mi pomóc zrobić porządek z pewnymi złymi ludźmi.

— Nie wiem, gdzie go szukać — powtórzył archiwista.

— Jakiś kontakt?

— Dajcie mu spokój. I mnie dajcie spokój. Niektórzy ludzie chcą tylko normalnie, spokojnie żyć.

— Właśnie dlatego. Po to pracuję, żeby inni mogli normalnie żyć.

— Mam w to uwierzyć?

— Proszę zaryzykować.

— Ryzykować to ja mogę dwa złote na Lotto.

— Słuchaj, Tomasz, ja też mam syna. Młodsze niż Arek, oczywiście, ale także już niestety pełnoletniego. Nasze drogi się rozeszły. On mieszka w Irlandii. Pojadę do niego. Przeproszę go. Spróbujemy jeszcze raz. Znajdę tam pracę jako stróż albo ogrodnik. Zostanę z synem i będę czekał na wnuki. Tak zrobię. Jak tylko zakończę tę jedną, ostatnią sprawę.

— Przyślesz mi kartkę z Irlandii?

— Przyślę.

— No to wtedy porozmawiamy. Do widzenia.

Wyminał Burskiego i poszedł schodami na górę.

Po co Arek Łyska podrzucał mi obrączkę i fragmenty starych akt? — myślał Burski. — Dlaczego ukrywa się także przed mną?

Chwilę później, gdy komisarz szedł chodnikiem w stronę zaparkowanej astry, usłyszał niepokojący odgłos. Gdyby dawniej nie pracował w drogówce, pewnie nie zareagowałby na wycie pracującego na wysokich obrotach silnika.

Ścinając kwitnący krzew róży na trawniku, bus skręcał z ulicy i z impetem wjeżdżał na chodnik. Prosto w Burskiego. Kominiarz zorientował się na czas. Odskoczył w tył. Samochód przetoczył się mu przed nosem, wyrzucił blaszany kosz na śmieci, grzmotnął w ławkę, wyrzucił ją i zostawiając za sobą ślad potłuczonego reflektora, odbił w stronę jezdni. Wyjechał na drogę. Dodał gazu. Jakies auto trąbiło przeciągle.

Burski już nie patrzył. Przysiadł na przewróconej ławce. Nie mógł złapać oddechu. Przy każdej próbie ból w klatce piersiowej narastał. Paraliżował. Policjant siedział skulony.

— Potrafił cię, skurwieli, dziadku?! — podbiegła młodzież w dresach.

Policjant pokręcił głową.

— Żeby dziadka na naszym osiedlu tak wystraszyć! Już po tobie, frajerze! — krzyknął któryś za samochodem, co znikł już im z oczu.

— Dziadek chyba chce coś powiedzieć...

— Co się tak klepiesz w klatkę, dziadek?

— Ale mu oczy wywaliło... Mój stary podobnie się zachowywał. Identycznie. Oczy mu na wierzach wywaliło jak u żaby, a potem kopnął w kalendarz. Ty... może on też ma zawał?

— Dzwoni który, kurwa, po karetkę!

— Już dobrze — stęknął policjant. Klucze w klatce piersiowej ustąpiło. Zdolność oddychania powoli wracała.

— Dziękuję za pomoc. — Wstał z ławki. — Nie jestem żadnym dziadkiem. Mam dopiero czterdzieści kilka lat, panowie.

Ruszył w stronę parkingu. Na tyle dziarsko, na ile potrafił. To przypadek czy też chciano mnie nastraszyć? — pytał w myślach. Kto i po co? Może Migacz i jego kumple z komisju samochodowego? Powinienem być się zainteresować, czy ktokolwiek z policji zajął się tą sprawą. Czy nie skończyło się na niespodziewanym zamknięciu komisju i zniknięciu oszustów?

Rozmasowywał prawą dłoń. Mały i serdeczny palec mu drętwiały. Znowu czuł w nich nieprzyjemne mrowienie.

Był już na parkingu, trzy kroki od swojej astry, gdy zatrzymał się nagle.

Palce — pomyślał, podnosząc dłoń do oczu. — Już wiem, gdzie szukać odpowiedzi.

Wsiadł do samochodu i pojechał w stronę Szczyrku.

6.

— Jest pan nieoceniony — powiedział siwowłosej ordynator szpitala psychiatrycznego. — Takim ludziom jak pan powinno się stawiać pomniki. Nawet w niedzielę poświęca pan swój czas.

— Spokojnie, panie doktorze. W tym kraju lepiej się nie wychylać. Lepiej jest robić swoje po cichu. Żadnych pomników. Ważne, że mogę pomóc.

— Gdzie mam podpisać? — Lekarz bezradnie patrzył na druk leżący na biurku. Niewiele rzeczy tak go przerażało, jak biurokracja. — Nigdy nie zrozumieję tych podatkowych rubryczek.

— O tutaj... podpis obdarowanego. I pieczętkę poproszę. Tę dyrektorską. Bez pieczętki ani rusz.

— Bez pana pomocy ciężko byłoby zapewnić pacjentom przyzwoite warunki socjalne. To nie są pacjenci, do których w godzinach odwiedzin przyjeżdżają rodziny z siatkami pełnymi pomarańczy, domowego ciasta i słoików z wiśniowym kompotem. Rodziny wstydzą się swoich chorych psychicznie krewnych. Jeżeli w ogóle się do nich przyznają, bo z tym też różnie bywa...

— Czas już na mnie. Do zobaczenia, panie doktorze.

— Odprowadzę pana.

Lekarz patrzył, jak mężczyzna wychodzi pierwszy z jego gabinetu. Nigdy wcześniej nie pytał go, dlaczego utyka. Tym razem także tego nie zrobił.

Wyszedł za utykającym mężczyzną, zostawiając klucz w drzwiach.

Kiedy lekarz wrócił pół godziny później, klucza w drzwiach już nie było. Zaniepokojony uchylił drzwi. Wewnątrz na fotelu siedział komisarz Burski. Przeglądał papierową teczkę z napisem: „Meridiany”.

Ordynator wszedł, zamknął za sobą drzwi i powiedział stanowczo:

— Jest pan bezczelny.

— Taka praca, doktorze. Proszę usiąść, porozmawiamy o pana pracy.

— Słucham.

Lekarz usiadł za biurkiem. Splótł dłonie na blacie. Pierścień Atlantów miał znowu na małym palcu lewej ręki. Patrzył w twarz Burskiego z nieukrywaną odrazą.

— Przyjechałem porozmawiać z panem doktorem o jego pierścionku, dobroczynnym wpływie tego klejnotu na organizm ludzki, o obciętych palcach, no i oczywiście o meridianach. Nie było pana, więc pozwoliłem sobie zagłębić się w lekturę pańskiego autorstwa. — Burski uniośł trzymaną w dłoni papierową teczkę. — Pasjonujące.

— O ile się orientuję, żeby dokonać rewizji w cudzych rzeczach, potrzebny jest tak zwany nakaz rewizji, nieprawdaż?

— Prawdaż.

— A pan takowy posiada, komisarzu?

— Proszę bardzo. — Burski odłożył teczkę na biurko lekarza. — Oddaję.

— No i co teraz?

— Czytałem, że gdy włożymy na palec silnie promieniujący pierścień Atlantów, to pobudzimy jeden z meridianów i związane z nim narządy. Pan nosi teraz pierścień na małym palcu. To będzie się chyba wiązało z wątrobą i woreczkiem żółciowym, tak...? Chyba będę musiał wszcząć śledztwo w sprawie okaleczeń pacjentów w szpitalu. Prawdopodobnie ktoś w tym szpitalu celowo amputował pacjentom palce, żeby badać wpływy poszczególnych meridianów, które, jak wiadomo, mają zakończenia w palcach, na organizm człowieka. Ciekawe, ilu takich przypadków doszukałbym się w szpitalu?

— Niczego i nikomu pan nie udowodni — lekarz udzielił przygotowanej już uprzednio odpowiedzi.

— To, o czym pan mówi, to twory niewiedzy i ignorancji karmiące się przypadkiem.

– Doprawdy...? Oglądał pan doktor wczoraj telewizję? Historia ludzkiej kultury ma obraz sinusoidy. Po wiekach ciemnych następują jasne. Wiele wskazuje na to, że znowu nadchodzi mroczna epoka. Ludzie przestają wierzyć w teorię ewolucji, za to cieszy się powrotem astrologia i medycyna zodiakalna, prawda, panie doktorze? Podobno w rządzie RP ma zostać powołany minister do spraw astrologii i totalnych spisków.

– O co panu chodzi, komisarzu?

– Szczerze mówiąc, mógłbym przestać interesować się pańskimi pracami naukowymi.

– Słucham?

– Bardziej interesuje mnie pani Kołuchowska, jej mąż i ich związki z niejakimi Laskowskimi.

– Nasza pacjentka to nie jest Mary Kołuchowska. To już zostało ustalone. Mamy do czynienia z konfabulacją. Pacjentka leżała na jednej sali z inną kobietą, pewną dziennikarką. Niestety nieżyjącą już. Przypuszczam, że od niej Panna Nieznajoma nasłuchiwała się historii Mary Kołuchowskiej.

– Co za dziennikarka?

– Anna Rust, o ile pamiętam. Wszelkie dane osobowe uzyska pan w archiwum. Zmarła przed kilkoma dniami. Była epileptyczką. W czasie ataku odgryzła sobie język i uduśliła się nim. Może tak było dla niej najlepiej. Każdy atak epilepsji pozostawia ślad na mózgu. Szramę. Ranę, która się nie zabliznia. Aż w końcu człowiek z mózgiem przeoranym wieloma atakami traci kontakt z zewnętrznym światem. Dogorywa jako roślina. Tak wygląda, komisarzu, prawdziwie oblicze szpitala dla psychicznie chorych.

– Jak szklarnia, gdzie się hoduje i przyszywa roślinki? To ma pan doktor na myśli?

– Mój czas jest cenny. Zakończyliśmy już naszą zupełnie zbędną i chwilami wręcz niedorzeczną konwersację?

– Proszę się bardziej postarać. Potrzebuję więcej informacji.

– W nic mnie pan nie wplącze. Nic nie wiem. Polityką się nie interesuję. Proszę zainteresować się tą zmarłą dziennikarką. Ona mogła znać Kołuchowską. Jej rzeczy oddaliśmy jak zawsze, gdy nie zgłasza się rodzina, dla bezdomnych. Wszystkie. Razem z osobistymi notatkami, pamiętnikami, książkami. Dzisiaj zabrał je pan Arek.

– Kto?

– Pan Arek, nie pamiętam nazwiska. Dusza człowiek. Samo dobro. Dam panu adres jego firmy. Mam tutaj na umowie darowizny... — Lekarz podał umowę i Burski zanotował adres. — Pan Arek był tu jeszcze pół godziny temu. Odprowadzałem go na dół. Może nas pan widział, zakradając się chyłkiem do mojego gabinetu? Charakterystyczny człowiek. Utyka na prawą nogę.

Burski zerwał się z krzesła.

Piętnaście minut później był już przed jednorodzinnym domkiem, mieszczącym się pod adresem przepisany z umowy darowizny. Szarpnął za klamkę furtki. Była zamknięta. Wcisnął guzik domofonu.

Na płocie obok dzwonka wisiały dwie skrzynki pocztowe. Jedna z nazwiskiem: „Kowal” i druga z napisem: „PW AREX”.

– Halo? — zatrzeszczało w domofonie.

– Ja do firmy Arex.

– To tylko adres do korespondencji. Korespondencję wrzuca się do skrzynki.

– Chciałbym się zobaczyć z panem Arkiem. To bardzo ważne.

– Z kim?

– Proszę mnie wpuścić. Bardzo słabo panią słyszę.

– Nie wpuszczam obcych. Korespondencję niech wrzuci do skrzynki.

– Z panem Arkiem poproszę!

– Niech wrzuci do skrzynki!

– Dziękuję. Wrzucę.

Burski wyjął z kieszeni kartkę papieru.

Panie Arku, proszę o pilny kontakt. Zajmuje się nadal wyjaśnianiem pewnej starej, zatuszowanej sprawy. Gwarantuję dyskrecję.

Dopisał nazwisko i numer telefonu. Złożoną kartkę wsunął do skrzynki.

Wrócił do samochodu. Odjechał dalek, żeby samochodu nie było widać z okien domu. Zadzwoził po Sołtysika.

– Trzeba odszukać właściciela tej firmy – wyjaśnił aspirantowi. – Będziemy obserwowali skrzynkę pocztową na zmianę. Przez całą dobę. Ja zaczynam. Zmienisz mnie za trzy godziny.

– Dzisiaj? W niedzielę?

– Masz coś przeciwko niedzielom? Dzisiaj jest piękna niedziela.

– Nie. Nie mam.

A Burski miał. Niedziela była dla niego najtrudniejszym dniem. Zazwyczaj na siłę i bez powodzenia wyszukiwał sobie zajęcia na dzień wolny od pracy. Tej niedzieli miał szczęście.

7.

Knap przyjechał do fabryki nieznacznie tylko spóźniony. Nocą wrócili z Paryża i musiał trochę odespać. Na najbliższy weekend na pewno pojedą do domu, myślał. Chociażby się paliło i cały „Wępol” stał w piekielnych płomieniach. Muszę trochę odpocząć. Rzygam już tą robotą.

Siedział w swoim gabinecie, zapalił wszystkie światła i patrzył z nienawiścią na dwie leżące obok siebie na biurku sterty dokumentów. Mniejsza, ta do podpisania, miała ze trzy centymetry wysokości. Większa, do zapoznania się, prawie dziesięć.

Delegowanie kompetencji — uznał. — Zdecydowanie muszę nad tym popracować. Po co tyle makulatury trafia na moje biurko? Trzy dni nieobecności i już cała góra papierów. Ib skutek złych nawyków wpojonych ludziom przez Dudusia. Chciał sam o wszystkim decydować. A to błąd.

Musisz umieć zachęcić innych do mądrego decydowania. Wtedy odnosisz sukcesy. Spijasz śmietankę z ich dobrych decyzji. A za złe walisz po łbie lub zatrudniasz nowych ludzi. Na tym polega nowoczesne zarządzanie personelem. Wywołać w nich wrażenie, że pracują samodzielnie. Trzeba jeszcze umieć przytulić do piersi ich sukcesy. Tego, na szczęście, nie ucą na żadnych kursach. Iskra talentu od Boga jest w tej dziedzinie niezastąpiona.

Zły humor nie opuszczał Knapa od momentu zakończenia kolacji w knajpce przy Notre-Dame w Paryżu. Teraz, w pochmurny poniedziałkowy ranek, irytowało go już dosłownie wszystko. Znowu będzie wiało? Zbliżający się wiatr halny tak działa na wielu ludzi. Wiedział o tym. Podobnie jak wiedział już, że Laskowscy coś ważnego przed nim ukrywają. Wcześniej nie martwiły się tym. Ich zbójcekie prawo. Zatrudniają go, dobrze płacą. Mogą mówić mu, co im się podoba, i nie mówić tego, czego powiedzieć nie mają ochoty. Ich zbójcekie prawo.

Ale jest jeszcze pani Aleksandra Kosma. Ona także mnie wykorzystuje, nie mówiąc nawet, do jakiego celu. Dałem się manipulować. Niepotrzebnie. To wcale nie jest przygoda z dużą dawką adrenaliny. Trzeba z tym skończyć.

Jak kończą się przygody pionka na cudzej szachownicy?

No właśnie. Nieciekawie.

Sucha gałąź rzucona przez wiatr uderzyła w okno. Knap postanowił otrząsnąć się z dołujących myśli. Wstał od biurka. Zrobił kilka przysiadów. Machnął rękami.

— Dam radę — powiedział do siebie. — Dasz radę, Adaś. Jesteś debeściak.

Przysunął do siebie stertę dokumentów. Dłuższą chwilę poświęcił raportowi z działu handlowego. Handlowcy jak zawsze donosili o planowanych sukcesach w sprzedaży. Za trzy miesiące. Zamówień na tkaniny mieli na całe moce produkcyjne zakładu. Ale dopiero za trzy miesiące. Im bliżej daty sprzedaży, tym bardziej zamówienia topniały. Klienci zmniejszali zamówienia, rezygnowali z nich lub przekładali je na następny kwartał. Dzięki temu handlowcy zawsze mieli w swoich raportach pracy pełny portfel zamówień na odległą przyszłość. Tylko na najbliższy miesiąc było kiepsko. Ale będzie lepiej. Za trzy miesiące.

Wywalić wszystkich. Zatrudnić nowych — pomyślał Knap. — Dostyc tego czarowania. Wymiana kierownika działu nic nie zmieniła. Ja rozumiem, że szmaty z „Wępolu” się nie sprzedają. Chińskie są tańsze. Ale po co tak kombinować? Dla tych paru groszy pensji...? Trzeba być naprawdę złym człowiekiem, żeby tak kłamać dla głupich półtora tysiąca złotych.

— Masz chwilę?! — Bez pukania wszedł Duduś. Uśmiechał się od ucha do ucha. Nie miał wiele czasu, więc tylko przez pięć minut opowiadał o swoich nowych pomysłach. Firma w branży internetowej.

Co go tak cieszy? — zastanawiał się Knap. Założenie nowej firmy? A co w tym wesołego? Kolejne inwestycje. A inne firmy ledwie zipią. Duduś ze Zwierzakiem doszli do wniosku, że za słabą sprzedaż w „Gielwanie” odpowiada Jaszuk, i wkrótce zamierzali go skasować. Może Knap zna kogoś dobrego na stanowisko dyrektora handlowego? Nie. Nie zna. Nie zna nikogo, kogo chciałby wpuścić w taki kanał. Gdy go zatrudniali, obiecywali środki na restrukturyzację

i rozwój sprzedaży. A teraz zamiast rozwojem handlu, Knap zajmuje się komornikami, długami i podpisuje zwolnienia grupowe.

Gdy tylko Duduś Laskowski wyszedł, Knap sięgnął po komórkę.

– Wiceprezes Jaszuk, słucham?

– Co ty, kurwa, nie masz mojego numeru w pamięci telefonu?

– Mam, oczywiście, sorki, Adaś, nie spojrziałem na wyświetlacz...

– Możesz rozmawiać?

– Oczywiście.

– Przed chwilą był u mnie Duduś. Chcą cię wywalić.

– Tak? – Knap usłyszał najpierw głupkawy śmiech, a potem zupełnie innym tonem wypowiedziane krótkie pytanie: – Dlaczego?

– Nie wiem. Zrób z tą informacją, co uważasz, ale zachowaj ją dla siebie. Ja nic nie mówiłem.

– Jasne. Dziękuję, Adaś. Dziękuję.

– Nie ma za co. Wołałbym dzwonić z lepszymi nowinami.

Knap wsunął komórkę do kieszeni marynarki. Po chwili wahania wziął do ręki teczkę.

– Wychodzę – powiedział sekretarce. – Idę na zakład.

Pracował w „Wełpolu” od blisko czterech miesięcy. Dopiero raz, w dniu, kiedy przyjechał podpisać kontrakt menadżerski, oglądał fabrykę. Teraz miał zamiar po raz drugi obejrzeć hale produkcyjne.

– Sam? – zakwiliła sekretarka-ważka. – Może poproszę dyrektora produkcyjnego albo dyrektora technicznego, żeby panu prezesowi towarzyszył?

– Sam – uciął Knap.

Niespodziewanym spacerem wywołał popłoch w całym zakładzie. Zanim obszedł wszystkie hale, dołączył do niego korowód dyrektorów, kierowników oraz ich zastępców. Szli kilka kroków z tyłu. Niektórzy mocno zasapani, po sprincie z innych działów fabryki, żeby nie dać się za bardzo wyprzedzić potencjalnej konkurencji.

Pomiędzy halami produkcyjnymi hulał wiatr. Szarpał Knapa za marynarkę. Zapinając swoje dwurzędówki, podążali za nim dyrektorzy. W rozwianych fartuchach ochronnych szedł średni szczebel zarządzania. Majstrowie nie odważyli się podejść. Patrzyli z oddali.

Komisarz Burski opuścił oparcie fotela i półleżąc, dłużej zapałką w zębach.

Od rana faks na komendzie policji co chwilę wypluwał kolejne zgłoszenie o niebezpiecznym dla zdrowia produkcie z jakiejś fabryki należącej do rodziny Laskowskich. Plotka, której źródłem było pismo rozesłane dwa dni wcześniej przez Sołtysika, zaczynała żyć własnym życiem. Zgłaszali się ludzie, którzy po spożyciu słodyczy z „Ziemowita” dostali rozwolnienia, oraz właściciele psów, co najadły się podejrzanego karmy i straciły animusz, a ich sierść nie miała już stosownego połysku.

Każda tego typu reklamacja trafiała do przyfabrycznego laboratorium, gdzie sprawdzano dostarczone próbki. Jeżeli takowe były. Często bowiem konsumenci ograniczali się jedynie do wyrażania w zgrabnie dobranych epitetach swojej opinii o produkcie.

Zadzwonił podkomisarz Gawron. O co chodzi z tymi zatrutymi produktami, dopytywał się. Prewencja, odparł Burski. A propos, jak tam komis Migaczka? Nie wiem, sprawę przekazałem, krótko uciął Gawron i szybko się rozłączył.

Ciekawie będzie dopiero od jutra, myślał Burski. Kiedy plotka dotrze do prasy. Miejskie plotki, jak ta o zatrutych słodyczach albo tamta, że w Ikea porywają dzieci, działają lepiej niż listy gończe.

Czekał do południa. Potem zmienił go Sołtysik. Kiedy zbliżał się zmierzch, Burski znowu zajął miejsce w samochodzie. Niedaleko furtki, obok której wisiała skrzynka PW AREX.

Kończyły mu się już zapałki do ogryzania, gdy jego cierpliwość została nagrodzona.

Lecz sukces był mikry. Miał jakieś sto dwadzieścia centymetrów. Na oko dwunastoletni chłopiec wyjął listy ze skrzynki. Wsadził je do kieszeni spodni typu bojówki i szybko odszedł.

Burski wysiadł z samochodu. Ruszył za wyrostkiem. Zmierzczał. W wąskich uliczkach, którymi szedł chłopak, mrok odklejał się od ścian i zasnuwał ulicę. Nieliczne ocalałe od kamieni lampy rzucały słabe światło. Burski musiał iść w miarę blisko, żeby nie stracić z oczu

chłopaka. Na szczęście tamten nie zdradzał żadnych oznak podejrzliwości. Szedł, podskakując od czasu do czasu. Coś tam pogwizdywał. Czasem rzucił kamieniem do świecącej się lampy. Wszedł w podwórko. Przeszedł je i usiadł na schodach. Zapadła już noc. Jedyne światło z kilku okien oświetlało podwórko. Latarnia straszyla pękniętym kloszem. Chłopak bawił się kamieniem. Jeden został mu w ręce z powodu zbyt małej liczby lamp, do których warto było rzucać.

Burski zatrzymał się w ciemnej bramie. Obserwował.

Dopóki nie poczuł przykrego szturchnięcia.

— No co, pedofilu? Chłopaczka ci się zachciało? — zapytał młodzieniec z wielkim bejsbolem, którym przed chwilą szturchał policjanta. Dwóch kolejnych, z takimi samymi narzędziami służącymi nie tylko do szturchania, stało obok tamtego.

— Nie lubimy pedofilów.

Tym razem kobiecy głos, zauważył Burski.

— Nie jestem żadnym pedofilem, ja...

— Zamknij ryja. Idź, pedofilu — przerwała mu dziewczyna w czapce z długim daszkiem.

Chłopiec nadal podrzucał kamień. Obok na betonowym stopniu ktoś przysiadł.

— Sam pan komisarz Burski nas zaszczycił — powiedział siedzący obok wyrostka mężczyzna.

— Co za splendor.

— Uff! — ostantacyjnie głośno odetchnął Burski. — Już się wystraszyłem. Twoi nowi koledzy są przekonujący.

— Oni po prostu nie lubią pedofilów.

— Zwłaszcza gliniarzy pedofilów nie lubimy.

— Nie jestem pedofilem. Nie chciałem tylko tracić czasu, oczekując na odpowiedź od ciebie.

Dlatego przyszedłem za chłopakiem.

— Każdy pedofil mówi, że nie jest pedofilem — odezwał się z tyłu kobiecy głos. — Ale potem się przyznaje. Zawsze się przyznają.

— Dajcie spokój, proszę.

— Ty też się przyznasz, zobaczysz.

— Czego chcesz? — zapytał siedzący na schodku.

— Porozmawiać. Oraz zakończyć to, co dawno temu zaczęłeś.

— Pogadajmy. — Mężczyzna wstał i podszedł do Burskiego. Utykał.

Przywitali się.

Ktoś westchnął głośno, jakby niezbyt zadowolony.

Kulawy prowadził go wąskim przejściem i ciemnymi zaułkami. Wyszli na tyły jakiegoś magazynu. Arek Łysko otworzył blaszane drzwi. Weszli. Zamigotała jarzeniówka. Burski rozejrzał się.

— Czyja to była obrączka?

— Kobiety, którą wyłowiliśmy razem z Krasnoludkiem z rzeki — odpowiedział Łysko.

— Kim ona jest? To Mary Kołuchowska?

— Nie.

— Jesteś pewien?

— Oczywiście.

— Dlaczego w takim razie podrzuciłeś mi tę obrączkę?

— Tamta kobieta miała na palcach także kilka pierścionków. Nie tylko obrączkę. Kiedy Krasnoludek pobiegł zadzwonić po karetkę, zdjąłem jej z palców biżuterię. Sprzedałem pierścionki. Potraktowałem je jako aport do firmy. Ta kobieta jest poniekąd założycielem mojej firmy.

Burski jeszcze raz omiół wzrokiem magazyn. Intrygowało go jednostajne buczenie dochodzące z kąta. W magazynie stało kilkanaście trumien. Różnych kolorów, kształtów i wielkości. Polakierowanych, gotowych do użytku.

— Pomagamy ludziom — dodał kulawy.

— Jak pomagacie?

— W czasach, kiedy społeczeństwo nie ma zaufania do narzuconego mu porządku prawnego, trzeba ludziom pomagać. Robimy to na różne sposoby.

— Aha... A po co przekazałeś mi twoje notatki z dochodzenia w sprawie wypadku Kołuchowskiego?

— Wiem, że wieszysz za tym gościem. Chciałem, żebyś wiedział.

— Co jeszcze wiesz o Kołuchowskim i Laskowskich? Potrzebuję jakiegoś porządnego punktu zaczepienia, żeby dobrać się im do dupy.

— Nic nie wiem. Sprawę wypadku kazano zatuszować. Wtedy postanowiłem odejść z policji.

— I to wszystko? — z niedowierzaniem zapytał Burski. — Oczekiwałem więcej, nie ukrywam.

— Z perspektywy czasu nieco inaczej patrzę na wszystko. Ofiara tamtego wypadku, Laskowska, nie chciała ścigania i ukarania sprawcy. Darowała mu. Okazała miłosierdzie. Ty potrafiłbyś okazać miłosierdzie?

— Nie płacą mi za miłosierdzie.

— Modlisz się czasem?

Burskiego zamurowało. Szybko jednak się otrząsnął.

— Ci twoi z bejsbolami to kółko różańcowe?

— Nie bluźnij. My pomagamy ludziom. Staramy się czynić to bez nienawiści. A ty?

— A ja chcę dorwać Kołuchowskiego i Laskowskiego.

— Mam wrażenie, że kieruje tobą jakaś osobista zemsta. Tak? Chcesz dopaść kogoś. Gardzisz kimś. Zemsta siedzi w tobie jak cierń wbity głęboko pod skórę. To zgubne, kolego. Wyrzeknij się.

— Rozmawiałem dwukrotnie z twoim ojcem. Nie jest mu lekko — odgryzł się Burski. — Pomyśl o nim a propos miłosierdzia.

Kulawy milczał przez chwilę. W jego oczach policjant nie dostrzegał nawet cienia sympatii. Znowu to samo, Bury, myślał. Tak się starasz, zabiegasz, nadskakujesz, a i tak nikt cię nie lubi.

— Zaczekaj chwilę.

Arek Łysko oddalił się, utykając. Burski podszedł do trumny, która wydawała mu się trochę za wysoka. Jej wieko było uchylone. Po co ja to robię? — pytał sam siebie, wkładając rękę do środka. Trumna z podwójnym dnem. Czego to ludzie nie wymyślą, żeby pomóc innym. Jakie to proste. Gdy trumna leży wśród bukietów i wieńców, nikt nie zwróci uwagi na jej nieproporcjonalną wysokość. Spojrzał jeszcze w ką, skąd dochodziło jednostajne buczenie.

Wrócił kulawy.

— Były w rzeczach tej dziennikarki. Leżała na jednej sali z Panną Nieznajomą. Masz. — Podał Burskiemu dwie pocztówki. — Popatrz na podpis.

— H.H? — przeczytał inicjały Burski.

— Mnie to raczej wygląda na M.H. Pocztówki przysłało z Tanzanii. Sądzę, że wysłała je Mary Hurtanyi.

— Albo Helen Hurtanyi, jej matka.

— Żegnaj, Bury. Nie szukaj mnie więcej.

Burski schował do kieszeni kurtki widokówki. Wyszedł. Kulawy został w środku.

Po co im w magazynie trumien zamrażarka? — myślał policjant, odchodząc. Płatanina wąskich ścieżek, wśród murszejących ścian budynków, prowadziła go dziewczyna. Współczesna Ariadna. Zamiast nici trzymała w dłoni kij bejsbolowy.

— Co tam w domu?

— O, cześć! Skąd dzwonicz? Z Paryża? — odpowiedziała żona Knapa.

— Nie. W nocy wróciliśmy do Polski. Już dzisiaj byłem w pracy.

— Kiedy przyjedziesz?

— Na weekend. A co tam u was?

— Wszystko dobrze. Chłopaki w szkole okay. Stopnie mają dobre.

— Są w domu?

— Nie, nie ma żadnego. Młodszy jest na hiszpańskim, a starszy na muzyce. A co u ciebie?

— Wszystko okay. Przyjadę na weekend, to pogadamy.

— No właśnie. Do zobaczenia. Całuję.

— Całuję.

Knap odłożył komórkę i nalał sobie chivasa. Potrójną, a raczej poczwórną porcję. Wypił duży łyk.

Ile to już trwa? — pomyślał. — Pięć...? Raczej sześć lat. Prawie sześć lat właściwie poza domem. Tylko niektóre weekendy spędzam z dziećmi i żoną. Wtedy im odpłacam za swoją nieobecność. Zabieram do najlepszych knajp w okolicy. Jemy carpaccio, poledwice w sosie pieprzowym i inne wynalazki. Mały tylko czasem wywołuje zakłopotanie, zamawiając kiełbasę z frytkami. Jak to dziecko. Ale w porządnym knajpie dobremu gościowi przyrządzą wszystko. Nawet kiełbasę na gorąco. Dziecko. Trzeba zrozumieć dziecko. Nigdy go nie strofuję w takich sytuacjach. I tak zbyt mało mnie ma... Ile razy jadąc samochodem przez jakieś wioski, gdzie widziałem na poboczu dzieciaki idące do szkoły, ścisnęło mnie w gardle? Takie maluchy z wielkim tornistrami i w czapkach z pomponami... Krasnale takie. Kochane krasnale. Móc widzieć przez okno domu, jak taki maluch wychodzi do szkoły mocując się z tornistrem, to jest smak życia. Twój maluch. Twoje dziecko. Z tornistrem, który pomagałeś założyć mu na plecy. Cholera. Czy to naprawdę warto...? Sześć lat... Moje dzieciaki nigdy nie będą już miały ośmiu, dziewięciu, dziesięciu, jedenastu, dwunastu ani trzynastu lat... Już tego nie zobaczę. Cholera. Dla tych kilkunastu tysięcy złotych netto, co miesiąc...? Niby dużo. Całkiem dużo. Może i warto.

Zadzwoniła komórka.

— Jestem w domu — powiedział. — Czekam na panią.

Zanim zdążył zejść po schodach na dół, Aleksandra Kosma stała już pod drzwiami.

Po chwili szedł za nią na górę, zastanawiając się, czy nie nazbyt pochopnie chciał oznajmić jej zakończenie współpracy. Jeszcze się wstrzymam, postanowił.

8.

Rankiem wiatr przegonił chmury. Niebo zajaśniało słońcem. Adam Knap otworzył okno, żeby poczuć w płucach, jak smakuje pogodny majowy poranek.

Założył koszulę i podszedł do dużej szafy.

Początkowo brał je na chybił trafił. Aż pewnego ranka zauważył, że niektóre są bardziej wymięte od innych. Wtedy postanowił działać systematycznie. Gdy masz ich ponad piętnaście, systematyczność to jedyne rozwiązanie.

Zaczynam od prawej strony. W miejscu, gdzie z wieszaka zdjąłem garnitur, zostawiam większą przerwę między ubraniami, żeby wieczorem wiedzieć, gdzie odwiesić wdzianko. Nawet gdyby człowiek miał problemy z rozbieraniem i szafa falowałaby przed oczami. Albo gdyby garnitur spędzał noc na podłodze, pospiesznie zrzucony, z nogawkami przewróconymi na lewą stronę, i dopiero rano odnajdywał swoje miejsce na wieszaku.

Jak jej było na imię? Agnieszka. Tak. Agnieszka miała bzika na punkcie garniturów. „Uwielbiam rozbierać cię z garnituru, misiu” – mruzczała. Była okay. Gdyby nie ten „misiu”. Jestem szczupłym, przystojnym facetem, a nie żadnym misiem. Wzgórek na brzuchu jest przecież niewidoczny. Zwłaszcza gdy leżę.

Na posiedzenie Rady Nadzorczej nałożę jednak coś ekstra – uznał Adam Knap. – Staromodną, czarną wełnę. Po prostu zmienię kolejność na wieszakach. Żeby za cztery dni znowu nie założyć tego samego.

W swoim gabinecie był na godzinę przed rozpoczęciem posiedzenia rady. Zdążył zjeść śniadanie i przejrzeć gazety, gdy zjawił się pierwszy z członków Rady Nadzorczej „Wełpolu”.

Było ich w sumie tylko pięciu. Zastępca dyrektora ds. klientów korporacyjnych z banku, gość z władz miasta i ktoś z sejmiku samorządowego. No i Duduś oraz senior Laskowski jako przewodniczący. Trzej pierwsi głosowali zawsze tak, jak pan przewodniczący sobie życzył. Tylko po to tu przyjeżdżali raz na trzy miesiące. Ale przyjeżdżali. Poświęcali swój cenny czas, chcieli być w porządku. Chociaż i tak dostaliby po te trzy tysiące złotych co miesiąc.

Pierwszy zjawił się dyrektor z banku. Młody chłopaczek. Chyba nawet przed trzydziestką. Teraz takich biorą na dyrektorów oddziałów bankowych. Niekoniecznie dlatego, że są tacy wykształceni i mądrzy. Po prostu świetnie wykonują polecenia.

Knap rozmawiał przez kwadrans z młodym bankierem o planach na wakacje, pogodzie i planowanych sukcesach „Wełpolu”. Plotki z porannych gazet na temat zatrucia produktów „Ziemowita” obaj starannie pomijali. Wreszcie zebrali się wszyscy członkowie Rady Nadzorczej oraz Zarządu. Można było rozpocząć posiedzenie.

– Witam wszystkich – zaczął senior Laskowski. – Punkt pierwszy posiedzenia to wniosek członków Zarządu, pani dyrektor finansowej i pana dyrektora handlowego o odwołanie ze stanowiska prezesa Adama Knapa. Proszę panią dyrektor finansową o przedstawienie uzasadnienia wniosku.

– Szanowni państwo – zaczęła Jolka. – Przyszłam do pracy w „Wełpolu” ponad rok temu i nie chcę być tą osobą, która będzie podpisywała wniosek o upadłość tej fabryki. A działania obecnego prezesa zmierzają właśnie w tym kierunku. Konieczne jest odwołania prezesa Knapa, gdyż...

Duduś...? – myślał Knap, kiedy po kilku sekundach oszołomienia zaczęło docierać do niego, co się dzieje. – Duduś to zorganizował? Czy senior...? Ta kretynka Jolka przecież sama nie wyskoczyłaby z takim wnioskiem... Dlaczego? No i po co ta maskarada? W moim porządku obrad nie było takiego punktu. Obawiają się jakiegoś oporu z mojej strony i dlatego wolą działać z zaskoczenia? O co chodzi?

– Czy pan prezes Knap chciałby zabrać głos w sprawie wniosku dwóch pozostałych członków zarządu? – zapytał senior Laskowski spokojnie, jakby referował aktualnie obowiązujące stawki amortyzacyjne na środki trwałe.

Knap nie potrafił odmówić sobie lekceważącego wzruszenia ramion. Zwłaszcza, że nikt na niego nie patrzył. Wszyscy studiowali wydruki z porządkiem obrad Rady Nadzorczej. Tylko młody dyrektor banku zerknął przelotnie na Knapa. Niepewnie. Może zastanawiał się, czy podczas rozmowy z niedawnym prezesem nie chlapnął czegoś, co może mu zaszkodzić w dalszej karierze. A może po prostu był ciekaw, jak wygląda prezes, który już nie jest prezesem i właśnie się o tym dowiedział.

— Nie widzę potrzeby — odpowiedział po ostentacyjnym wzruszeniu ramionami Knap. — Warunki zwolnienia mnie z funkcji są określone w moim kontrakcie. Jeżeli taka jest wola Rady Nadzorczej, proszę bardzo. Nie mam zamiaru trzymać się krzesła. Poza tym nie widzę powodu podejmowania dyskusji na temat, który celowo i z premedytacją nie został zamieszczony w porządku obrad Rady. To jakaś żałosna maskarada. Niczego więcej na ten temat nie mam do powiedzenia.

— Dziękujemy — odpowiedział Andrzej Laskowski, racząc salę swoim słynnym uśmiechem. — W takim razie poprosimy pana prezesa o opuszczenie posiedzenia. Pana obecność nie będzie już konieczna. Proszę, żeby był pan łaskaw poczekać na mnie w swoim gabinecie. Przyjdę tam wkrótce.

— Z największą przyjemnością. — Knap zgarnął ze stołu swoje papiery i wyszedł przez rozsuwane drzwi do sąsiedniego pomieszczenia.

Rozsiadł się wygodnie w wielkim, obrotowym, skórzanym fotelu. Znalazł w biurku papierosy. Zapalił.

Cztery miesiące — myślał. — Za mało, kurde, za krótko tu pracowałem. To nie będzie dobrze wyglądało w CV. Powinienem co najmniej rok... Pieprzeni Laskowscy. W cztery miesiące nie można niczego osiągnąć. Można tylko wylecieć na pysk. I to niestety będzie trudno ukryć w CV przed kimś, kto je potrafi czytać. No cóż, tak łatwo to ja wam teraz tego nie odpuszczę.

Wybrał w komórce numer jednego ze znajomych. Z czasów, gdy pracował dla sektora bankowego.

— Witaj, Krzyś, możemy chwilę porozmawiać?

— Witaj, Adamie. Już kończę rozmowę na drugiej linii, nie rozłączaj się — usłyszał serdeczny głos kolegi. Potem dotarli do jego uszu oschłe polecenia, jakie Krzysztof pospiesznie wydawał do drugiej słuchawki. „Raport na dziewiątą. Punktualnie. A tamtych dwóm podziękować. Bez odpraw. Dziękuję i do widzenia”.

— Już jestem cały twój. Słucham.

— Czy nie uważasz, że dawno się nie widzieliśmy, kolego?

— Zgadza się z tobą całkowicie. Bardzo dawno. Jesteś może w stolicy?

— Mogę być. Jutro.

— Ale ja jutro jadę do Krakowa...

— Jeszcze lepiej. Bliżej. Znajdziesz chwilę na obiad z kolegą?

— Z największą przyjemnością. Gdzie?

— Zaulek Świętego Tomasza. Knajpa „Cherubino”, znasz?

— Z ogromną przyjemnością jutro ją poznam. O szesnastej?

— Doskonale. Do zobaczenia.

— Całuję.

Drzwi rozsunęły się. Wszedł przez nie senior Laskowski.

— No to szybko, żeby nie przedłużać — oznajmił, siadając na sofie. — Podpiszemy rozwiązanie umowy za porozumieniem stron. Tak będzie znacznie lepiej dla pana. Zamiast wypowiedzenia. Porozumienie stron o wiele lepiej wygląda w dokumentach.

— To bez znaczenia. Mam trzymiesięczny okres wypowiedzenia. Oczekuję wynagrodzenia za ten okres. Oraz odprawy w wysokości półrocznych poborów, zgodnie z kontraktem. Także premii za przepracowane u was cztery miesiące w wysokości stu procent wynagrodzenia.

— Stu procent pensji miesięcznej? Nie ma problemu. Od jutra, a właściwie od zaraz będzie pan także zwolniony z obowiązku świadczenia pracy.

— Sto procent wynagrodzenia razy ilość przepracowanych miesięcy, panie przewodniczący.

— W porządek. Proszę poczekać pięć minut. Pójdę do Jolki, żeby przygotowała porozumienie. Pięć minetek.

Nieźle, pomyślał Knap, to tak, jakbym przez ponad rok miał otrzymywać kilkanaście tysięcy pensji za nicnierobienie. Całkiem nieźle. Tylko dlaczego? Dlaczego Laskowski jest taki ugodowy?

Przecież nie z wdzięczności za moją pracę, której i tak nie lubiłem.

Zapytać go, kiedy wróci, dlaczego właściwie mnie zwalniam?

Popatrzył w okno. Czyste błękitne niebo zapowiadało piękne popołudnie. Maj nareszcie uśmiechał się do niego.

Nie. Nie dam staremu tej satysfakcji. Będę ponad to. Poradzę sobie, tak jak zawsze sobie radziłem. Spadam na cztery łapy. A na was, panowie Laskowscy odegram się. Oj, jak ja się odegram.

Wstał. Podeszedł do okna. Nadeszła prawdziwa wiosna, zauważył.

Po podpisaniu rozwiązania umowy za porozumieniem stron oraz aneksu określającego terminy wypłat odpraw, wynagrodzeń i premii Knap zszedł do samochodu. Nie odezwał się nawet po drodze do sekretarki-ważki, która była w tym czasie tak bardzo zajęta grzebaniem w szufladzie, że mogła nawet nie zauważyć jego wyjścia. Miał trzy dni na zabranie swoich rzeczy z wynajmowanego przez „Wełpol” domku, odwiezienie ich do Lublina i zwrócenie samochodu.

Wyjechał passatem z parkingu, przejechał mostek i skierował się boczną drogą w stronę gór. Jechał przez las krętymi podjazdami, aż dotarł do parkingu na przełęczy. Tam wysiadł. Poszedł kilkadziesiąt kroków ścieżką do miejsca, gdzie lubił przyjeżdżać. Na polankę nad urwiskiem, skąd rozciągał się malowniczy widok. Beskidzkie pagórki. Wyspy zieleni. Gdzieśgdzie klocki domków. Białe kropki pasących się owiec. Maj.

Zjął krawat. Rozpiął koszulę. Zwinął krawat w kłębek i rzucił nim w dół. Spadał powoli. Niezdarnie.

Co dalej? Trzeba jakiś czas odpocząć. Szukanie nowej pracy może potrwać, więc przyjmę, że ten czas jest zaplanowanym odpoczynkiem. No i dokopać Laskowskiem. Wszystkim. Nie wnikając, czyja to była intryga, a kto był tylko bezwolną pacynką.

Nareszcie będę miał trochę czasu dla dzieci. To najlepsza wiadomość. Cała reszta to gówno. Poza moczem, oczywiście.

Nie jestem nawet specjalnie zdenerwowany, zauważył. To dobrze. Szkoda zdrowia na zbędne nerwy.

Knap zadzwonił do żony.

— O! Cześć... Znowu o dziwnej porze telefonujesz. Przepraszam, że jestem taka zaskoczona.

— Tak wyszło. Możesz rozmawiać?

— No.

— Rzuciłem robotę.

— Co?

— Z tymi Laskowskimi nie sposób się dogadać. Dzisiaj postanowiliśmy rozwiązać umowę za porozumieniem stron.

— Co ty mówisz? Szkoda...

— Tak trzeba było. Wcale nie szkoda.

— No i co teraz będzie?

— A co ma być, ha, ha. — Knap zdobył się na sztuczny śmiech. — Urlop przed następnym zadaniem. Jak w tym starym dowcipie.

— Jakim? — zapytała machinalnie, jakby myślała o czymś zupełnie innym.

— No tym, o działaczu partyjnym, którego koledzy zwolnili z jakiejś dyrektorskiej fuchy. Co wy teraz będziecie robić, kolego?, pytają. Ja mogę wszystko robić, odpowiada tamten, nawet kamienie tłuć. Dajcie mi tylko ludzi do tego. Ha, ha...

— No tak, przypominam sobie... Tylko że...

— Słucham?

— Wracasz do Lublina?

— Tak. Jutro.

— Aha... jutro.

– Nie cieszysz się? Głos masz jakiś dziwny. Nie ma się czym martwić. Pracy jest na świecie pod dostatkiem.

– Wiem, ale my odeszliśmy od ciebie.

Nie zrozumiał. Usłyszał, ale nie zrozumiał.

– My? Odeszliście...? O co chodzi?

– Tak. Już od kilku dni zastanawiałam się, jak ci to powiedzieć...

– Co ty pierdolisz, kobieto?!.. Jacy „my”?

– Nie klnij. Ja i dzieci.

– Odjechało ci?!

– Jeżeli nie przestaniesz kłąć, będę musiała się rozłączyć.

– Kurwa mać! Gdzie odeszliście?!.. Halo... Kurwa! Nie rozłączaj się!! Co jest...?

Wybierał numer żony jeszcze kilkunastokrotnie. Wreszcie odebrała.

– Co jest? – zapytał wściekły. – Co to znaczy?

– Uspokoiłeś się? Widzisz, Adam, jest ktoś inny. Dobry, czuły i wrażliwy. Opiekuńczy i troskliwy. Moje – szybko poprawiła się – nasze dzieci bardzo go lubią. Już jesteśmy po przeprowadzce. Ciebie przecież nigdy nie ma. Nie masz dla nas czasu... Jesteś tam...? Halo...? Jesteś? Czy znowu cię nie ma?

– Oddasz mi dzieci – odpowiedział.

– Nie mogę. Matka nigdy nie odda dzieci.

– Oddasz mi dzieci – powtórzył.

– Nie oddam. Żaden sąd nie odbierze matce władzy rodzicielskiej. Dowiadywałam się.

– Nie wątpię.

– Zwłaszcza że ojciec je zaniedbywał.

– Pracował, kurwa.

– Nie klnij. Wszystko nagrywam.

– Pierdol się i oddaj chłopaków.

– Do zobaczenia w sądzie.

Bożena rozłączyła się. Wyłączyła telefon na dobre. Mimo dwudziestu kolejnych prób już nie odebrała komórki.

Czterdzieści lat sukcesów – myślał Knap. – Olimpiady wiedzy, dyplomy z turniejów poezji. Kariera, władza, pieniądze, kobiety i wpływy. Dobre samochody. Wakacje, wycieczki i podróże. Rodzina. Dwóch przemiłych chłopców. Same sukcesy. Dziecko szczęścia. Obiekt zazdrości mężczyzn i westchnień kobiet.

I wszystko nagle pierdolnęło jednego słonecznego, wiosennego przedpołudnia.

Uspokoić się, powtarzał sobie. Uspokoić się.

Knap wstał. Oddychał głęboko. Kiedyś słyszał, że to działa. Wciągał długo powietrze aż po dziurki w nosie i wypuszczał je bez pośpiechu. Tak przez kilka minut.

Popatrzył na swoje dłonie. Nadal drżały.

Spacer po lesie, uznał. Przecież jestem w lesie. Zieleń drzew i łagodny poszum gałęzi działają kojąco.

Dreptał przez las, nie oddalając się jednak zbyt daleko od szosy. Patrzał pod nogi, starając się koncentrować uwagę na czymś innym, zewnętrznym, nie na własnych myślach. Z powodu braku o tej porze roku jagód, grzybów i poziomek dostrzegał tylko pozostawione przez ludzi śmiecie. Butelka. Rozdeptana puszką. Opakowanie po krakersach. Pudełko po supermocnych prezerwatywach o smaku truskawkowym. Wypchany niebieski wór.

Ktoś wrzucił do parowu duży wypchany worek. Właściwie dwa. Przewiązane sznurem od bielizny. Ze też komuś chciało się nieść wielki wór tak daleko od szosy po to tylko, żeby bezpłatnie pozbyć się śmieci. Knap pokręcił głową. Zająć czymś innym myśli. Uspokoić się. Niech wreszcie ten kafar w piersi zwolni obroty.

Większość ludzi jest po prostu popierdolona, jak powiedział Filozof. Może ubrał to w delikatniejszą formę. Widocznie był wtedy w lepszym nastroju niż ja teraz.

Knap podniósł z ziemi suchy patyk. Dźgnął nim nadmuchany jak balon, niebieski wór. Folia ugięła się nieznacznie, jak gąbka. Dźgnął mocniej. Przedziurawił folię.

Fetor, który wypłynął z wnętrza, sprawił, że zakręciło mu się w głowie. Cofnął się. Popatrzył na czubek kija. Ib, co przyczepiło się do chropowatego kija, wyglądało jak ludzkie ucho. Nadgnięte ludzkie ucho.

Pobiegł do samochodu. Wyjął z teczki wizytownik. Odszukał wizytówkę Burego.

W lewej ręce trzymał Iwa, a w prawej żyrafy.

Dwie żyrafy stały obok siebie, krzyżując długie szyje tak, że wyglądały jak wielki znak „X”. „X”, czyli niewiadoma w równaniu, pomyślał Burski. Pozdrowienia, życzenia i całuski podpisane na odwrocie inicjałami HH. Albo MH, jak twierdzi nawiedzony Kulawy. Helen Hurtanyi albo Mary Hurtanyi. Zamiast adresu zwrotnego — numer skrzynki pocztowej w okręgu, co wygląda na mapie Afryki jak pół Polski.

Panna Nieznajoma ze szpitala psychiatrycznego to nie Mary Hurtanyi. To już jasne. Gdybym jednak jakoś po cichu sprawdził te pocztówki...? Może ten trop doprowadzi mnie do rozwiązania sprawy sprzed lat. Tkwiącej we mnie jak cierń. Rzeczywiście. W tej kwestii Kulawy miał rację.

Lew z lewej dłoni leżał na zielonej trawie i patrzył na fotografa. Soczysta zielona trawa przypominała Burskiemu raczej zadbane trawnik przed domem prokuratora Iwańskiego niż park Serengeti, jak oznajmiał podpis.

W złym momencie pomyślał o Iwańskim. Zabrzęczał telefon na biurku. Do szefa, oznajmiła zwięźle sekretarka bossa.

W gabinecie komendanta prokurator Iwański właśnie podnosił do ust filiżankę zwieńczoną poduszczką mlecznej pianki. Burski powiedział: „Dzień dobry”, komendant kiwnął głową, nie zapraszając, żeby usiadł. Iwański siorbnął kawę.

— Mam nieodparte wrażenie, że popełniłeś błąd nadinterpretacji w związku ze zleconą ci sprawą szantażysty od puszek z psią karmą — powiedział płynnie i spokojnie komendant. Nawet jego usta zadrgały w lekkim uśmiechu na koniec.

Burski natychmiast zrozumiał, co robi tutaj Iwański i dlaczego boss zamierza szybko, bagatelizując sprawę, zakończyć nieprzyjemny incydent.

— Chciałem tylko upewnić się, czy nie ma realnego zagrożenia dla zdrowia konsumentów.

— Upewniłeś się? — zapytał komendant po chwili ciszy, wywołanej wyjątkowo długim i zgrabnym jak na Burskiego zdaniem.

— Tak. Na chwilę obecną nie stwierdzono realnego zagrożenia.

— Skąd w ogóle chory pomysł, żeby informować fabrykę „Ziemowit” o możliwym zagrożeniu zatrucia ich produktów? — odezwał się nieprzyjemnym tonem prokurator Iwański.

— Starając się podążać tokiem myślowym szantażysty, takie postępowanie...

— Nie — przerwał komendant. — Nie przesadzajmy. Facet usiłujący nieudolnie naciągnąć producenta psiej karmy na okup nie jest żadnym terrorystą ani wrogiem publicznym. Właśnie wysyłamy do fabryki „Ziemowit” pismo odwołujące twój niepotrzebny alarm. Włóż akta tej sprawy do szuflady i przynieś mi wniosek o umorzenie. Za jakiś czas. Jeżeli złoczyńca nie zaatakuję ponownie. Jakiegoś Azora albo Burka.

Obaj, komendant i prokurator, zarechotali.

Burski podwinął pod siebie ogon i wyszedł z gabinetu szefa. Nie widział sensu, żeby się stawiać. Czasem lepiej udawać głupiego.

Burski był już na korytarzu, gdy w kieszeni odezwała się jego komórka. Telefonował Adam Knap. Policjant zdążył pomyśleć, że może jednak mylił się co do niego. Może wcale sodówka nie uderzyła mu do głowy.

— Bury...? Znalazłem trupa w lesie.

A jednak. Zamiast kolegi telefonował petent. Szkoda.

— Znam tego człowieka. To znaczy denata — dodał ciszej Knap. — Już nie człowieka. To znaczy znałem go. Cholera, przyjeżdż, Bury. Szybko.

— Cześć.

Zaledwie wysiadł z samochodu, usłyszał za sobą kobiecy głos. Aleksandra Kosma wchodziła już przez otwartą bramę.

— Kiepski moment — burknął Knap.

— Taka praca — wzruszyła ramionami. — Zaproisz na kawę?

— Jasne.

Knap otworzył kluczami drzwi na klatkę schodową. Wpuścił kobietę pierwszą. Zatrzymała się zaraz za progiem. Poczekała, aż zamknął za sobą drzwi.

— Nie mam dzisiaj czasu. Daj — wskazała palcem na jego teczkę. Miała krótko obcięte paznokcie, bez kolorowego lakieru.

Knap wyjął z teczki magnetofon. Sprawdziła, czy w środku jest kaseta, i schowała magnetofon do swojej przewieszanej przez ramię torby wojującego ekologą. Chyba się uśmiechnęła. Ten ruch warg mógł zostać odczytany jako uśmiech. Przy sporej dozie dobrej woli, rzecz jasna.

— Wiem, że masz dzisiaj kiepski dzień. Nie przeszkadzam. Dziękuję za współpracę.

— To już koniec?

— Aha.

— Co za dzień... — mruknął Knap.

Wiedział, że powinien. Ale zdecydowanie nie miał nastroju, żeby pytać ją o cokolwiek.

Mogła mnie chociaż kopnąć w dupę — pomyślał. — Skoro mówić: „Dziękuję” nie potrafi.

9.

— Otwór wklucia o szerokości około pięciu milimetrów. Wnętrze rany — medyk sądowy rozchylił szczypczykami ranę — szarpane, co wskazuje na użycie narzędzia o ząbkowanym ostrzu. Kanał wklucia o głębokości... pomóż... — zwrócił się do technika. Unieśli gołe ciało. Lekarz zerknął na plecy denata. — Wystarczającej. To znaczy na wylot. Co to oznacza? — zwrócił się do Sołtysika stojącego w pobliżu stołu, na którym przeprowadzano sekcję.

— Napastnik uderzył bardzo mocno, aż ostrze przeszło na wylot? — powiedział jednym tchem Sołtysik.

— Nie sądzę. — Lekarz zerknął przelotnie na Burskiego. — To mało prawdopodobne. Raczej narzędzie zostało wbite w leżące ciało. Na to wskazuje zresztą plama opadowa. Widzi pan? Dolna część ciała w pozycji leżącej jest bardziej sina. Wbito nóż na przykład w czasie snu denata, doprowadzając w efekcie do snu wiecznego wspomnianego denata.

Medyk pokiwał głową, zadowolony ze zgrabnej wypowiedzi. Przyjrzał się twarzy nieboszczyka. Trup miał otwarte oczy, a jego usta wykrzywił grymas podobny do kwaśnego uśmiechu.

— Ty się, zając, nie śmiejesz... Obracamy na plecy.

Sprawnie przekręcili zwłoki.

— Wokół otworu wyklucia zakrzep krwi — po chwili mówił dalej lekarz. — Na głowie denata, pod zgrabnym kucykiem włosów, stwierdzono ranę tłuczoną. Otarcie naskórka, zakrzep krwi, rana tłuczona mogła spowodować uraz mózgowo-czaszkowy. Wracamy na plecki.

Znowu przekręcili trupa.

— Mówiłem, zając, ty się tak nie śmiejesz. — Lekarz wziął w palce skalpel i sprawnym, szybkim ruchem przeciął skórę na klatce piersiowej zwłok. — Brak krwi, nieboszczyk leżał na plecach. Krew spłynęła na dół. Znacnie ten dowcip o zajączku, co chciał nauczyć się latać? — Cicho zabzyczała elektryczna piłka w ręce medyka. Chrupnął przecinany mostek. Medyk odłożył piłę. — Przyszedł zajączek do orła i mówi: „Drogi orle, naucz mnie latać”. Orzeł na to: „Nie ma sprawy, zajączku. To łatwe. Dawaj, wezmę cię na tamto wysokie drzewo i pokażę ci, jak się lata”.

Otwartą klatkę piersiową denata rozchyłono teraz za pomocą rozwieraczy. Przykry zapach wypełnił pomieszczenie. Sołtysik przełknął kilkakrotnie ślinę. Lekarz zajrzał do bordowej jaskini z wnętrzościami i opowiadał dalej:

— Posadził orzeł zajączka na najwyższej gałęzi i mówi: „Teraz skacz. Pamiętaj tylko, żeby szybko machać łapkami. Wtedy polecisz”. Zajączek kiwa łebkiem. Strasznie się podпалиł na to latanie... O, proszę! Jaki piękny. — Medyk wyjął coś z jelit trupa. Opłukał pod wodą owalny przedmiot. — Będzie ozdobą mojej kolekcji. Piękny. Może pan kolega potrzymać?

Podał Sołtysikowi kamień żółciowy. Aspirant szybko obrócił się na pięcie. Wbiegł do łazienki, nie zamykając za sobą drzwi. Głośno rzygał.

— No i co z tym zajączkiem? — zapytał Burski. Stał nieco dalej od stołu sekcyjnego. Oddychał ustami. Domknął nogą drzwi do łazienki.

— Zajączek skoczył, oczywiście. Leci, macha łapkami, już, już wydaje mu się, że się wzbija. Cieszy się, że umie latać. Śmieje się! Ale niestety. Spada prosto w dół. Leży pod drzewem. Trup. Nadleciał orzeł. Usiadł obok zajączka. Patrzy na jego pyszczek wykrzywiony jeszcze w uśmiechu i mówi: „Ty się, zając, nie śmiejesz. Ty żeś zdrowo pierdolnął”.

Burski i technik pomagający lekarzowi zarechotali.

— Dziwne. — Medyk nagle zmienił ton. — Z zewnątrz denat wygląda, jakby odszedł od nas ze cztery, pięć dni temu. Proces gnilny w okolicy rany wklucia jest już wyraźnie widoczny. A tymczasem wewnątrz szanownego denata nic. Niemal nie widać oznak rozkładu ciała... Ciekawe. Wytniemy kawałek mięśnia sercowego i pod mikroskop.

Tak zrobił.

— Pan kolega zechce rzucić okiem? — zapytał wracającego z łazienki Sołtysika. Tamten tylko pokręcił głową.

— W tkance mięśnia sercowego są jeszcze kryształki lodu, panie komisarzu — teraz lekarz zwrócił się do Burskiego. — Ten gość był zamrożony. Został zabity, a następnie zamrożony. Ciekawe, w czym? Oraz na jak długo? Ustalenie daty zgonu chwilę potrwa. Ale zrobię to. Ten przypadek naprawdę mnie zaciekawił. Na razie, Bury, mogę ci powiedzieć tyle, że...

Przerwał, patrząc kilkanaście sekund w lunety mikroskopu. Wreszcie uniósł głowę.

— Sądząc po wielkości kryształków lodu można przyjąć, że proces zamrażania trwał dosyć długo. Kilka godzin. Nie zastosowano na przykład ciekłego azotu ani innej substancji powodującej natychmiastową hibernację. Myślę, że... tego faceta po prostu włożono do zamrażarki. Zwykłej, spożywczej zamrażarki. A kto to właściwie jest?

— Radosław Zibik — odparł Burski. — Detektyw poszukujący szantażysty, który groził zatruciem karmy dla psów. Pisano o tym w gazetach.

— Ktoś go zabił z powodu karmy dla psów? Powiedziałbym, że to niedorzeczne, gdybym codziennie nie kroił tu denatów zabitych z jeszcze bardziej błahych powodów. Odnowa moralna w naszej RP idzie jak burza. Zmiana wszystko... Ej...

— Tak?

— Ten uśmiech coś ukrywa... — Medyk rozchylił zgrzyz denata. Wyjął mu z jamy ustnej świątek papieru. Skrawek gazety.

— No proszę. Strzęp „Wyborczej”. Może rację mają ci, którzy mówią, że „Wyborcza” szkodzi?

— Dusza?

— Tak, słucham — odpowiedział mu męski głos.

— Dusza...? Adam Knap z tej strony. Z „Wełpolu”.

— Pan prezes...? Dzień dobry — ostatnie dwa słowa zostały już wypowiedziane z wyraźnym wysiłkiem, wręcz z cierpieniem.

— Już nie prezes. Zakończyłem karierę u Laskowskich. Jesteś w domu?

— Tak. Jestem przecież na zwolnieniu, panie prezesie — odpowiedział chory handlowiec z „Wełpolu”. Najzdolniejszy i najskuteczniejszy. Czyli także najsprytniejszy. Taki, którego wszyscy lubią, bo nie daje im innego wyjścia. Innymi słowy, urodzony sprzedawca.

— Nie jestem już prezesem. Słyszałeś. I nie interesuje mnie twoje zwolnienie. Mam sprawę. Jeżeli nie leżysz obłożnie chory w płataninie kabeleków i rurek albo w gipsowym gorsecie, to przyjedź do mnie. Do domu.

— Ale zwolnienie lekarskie...

— Potrzebuję kierowcy. Muszę jechać do Krakowa, a wczoraj za dużo wypięłem. Pomożesz?

— Zaraz będę, panie prezesie.

Dziesięć minut później z białego punto wysiadł krótko ostrzyżony mężczyzna. Około trzydziestoletni. Knap czekał już na niego pod domem.

— Cieszę się, że już lepiej się czujesz, Dusza.

— Na życzenie pana prezesa. Natychmiast.

— Zawieziesz mnie do Krakowa? Masz. — Knap podał mu kluczyki od passata. — Nie nadaję się dzisiaj do jechania samochodem. Wstaw swoje auto do garażu.

— Co się stało, panie prezesie? — zapytał Dusza, gdy już ruszyli.

— Przestałem być prezesem. Rozstałem się wczoraj z „Wełpołem”.

— To wiem...

— A, pytasz o mój wygląd? Wywróciłem się.

Kierowca pokiwał głową.

— Wspaniale prowadzi się tego passata — powiedział. — Czysta przyjemność. Ile to cacko pali?

— Pięć litrów ropy.

— Cudownie. Cudownie byłoby mieć takie cacko.

— Dusza...

— Tak, panie prezesie?

— Nie mów do mnie: „prezesie”. Na imię mam Adam. A tobie jak właściwie na imię? Wszyscy wołają na ciebie: „Dusza”.

— I niech tak zostanie — uśmiechnął się handlowiec.

— Jak chcesz.

Jechali bocznymi drogami wijącymi się wśród pagórków. Dusza prowadził cokolwiek zbyt brawurowo, ale pewnie. Knap oglądał przez okno krajobrazy Beskidu Żywieckiego.

— Zatrzymaj się przy sklepie — powiedział, kiedy przejeżdżali przez wioskę. — Piwo dobrze mi zrobi.

— To, że zakończyłem współpracę z Laskowskimi, to drobiazg — odezwał się ponownie, gdy kończył już puszkę. — Pracy jest pod dostatkiem. A z nimi po prostu dogadać się nie da.

— Oczywiście. Masz rację — potwierdził bardzo szybko handlowiec. — Laskowscy... Czerwona nomenklatura.

— To już nie miało sensu. A potem dowiedziałem się jeszcze, że żona ode mnie odchodzi i zabiera dzieci. — Knap zgniół puszkę.

— Kurwa — westchnął kierowca. Był dobrym sprzedawcą. Z każdym i o wszystkim potrafił rozmawiać, a przynajmniej sprawnie w rozmowcy wrażenie, że właśnie to robi. Tak kupował zaufanie, żeby potem samemu zacząć sprzedawać.

— A to już wesołe nie jest... — Knap pokiwał głową.

— No i co zrobisz?

— To, co zrobiłby każdy normalny facet. Poszedłem do nocnego klubu. Wypiłem też trochę za dużo. Chyba dostałem od kogoś po twarzy, sądząc po opuchliznie i siniaku pod okiem. Na szczęście nie zabrałem ze sobą portfela ani komory. Tylko trochę drobnych na zabawę. Skoro straciłem wszystko, to zabawa musiała być dobra.

— Który to był klub...? Mam paru kolegów na mieście.

— Nieważne. Nie warto. Czasem trzeba dostać po twarzy. To pomaga.

Nie jedli w „Cherubino”. Wypili po kufku piwa i wyszli pospacerować po krakowskim rynku. Knap dał już wcześniej Duszy pięć dych na obiad. Szedł teraz obok Krzysztofa, z którym znali się od kilku lat. Była to znajomość biznesowa, ale z gatunku tych, które rokują na przyszłość. Czasem tak po prostu jest. Spotykasz człowieka i od razu wiesz, że obaj odbieracie na podobnej częstotliwości. Krzysztof Bosek był jednym z wiceprezesów niewielkiego, ale agresywnie rozwijającego się banku.

— Ja już jestem „po” — podsumował informacje Knapa o małżeńskich problemach kolega. — Rozwiodłem się trzy lata temu. Mam teraz wspianego dwuletniego chłopaka. A nowa żona jest fantastyczna. No i młodsza o dziesięć lat.

— Gratulacje.

— Masz do mnie jakiś interes czy chciałeś zapytać o pracę?

— Pracę znajdę sobie sam. Nie będę ci zaprzętał głowy.

— Jakby co, to zadzwoń. Może będę mógł coś dla ciebie zrobić.

— Dzięki. Na razie zamierzam tylko sprzedać ci informację o dobrym interesie.

— Sprzedać? — Bankier pogładził wąsy. Włosy na głowie stracił jeszcze w wieku licealnym. Ich brak rekompensował sobie obfitymi wąsami.

— Tak. Za to piwo, które postawiłeś w „Cherubino”. Znasz trochę firmy rodziny Laskowskich?

— Niespecjalnie. Jakiś niewielki kredyt u nas brali. Nie pracujemy razem na większą skalę.

— Wiem.

Minęli Kościół Mariacki. Czterech akordeonistów grało dla tłumu gapiów Marsza tureckiego. Ze szczytu wieży popłynął nad miasto hejnał.

— Laskowscy mają dużo kredytów. W kilku bankach. Wiem, w jakich. Gdyby jeden bank zebrał te wszystkie wierzytelności... — mówił Knap.

— Wrogie przejęcie?

— Dlaczego akurat wrogie?

— Dużo tego jest? — zapytał wiceprezes banku.

— Mniej niż dwadzieścia pięć milionów.

Szli teraz obok kamienicy, gdzie mieścił się EMPiK. Ogonek ludzi stał już pod drzwiami. Na trzecim piętrze znany autor powieści sensoryjnych podpisywał swoje książki.

— Niedużo i dużo zarazem — dodał po chwili paury Knap. — Nie będą w stanie tego oddać, gdy bank wypowie im wszystkie kredyty. Nie mają żadnych większych rezerw. Trochę

niezastawionych akcji „Ziemowita” ma Duduś i Romek. Nie wystarczy im na spłatę kredytów.

— „Ziemowit” ma na giełdzie całkiem miłą kapitalizację — wtrącił bankowiec.

— Nietrudno policzyć ewentualny zysk... Możesz zostać Bankowcem Roku.

Hejnał umilkł. Szerokim łukiem ominęli stado gołębi, żeby nie przeszkodzić im w konsumpcji i nie narazić się na ptasią zemstę.

— Mam w umowie klauzulę o tajemnicy służbowej, więc nie będziesz się mógł na mnie powołać. Ja niczego ci nie mówiłem.

— To oczywiste.

— Powiem ci tylko, ile i w jakich bankach mają kredytów. Zrobisz z tym, co będziesz uważał. Po prostu zaszli mi za skórę, a myślą, że wszystko ujdzie im bezkarnie.

— Żle myślą.

— Noworośli kapitaliści. Zaślepieni sukcesem.

— Wdzięczny klient — podsumował Krzysztof. — A tobie... właściwie do czego zmierzasz? Co chcesz osiągnąć?

— Odegrać się. Dać im nauczkę.

— Zemścić?

— Staromodne słowo. Zaszli mi za skórę. Powinni ponieść karę. Dobrze byłoby ich załatwić. Obu. Seniora i Dudusia.

— Jasne.

Teraz mijali stojącego pod ścianą cymbalistę. Na swoich wielkich cymbałach wygrywał także Marsz turecki.

— Zrewanżujemy się, jeżeli podejmiemy decyzję o wejściu w ten interes — dodał wiceprezes banku.

— Polegam na twojej kulturze, stosownym wychowaniu i znajomości zasad współżycia społecznego.

— Gdzie mają te kredyty?

— Proszę. — Knap podał koledze złożoną kartkę.

— Na wydruku jest wszystko, o czym wiem.

— Odezwę się. — Krzysztof z uśmiechem wyciągnął dłoń. — Cześć. Czas już na mnie. Znajdź sobie nową.

— Słucham?

— Nową żonę sobie znajdź. Odżyjesz. Zobacysz.

Bankier poszedł w stronę Plantów. Knap dreptał dalej po rynku. Pod oknami Księgarni Hiszpańskiej widział już czekającego Duszę.

— Musimy dzisiaj wracać? — zapytał Dusza.

— Nie musimy.

— Pozwoliłem sobie zatem zrobić telefoniczną rezerwację w nieodległym hotelu. Dwa pokoje, bo spotkałem koleżankę, a ona też ma koleżankę, tylko...

— Tylko co?

— Nie wziąłem pieniędzy z domu. Ten wyjazd trafił się, że tak powiem, nagle i bez należytego przygotowania.

— Nie ma problemu. Płacę za wszystko — odpowiedział Knap. — Kiedyś trzeba zacząć za wszystko płacić — dodał ciszej.

— Słucham? — zapytał Dusza.

Nie dosłyszał, bo dwaj gitarzyści siedzący nieopodal, pod ścianą kamienicy, zaczęli grać Marsz turecki Mozarta.

Młody mężczyzna spojrział na zegarek. Za chwilę zacznie się film. Bardzo chciał obejrzeć ten film. To jeden z jego ulubionych. Dziecko nadal brykało po pokoju. Kilkuletni malec, dysponujący nadmiarem niespożytej energii, skakał z fotela na narożnik, kładł się na stole, czołgał po nim i zeskakiwał na podłogę.

Pokrzykując: „Hurra!”, ponownie atakował fotel. Jęczały sprężyny. Trzeszczał stół. Dudniła podłoga pod małymi stopami.

Mama dziecka znowu musiała zostać dłużej w pracy. Była niezmiernie szczęśliwa, że dostała posadę w sekretariacie prezesa „Wępolu”. Na umowie o pracę wpisano jej stanowisko:

„Sekretarz”, a nie „Sekretarka”, co z dumą podkreślała. Wszak sekretarz to poważna funkcja, a nie dziewczę w kusej spódniczce od kawy i herbaty. Niedawny dyrektor personalny „Wełpolu”, zwany czasem Zwierzakiem, wiedział, jak motywować pracowników.

Tego dnia mama rozbrykanego malucha znowu zadzwoniła do męża, że może wrócić późno. Dużo pracy w firmie. Mąż sekretarkiważki wiedział z jej relacji, że poprzedniego dnia zwolniono następnego prezesa fabryki i w „Wełpolu” panowała nieco nerwowa atmosfera. Jego żona nie mogła wieczorem zasnąć. Martwiła się, czy nie zaszkodzi jej to w karierze. Była przecież sekretarzem prezesa. Bardzo bliskim współpracownikiem.

Ojciec brykającego malucha wyjął z kuchennej szafki bombonierkę. Bombonierka będzie najlepsza, uznał. Zwłaszcza że miał zamiar oglądać Foresta Gumpa. Słodycze z „Ziemowita” na pewno nie należały do najlepszych, jakie można było kupić w sklepach. Od kiedy jednak jego żona rozpoczęła pracę w jednej z firm rodziny Laskowskich, kupowała wyłącznie słodycze z „Ziemowita”. Identyfikacja z firmą funkcjonowała jak należy. Zwierzak byłby zadowolony. Te słodycze są przynajmniej tanie, pocieszał się ojciec dziecka. Zdjął celofan z pudełka ozdobionego zdjęciem wielkiego kwiatu magnolii. Przeszedł do salonu, gdzie niestrudzenie rozrabiał jego syn.

— Co masz? — zapytał malec.

— Coś bardzo pysznego dla synka kochanego.

— O! — Chłopiec zaciekał się dziwną harmonią usłyszanego zdania. — Coś pysnego dla synka kochanego. Lane. Daj!

— Za chwilę, kochanie. Jak się zacznie film. Będziesz oglądał z tatusiem, prawda? Odpoczniesz sobie, nie będziesz już brykał jak tygrysek...

— Jak tygłysek! — zakrzyknął malec i odbijając się od podłogi, wskoczył na fotel. Wykonał na nim kilka podskoków, przeskoczył na narożnik, a stamtąd rzucił się szczupakiem na stół. Przejechał brzuchem po blacie, głośno się śmiejąc.

Przerwa na reklamy dobiegła końca. Rozpoczęła się projekcja filmu.

— Ciii, mały akrobato, masz, poczęstuj się. — Młody ojciec otworzył bombonierkę i położył ją na stole. — Oglądajmy.

Chłopiec wziął do każdej małej rączki po czekoladce. Usiadł na fotelu. Na ekranie białe piórko upadło pod stopami Foresta Gumpa. On także otworzył bombonierkę. Ojciec chłopca włożył do ust czekoladkę. Trzymał ją na języku. Nie rozgryzał. Dotykał praliną podniebienia. Delikatnie zlizywał czekoladę. Lubił oddzielać smaki w pralinkach. Najpierw czekoladowa otoczka wypełniała słodyczą jamę ustną, a dopiero później rozlewało się po języku nadzienie. To było najlepsze.

— „Życie jest jak pudełko czekoladek...”

Krzyk dziecka przerwał w połowie wypowiedziane z ekranu zdanie.

— Przestań — skarcił go ojciec. — Nie rób teraz samolotu.

Dziecko krzyczało coraz głośniej.

— No, co?! — Spojrzał na syna, rozgryzając trzymaną w ustach czekoladkę.

Z otwartych ust malca płynęła krew. Brązowo-bordowe strużki wymieszanej z czekoladową kureturą krwi ściekały po małej bródce.

— O cholera! — Ojciec dziecka poczuł, jak coś kaleczy go w język, dziąsła, podniebienie i przełyk.

— Wypluj! — krzyknął do dziecka, sam plując na stół tym, co miał w ustach.

10.

Knap i Dusza wrócili do Bielska już około dziesiątej rano. Stali przez kilka minut na ulicy przed domem, który „Wełpol” wynajmował dla Knapa, i żegnali się długo, obiecując sobie nieszczercze, jak to w takich sytuacjach, że rychło się spotkają. Dusza wyprowadził już swoje punto z garażu. Stało z uchylonymi drzwiami.

– Dzień dobry – usłyszeli męski głos z samochodu, który przystanął obok punto.

– Dzień dobry, panie kierowniku – pierwszy zareagował Dusza.

– Już nie jestem kierownikiem – odpowiedział ze sztucznym uśmiechem tamten w samochodzie. Nie musiał. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Knap wyrzucił go z funkcji kierownika działu handlowego przed dwoma tygodniami.

– Dzień dobry, panie Piotrze – kiwnął głową Knap.

– Ib pan także, prezesie, nie pracuje już w „Wełpolu”, jak słyszałem? – Tym razem jego uśmiech nie był sztucznym miodem. Był autentyczny i szczery.

– Tak bywa. O czym obaj wiemy doskonale – odpowiedział Knap. – Ta dziwka fortuna raz jest pod tobą, a raz na tobie. Jak to w życiu.

Dusza i Piotr Drewnicki zaśmiali się grzecznie.

– Tym razem obu nas wydymała, prawda, prezesie?

Wspólne problemy jednoczą ludzi.

– Mów mi Adam – powiedział Knap.

– Piotr.

– Co ty tu jeszcze robisz?

– Zabieram resztę rzeczy do Lublina. – Drewnicki, podobnie jak wielu innych menadżerów w fabrykach Laskowskich, pochodził z Lublina. Tak jak Zwierzak, który ich zatrudniał. – Po zwolnieniu z pracy zostałem jeszcze trochę w Bielsku. Nareszcie miałem czas pochodzić po górach. Odetchnąć pełną piersią. Polecam. W kontakcie z przyrodą człowiek odżywa.

– Święta prawda. To teraz jedziesz do Lublina? Może zabrałbym się z tobą? Co? – zapytał Knap. – Od razu oddałbym samochód oraz wszystkie klucze i nie musiałbym już tutaj wracać.

– Jasne. Pakuj się.

Knap i Dusza przynosili z domu torby. Drewnicki układał je w bagażniku. Zapełnili skodę kombi po dach. Najwięcej miejsca zajęło piętnaście garniturów. Tył samochodu usiadł.

Knapowi wydawało się, że wszyscy sąsiedzi patrzą z okien, jak szykuje się do pośpiesznej, wymuszonej ewakuacji.

Pożegnali się z Duszą. Pół godziny później podjechali skodą pod „Wełpol”, gdzie Knap zostawił przed budynkiem zarządu samochód. Klucze oddał młodemu księgowemu, przyslanemu przez dyrektor finansową. Chłopak unikał wzroku niedawnego szefa. Wziął klucze, burknął coś, że polityka nie jest dla niego, i pośpiesznie odszedł. Knap nie wchodził na górę. Nikt więcej z budynku zarządu nie wyszedł do niego. Widział tylko drgające w oknach vertikale. Szybko odjechali.

Rozmowa w drodze im się nie kleiła. Knap nigdy nie przepadał za Drewnickim. Handlowcy pokroju Duszy, ci o ułańskiej fantazji, nazywali go Drewnaldo. Co doskonale oddawało usposobienie Drewnickiego. Był mężczyzną trzydziestokilkuletnim, średniego wzrostu. W jego wyglądzie trudno było dopatrzeć się czegokolwiek poza nijaką przeciętnością. Sztywny, pedantyczny, drętwy. Drewnaldo.

Knap próbował kilkakrotnie dodzwonić się do żony. Nie odbierała. Wielokrotnie wyjmował z kieszeni telefon. Sprawdzał aparat. Poprosił nawet Drewnickiego o telefon i zadzwonił na swoją komórkę. Działała. Nawet w Wielkanoc ani w Boże Narodzenie to się nie zdarzało. Od dwudziestu czterech godzin nikt do niego nie telefonował.

Minęła zaledwie doba, ale wszyscy znajomi, koleżanki i koledzy już wiedzą – uznali. Wszyscy dowiedzieli się bardzo szybko, że przestałem być ważnym prezesem. Taka wiadomość rozchodzi się błyskawicznie. Chwilowo nie jestem nikomu potrzebny.

Mieć przyjaciół. Jakie to miłe.

Jako jedyny zadzwonił Burski. Knap ucieszył się z tego telefonu. Myślał o Burym. Czuł, że winien jest dawnemu koledze pewne wyjaśnienie.

— Sprawa jest niestety poważna — oznajmił komendant.

Burski poprawił się na krześle. Tym razem pozwolono mu usiąść w gabinecie komendanta. Iwański jak zawsze pił cappuccino. Ale Burski nie zwracał na niego większej uwagi. Jego oczy mimowolnie uciekały w bok, gdzie na sąsiednim krześle siedziała kobieta w krótkiej spódnicy i czarnych pończochach na zgrabnych nogach.

— Protokół z medycyny sądowej, przezakasowany przed chwilą, stwierdza, że w pralince marki „Ziemowit” o nazwie handlowej „Magnolia” znaleziono drobinki szkła i żyłek. Czekoladki zakupiono w hipermarkecie. Wyglądały jak zapakowane fabrycznie. Laboranci ustalili, że — komendant spojrzął na protokół — „praliny zostały otwarte ostrym narzędziem, ze środka usunięto część nadzienia o smaku toffi, zastąpiono je szkłem oraz połamanymi żyłkami, a następnie ponownie przyklejono część uprzednio otwartą”.

— List, który wpłynął dzisiaj do sekretariatu fabryki „Ziemowit” — kontynuował komendant — z żądaniem okupu w wysokości dwustu tysięcy złotych wygląda na sporządzony przez tego samego człowieka, co poprzednie, dotyczące psiej karmy. Ta sama technika wyklejanki. Brak śladów. Te same dwa konta bankowe. Wygląda na to, że nasza wcześniejsza hipoteza o możliwości takiego postępowania ze strony szantażysty okazała się trafna.

„Nasza” — pomyślał Burski. — „Nasza hipoteza”. A jeszcze niedawno obaj, szef i Iwański, twierdzili, że to mój chory pomysł.

— Komisarzu Burski — odezwał się Iwański. — Trzeba szybko złapać tego szaleńca.

— Oczywiście, panie prokuratorze. Trzeba — odpowiedział Burski.

— Jak ma pan zamiar to zrobić?

— Proponuję zapłacić okup. Dwieście tysięcy to dla Laskowskich nie majątek.

— Łatwo pan wydaje cudze pieniądze — odparł prokurator. — Zagrożenie zdrowia konsumentów to nie tylko problem państwa Laskowskich. To problem państwa. To znaczy kraju. Władzy. Nas wszystkich.

— Pan prokurator może dostać zgodę na użycie państwowych pieniędzy do zapłacenia okupu — usłużnie zauważył komendant.

— Jasne — potwierdził Burski. — W gruncie rzeczy to wszystko jedno, czy kasa trafi najpierw do Laskowskich i przejdzie przez ich ręce, czy też bezpośrednio do jakiegoś szantażysty.

Kątem oka zauważył uśmiech na twarzy kobiety. Zerknęła na Burskiego. Miała oczy barwy miodu.

Komendant i prokurator puścili uwagę Burskiego mimo uszu.

— Potrzebuję kilku ludzi do pomocy — kontynuował nagle rozochocony Burski. — W tym bystrych informatyków. Konieczny jest stały kontakt z bankami i monitoring operacji na kontach. Jeżeli mu zapłacimy, nie będzie musiał znowu atakować, a my klasyczną techniką psów gończych wytropimy go po śladach pieniędzy i złapiemy. Najważniejsze to przewidzieć jego plan. Facet ma po sto tysięcy na dwóch rachunkach bankowych. Rachunki są w bankach internetowych, ale takich, które mają również oddziały. On może zgłosić się do jakiegos oddziału na drugim końcu kraju, żeby dokonać wypłaty. Konieczna będzie gorąca linia i możliwość błyskawicznej współpracy na terenie całego kraju. W miastach, gdzie są oddziały obu banków. Może także wypłacać pieniądze w bankomatach. Do każdego rachunku posiada subkonto, czyli drugi rachunek i drugą kartę bankomatową. Żeby przelać pieniądze na te dwa dodatkowe konta, będzie musiał się logować poprzez internet lub telefonować do centrali banku, albo odwiedzić oddział. Dzięki monitoringowi kont będziemy wiedzieli, kiedy i gdzie się pojawił.

— Ile może wypłacić z bankomatów? — zapytał prokurator.

— Dwa tysiące dziennie z każdego konta. Taki jest limit na kartach. Razy cztery to maksimum osiem tysięcy złotych. Potrzebowałyby na to prawie miesiąc.

— Czyli mało prawdopodobna hipoteza — rozłożył ręce prokurator.

— Może także zrobić przelew na inne konto. Ma usługę eliksir, to płatny szybki przelew. Jeżeli wyda przez internet dyspozycję przelewu, to już po następnej sesji bankowej pieniądze

będą na innym rachunku. Sesje bankowe są trzy w ciągu dnia. O dwunastej, piętnastej i dziewiętnastej. Tylko w dni robocze.

– Także przelew za granicę? – zapytał komendant.

– To co najmniej dwa dni – odpowiedział Burski. – Nie ma rachunku walutowego, konieczne byłoby przewalutowanie.

– Tak czy siak – odezwał się Iwański – jeżeli spróbuje zrobić przelew z rachunku, będziemy mieli przynajmniej kilka godzin, zanim pieniądze fizycznie znajdą się na innym rachunku i ktoś będzie mógł z nich skorzystać?

– Dokładnie tak.

– No to nie ma facet zbyt dużych szans, prawda? – Iwański uśmiechnął się do kobiety.

Zalotnie, a właściwie obleśnie, zauważył Burski.

– Jak szeroko określiliby kolega krąg podejrzanych? – odezwała się pierwszy raz. Do Burskiego, ignorując śliniącego się prokuratora.

– Bielsko i okolice, koleżanko. Kilkaset tysięcy ludzi.

– W naszej rozmowie padało nazwisko Laskowskich, tak? Nie przekręcam nazwiska? – upewniła się miodowooka. – Fabryka „Ziemowita” mieści się kilkadziesiąt kilometrów od Bielska. Niewielu ludzi kupujących czekoladki wie, do kogo należy produkująca je fabryka. Jeszcze mniej będzie wiedziało, że ci sami ludzie są właścicielami firmy produkującej psią karmę na terenie zakładów „Wępol”. Nieodparcie nasuwa mi się skojarzenie z zemstą.

– Zemsta – zripostował Burski – to może zbyt duże słowo. Na pewno mamy do czynienia z kimś, kto o powiązaniach właścicielskich wie. I ten ktoś lub jego znajomy albo krewny mógł na przykład pracować w jakimś zakładzie Laskowskich. To będzie nadal kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

– Racja – znowu uśmiechnęła się do Burskiego.

Komisarzowi zrobiło się ciepło w brzuchu.

– Na zwłokach tego zamordowanego detektywa powinny zostać jakieś ślady – odezwał się Iwański. – Przynajmniej mikroślady. Zawsze coś zostaje.

– Oczywiście – potwierdził Burski. – Mikrowłókna z tkanin. Był przecież w coś ubrany, zanim morderca rozebrał go, włożył do worków i zamroził. A następnie, po trzech, czterech dniach, wywiózł do lasu.

– Pytajcie wszystkich przy drodze do tego lasu. Pytajcie chłopów, co mają w pobliżu pola. Dajcie ogłoszenia. O fundusze proszę się nie martwić, podpiszę każde zapotrzebowanie, które może okazać się przydatne – powiedział prokurator Iwański.

– Intrygująca jest ta zamrażarka – odezwała się kobieta. – Po co jej użył? Po co zamroził ofiarę? Z konieczności czy z innego powodu? Potrzebował czasu czy był czegoś ciekaw...? Jeżeli morderstwo detektywa nie było wcześniej zaplanowane, a tak właśnie sądzę, to znaczy, że zabijając go, działała na skutek nagłej konieczności. Mogło mu grozić zdemaskowanie. Bardzo ważne będzie odtworzenie wszystkiego, co i gdzie robił detektyw przed śmiercią. Niepokojące jest to, na co kolega zwrócił uwagę: że ten facet planuje. Myśli i planuje. Trzyma w zamrażarce trupa, żeby spokojnie zastanowić się nad dalszym postępowaniem. Nie wpada w panikę. Działa metodycznie. Najpierw groził zatruciem karmy dla psów. Kalkulował zagrożenie. Nie chciał sprowadzać niebezpieczeństwa na ludzi. Dał szansę na zapłacenie okupu. Właściciele fabryki z tej szansy nie skorzystali.

– Do czego pani zmierza? – zapytał Iwański.

– Myślę, że nie mamy do czynienia z szaleńcem, jak ktoś sugerował.

Teraz Burski chrząknął i uśmiechnął się pod nosem. Iwański nerwowo, kilkakrotnie zamrugał.

– Dostaniesz ludzi – podsumował komendant, zwracając się do Burskiego. – Dostaniesz środki, tak jak obiecał pan prokurator. Okup zostanie wpłacony...

– Za dwie godziny – wtrącił Iwański. – Przelewem elektronicznym. Gość będzie miał pieniądze na koncie po najbliższej sesji bankowej, czyli o dwunastej z minutami.

– A przede wszystkim – dodał komendant – otrzymasz wsparcie od pani z AWO. Oboje stworzycie zespół. Poznajcie się. Pani Aleksandra Kosma.

– Ola – kiwnęła głową kobieta.

— Bury — odpowiedział komisarz, starając się swojemu głosowi nadać jeszcze bardziej niż zwykle gardłowe brzmienie. Godne prezentera nocnych audycji radiowych.

— Przejdźmy zatem do rzeczy. — Ola Kosma wyjęła ze swojej płóciennej torby notatnik. — Po kolei. Zadanie numer jeden: Dwóch sprawnych informatyków policyjnych nawiązuje współpracę z centralami banków. Dyżurują na zmianę. Po dwanaście godzin każdy. Pan prokurator dopilnuje, żeby jak najszybciej dostali zgody od banków na podgląd operacji w ramach interesujących nas kont. Najlepszy byłby podgląd on-line. W czasie rzeczywistym, żebyśmy widzieli natychmiast w momencie logowania się klienta, jakie jest IP jego komputera i skąd się łączy. Żebyśmy widzieli każdą operację w czasie jej dokonywania. Obawiam się jednak, że bankowa procedura uzyskania stosownej zgody potrwa przynajmniej do jutra. Zadanie dla pana prokuratora: Załatwić to jak najszybciej.

— Mhmm — mruknął Iwański. Nie podobał mu się rozkazujący ton kobiety.

— Po drugie — kontynuowała Aleksandra Kosma. — Pan komendant przydzielił nam najlepszych, najbardziej rozgarniętych śledczych. Co najmniej czterech. Muszą ustalić, co robił detektyw Zibik od momentu otrzymania zlecenia na szukanie szantażysty. Od tej chwili do śmierci Zibika upłynęło pięć dni. Musimy poznać każdy jego krok, odkąd wyszedł z domu, kupił gazetę w kiosku na rogu i tak dalej. Chcę dostać rozpisane na papierze pięć ostatnich dni życia detektywa Zibika z dokładnością co do minuty. Czy to nie zbyt trudne zadanie dla pana ludzi, komendancie?

— Takimi właśnie rzeczami zajmuje się policja — burknął komendant.

— Po trzecie: Trzeba ustalić, w jaki sposób szantażysta wszedł w posiadanie karmy dla psów, którą nafaszerował trutką, oraz bombonierki. Do tego wystarczy jeden człowiek. Ma posprawdzać daty produkcji, serie wyrobów, dowiedzieć się, czy mogły pochodzić z magazynu fabryki, z aktualnej produkcji, czy też zostały wysłane do sklepów lub hurtowni. A jeśli tak, to kiedy i gdzie? Ja biorę na siebie zabezpieczenie współpracy z innymi ośrodkami. Polecenie z AWO to sprawdzona metoda. W całym kraju musimy mieć gotowych do działania funkcjonariuszy na gwizdek. Nawet w środku nocy. Nie wiemy przecież, gdzie pojawi się nasz szantażysta. Śledztwo, które rozpoczynamy, jest domeną policji, zatem dowodzić akcją będzie pan komisarz Burski. Bury koordynuje całą akcję. Moja rola formalnie ogranicza się do doradzania. Czy wszystko jasne, panowie?

Komendant i prokurator pokiwali głowami. Burski skwapliwie przytaknął.

Coraz bardziej podobała mu się ta dziewczyna.

Burski krzątał się w swoim ciasnym pokoiku niczym zapracowany Kopciuszek. Parzył kawę. Dolewał niegazowanej wody mineralnej do szklanek. Umył je porządnie, pierwszy raz od tygodni. Znalazł w szufladzie jakieś cukierki. Wysypał je na przetarty rękawem spodeczek. Ola Kosma dziękowała mu za te zabiegi kokieterijnymi błyskami w oczach.

— Nie traćmy z oczy celu głównego — powiedziała, gdy zaproponował wyjście na obiad. — Myślę, że powinniśmy jeszcze raz, wspólnie prześledzić ostatnią drogę detektywa Zibika.

— Oczywiście — potwierdził Burski. — Burza mózgów to doskonała metoda.

— Jeżeli nie przerodzi się w burzę hormonów — odpowiedziała cicho. Jakby do siebie.

— Zacznijmy od zlecenia — zignorował uwagę Burski, chociaż poczuł, że tętno przyspiesza mu niczym pociąg TGV. — Gość dostał zlecenie z fabryki „Welpol”. Tamtejszy prezes to już znamy jeszcze ze studiów.

Kolejne iskry w miodowych oczach.

— Fajnie jest mieć znajomych przesosa.

— Umówię się.

Burski sięgnął po komórkę.

— Adaś?! — zaczął wylewnie, jakby poprzedni wieczór spędził właśnie z Knapem, a nie z sąsiadem, co prowadził agencję towarzyską. Agencja towarzyska to może zbyt dużo powiedziane. Ot, jedna Świetlana, Ukrainka, której sąsiad Burskiego opłacał fikcyjny etat ekspedientki w sklepie u szwagra. Kiedy blisko pięćdziesięcioletni sąsiad stracił pracę i zrozumiał, że nie ma już szans na znalezienie nowej, postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Albo raczej w ręce Świetlany. Dziewiętnastka, tłumaczył śliniąc się, dziewiętnaście lat. Wszystkiego sam ją nauczył. Sprawdź, sąsiedzie, ile ją nauczył. Jeden z trzech pokoi

mieszkania w bloku, ten z szerokim łóżkiem, pełnił funkcję warsztatu pracy Świetlany. Sąsiad Burskiego pracował za kierowcę i ochroniarza, gdy trafiały się wyjazdy. Jego żona inkasowała opłaty od klientów i liczyła pieniądze. Teraz naprawdę nieźle nam się żyje, mówi sąsiad, lepiej nawet niż za Gierka.

— Adaś? Kiepsko cię słyszę... Bury z tej strony.

— Jadę samochodem — odpowiedział Knap. — Zapewne dlatego źle mnie słychać, kolego komisarzu. Miło, że dzwonicz.

— Musimy się spotkać jeszcze raz, w sprawie tego zamordowanego detektywa.

— To może być trudne. Jadę do Lublina.

— Na długo?

— Myślę, że tak. Z Bielska na długo. Nie pracuję już w „Wełpolu”. Wypierdolili mnie.

— O! — Burski nie chciał drążyć tego tematu przy Oli o miodowych oczach. — W takim razie my wybierzemy się do Lublina w najbliższym czasie... Dam ci znać, kiedy.

— Serdecznie zapraszam. Aha... chciałbym ci jeszcze o czymś powiedzieć.

— Tak?

— To nie jest rozmowa na telefon. Przyjedź. To może cię zainteresować.

— Okay. Dam znać, kiedy.

Burski odłożył komórkę i teatralnie rozłożył ręce.

— W najbliższym czasie Adaś będzie w Lublinie. Powinniśmy chyba tam pojechać. Razem, oczywiście.

— Bez dwóch zdań, Bury — odpowiedziała kobieta. Jak na zwolnionym filmie przełożyła nogi. Zaszeleściły pończochy. Teraz prawą nogę postawiła na posadzce, a lewą założyła na tamtą.

Burski sięgnął po szklankę z wodą mineralną. Zaschło mu w gardle.

— Masz kolegów komisarzy? — zapytał Drewnicki.

— Taki tam kolega, jeszcze ze studiów. Straszny oliwa — odpowiedział Knap. Patrzył przez okno na mijaną wioskę. Zbliżali się do Częstochowy. Mieli jeszcze długą drogę przed sobą, więc mówił dalej: — Nikt na roku nie pił tyle, co on. Kiedyś wparował na zajęcia z prawa finansowego. Otwiera drzwi, widać z daleka, że skacowany jest niemożliwie, i mówi do magistra: „Przepraszam bardzo, panu Adamowi Knapowi woda załała pokój w akademiku. Pilnie proszony jest”. Magister uśmiecha się. Wie doskonale, że ja jestem z Lublina i w akademiku nie mieszkam. Ale widzi w oczach Burego imperatyw kategoriyczny. Zwalnia mnie z zajęć. Idziemy z Bury na Górkę Czechowskie i przez resztę wiosennego dnia raczymy się Perełką. Perełka była wtedy inna, niepasteryzowana, w małych butelkach po zero trzydzieści trzy litra. Przede wszystkim trzeba było mieć własne butelki, żeby kupić w sklepie piwo na wynos. Każdego dnia, gdy nadchodziła magiczna godzina trzynasta, korytarzami akademików niosła się pieśń: „Bierz butelki wszystkie swoje i zasuway po napoje”. Były czasy...

— Były... Takie znajomości z policjantami się przydają. Mandat można załatwić.

— Nie widziałem się z nim od lat. Nie wiedziałem nawet, że nadal jest w policji, zamiast jak inni otworzyć własną firmę ochroniarską albo korzystając z układów, zajmować się odzyskiwaniem skradzionych samochodów. Telefonował w sprawie tego zamordowanego detektywa. Gość pracował także dla „Wełpolu”. Słyszałeś o tym, czy już cię nie było w „Wełpolu”?

Knap zgrabnie pominął fakt, że osobiście wyrzucił Drewnickiego z pracy. Na swoje szczęście zastosował wtedy sztuczkę z wybiegiem, że Drewnaldo jest bardzo dobrym pracownikiem. Wręcz zbyt dobrym dla „Wełpolu”, bo „Wełpol” potrzebuje zaledwie rzemieślników, a nie artystów, i w gruncie rzeczy szkoda jego talentów dla tak prozaicznej pracy.

— Pisano w gazetach.

— No właśnie. Zleciłem temu gościowi, żeby ustalił, kto chciał szantażować Laskowskich zatrutą psiną.

— Aha. — Za oknem skody mignęła biała tabliczka z napisem: CZĘSTOCHOWA. — Nie będziesz miał nic przeciwko, że zatrzymam się w Częstochowie na kilkanaście minut?

— Pobiegniesz na Jasną Górę?

— Nie tym razem — odpowiedział poważnie Drewnicki. — Byłem tydzień temu. Pięknie tam.

— Jasne, że nie mam nic naprzeciw.

Knap zerknął na zegarek. Minęła piętnasta. Przed dwudziestą będziemy w Lublinie, pomyślał. Muszę trzymać język za zębami. Jeszcze raz coś chlapnę, jak z tą Jasną Górą, i Drewnaldo wysadzi mnie w szczerym polu razem z moimi piętnastoma garniturami.

Drewnicki zatrzymał się na parkingu przed centrum handlowym w dzielnicy Raków. Przeprosił Knapa na pięć minut. Wziął swoją podręczną torbę. Adam Knap sięgnął na tylną kanapę po teczkę. Wyjął z niej laptopa. Uruchomił komputer.

Ola Kosma i Burski analizowali kopie notatek przywiezionych z biura detektywa Zibika. Detektyw pracował sam, nie zatrudniał sekretarki, a jego notatki składały się z chaotycznych zapisków. Nazwiska, imiona, numery telefonów, zakreślone w kółkach godziny, czasem podkreślone wężykiem adresy. Nie prowadził notatek z odbytych rozmów, nie nagrywał przepytanych ludzi. Czterech śledczych pod kierownictwem podkomisarza Gawrona podążało mozolnie tymi śladami, odtwarzając krok po kroku każdą chwilę z ostatnich pięciu dni życia detektywa.

— To przypomina układanie puzzli — zauważył Burski.

— Zastanawia mnie fakt, że w biurze detektywa znaleźliśmy takie rzeczy jak jego teczka, kalendarz czy skoroszyt z notatkami — powiedziała ona. — To może oznaczać, że morderca nie odwiedził tego miejsca, chociaż miał na to aż pięć dni. Dlaczego? Nie obawiał się, że człowiek, którego zamordował, może mieć jakieś dowody przeciwko niemu? To po co w takim razie go mordował? Drugi wniosek: Zibik wyszedł w ostatnią drogę bez teczki i swoich notatek. To może oznaczać, że nie zamierzał z nikim rozmawiać ani nikogo wypytywać. Więc dokąd i po co poszedł? Może śledził kogoś? Kogo? Mordercę?

— Zibik mógł zginąć z zupełnie innego powodu — odparł Burski. — Niezwiązanego z szantażystą. Na przykład zazdrosny mąż zastał go w sypialni żony. To tłumaczyłoby, dlaczego był bez ubrania.

— Oczywiście. Mógł mu także spaść na głowę satelita w czasie, gdy odbywał rytualny taniec godowy na leśnej polanie, a potem Obcy zamrozili go, żeby skruszał. Aktualnie pracujemy jednak tylko nad jedną hipotezą. Brzmi ona: Zabójstwo Zibika ma związek z szantażem.

Zadzwoiła komórka Burskiego.

— Szeffe — odezwał się policyjny informatyk przydzielony do tej sprawy. — Dostałem z banku info, że pacjent logował się w panelu admina.

Burskiemu przypomniał się dowcip o tym, jak pewna firma długo i nadaremnie zamieszczała w prasie ogłoszenia, że zatrudni uczciwych prawników i zdrowych psychicznie informatyków.

— Po jaką cholerę do mnie dzwonisz, skoro siedzisz w sąsiednim pokoju? — zapytał.

— Żeby było szybciej?

— Idziemy do ciebie.

— Jeszcze raz powiedz to, co chciałeś powiedzieć, ale tak, żebym zrozumiał — zażądał Burski, gdy już stali oboje z Olą nad biurkiem z włączonym komputerem.

— Dopóki nie mamy zgody central banków na podgląd online, dostajemy tylko emilki z informacjami, czy coś się działo na kontach. Gość logował się, to znaczy zaglądał na konto. Zrobił przelew na subkonta.

— Mamy IP? — zapytała Ola Kosma.

— Już — odparł zadowolony informatyk. — Nasi chłopcy są szybcy, prawda? Modem EDGE ED77. Nabywca Roman Klewik, adres Lublin, ulica Sikorskiego... Mamy go!

— Nie mamy — ostudził informatyka Burski. — Już sprawdzaliśmy tego gościa.

— Niestety — potwierdziła kobieta. — Gość kupił przenośny zestaw do łączenia się z internetem na fałszywy dowód. Zainstalował go w laptopie i również dobrze może być teraz w mieszkaniu na sąsiedniej ulicy, jak i w Szczecinie. Poproś o sprawdzenie, czy IP tego edga nie było wykorzystywane wcześniej. Może wysyłał jakieś emilki. Na serwerach będą kopie.

— Data nabycia zestawu: dwa tygodnie temu — odparł informatyk. — Szybko sprawdzą.

— Wygląda na to, że nasz szantażysta wie również dobrze jak my, że posługiwanie się internetem może oznaczać pozostawienie śladów wielkich i czytelnych jak odciski palców — powiedziała Burski. — Wie i nie zostawia śladów.

— Pewnie edga kupił tylko w tym celu — głośno myślał informatyk. — Znowu...

— Co?!

— Znowu się logował... robi przelewy do innych banków!

Ola Kosma chwyciła za telefon.

— Musimy dostać zgodę na namierzenie jego edga, to jest jak telefon komórkowy — wyjaśniła Burskiemu, wybierając numer. — I załatwić zgody z następnymi banków.

Z dwóch kont bankowych, na które wpłacono okup, ktoś dokonał przelewów na cztery kolejne rachunki. Do czterech innych banków. Po trzydzieści trzy tysiące na każdy. Cała operacja trwała mniej niż półtorej minuty.

— Rachunki są na to samo nazwisko. Roman Klewik — czytał informatyk. — Różne banki. Wszystkie oczywiście internetowe.

— Jeżeli jeszcze raz to zrobi — powiedziała kobieta z AWO — ustalimy, gdzie jest. Prawie dwie minuty w zupełności wystarczą.

— Na dwóch pierwszych rachunkach zostawił po szesnaście i pół tysiąca. Na obu tyle samo. Na tamte cztery przekazał po trzydzieści trzy tysiące — analizował informatyk. Dlaczego tak?

Kiedy kobieta i komisarz wyszli już z komendy, informatyk siedział nadal przed ekranem komputera. Zmiennik miał przyjść dopiero o czwartej rano. Oglądał zabawne filmiki na YouTube. Potem włączył obraz z kamery zainstalowanej w parku Okawango, gdzie zwierzęta odwiedzały wodopój.

Po dwudziestej nastąpiło kolejne logowanie. Na te cztery nowe rachunki. Tylko po to, żeby połowę z pieniędzy, które już tam wpłynęły, przelać na subkonta. Operacje w ramach tego samego banku wykonywane są w czasie rzeczywistym. Po upływie minuty szantażysta miał już pieniądze na dwunastu kontach. Na każdym po szesnaście i pół tysiąca złotych. Informatyk przekazywał wiadomości Burskiemu. Komisarz kłął pod nosem. Pani Ola z AWO zabiegała telefonicznie o zgodę na zlokalizowanie edga.

Po kilku godzinach, przed północą, zaczęły przychodzić następne e-maile z banków. Najpierw dwanaście. Pieniądze podatników, które wpłacono jako okup, wypłacano.

Natychmiast zatelefonował do komisarza Burskiego.

Adam Knap zastał puste mieszkanie. Kompletnie puste i głucho. Tylko trochę jego ubrań zostało w szafach. Meble także, ale pościeli już ani sztuki nie została.

Duży telewizor, kino domowe i filmy zabrałam. Dla dzieci. Na pewno zrozumiesz. Kontaktuj się ze mną esemesami. Nie dzwoń. Nie będę odbierała. Pa.

PS. Kiedyś wspólnie przeżyliśmy sporo dobrych chwil. Zostawmy je w pamięci. Niech tam trwają. Nie niszczy my dobrych wspomnień niepotrzebnie. Trzymaj się.

Knap przeczytał kartkę leżącą w kuchni. Zmiał ją ze złością i rzucił w kąt. Przeszedł do pokoju. Barku na szczęście nie opróżniła. Wyjął butelkę tequili, szklankę i wyszedł na balkon. Siadł na gołych płytkach. Wypił i zapalił.

Denerwowały go odgłosy z balkonu powyżej. Głośno śmiały się dzieci. Na chodniku, korzystając z mroku nocy, jakaś para obejmowała się i namiętnie całowała. Tequila Knapowi nie smakowała. Odstawił butelkę i szklankę do barku. Wrócił do kuchni. Rozwinął rzuconą na podłogę, pomietaną kartkę. Przeczytał ją jeszcze raz. I kolejny.

Napisał esemesa:

Jestem już w Lublinie. Odezwij się. Powinniśmy się spotkać.

Tak jak sobie obiecywał, Adam Knap panował nad sobą. Udało mu się. Trzymał się. Niemal przez całe długie siedem minut.

Pół godziny później, gdy już skończył, wyszedł z mieszkania.

Po godzinie dwudziestej Burski odwiózł Olę do hotelu. W samochodzie jeszcze raz zaproponował kawę na dobranoc. Odmówiła, dziękując. Innego dnia z przyjemnością, dodała.

Patrzył przez okno, jak Ola lekko wbiega po schodach hotelu. Nie odwracając się uniosła w górę prawą rękę i pomachała.

Wiedziała, że na nią patrzy, pomyślał. Kobiety takie rzeczy po prostu wiedzą. Skąd? Moje zaloty są niezdarne jak taniec słońca.

W domu zjadł jajecznicę w towarzystwie telewizora. Rozebrał się i położył do łóżka. Był zadowolony. Przez cały dzień nie wypił ani kieliszka i teraz, mimo iż wiedział doskonale, że w lodówce są trzy piwa, a w barku zaledwie napoczęta śliwowica, także sobie odmówił.

Zasnąłem niespodziewanie łatwo, uzmysłowił sobie, gdy otworzył oczy. Wcale nie muszę wstać, żeby zasnąć. Pora wziąć się za siebie. Siłownia, spacer, jogging...

Telefon dzwonił uparcie.

Przed wszystkim zacznę brać zabiegi na kręgosłup, pomyślał, kiedy zgrabiętymi palcami usiłował znaleźć właściwy przycisk w komórce. Ma pan kręgosłup jak siedemdziesięcioletek, usłyszał od lekarza oglądającego prześwietlenie. Zwyrrodnienia i narośle. Zalecam żele i jonoforezę. Pana kręgosłup starzeje się szybciej niż pan. Tak bywa.

Telefon dzwonił coraz głośniejszym. Wreszcie udało się. Ścisnąc komórkę trzema palcami, do których powróciło już uczucie, odebrał.

— Gość podbiera pieniądze z kont — powiedział informatyk.

— Jak?

— Wypłacił z bankomatu. W Rzeszowie.

— Okay. Już jadę do ciebie. Zadzwoń do Oli.

Odrętwienie palców minęło. Burski spojrział na jarzący się jeszcze wyświetlacz komórki. Godzina zero zero dziewięć. Szybko wskoczył w ubranie.

Zbiegając do samochodu, zadzwonił do Oli. Jej numer był jednak zajęty. Jadąc, próbował jeszcze kilkakrotnie. Bez skutku. Tak jak się spodziewał, kobieta czekała już przed budynkiem hotelu. Cały czas rozmawiając przez komórkę, wsiadła do astry i pojechali na komendę z wyjąłym i pulsującym niebieskim światłem kogutem na dachu.

— Za trzy minuty nasi ludzie będą przy bankomacie — powiedziała do Burskiego, kiedy wreszcie wyłączyła komórkę. — Może ktoś coś widział. Filmy z zainstalowanej tam kamery dostaniemy rano.

— Jedźmy do tego Rzeszowa. To trzy, góra cztery godziny jazdy.

— Dobra myśl — potwierdziła. — Jak tylko dowiemy się od informatyka, co dokładnie nasz klient zrobił.

— Od godziny dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt zaczął wypłacać pieniądze z bankomatu — wyjaśniał po chwili informatyk, cały czas trzymając w ręce myszkę, klikając i pokazując kursorem cyfry lub słowa na ekranie komputera. — W sumie dokonał wypłat ze wszystkich dwunastu kont. Po dwa tysiące złotych. Razem wypłacił dwadzieścia cztery tysiące złotych.

— Jak szybko po operacji w bankomacie dostajesz emilkę z banku? — zapytała Ola Kosma.

— Dosłownie po minucie. Nocą systemy nie są tak obciążone. Ib działa naprawdę szybko.

— Wypłaty robił z jednego bankomatu? Ile czasu to trwało?

— Po kilka sekund każda transakcja.

— Facet potrzebował dwóch minut na wypłaty z dwunastu kont — powiedział Burski. — Zdáżymy?

— Powinniśmy. — Kiwnęła głową. — Musimy mieć w każdym większym mieście samochód z ludźmi do naszej dyspozycji. Mamy dwie doby, zanim znowu będzie mógł dokonać wypłat z bankomatów. To sporo czasu, damy radę wszystko zorganizować. Jedziemy do Rzeszowa — zwróciła się do informatyka. — Dzwoni do nas w razie czego. Wszystkie emilki przesyłaj także na adres mojej skrzynki.

Po chwili jechali już środkiem drogi w stronę Krakowa. Kogut wył na dachu. Błękitne refleksy światła biegały po oknach mijanych budynkach i odbijały się w szybach ustępujących z drogi samochodów.

— Gość będzie potrzebował dwóch tygodni, żeby wypłacić w ten sposób wszystkie pieniądze — powiedziała Ola Kosma.

— Obawiam się, że znowu nas czymś zaskoczy — odparł Burski.

Miał złe przeczucia. Ta sprawa przybierała zaskakujący obrót od samego początku. Od chwili, kiedy ją zlekceważył. Żona detektywa Zibika już przed kilkoma dniami niepokoiła się nieobecnością męża. Komisarz popełnił błąd, że nie potraktował tego poważnie.

Trzydzieści minut po północy znowu dzwonił informatyk. Sześć kolejnych wypłat. Jeden bankomat. Tym razem na ulicy Witosa. Gość był przy bankomacie na stacji benzynowej przez półtorej minuty. Zanim nadeszła informacja z banku, informatyk zadzwonił do Burskiego, a Ola Kosma do patrolu w Rzeszowie, minęło ponad dwie. Plus dojazd na ulicę Witosa. Dla

policji jadącej z centrum na sygnale kolejne dwie minuty. Właśnie byli na miejscu, gdy szantażysta pojawił się pod bankomatem na ulicy Rejtana. Następne sześć wypłat.

O północy rozpoczął się nowy dzień. To oznaczało nowe dzienne limity na kartach bankowych. Wypłacono kolejne dwadzieścia cztery tysiące złotych.

— Liczyłem, że gość będzie chciał zrobić gruby numer — mówił Burski do Oli. — Wypłacić wszystko na raz albo przelać na Bahamy. A to jest mrówka. On będzie skubał, z matematyczną dokładnością obliczając ryzyko i korzyści. Wkurza mnie.

11.

Obrzydliwy płyn podawany w plastikowym kubku z daszkiem sprawiał, że twarz Burskiego wykrzywiała się coraz mocniej. Jeszcze bardziej, niż kiedy ziewał. Zmusił się do wypicia kilku następnych łyków cieczy kłamiwie nazywanej kawą.

Szedł powoli chodnikiem po ulicy Rejtana. Świtało. Minęła piąta rano. Pierwsi przechodnie z opuszczonymi głowami szybko zmiierzali do przystanku autobusowego.

Burski obejrzał wszystkie trzy bankomaty. Wiedział oczywiście, że nic przy nich nie znajdzie, ale skoro mieli jeszcze chwilę, to wołał zobaczyć na własne oczy, jakie miejsce wybrał szantażysta do dokonania wypłat. Może jakiś pozornie nic nieznaczący detal, który widzi dzisiaj, gdy miasto Rzeszów budzi się ze snu, okaże się ważny w przyszłości?

Wzdłuż dwupasmowej drogi stały kilkupiętrowe pawilony handlowe. W głębi wyrastały bloki i wieżowce. Betonowe klatki na ludzi. Burskiemu przypomniały się figurki zwierząt, stojące na półce ordynatora szpitala w Szczyrku.

Nie takich skojarzeń szukam, zganił się. Zgniół plastikowy kubek z resztką ciepłego, przesłodzonego płynu i wyrzucił go do kosza.

Ola Kosma czekała na niego przy samochodzie. Mimo nieprzespanej nocy, z ledwie zauważalnym makijażem zrobionym pośpiesznie w samochodzie, wyglądała całkiem dobrze.

Lubię, kiedy w mnie patrzy — uzmysłowił sobie. — I lubię jej słuchać. Ma taki miły, ciepły głos.

Podniecał go ten głos, jakby podszyty delikatną nitką erotyzmu. Uważaj, chłopie. Masz już swoje lata. Żebyś się tylko przypadkiem nie zakochał. Nie bądź głupi. Ale te miodowe oczy...

— O siódmej będziemy mieli filmy z kamer monitorujących bankomaty — powiedziała. — Jedźmy do biura AWO, czekają już na nas. Mają zeznania kilku świadków.

— Tak jest, pani kapitan.

— Nie mów tak do mnie, Bury. Proszę.

— Dobrze, droga Olu.

Droga Olu. Jak to ładnie zabrzmiało. Niby żart, ale dawno, cholernie dawno nie mówił tak do kobiety.

— Dwóch widziało motocyklistę. Z tego jeden był prawie trzeźwy — powiedział człowiek, który przedstawił się jako Nowak. Ubrany w jednorzędowy czarny garnitur, niebieską koszulę, czerwony krawat i błyszczące lakierki. Mimo tak wczesnej godziny ciemne włosy opadające na ramiona miał stosownie wyżełowane. Pogładził się po zadbanych wąsach i dodał. — Reszta, jeszcze pięć osób, które spotkano w pobliżu bankomatów, nie widziało nikogo charakterystycznego. Jak to w środku nocy. O takiej porze wszyscy ludzie są do siebie podobni. Tu macie wszystkie dane spisanych świadków.

— Motocyklista, powiadasz? Które to zeznania? — Ola wertowała kartki.

— To i to.

— To on — powiedział Burski. Ze swojego krzesła nie widział zapisków z przesłuchania świadków. Ale wiedział, że gdyby miał pobrać z bankomatu pieniądze tak, żeby go nie rozpoznano, to też założyłby na głowę kask motocyklisty.

Wkrótce filmy z kamer potwierdziły te przypuszczenia. Godziny operacji w bankomatach pokrywały się z migającym zegarem w rogu ekranu. Na każdym z kadrów był człowiek wzrostu około metr siedemdziesiąt pięć, w kasku z zamkniętą, nieprzezroczystą przyłbicą. Ubrany na czarno. Kurtka zapinana na suwak i skórzane, obcisłe spodnie. Na dłoniach nosił rękawiczki. Pobrane pieniądze wsuwał do zamykanych na zamki błyskawiczne kieszeni.

— Motocyklista jak z obrazka — podsumowała Ola.

— Nie jest głupi — wtrącił Nowak. — Motocyklem łatwiej uciec. Zwłaszcza w nocy, gdy motocykliści urządzają sobie wyścigi ulicami naszego pięknego miasta.

— Motocyklista jak z obrazka — powtórzył Burski. — Aż za bardzo.

Nowak popatrzył na niego w ten charakterystyczny lekceważący sposób, którego Burski tak nie lubił. Ola tak nie robiła. Tylko Ola. Wszyscy inni pracownicy AWO, jakich dotychczas spotkał, zachowywali się tak, jakby każdy był rezydentem FBI na Polskę.

— Dzięki za pomoc — powiedziała kobieta. — Nie wiem, czy jest sens kazać drogówce, żeby zatrzymywała i sprawdzała bagaż wszystkich motocyklistów po tylu godzinach od zajścia... Ale nie zaszkodzi. Zrobimy tak, prawda?

— Nie zaszkodzi — potwierdził Burski.

— Świadkowie nie wspominają, że widzieli motocykl? — zapytała. — Tylko człowieka ubranego jak motocyklista?

— Tak — pokiwał głową Nowak. — Szkoda, że nie wiemy, jakiego motocykla szukać.

— Gdybyś mógł, kolego, jeszcze na dwie godzinki użyczyć mi swojego pokoju, to odebralibyśmy raporty od naszych ludzi z Bielska, a potem zadecyduję, to znaczy zadecydujemy, co robimy dalej. Okay?

— Pokój z tobą, Olu — uśmiechnął się Nowak, podkreślając węża. — Mój pokój z tobą. Na tak długo, jak tylko zechcesz.

— Bierzmy się do pracy. — Burski energicznie wstał. — Pantofelek się panu koledze rozwiązał. To niebezpieczne.

Miodowooka przesłała mu przelotny uśmiech.

— On tam był — powiedział Burski, gdy zostali sami. — Jestem przekonany, że ten człowiek czekał gdzieś na ulicy Rejtana, w pobliżu ostatniego bankomatu. Pierwszą wypłatę zrobił w centrum. Myślę, że czekał niedaleko, obserwując przyjazd patrolu. Potem, nie spiesząc się, pojechał do innej części miasta. Na stacji benzynowej przy obwodnicy zrobił następne wypłaty. A stamtąd szybko załatwił ostatni bankomat. Po co wtedy tak się spieszył? Może lubi mocne wrażenia...? Wybrał dobre miejsce. Mógł obserwować z ukrycia. Wzdłuż ulicy Rejtana ciągną się zabudowania pawilonów handlowych. W głębi, nieco dalej, stoją bloki i wieżowce. Był ciekaw. Patrzył. Chciał nas sprawdzić. Rzucił nam rękawicę.

Kartki, które wypluwał faks, przypominały odręcznie sporządzone plany lekcji. Mozolnie odtwarzający ostatnie pięć dni życia detektywa Zibika śledczy zapisywali wyniki w formie tabel. Oddzielnych dla każdego dnia. Pierwsza rubryka zaczynała się o godzinie, kiedy według wdowy detektyw wychodził z domu. Zibik nie należał do rannych ptaszków. Nie wychodził z domu przed wpół do dziesiątej. Szedł do biura, pokoiku bez łazienki, który wynajmował na najwyższym piętrze kamienicy w pobliżu centrum. Piętnaście minut spacerem od domu. Codziennie dyżurował w biurze do dwunastej, zgodnie z godzinami otwarcia, podanymi na tabliczce wiszącej na drzwiach. Widywali go najemcy sąsiednich pokoi, agent ubezpieczeniowy i bioenergoterapeuta, których podobnie jak Zibika rzadko ktoś w biurze odwiedzał. Wszyscy trzej zerkali z zazdrością na drzwi z napisem:

„Pośrednictwo Kredytowe”, gdzie zawsze stał ogonek petentów. Aktualnie to biuro jest zamknięte, pisał szef śledczych, Gawron. Właściciel nie udzielił żadnych nisko oprocentowanych kredytów, ograniczając się do zbierania od zainteresowanych po kilkaset złotych opłat manipulacyjnych.

W południe detektyw opuszczał swoje biuro. Po pierwszym dniu pracy śledczych rubryki w tabelkach od godziny dwunastej do dwudziestej zapisane były tylko z rzadka. Kontaktując się z ludźmi odnotowanymi przez Zibika, ustalali, kiedy, z kim i na jak długo się spotykał.

— Wygląda na to, że przez te pięć dni gość nie ruszył się z Bielska — zauważył Burski. — W tabelach jest jeszcze wiele białych plam, ale codziennie w godzinach popołudniowych pojawiają się spotkania, które odbył w Bielsku. A zawsze około dwudziestej był już w domu.

— Poukładany facet — odpowiedziała Ola. — Żadnego wieczornego piwka z kolegami w pubie, brydżka ani pilnych śledztw trwających do rana, co pozostawiają ślady szminki lub zapach kobiecych perfum na ubraniach.

— Jesteś mężatką, Olu?

— Mam koleżanki, które były lub nadal jeszcze są. Ja nie uznaję małżeństwa. To zbędny, pusty rytuał.

— Szkoda, że żona Zibika tak tego nie widziała. Teraz, osiem dni po zabójstwie jej męża, zapewne zeszyły jej już wszystkie siniaki i pamięć po mężu przestała być tak bolesna.

— Znałeś go?
— Wyleciał dyscyplinarnie z policji. To był damski bokser i kawał świra. Dlatego gdy usłyszałem w „Węłpolu”, że właśnie jego zatrudniono do odnalezienia szantażysty, nie paliło mi się do spotkania z Zibikiem.

— A ty jesteś żonaty, Bury?

— Właściwie nie — odpowiedział Burski i szybko zmienił temat: — Popatrz, parę osób, z którymi Zibik rozmawiał w Bielsku, już stamtąd wyjechało. Adam Knap jest w Lublinie, Zbigniew Jaszuk w Tomaszowie Lubelskim. Tomaszów to, zdaje się, miasteczko po drodze stąd do Lublina, jeżeli się trochę skręci z głównej trasy. Moglibyśmy...

— Nie pojedę dzisiaj z tobą. Mam pilne wezwanie do stolicy. Wracam jutro. Zdzwonimy się i spotkamy w Bielsku albo w tym Lublinie, jeżeli jeszcze tam będziesz.

— Okay. Podwieź cię gdzieś?

— Gdybyś był tak miły na lotnisko? To przy drodze wylotowej w kierunku Lublina.

— Z dzięką przyjemnością.

Piszę już trzeci raz. Może wreszcie łaskawie się odezwiesz!!!

Wystukał esemesa i wysłał. Raport doręczeń oznajmił, że wiadomość dotarła. Schował komórkę do kieszeni. Przewrócił następną stronę gazety.

W miejscu, gdzie Adam Knap jadł śniadanie, nagle zaroiło się od ludzi. Weszło chyba osiem osób. „Marakesz” to mała restauracyjka w centrum handlowym E. Leclerc na ulicy Zana. Hipermarket Leclerc, zajmujący lwią część budynku, był od lat najbardziej dochodowym sklepem w Polsce.

Francuski biznesmen arabskiego pochodzenia miał dużo szczęścia, że udało mu się kupić grunt w tak genialnej lokalizacji. Na wyspie, pomiędzy osiedlami ciasno ustawionych wieżowców i bloków.

Dawno temu, zanim historia wypięła się na ówczesnych władców, w tym miejscu funkcjonowała fabryka domów. Wielkie dźwigi i podniebne suwnice pakowały na ciężarówki całe ściany gotowych bloków z tak zwanej wielkiej płyty. Ściany te miały już nawet fabrycznie wstawione, oszklone szyby. Rzecz jasna, zanim taka ściana trafiła na swoje miejsce w budowanym bloku, zamiast okna z szybą była tam już tylko odrapana z farby framuga, strasząca rozbitymi szkłem.

Dlatego upadł socjalizm. Wszystko, co wyprodukowano w socjalizmie, trzeba było wkrótce naprawiać. A po naprawieniu usuwać usterki.

W kieszeni kurtki zapiczczał telefon.

O jedenastej pod fontanną na litewskim — przeczytał esemesa.

Będę — odpisał.

Czuł, jak mocno pulsują mu tętnice na skroniach. Pod dzinsową koszulą też łomotało.

Gdzie moje słynne, robiące błyskotliwą karierę opanowanie i zimna krew? — pomyślał.

Opuścił oczy na gazetę. Bezmyślnie przesuwiał wzrokiem po tekście. Dopiero gdy trzeci raz czytał ten sam wers, zrozumiał, że chodzi o fabryki Laskowskich.

Dziennikarz pisał, że jakiś przestępca domaga się okupu, grożąc zatruciem żywności. Już raz zaatakował. Małe dziecko i jego ojciec dotkliwie pokaleczyli się pralinkami nafaszerowanymi szkłem i połamanymi żyletkami. Ich życiu już nie zagraża niebezpieczeństwo. Policja podjęła czynności... Według ustaleń gazety feralną bombonierkę kupiono w hipermarkecie „Gigant”, a wyprodukowana została w fabryce „Ziemowit”.

We wszystkich sklepach w Polsce trwa teraz gorączkowe sprzątanie z półek i wywożenie do magazynów produktów z „Ziemowita” — uzmysłowił sobie Knap. Nie bez przyjemności. Żaden sklep nie chce być następnym, gdzie klient kupi niebezpieczne dla życia pralinki albo trujące wafelki. Senior Laskowski pewnie udławił się swoją kanapeczką z kotlecikiem cielęcym, spożywaną przy porannym przeglądzie prasy. Może jednak jest jakaś sprawiedliwość na świecie?

Inicjatywa ustawodawcza posła Kołuchowskiego i jego klubu parlamentarnego!

— Zdanie z innego artykułu przykuło uwagę Knapa. Preczytał całą wypowiedź parlamentarzysty:

Żeby naprawić niektóre tylko ze skandalicznych zaniedbań poprzednich ekip rządzących, należy między innymi uporządkować stan prawny reprivatyzowanego mienia... Umożliwić nowym właścicielom korzystanie z pełnego prawa własności, bez żadnych wynikających z błędów lub, co gorsza, a czego nie można niestety wykluczyć, celowych działań i zaniechań przedstawicieli poprzednich, uwikłanych w układy i kolesiostwo ekip... Nasza inicjatywa umożliwi między innymi takie spajanie gruntów, aby mogły stanowić jedną całość gospodarczą. To niezbędne, absolutnie konieczne w interesie Polski. Liczę na poparcie także ze strony klubów opozycyjnych...

Jakież cudownie proste rozwiązanie — pomyślał Knap, tracąc znowu zaledwie odzyskany dobry nastrój. — Jedna ustawa. Słuszna ustawa. W niewątpliwie słusznej sprawie. Mało to jest takich zaniedbań w stanie prawnym nieruchomości...? Skutków skandalicznej grabieży zwanej nacjonalizacją oraz zwykłej, codziennej, nagminnej i niezmiennie triumfującej w każdym ustroju urzędniczej głupoty?

O tej dziedacie mówił pijany Zwierzak w Paryżu. To oczywiste. Grunt pod „Wępolem” za chwilę będzie należał w całości do Laskowskich. A taki był tani w chwili zakupu... Fabrykę się zamknie. Pracownicy wyjadą za chlebem do Irlandii. Ziemię sprzeda się pod kolejne centrum handlowe.

Mnie zatrudniono w „Wępolu” nie po to, żebym ratował fabrykę, tylko żeby ktoś z zewnątrz przeprowadził zwolnienia grupowe. No i bardzo dobrze. Już nie mam żadnych wątpliwości co do panów Laskowskich. Bardzo dobrze.

Po wyjściu z „Marakeszu” zadzwonił do Aleksandry Kośmy.

Nie wiedział wtedy, że zrobił to zupełnie niepotrzebnie.

Przed dwudziestu laty biegał tędy w każdy pierwszy weekend listopada. Wtedy bowiem odbywały się „Październikowe Biegi”. To nic, że w listopadzie. Za socjalizmu nikt się takimi drobiazgami nie przejmował.

Teraz na Krakowskim Przedmieściu nie urządzano już październikowych biegów na cześć Wielkiej Rewolucji. Fragment ulicy od strony Bramy Krakowskiej zamieniono w deptak. Las parasoli reklamowych jeżył się po obu jego stronach. Piwo lało się w pubach żwawiej niż woda w Bystrzycy.

Obok poczty, gdzie przed laty była meta drogiego każdemu sercu rewolucyjnego zrywu, teraz zachęcał do kochania go McDonald's. Po drugiej stronie Krakowskiego Przedmieścia rozciągał się niemal ten sam plac Litewski. Tyle że zamiast wielkiego, biegnącego przez plac czerwonoarmisty w rozwianym płaszczu i z pepeszą w dłoni, teraz dostojnie jechał po nim stępa wąsaty Marszałek na Kasztance. Znacznie mniejszy od tamtego czerwonoarmisty.

Na rogu placu stał także niewielki postument orła w koronie. Pomnik Konstytucji 3. Maja, postawiony w czasie solidarnościowej, krótkiej odwilży, żeby drażnić komunistyczny reżim. Pod tym pomnikiem później zbierali się ci, co mieli zapał i ochotę, żeby ganiać się z zomowcami po bramach kamienic. Zazwyczaj w pobliżu Orła parkowała milicyjna sikawka z armatką wodną.

Adam Knap szedł powoli placem Litewskim. Pozwalał wyprzedzać się głośnym studentom. Mijał cichych starszków. Usiadł na murku fontanny. Nieopodal, tak samo jak w czasach, gdy był nastolatkiem, emeryci grali w szachy.

Przychodził tu przed laty z kolegami, po lekcjach. Uczył się w liceum na Liberty Square. Kto nie wie, gdzie to jest, ten zapewne pobierał nauki w jakiejś kiepskiej budzie na przedmieściu.

Najczęściej przychodził z Jankiem. Układali teksty piosenek. Janek grał na gitarze. Wszystkie dziewczyny w LO oglądały się za nim. W czasie jednej z lekcji wuefu Janek zawołał Adama i Krzycha do kanciapy, gdzie leżały maty treningowe. Profesora nie było, wyszedł z sali gimnastycznej, rzuciwszy młodzieży piłkę do siatkówki.

— Chciałem wam coś zaproponować — powiedział Janek, rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje.

— No, dawaj. — Krzychu poprawiał sobie czarne, błyszczące szorty.

— Widzimy wszyscy, co się dzieje w naszym kraju — mówił Janek. Wyglądał najpoważniej w całej drugiej klasie. Miał czarne wąsy, a nie krzaczastą szczecinę pod nosem. Jak student pierwszego roku, co najmniej.

— Czy nie uważacie, że powinniśmy także wziąć udział w walce o wolność Polski?
— Oczywiście, że powinniśmy — odpowiedział z przekonaniem Adam.
Krzychu nadal manipulował ręką w okolicach krocza. Minę miał niewyraźną.
— Zawiążmy organizację. Tajną organizację. — Janek taksował obu wzrokiem. Wyglądał wtedy może nawet jak student drugiego roku.
— Jasne — potwierdził Adam.
— Chcecie?
— Tak.
— A co będziemy robić? — zapytał Krzychu. Stał odwrócony bokiem, myśląc, że koledzy nie zauważą, jak ciągle grzebie ręką w szortach.
— Wszystko, co okaże się konieczne. Ale to nie jest zabawa. To poważna sprawa.
Janek zrobił pauzę.
— Można by wysadzić jakiś pomnik. Na przykład tego mongoła na Litewskim.
— Jasne — ponownie zgodził się Adam. — Czym wysadzimy pomnik?
— Słyszałem o milicjancie, co ma w domu granaty i trotyl — cicho powiedział Janek.
— Ale jak zdobyć ten trotyl? — zapalił się Adam. — Ukraść? Kupić?
— Musielibyśmy załatwić tego gliniarza.
— Eeee — stęknął Krzychu. — Trochę to... niepoważne. Ja nie chcę. Daj sobie spokój, Janek.
Ja w to nie wchodzę.
Szybko odszedł, nienaturalnie kręcąc tyłkiem.
Kto wie, może gdyby nie zbyt ciasne szorty Krzycha, dwadzieścia lat później okrzyknięto by nas bohaterami? — pomyślał Knap.
— Szach — usłyszał.
W cieniu drzew dwóch dziadków kończyło partię szachów. Na tym samym stoliku sprzed lat, z białą-czarną szachownicą.
Nogi stolika chwiały się. Czerń płytek wyblakła. Biel poszarzała.
Knap długo patrzył na ten stolik.
Ani wtedy, ani teraz nic nie jest takie oczywiste, jak można sądzić na pierwszy rzut oka, pomyślał. Wszystko się rozmywa. Barwy błędne. Zgubiłem się.
— Dlaczego obciąłś włosy? — zapytał Knap.
Siedział naprzeciwko swojej żony. Przy stoliku jednego z pubów na deptaku.
— Znudziły mi się. Długie włosy są dobre dla nastolatków. Nie dla dojrzałych kobiet.
Już chciał powiedzieć, że i tak dobrze wygląda, jak na dojrzałą kobietę. Ale powstrzymał się.
Przez piętnaście lat nie przeszkadzały ci długie włosy, pomyślał za to, a teraz nagle zaczęły. Cyganisz, Bożenko. Zrobiłaś to dla niego.
Zabolało.
— Chciałbym zobaczyć chłopców — powiedział.
— Jasne. Nie mam zamiaru utrudniać ci kontaktu z dziećmi. Masz prawo.
— Kiedy? — Znowu powstrzymał się od komentarza, co cisnął się na usta.
— Jutro wyjeżdżamy na wakacje. Wracamy za dwa tygodnie. Wtedy.
— Wakacje...? Jest dopiero maj.
— Teraz jest taniej niż w lipcu albo w sierpniu. No i mniej turystów. Lecimy do Hiszpanii.
Muszę trochę odpocząć po tych przejściach z tobą.
— Jakich przejściach? — Nie wytrzymał dłużej. — Co ty znowu pieprzysz?
— Nie rzucaj mięsem.
— Ty po prostu ukrywasz przede mną dzieci. Zaraz pojedę na policję. Zgłoszę, że chcesz wywieźć dzieci za granicę. Nie pozwól ci.
— Nie bądź śmieszny.
— Ja jestem śmieszny? Popatrz w lustro, kobieto.
— Kończymy rozmowę? — Szybko dopiła kawę. — Odezwę się, jak wrócimy.
— Nie. Powiedz mi przynajmniej, co to za gach ci się trafił? Że ślepy i głupi, tego się domyślam, ale kto to?
— Ani ślepy, ani głupi. Dwa lata próbował mnie zdobyć. Długo się opierałam. On kocha się we mnie na zabój.

— Oraz w moich pieniądzech.
— No właśnie, Adam. — Pokiwała głową, jakby tylko na to czekała. — Tymczasem ty potrafisz kochać wyłącznie pieniądze.
— Słucham?
— Problemy ze słuchem...? Od lat myślisz jedynie o pieniądzach i o swojej karierze. Od ilu lat praktycznie nie było cię w domu, nie licząc weekendów, i to także nie wszystkich? Od pięciu? Sześciu?
— Pracowałem.
— No właśnie. O tym mówię.
— Gdyby ktoś oferował mi posadę prezesa czy dyrektora w Lublinie za godziwe pieniądze, pracowałbym tutaj. Ale oferowali gdzie indziej. Czy to moja wina?
— Oczywiście. Znowu pieniądze. Były, są i będą zawsze ważniejsze niż rodzina. Pieniądze. Kasa, Szmal. Flota. Wszystko jasne. Tego właśnie się po tobie spodziewałam.
— Może chodziło mi o zapewnienie bytu rodzinie? Nie przyszło ci to do twojej pustej głowy?
— Jeszcze mnie obrażasz. Ładnie.
— Naprawdę jesteś taką pieprzoną idiotką?
— I ten twój seksizm — pokręciła głową.
— Co?!
— Posłuchaj, co mówisz. Seksizm.
— Niech będzie. Nie będę się kłócił. Oddaj mi tylko chłopców.
— Ha, ha.
— Po co ci moje dzieci? Zmajstrujesz sobie nowe z tamtym kolesiem.
— Twoje? Twoje dzieci...? A ile czasu im poświęcałeś?
— Pracowałem na nie.
— No, ile czasu im poświęcałeś? W porównaniu ze mną? Każdy sąd o to zapyta. I każdy przyzna dzieci mnie. Matce.
— Dowiadywałaś się?
— Byłam w kancelarii adwokackiej.
— Czy twoja decyzja jest ostateczna?
— Tak.
— Ostateczna i nieodwołalna?
— Też.
— Tamten gach zapewni ci utrzymanie?
— Przejął po ojcu zakład lakierniczy. Zapewni nam utrzymanie, z twoją oczywiście pomocą. Na dzieci oczekują alimentów.
— Już zabrałaś z moich kont trzy czwarte moich oszczędności.
— Bo to były wspólne oszczędności — zasyczała. — Nie tylko twoje. Nasze. Przeczytaj sobie kodeks rodzinny. Alimenty będziesz nam płacił dla dzieci w wysokości połowy twojego wynagrodzenia. Dla siebie nie chcę ani grosza.
— Ach, co za wspaniałomyślność.
— Ja myślę.
— Niedawno miałem propozycję z Niemiec. Za dwanaście tysięcy euro miesięcznie. Tobie oddawałbym sześć tysięcy?
— Dzieciom, Adam, dzieciom.
— Na książki i wyprawki? Na mundurki do szkoły?
— Między innymi.
— Pierdol się, Bożenka. Z tym swoim gachem albo i bez niego. Są jeszcze sądy i jakaś sprawiedliwość w tym kraju.
— No właśnie.
Zanim wstała, sięgnęła do torebki. Wyjęła z niej dyktafon i ostentacyjnie wyłączyła.
— Sam się pierdol — dodała. — Bo już nie ze mną.
Poprawiła te włosy obcięte stanowczo zbyt krótko i wyszła.
Zamiast zamówić butelkę wódki lub przynajmniej następne piwo, Adam Knap poprosił o rachunek.

Ostatnią rzeczą, jaką Burski zapamiętał, była biała tablica z napisem: „Kamień”. Kamień, pomyślał, świadomość jak kamień...? Czy samotność to kamień? Kto to powiedział...? Potem niepostrzeżenie kamień przeistoczył się w słupek. Jeden, a zaraz za nim drugi. Na masce samochodu łamały się plastikowe słupki. Dzwoniła blacha. Ktoś trąbił.

Burski oprzytomniał i zrozumiał nagle, że jedzie poboczem. W lusterku wstecznym błyskały światła trąbiącego samochodu. Gwałtownie zahamował. Autem szarpnęło. Koła prawej osi orały mokrą trawę, wyrwały bruzdy ziemi. Kamienie dudniły o podwozie. Wreszcie wóz się zatrzymał. Serce utkwilo Burskiemu w krtani. Rosło z każdym uderzeniem. Utrudniało oddychanie.

Trąbiąc zajadłe, wyminął go jakiś samochód. Kierowca bił się w czoło otwartą dłonią.

Przysnąłem, uświadomił sobie Burski. Wysiadł z samochodu, żeby opanować łomot serca i rozdygotane nogi. Oparł się o maskę astry. Rozejrzał. Po obu stronach drogi wyrastały niskie wiejskie domy. Trzydzieści metrów przed nim poboczem szło dwoje dzieci. Dziewczynka miała na sobie jasną sukienkę w błękitne motyle, a chłopiec, także wyglądający na dziesięć-jedenastkę lat — dżinsy i zgniłozieloną bluzę. Burski spojrzał w tył. Chwilę wcześniej minął budynek szkoły.

Zanim odwiózł Olę na lotnisko, zjadł w McDrive trzy bułki, popijając słodkim napojem. Nieprzespana noc i obfite śniadanie sprawiły, że przysnął za kierownicą.

Zakończę te dwie sprawy i biorę się za siebie — postanowił po raz kolejny. — Lekarze, zabiegi, spacery, siłownia, wszystko, czego potrzebuje facet z czterema krzyżykami na karku. Tym razem dotrzymam słowa.

Drżenie nóg minęło. Serce wróciło z krtani na swoje miejsce. Burski wsiadł do samochodu. Powoli ruszył. Wyjął telefon i zadzwonił do Knapa.

— Powinienem być w Lublinie za jakieś cztery godziny — powiedział. — Po drodze wstąpię jeszcze do Tomaszowa Lubelskiego. Nie wiesz, jak skontaktować się z niejakim Zbigniewem Jaszukiem? Nie mogę się do gościa dodzwonić.

— Rozmawiałem z nim wczoraj — odpowiedział Adam Knap. — Jest na jakimś interview o pracę w Warszawie. Ma do mnie wstąpić wracając.

— To by się dobrze składało. Jadę w taki razie prosto do Lublina... Nie wiem, jak daleko jestem, nie patrzyłem na drogowaskazy. Zadzwonię, jak będę dojeżdżał. Pa.

Burski minął znak z przekreślonym czerwoną linią napisem: „Kamień”.

Cholernie długa ta wioska — pomyślał. — To chyba najdłuższa wioska w moim życiu.

Zobaczył szyld jakiegoś baru. Zjechał z drogi, żeby napić się kawy i napisać kolejnego esemesa do Irlandii. Bardziej niż kiedykolwiek chciał, żeby Młody odpisał.

Sypano konfetti. Ktoś grał Mendelssohna na harmonii. Lśniący biały mercedes czekał w pobliżu. Z balonikami przywiązany do anteny. Roześmiana panna młoda pozwalała się całować w policzki. Pan młody upychał do kieszeni koperty.

Siedzący w knajpach na rynku Starego Miasta ludzie zerkali na dobiegającą końca ceremonię ślubną przed ratuszem.

— Mam obecnie kiepski okres. Sinusoida opadająca. Wszystko się chrzani — powiedział, gdy usiedli.

— Mam w dupie twoje problemy — usłyszał w odpowiedzi. — Po co chciałeś się spotkać?

Siedzieli pod parasolem restauracji „Kresy”. Obok ratusza. Kelnerka z fałdką tłuszczu na odsłoniętym brzuchu podeszła z tacą w dłoniach.

— Polecam zupę cebulową. — Knap udawał, że ślubne widowisko nie robi na nim wrażenia.

— Tutaj podają najlepszą zupę cebulową w Polsce. Spróbuj. Na dodatek w śmiesznej cenie.

— Chętnie.

— Sorki — powiedziała pulchna kelnerka, podająca piwo. Rozlała trochę. Ona także patrzyła rozmarzona na powłóczytą suknię panny młodej, zmierzającej do mercedesa.

Knap podyktował zamówienie. Mercedes zatrąbił. Młodzi odjechali. Kelnerka jeszcze raz zapytała, co goście zamawiali. Ostentacyjne westchnienie Knapa nie zrobiło na niej wrażenia. Musiał powtórzyć zamówienie.

— Jestem przekonany, że to nie przypadek. Kiedy byłem w Dudusiem, i Zwierzakiem w Paryżu, Zwierzak po pijanemu wspominał mi o działce. Parceli na terenie „Węłpołu”, akurat

tej, na której stoi nowa kotłownia. Załatwiając zakup fabryki z Narodowego Funduszu Inwestycyjnego, Laskowscy nie przywiązywali chyba zbyt dużej wagi do stanu prawnego, jaki może wynikać z jakichś starych poniemieckich ksiąg wieczystych. Aż tu masz. Klops. Mała działka w środku kilkuhektarowej posesji należy do żydowskiej rodziny ze Stanów. Inicjatywa ustawodawcza posła Kołuchowskiego ten problem rozwiązuje. Nie uważasz?

— Mam nadzieję, że nie muszę ci przypominać, Adamie, że współpraca z nami to sprawa dyskretna? — zapytała Ola Kosma.

— To dla mnie oczywiste. Dlaczego w ogóle pytasz?

— Nie traktuj tego, co dla nas robicieś, zbyt osobiście. Było, minęło. Zrobicieś dobry uczynek dla kraju. Wybacz, że to mówię, ale nie jesteś tajnym agentem.

— Jasne — na siłę uśmiechnął się Knap. — Wtedy, na spotkaniu Laskowskich z Kołuchowskim, gdy zostawiłem teczkę w sali konferencyjnej, też rozmawiali o jakiejś działce, prawda...? Nie pozwoliłaś mi tego odsłuchać, ale wy na swoim sprzecie na pewno słyszeliście dobrze każde słowo. Wszystko jasne. Buzia na zamek. — Zrobił pauzę i pokiwał głową. — Muszę z uznaniem stwierdzić, że wasz profesjonalizm jest budujący. Ty o tym wszystkim już wiesz... Chciałem tylko wspomnieć ci o rozmowie w Paryżu. Tam przy kolacji nie miałem teczki.

Pulchna kelnerka z oponką tłuszczu wystającą spod kusej bluzki wróciła z zamówieniem.

— Zupa cebulowa? — zapytała.

— Dla pani.

— I po perełce dla każdego... — komentowała kelnerka, stawiając nowe kufle z piwem. — Coś jeszcze państwo życzą?

— Placek tatarszany z miętą — powiedział Knap. — Słucham?

— Nazywacie się „Kresy”, mieściecie się w Lublinie i nie wiecie, co to jest placek tatarszany?

— Pierwszy raz w życiu słyszę — odpowiedziała kelnerka. — Ja tutaj, w Lublinie, tylko studiuję. Z Poznania jestem.

— Po co żyć, gdy nie wie się, jak smakuje placek tatarszany? Kasza gryczana, biały ser, mięta, wszystko owinięte ciastem... Pycha, proszę pani. Posmarowany masłem, z herbatą, ech... Proszę powiedzieć szefostwu. To regionalne, prawdziwe danie z Lubelszczyzny.

— Powiem — odparła i odeszła.

Zanim dojdzie do drzwi, już nie będzie pamiętała, co miała powiedzieć, pomyślał z rezygnacją Knap.

— Zrobisz? — Knap zwrócił się znowu do Aleksandry Kośmy, walczącej dzielnie z roztopionym żółtym serem, ciągnącym się z talerza za łyżką.

— Co?

— Porządek z Laskowskimi.

Powoli wracał mu znośny nastrój. Do dobrego było jeszcze daleko, ale zawsze to jakiś postęp.

Jeżeli nie Krzysztof z banku — myślał — to ta, całkiem zresztą ładna i wcale atrakcyjna Ola załatwi Laskowskich.

— W tym budynku, gdzie niedawno brano ślub, przed laty za Polski Szlacheckiej mieścił się Trybunał Koronny, wiesz?

Pokręciła głową, zakrywając dłonią usta. Żółty ser na zupie cebulowej rzeczywiście przeszkadza, ale jest niezbędny.

— W tamtych czasach istniały dwa Trybunały w Rzeczypospolitej. Ten i drugi w Piotrkowie Trybunalskim. To były początki sądownictwa w Polsce. Wkrótce okazało się, że pracę Trybunałów trzeba ograniczyć do godziny dwunastej w południe. W godzinach późniejszych trudno było o trzeźwego sędziego.

— Ciekawe... Jakaś pointa?

— Minęły wieki, ale nadal trudno mieć zaufanie do organów wymiaru sprawiedliwości w naszej RP.

— Rozumiem.

Knap ukoził kawałek kotleta schabowego po lubelsku. Zamruczał z uznaniem.

— Mogę mieć jeszcze jedno pytanie? — zapytał.

— Ale odpowiedzi nie obiecuję.
— Nie jestem tajnym agentem. Nie znam się na tajnych policjach. Lecz domyślam się, że nie podchodzicie do pierwszego lepszego człowieka na chodniku z propozycją współpracy. Coś tam o kandydacie na współpracownika wiedzieć zawczasu musicie. Mieć jakąś teczkę, prawda?
— Naprawdę niezła ta zupa cebulowa. Powiedziałabym nawet, że bardzo dobra.
Skoro pytanie było niewłaściwe — pomyślał Knap — trzeba próbować bez owijania w bawełnę.
— Od kiedy moja żona ma tamtego gacha? Kochanka... Powiedz. Przecież wiesz.
— Nooo. Przynajmniej wiem już, dlaczego chciałeś się ze mną spotkać. Zachodziłam w głowę, o co ci właściwie chodzi.
— Powiedz, proszę.
— Jakies pół roku. — Ola Kosma wytarta usta chusteczką i wstała. — Teraz muszę już iść. Byłam zaproszona na obiad czy mam prosić o fakturę, żeby państwo zapłaciło?
— Oczywiście, że byłaś zaproszona. W sumie to... — Knap przez długą chwilę szukał właściwego słowa.
— Tak?
— Dziękuję. Miło było. Przygoda... — spróbował jeszcze raz, ale szybko zrezygnował.
— Mówiłam ci, że wiem, co lubią duzi chłopcy. — Uśmiechnęła się, poprawiając czarne, także zbyt krótkie jak dla Knapa włosy. — Wy nigdy nie dorastacie. Żegnam.

Dzwonek załkał.

Nie skręcając do Tomaszowa, Burski dotarł do Lublina znacznie wcześniej, niż planował. Przyjechał prosto do Knapa. Trafił bez problemów. Studiował w tym mieście, jakby dobrze policzyć, w sumie dziewięć lat. Z pewnymi przerwami. Z tą dwuletnią, gdy służył Socjalistycznej Ojczyźnie, ćwicząc przez dwa lata w Kołobrzegu, jak należy zdobywać Hamburg. I następną, roczną dziekanką, którą wziął, gdy urodził mu się syn.

Nacisnął przycisk jeszcze raz. Dzwonek znowu zajęczał płacząwie. Pokręcił głową z niedowierzaniem, że ktoś mógł z własnej woli założyć taki gong.

Wreszcie Knap otworzył. Był nieco zasapany.

— Sorki, dopiero wróciłem. Wejdz.

Burski wszedł i rozejrzał się. W holu leżała sterta bagażu, zwierczonego kilkunastoma chyba garniturami w przezroczystych workach. Popatrzył na wyłamane drzwiczki kuchennych szafek, resztki potłuczonych talerzy na podłodze, żyrandol bez klosza. Na środku kuchni konał taboret z dwoma tylko nogami. W salonie popielniczka zsunęła się po przekrzywionym blacie stołu, jak po zeskoku skoczni narciarskiej, na parkiet.

Knap pochylił się i zebrał pety do ręki.

— Huragan Catherina?

— Nie — odpowiedział Knap. — Wybacz nieład. Spieszyłem się. A moja żona ma na imię Bożena.

— Gdybyś miał więcej czasu, potłukłbyś wszystko dokładniej?

— Właśnie tak. A jak tam u ciebie? Wy z żoną nie macie problemów?

Burski pokręcił głową, co mogło oznaczać wszystko i nic. Tak i nie. A na pewno oznaczało, że nie chce na ten temat rozmawiać.

— Wejdz tutaj. Fotele są w stanie nienaruszonym. — Adam Knap nadal czuł kłujący ból w prawej stopie po kopnięciu fotela, który wygrał wczorajsze starcie.

Wprowadził Burskiego do salonu. Chrząknął, rozłożył ręce, włączył stojące na regale, cudem ocalałe radio, jakby uznał, że muzyka zagłuszy jęki połamanych mebli. W końcu wzruszył ramionami. Dotarło do niego, że zupełnie niepotrzebnie zachowuje się tak, jakby chciał kogoś za coś przeproszać. A nie chciał. Nie miał zamiaru nikogo za nic przeproszać.

— Mam kawę, herbatę, różne rodzaje alkoholi i sporo piwa. Czego się napijesz?

— A masz sok pomidorowy? — zapytał Burski, dyskretnie ziewając.

— Jasne. Zrobię ci Krwawą Mary.

— Nie. Sam sok pomidorowy, poproszę.

— Nie poznaję kolegi... Chyba że trzeba uzupełnić potas po wczorajszym wieczorze? W takim razie rozumiem.

– Nie biorę alkoholu do ust – pokręcił głową Burski. – Od jakiegoś czasu.

– Można i tak – odkrzyknął Knap, idąc do kuchni.

Przyniósł karton soku i szklanki. Z barku wyjął następną tequilę. Burskiemu nalał gęstego soku, a sobie srebrnej tequilii. Ustawił to na małym, ocalałym z pogromu stoliku.

– Fajnie, że przyjechałeś. Naprawdę się cieszę.

– Przy okazji śledztwa o morderstwo. Każda okazja jest dobra, chciałoby się powiedzieć.

– Myślisz, że zabójstwo Zibika ma związek z szantażowaniem Laskowskich? Dopóki nie pojawiły się te nafaszerowane szkłem pralinki, nie pomyślałbym. Gość chciał tylko parę złotych, grożąc, że otruje komuś psa. To nie wyglądało tak złowieszczo... Źle zrobiłem, nie chcąc zapłacić, prawda?

– Kwestia dyskusyjna. Może wtedy nie uciekałby się do bardziej drastycznych metod? Z drugiej strony jednak nie powinno się ulegać szantażowi.

– Laskowscy nadal nie chcą zapłacić? – upewnił się Knap.

– Zapłacili. Tyle że nie oni. Obywatele z podatków zapłacili.

– No cóż, redystrybucja dochodu narodowego biega często tajemniczymi i mrocznymi ścieżkami... Wiesz, Bury, także chciałem się z tobą spotkać. Jest sprawa, o której powinienesz wiedzieć.

Dzwonek u drzwi zakwilił, jakby to były dwa ostatnie dźwięki w jego życiu.

– To chyba Jaszuk. – Knap wstał i poszedł do drzwi. Po chwili Burski usłyszał:

– Witaj.

– Cześć! – odpowiedział mu przesadnie radosny męski głos.

– Jak tam interview?

– Super. Doskonale. Myślę, że zaproponują mi to stanowisko.

– A jakie to stanowisko? W jakiej firmie?

– Nie chciałbym na razie...

– Jasne. Proszę, nie zwracaj uwagi na ten sajgon w domu. Bożena z dziećmi wyjechała na wakacje. Mam zamiar skorzystać z okazji i zrobić drobny remont. Wejść do salonu.

– A dokąd żonkę wysłałeś?

– Do Hiszpanii.

– Super – znowu ucieszył się Jaszuk. – Hiszpania jest cudowna... Dzień dobry. Pozwoli pan, że się przedstawię: Zbigniew Jaszuk.

– Burski, komisarz policji. Próbowałem się dzisiaj do pana dodzwonić, ale bez skutku.

Jaszuk spoważniał.

– Po drodze z Warszawy wysiadła mi bateria.

– Siadaj, Zbyszku – odezwał się Knap. – Czego się napijesz? Kawy?

– Bardzo chętnie. Ty zawsze parzysz pyszną kawę.

Knap poszedł do kuchni.

– Chciałem z panem porozmawiać. – Burski mierzył wzrokiem Jaszuka, elegancko ubranego menadżera w siwym garniturze. Ód pierwszego spojrzenia czuł, że coś mu w tym człowieku nie pasuje.

– Ze mną? Służbowo?

– Jak najbardziej.

– Z wielką przyjemnością. – Zupełnie bez potrzeby Jaszuk uśmiechnął się niczym do sera.

– Ale najpierw muszę do toalety. Przepraszam.

– Jasne – kiwnął głową Burski. Co w tym dziwnego, że po podróży człowiek chce do toalety? Nic.

– Kawa – oznajmił Knap, wnosząc tacę z filiżankami.

Po chwili wrócił także Jaszuk.

– Mogę teraz zadać panu kilka pytań? – zapytał Burski.

– Oczywiście.

– Od kiedy pracował pan dla rodziny Laskowskich?

– Od ponad roku. Szczerze mówiąc, to ja zbudowałem cały kanał dystrybucji słodczy z „Ziemowita”. Dzięki mnie i ludziom, których nauczyłem, jak to robić, „Ziemowit” stał się potężnym, liczącym się na rynku producentem. Zwłaszcza w segmencie karmelków i pralin.

— Gratulacje. Mieszkał pan w tym czasie w Bielsku?

— Aha. Firma wynajmowała mi mieszkanie. Korzystałem z niego do niedawna, bo zaproponowano mi awans i przeniesienie do Gorzowa Wielkopolskiego. Ale tam pracowałem krótko.

— Dlaczego?

— Dlaczego... — Jaszuk pokiwał głową z politowaniem. — Ponieważ tam prezesem jest niejaki Robert Bizoń, zwany także Zwierzakiem. On szybko zorientował się, że jestem dla niego zagrożeniem. Że wkrótce to ja mogę zostać powołany na stanowisko prezesa zarządu. On doprowadził do zwolnienia mnie, bez wiedzy nawet pana przewodniczącego Laskowskiego.

— Tak?

— Tak, rozmawiałem z panem Andrzejem. Nie powinienem o tym mówić, ale myślę, że jak pan Andrzej zrobi porządek ze Zwierzakiem, to znowu zadzwoni do mnie. Żebym wrócił. Proszę o dyskrecję w tej sprawie.

— O mnie możesz być spokojny — wtrącił Knap. — Na pewno nie będę miał okazji do rozmowy z Laskowskimi ani ze Zwierzakiem.

— Kiedy spotkał się pan z detektywem Zibikiem? — zapytał Burski.

— Jakies dwa tygodnie temu. Spotkałiśmy się w „Wełpolu”, gdy odwiedzałem znajomych pracujących w dziale handlowym. To było przypadkowe spotkanie. Ten detektyw tylko zapytał, kim jestem, dałem mu wizytówkę. Pytał mnie także, czy nie wiem, kto mógłby chcieć się odegrać, takiego użył sformułowania, na pana Laskowskim. Zapamiętałem, że tak się wysłowił, gdyż rozbawiło mnie to. Nie znam nikogo, kto mógłby mieć o cokolwiek pretensje do pana Andrzeja. To bardzo sympatyczny, dobry i pogodny człowiek...

— Ciii — przerwał mu Knap.

Z włączonego radio płynęły słowa wiadomości. Pewna ogólnopolska gazeta dostała przed południem list od szantażysty terroryzującego producenta słodczy. Szantażysta domaga się ostatniej raty. Trzystu tysięcy złotych.

Burski westchnął. Knap pokręcił głową. Jaszuk wykonał przeproszający gest i poszedł do toalety.

— Wyjdę na chwilę — powiedział Burski, gdy w kieszeni odezwała się jego komórka. — Muszę wykonać kilka telefonów.

Jaszuk wrócił z łazienki, kiedy Burskiego już nie było.

— Prosił, żebym ci podziękował za rozmowę — oznajmił Knap.

— Nie ma sprawy. Ale na mnie też już czas.

— Mam jedno pytanko, Zbyszek: powiedziałaś Zwierzakowi albo Dudusiowi, skąd wiedziałaś, że cię zwolnią? — zapytał Knap, przypominając sobie ich ostatnią rozmowę telefoniczną.

— No, co ty? Oczywiście, że nie. Przecież umawialiśmy się.

— A jak to zrobili? Na Radzie Nadzorczej, jak ze mną?

— Nie — skrzywił się Jaszuk. Widocznie był zawiedziony także formą zwolnienia. — Po prostu Zwierzak wszedł do mojego gabinetu i położył mi bez słowa na biurku wniosek o rozwiązanie umowy za porozumieniem stron. Brakowało tylko mojego podpisu.

Jaszuk zrobił pauzę dla pokreślenia napięcia.

— Wtedy ja także bez słowa podpisałem i jeszcze położyłem na tym piśmie klucze od służbowego mieszkania i samochodu. Ale mu szczeka opadła. — Pokręcił głową i zarżał. — Szkoda, że tego nie widziałeś.

— Szkoda. A swoje rzeczy już wcześniej przewiozłeś gdzie indziej?

— Tak, do kolegi.

— Rzeczywiście szkoda, że mnie przy tym nie było. Trzymaj się. Do zobaczenia.

Knap odprowadził Jaszuka do drzwi. Życzył mu nawet powodzenia, chociaż na końcu języka miał życzenie, żeby Bozia dała Jaszukowi nieco więcej rozumu.

— Do sekretariatu „Ziemowita” także wpłynął list z żądaniem ostatniej raty. Właśnie tam jadę — mówił aspirant Sołtysik.

Burski wyszedł z mieszkania Knapa i siedział w samochodzie, zaparkowanym przed wejściem.

– Natychmiast dajcie znać, jeżeli laboranci trafią na coś ekstra w tym liście.

– Jasne.

– Muszę kończyć — powiedział Burski.

Następne połączenie już oczekiwało.

– Prokurator Iwański. — Usłyszał tubalny głos. — Jesteście w Bielsku, Burski? Nie...? Jutro o dziesiątej rano mamy się spotkać z panami Laskowskimi. U nas, w prokuraturze. Przyjeżdż.

– Zapłacimy znowu?

– Chyba że wcześniej go złapiesz.

– Albo że sam się zgłosi.

– Już wplacone.

Potem Burski zadzwonił do Oli.

– Tak, będę na spotkaniu — powiedziała. — Mamy już załatwione namierzenie jego połączenia z internetem przez edga, czy cokolwiek innego. Potrzebujemy półtorej minuty, żeby wiedzieć, gdzie on jest.

Burski wyłączył komórkę. Spojrzał przez okno na wychodzącego z drzwi Jaszuka. Tamten odwrócił głowę, jakby celowo nie chciał dostrzec Burskiego.

Jeszcze raz zadzwonił telefon. Tym razem był to koordynator grupy czworga śledczych, idących śladami ostatnich kroków detektywa Zibika. Podkomisarz Gawron.

– Dziwny facet — powiedział Burski do Knapa, kiedy wrócił. — Ten Jaszuk. Od dawna go znasz?

– Od kilku lat.

– To jakiś geniusz, czy co? Skoro właściciele „Ziemowita” zawdzięczają mu swój Sukces, to dlaczego go zwolnili?

– To bardzo dobry sprzedawca. Oraz mitoman i fantasta. Zwłaszcza jeżeli się wypowiada na swój temat — odparł Knap. — Chyba koniecznie potrzebuje się dowartościować.

– Dlaczego wylano go z pracy?

– W branży FMCG Zbyszek był świetny. W topieniu hurtowników chyba najlepszy w kraju. Nikt tak jak on nie potrafił z uśmiechem na ustach tyle nałgać o niesamowitych zaletach oferowanych produktów. Ale budowanie trwałego rynku odbiorców i współpraca z nimi to już nie jest zajęcie dla Jaszuka. Laskowscy o tym nie wiedzieli. Zwłaszcza ten uwielbiany przez niego senior Laskowski. Facet nie ma bladego pojęcia o handlu. Szczegrze mówiąc nie wiem, na czym on się zna i co potrafi, że tyle osiągnął... Nie wiem.

– A ciebie za co wyrzucono, jeżeli mogę zapytać?

– Za Jaszuka. Teraz już to wiem. Usłyszałem od Dudusia Laskowskiego, że chce mu podziękować. W jakimś trudnym do pojęcia, nieracjonalnym odruchu zadzwoniłem i powiedziałem Jaszukowi. To ja go przed kilku laty poznałem z sobą o handlu... A ten baran, kiedy go zwalniano, niedwuznacznie dał do zrozumienia, że już o tym wie. Duduś nie jest człowiekiem, co wybacza nielojalność. Skasował mnie bez mrugnięcia okiem.

Burski podrapał się po głowie.

– Twarde reguły biznesu.

– Zasady są twarde i bardzo proste. — Knap ponownie dołał sobie tequili. — Żeby je wszystkie po kolei sklasyfikować, najlepiej byłoby przeprowadzić empiryczne doświadczenie. Trzeba znaleźć uczciwego człowieka. Podobno tacy się zdarzają. Dać mu milion złotych i powiedzieć: Załóż, chłopie, firmę i poprowadź biznes. Ale uczciwie. Według tych zasad uczciwości, jakie wpoili ci rodzice, religia i różne autorytety. Wiesz, jakie byłyby tego skutki...? Może jednak skusisz się na tequilę...? A ja sobie doleję... Wiesz, jakie? Po pół roku gość byłby bankrutem. Zostały ołgany, przekręceni, wystrychnięty, ocycaniony, przewalony, naciągnięty i zostukany. Zanim by się zorientował, stałby się celem akcji pod tytułem: „Golimy frajera”. Tak w tym kraju funkcjonuje biznes. A jak chcesz być uczciwy, to zostań bibliotekarzem.

Komisarz Burski spojrział na zegarek.

– Opowiedz mi o twoim spotkaniu z Zibikiem.

– Widziałem faceta raz. Ktoś dał mi jego wizytówkę. Chyba była w sekretariacie. Coś tam kiedyś widocznie dla „Wełpołu” robił. Spotkaliśmy się w moim gabinecie. Pokazałem mu

przesyłkę z zatrutą karmą i list. Poprosiłem, żeby się rozejrzała, przepisał obecnych i byłych pracowników. Myślałem, że paczkę przysłał jakiś głupi frustrat z rodzaju tych, co piszą listy do prezenterów prowadzących losowanie Lotto z propozycją podziału wygranej pół na pół, jeżeli otrzymają numery, jakie zostaną wylosowane za tydzień. Sądziłem, że wystarczy, jeżeli rozejdzie się wieść, że trwa poszukiwanie sprawcy, i amator łatwych pieniędzy sam szybko podkuli ogon.

— Tylko raz spotkałeś Zibika?

— Tak.

— W twoim mieszkaniu, które wynajmowała ci fabryka w Bielsku, stoi duża zamrażarka. Korzystałeś z niej?

— Stoi, bo ją tam postawił właściciel. Nigdy z niej nie korzystałem. Po cholerę?

— Właściciel mówił, że była sprawna, gdy się wprowadzałeś, a teraz jest niestety zepsuta.

— Zamrażarka? — Knapowi oczy urosły ze złości.

— Zamrażarka.

— Ty mnie podejrzewasz...? Ja nie mogę... Policja przeprowadziła rewizję mojego mieszkania. Nawet nie zadzwoniłeś... Człowieku... Ty? Mnie...? Aresztuj mnie!

— Wykonuję swoją pracę. Pewne pytania po prostu trzeba zadać.

— Nie korzystałem z pierdolonej zamrażarki.

— Chciałeś mi o czymś powiedzieć.

— Co?

— Kiedy rozmawialiśmy przez telefon i dzisiaj, zanim przyjechał Jaszuk, mówiłeś, że coś powinienem wiedzieć...

— Ale mi przeszło.

Knap wypił duszkiem tequilę i nalał znowu. Tym razem do pełna.

— Jakby co, telefonuj. — Burski wstał i skierował się do drzwi.

— Dziękuję za odwiedzinę, kolego.

Ostatnie słowo długo wisiało w powietrzu, nie pozostawiając Burskiemu wątpliwości co do jego szyderczego brzmienia.

— Nie pij za dużo — powiedział jeszcze policjant.

— Wódka niczego nie załatwia. Wiem coś o tym.

— Ale z drugiej strony mleko też nie.

Burski uśmiechnął się kwaśno. Otwierał już drzwi na klatkę schodową, gdy usłyszał:

— Bury!

Zawrócił.

— „Kundel bury, kundel bury penetruje wszystkie dziury” — zaśpiewał fałszywie Knap. — Pamiętasz, śpiewaliśmy ci tę piosenkę zamiast „Sto lat” na urodzinach?

— Kiedy się ma dwadzieścia lat, to tylko jedno człowiekowi w głowie.

— He, he... siadaj. Opowiem ci coś. Napijesz się z kolegą?

— Nie dzisiaj. Mów.

— Jestem szpiegiem, wiesz...? Prawie dwa tygodnie temu zgłosiło się do mnie AWO. Poprosili o współpracę. Współpracowałem i nagrywałem. Możesz o tym nie wiedzieć, dlatego ci mówię.

— Mówisz w czasie przeszłym czy teraźniejszym?

— Przeszłym. Bo już nie jestem nikomu potrzebny. Ani żonie, ani kolegom, ani nawet tajnej policji.

— Kogo nagrywałeś?

— Laskowskich. Oraz ich rozmówców. Raz nawet pewnego ważnego posła, co uśmiecha się w Bielsku z plakatów wyborczych.

— Zostałeś szpiclem?

— Robiłem to dla kraju. Zdrowie kraju. — Knap wypił jednym łykiem pół szklanki wódki. Skrzywił się. Sięgnął po papierosa.

Szpicel to szpicel i tyle. Kto raz został szpiclem, będzie nim już do końca życia. Każdemu innemu Burski by to powiedział.

— Wiesz, dlaczego cię o to poproszono? — zapytał.

- Dla kraju.
- Opowiedz mi, co ciekawego nagrałeś.
- Ciebie też interesują panowie Laskowscy?

Burski zastanowił się przez chwilę, jaki jest sens rozmawiać z pijanym. Niewielki. Aczkolwiek czasem in vino veritas.

– Przed kilku laty pewien znany ci między innymi z plakatów wyborczych poseł miał wypadek samochodowy – zaczął. – Potrafił kobietę. Uciekł z miejsca wypadku, ale szybko znaleziono sprawcę. Jeszcze szybciej sprawie ukrecono łeb. Tym bardziej, że pokrzywdzona, niejaka Krystyna Laskowska, nie miała do nikogo pretensji. Widziałem zeznania, na których oświadcza, że właściwie to sama weszła pod samochód. Dochodzenie umorzył prokurator Iwański, a prowadził je chłopak, który krótko po tym odszedł z policji. Miał dosyć. Potem spotkał Boga. Widziałem się z nim niedawno. To już inny człowiek... Ten kierowca był już wtedy posłem na sejm. Wkrótce interesy rodziny Laskowskich zaczęły gwałtownie rozkwitać. Rok później w niewyjaśnionych okolicznościach zaginęła żona pana posła. Podobno była to zemsta esbeków za dawną działalność opozycyjną parlamentarzysty. Ja prowadziłem sprawę o zaginięcie pani Mary. Bez efektu. Kiedy przed dwoma tygodniami pewna pensjonariuszka zakładu dla psychicznie chorych oświadczyła, że to ona jest zaginioną Mary Hurtanyi, znowu dostałem tę sprawę.

– Słyszałem, jak Laskowscy rozmawiali z panem posłem na ten temat – wtrącił Knap.

– Ta kobieta to nie Mary. A kiedy znowu zacząłem grzebać w starej sprawie wypadku samochodowego, poproszono mnie grzecznie, żebym odpuścił.

– Ten sam prokurator?

– Ten sam.

– Przeczytaj dzisiejszą gazetę. Jest w niej mowa o projekcie ustawy, która byłaby bardzo na rękę panom Laskowskim. Umożliwi im uporządkowanie stanu prawnego nieruchomości, gdzie stoi „Wełpol”, i w efekcie dobrą jej sprzedaż. Posłem sprawozdawcą jest oczywiście Kołuchowski.

– Przeczytam. Coś jeszcze...?

Knap rozłożył ręce.

– Mamy ze mnie szpieg.

– Słuchaj, Adam, bardzo bym chciał wyjaśnić sprawę zaginięcia Mary Hurtanyi. Sądzę, że tamten wypadek może okazać się kluczem umożliwiającym dobranie się do Laskowskich i Kołuchowskiego.

– Ja nic więcej nie wiem.

– Ale możesz się dowiedzieć.

– Jak?

Burski położył na stoliku dwie pocztówki.

– Masz czas i pieniądze – powiedział. – Jedz do Kenii. Odszukaj matkę Mary Hurtanyi.

– Coś ci się stało w głowę, Bury? Chcesz, żebym na własną rękę prowadził śledztwo, i to gdzieś na końcu świata? Mam dosyć swoich kłopotów. Zapomnij o tym. Odpada.

Odezwała się komórka Burskiego. Dzwonił informatyk. Motocyklista logował się dwukrotnie na rachunku bankowym. Przed godziną piętnastą.

Przelał pieniądze na konta Klewika do pozostałych czterech banków. Każde połączenie trwało nie dłużej niż pięćdziesiąt sekund. Nie wiadomo, gdzie jest. Wiadomo, że na każdym koncie ma teraz po trzydzieści siedem tysięcy.

Czy on ma zamiar przez blisko trzy tygodnie bawić się z policją w kotka i myszkę pod bankomatami? – pomyślał Burski. Przeliczył szybko. Motocyklista będzie potrzebował ponad dwustu dwudziestu transakcji w bankomatach, żeby wypłacić ponad czterysta tysięcy złotych. Wcześniej albo później zauważy go jakiś patrol. Raczej wcześniej. Nie wygra w tym wyścigu. Do czego on zmierza? Jaki ma plan?

– Kłopoty? – wyrwał go z zadumy Knap.

– Szukam sprytnego faceta, który usiłuje wyprowadzić mnie w pole.

– Powiedz mi jeszcze raz, o co chodzi z tą Kenią.

Pięć minut po wejściu do pokoju hotelowego Burski już spał.

Nie słyszał, jak na ekranie włączonego telewizora rozpoczynają się „Wiadomości”. Nie widział poirytowanych ludzi, domagających się w sklepach zwrotu pieniędzy za kupione wcześniej produkty „Ziemowita”. Ani ochroniarzy, zabraniających filmować nazwy tych sklepów. Nie widział relacji ze szpitala, gdzie nadal przebywał mały Kubuś z buzią pokaleczoną szkłem i żyłkami. Nie słyszał pytania, czy nie będzie więcej ofiar.

Obudził go telefon. Zanim minęło odrętwienie w palcach i mógł nacisnąć właściwy przycisk z zielonym telefonikiem, zdążył przeczytać godzinę. Dwadzieścia trzecia czterdzieści pięć. Od razu było jasne, w jakiej sprawie dzwoni policyjny informatyk.

— Nasz motocyklista dokonał przelewów — powiedział informatyk podnieconym głosem. — I to kilku. Zaraz będziemy mieli dane i adresy właścicieli kont.

— Super. Zadzwoń do pani Oli i daj mi znać natychmiast, jak tylko dostaniesz te dane. Teraz rozłączam się. Muszę się ubrać.

Po pięciu minutach Burski był już gotowy.

— Kielce, szefie — telefonował ponownie informatyk. — Właściciel sześciu kont nazywa się Marek Byczewski i mieszka w Kielcach na Piłsudskiego 2 mieszkania 18. Przesłano po dwadzieścia sześć tysięcy na każdy rachunek.

Coś jest dziwnego w tych liczbach, przeszło przez myśl Burskiemu. Motocyklista przelewa za każdym razem różne kwoty. Według jakiego klucza?

— Na długo się łączył z internetem? Ustalono, gdzie jest?

— Zbyt krótko.

— Cholera. Masz podgląd operacji na tych kontaktach?

— Mamy zgodę na monitoring operacji na kontaktach Romana Klewika. Trzeba znowu zgody prezesów banków, żeby...

Burski zaklął.

— Zaraz, zaraz, mamy piątek. Pieniądze wpłyną na rachunki tego Byczewskiego dopiero w poniedziałek, tak?

— Nie, komisarzu. Bo to są te same banki, gdzie konta ma Klewik. Przelewy odbywają się w czasie rzeczywistym. Natychmiast.

Burski ponownie zaklął. Zrozumiał, że motocyklista ma rozpisany cały plan operacji finansowych. Dlatego posługuje się dokładnie wyliczonymi kwotami.

— Rozłączam się. Dzwoń do pani Oli, niech wszystko załatwia z bankami. Ja telefonuję do Kielc, żeby szukali tego Byczewskiego.

Minął ostatnie lampy oświetlające drogę i zanurzył się w ciemną, pochmurną noc. Od trzydziestu minut trwał już nowy dzień. Zaczął się bardzo kiepsko.

Informacja z Kielc, że mieszkanie należące do Marka Byczewskiego jest puste i wygląda, jakby od miesiąca nikt tam nie nocował, nie zaskoczyła Burskiego. Spodziewał się tego. Wiedział już, że motocyklista nie jest naiwnym frustratem.

Sąsiedzi, zaalarmowani odgłosami wyważanych drzwi, poinformowali policjantów, gdzie szukać właściciela mieszkania. Nie był nim oczywiście Marek Byczewski, tylko pewna starsza dama. Nocna wizyta policjantów u tej pani zakończyła się wezwaniem pogotowia ratunkowego. Emerytka zasłała.

Do rana dojdzie do siebie — uznał Burski. — Rano razem z Olą porozmawiamy z tą panią. Ktoś musiał z nią podpisać umowę najmu mieszkania. Motocyklista pokazał swoją twarz.

Gdy Burski zobaczył na poboczu światła stacji benzynowej, zjechał i zatankował samochód. Podeszedł do okienka kasowego. Długo szukał w kieszeni portfela.

— Cholera — powiedział wreszcie do przyglądającego się mu zza szyby znudzonego pracownika stacji benzynowej. — Zostawiłem portfel w Lublinie...

— No i co? — zapytał tamten.

— Zostawię panu w zastaw dowód osobisty. — Burski wyjął z kieszeni dokumenty samochodowe. W plastikowym etui nosił dowód rejestracyjny, prawo jazdy i wsunięty tam przed chwilą dowód osobisty. — Wróć po portfel, przyjadę i zapłacę, a pan mi wtedy odda dowód, dobrze? Wyrobię się w pół godziny. Słowo.

Położył dowód osobisty na ladzie, pod półkolistym wycięciem w szybie.

– Tylko pospiesz się pan – burknął pracownik stacji. Zgarnął dowód z półki i wrzucił do jednej z szuflad.

Burski rozejrzył się, czy żaden samochód nie podejżdza po paliwo. Na stacji nadal było pusto. Tylko jego astra stała przy dystrybutorze. Wyjął policyjną odznakę. Jego dowód osobisty szybko znalazł się znowu na ladzie. Nuda na twarzy człowieka za szybą przemieszała się z obrzydzeniem.

Burski wyjął portfel i zapłacił za benzynę.

– Często się tak zdarza? – zapytał.

– No.

– Dużo masz takich dowodów osobistych?

– Panie, nie wolno mi przyjmować w zastaw żadnych dowodów osobistych. A skoro nie wolno, to nie przyjmuję. I wszystko gra, co nie?

– Co tak.

– Czasem ludzie odbierają, bo rzeczywiście zapomnieli szmalu. Zdarza się, co nie?

– Zdarza.

– Zatankowanie auta to teraz wydatek nawet dwustu złotych. A wiesz pan, ile kosztuje nowy dowód osobisty? Wiesz pan...? Trzydzieści złotych. Opłaca się, co nie?

– Opłaca – odpowiedział Burski. – I to bardzo.

– Wyrwałam z łóżek wiceprezesów banków, żeby załatwić zgodę na udostępnienie kolejnej tajemnicy bankowej – powiedziała Ola Kosma. – Motocyklista najpierw znowu przełał po połowie pieniędzy na subkonta w rachunkach tego Byczewskiego, a potem dokonał wypłat z dwunastu kont. Przed północą i zaraz po północy. Czterdzieści osiem tysięcy.

– Gdzie to zrobił?

– W Warszawie. W czterech bankomatach. Minęło już prawie dwie godziny, ale wysłałam patrolę na miejsce.

– Jeżeli jutro okaże się, że ma kolejne konta na obce nazwiska, to też będziemy musieli przechodzić całą procedurę z budzeniem tych twoich wiceprezesów?

– Nie. Zażądałam wyrażenia zgody in blanco. Zgodzili się. Niewielu jest tak głupich ludzi, co chcą zajmować się pracą niezależnie od pory dnia czy nocy. W każdym razie wiceprezesi od tej grupy nie należą.

– Tyle dobrego. Gość poważnie mnie już wkurza – powiedział Burski. – Nie lubię, jak ktoś sobie robi ze mnie jaja. A on się nami bawi. Zaczynam tęsknić za zwykłymi, prymitywnymi przestępcami.

– Tylko nie wyjdź do księżycy.

– Bez obaw. Noc jest pochmurna. Znowu pada. Daleko jesteś od Kielc?

– Dopiero wyjechałam z Warszawy.

– Spotkamy się u tej pani, właścicielki mieszkania. Chłopcy z Kielc są tam przez cały czas, żeby znowu nie zaśląbla z wrażenia.

Zbliżała się godzina druga w nocy. Burski był w połowie drogi do Kielc. Wycieraczki miarowo stuknęły. Błyskawica głośno przecięła czarną powłokę nocy.

Burski uderzył się dłonią w czoło.

Zatrzymał samochód na poboczu. Znalazł kartkę papieru i długopis. Zaczął zapisywać i liczyć. Kwoty. Kwoty pieniędzy. Ile i na jakie rachunki przelewał motocyklista. Ile teraz jest na poszczególnych kontach. Sprawdził swoje obliczenia, telefonując do informatyka dyżurującego w Bielsku.

Na dwunastu rachunkach należących do Marka Byczewskiego było teraz po jedenaście tysięcy i kilkaset złotych. Na kontach Romana Klewika po około dwadzieścia trzy.

Zadzwoił do Oli.

– Motocyklista jeszcze raz zrobi przelewy – powiedział. – To jest człowiek z rodzaju tych, którzy planują wydatki i zapisują w zeszycie każdą wydaną złotówkę. Na dwunastu rachunkach Klewika ma w sam raz tyle pieniędzy, żeby uaktywnić jeszcze dwanaście kont na inne nazwisko. Zrobi to dzisiaj przed północą. Wtedy będzie miał na wszystkich trzydziestu sześciu rachunkach po jedenaście tysięcy z groszami. Wyrzuci komputer do rzeki i w ciągu pięciu kolejnych dni wypłaci ponad czterysta tysięcy.

- To może mu się udać.
- Musimy namierzyć jego komputer, gdy będzie się znowu łączył.
- Zrobię, co się da. Poproszę o pomoc.
- Dzwoń choćby do Billa Gatesa po pomoc. Musimy go namierzyć.

12.

Drzwi otworzył policjant. Burski pokazał odznakę i przetarł klejące się oczy. Była godzina szósta rano. Normalni ludzie o tej porze śpią w najlepsze, a nie zwiedzają miasto, którego nazwa na tabliczce przy wjeździe brzmi: CK Kielce. Cesarsko-Królewskie Kielce?

— Fajne macie mundury w tych Kielcach — powiedział do policjanta. CK Kielce zadziwiały go coraz bardziej.

— Pani Eleonora kazała przygotować śniadanie — odpowiedział młodzieniec w nałożonym na mundur lnianym fartuchu. Na jego piersi stroszył się wielki, wyszywany czerwonymi i złotymi nićmi kogut. — Dla was. Pani z AWO już jest.

Ola Kosma siedziała w salonie i pisała coś w notatniku. Na stole przygotowano porcelanową zastawę. Z koszyka przykrytego serwetką wyzierały kajzerki.

— Witaj, Olu, coś nowego?

— Niestety — odpowiedziała. — Kamery przy warszawskich bankomatach sfilmowały motocyklistę w tym samym stroju, co poprzedniej nocy. Świadców nie mamy żadnych. Iwański proponował, żeby dać ogłoszenie w mediach, że szukamy świadków, którzy byli około północy w okolicy bankomatów. Odmówiłam. Mam nadzieję, że zgodzisz się ze mną. Nie powinniśmy Motocyklisty irytować.

— Oczywiście. Wtedy mógłby chcieć się odegrać. Gdzie świadek? — Burski ostentacyjnie rozejrzał się po mieszkaniu. Widział nachylonego nad patelnię w kuchni młodego policjanta. Wiele rzeczy w życiu już widział, więc nie zadawał pytań.

Ola uśmiechnęła się. Ale tylko ustami. Oczy miała zmęczone i poważne.

— Pani Eleonora zaraz wyjdzie z łazienki.

Jak na zawołanie skrzypnęły drzwi i w holu pojawiła się kobieta ubrana w krótką, beżową sukienkę, przepasaną czerwonym paskiem. Na głowie miała także czerwony kapelusz. Uśmiechała się grzecznie krwistoczerwonymi ustami. Rajstopy kabaretki nosiła również czerwone.

— Dzień dobry, panie inspektorze. Zapraszam na śniadanie.

Burski kiwnął tylko głową z wrażenia. Usiadł. Policjant w fartuchu wniósł tacę z wędliną i drugą, z parującą jajecznicą.

— Proszę się częstować — powiedziała pani domu.

Wygłądała na tyle lat, ile miała. Czyli nie mniej niż siedemdziesiąt. Głębokie bruzdy zmarszczek na jej twarzy przypominały krajobraz pustyni.

Burski zaczął ją wypytywać. Już po pierwszych odpowiedziach zerknął z rezygnacją na Olę. Pani Eleonora opisała mężczyznę, który wynajął mieszkanie, jako przystojnego, kulturalnego młodzieńca. Nosił on lecznicze, ciemne okulary, miał brodę i wąsy, a co najważniejsze, także eleganckie borsalino na głowie. Imienia ani nazwiska niestety nie zapamiętała. Wszystko jest na pewno zapisane w umowie. Pani domu nawet nie próbowała treści umowy odczytać. Nie lubiła zakładać okularów. Dawniej o takie rzeczy dbał jej mąż admirał, lecz niestety odszedł na wieczną wachtę, wyjaśniła.

Przed wyjściem z mieszkania wdowy po kieleckim admirał Burski uprzedził, że wkrótce odwiedzi ją rysownik z policji. Żeby sporządzić portret pamięciowy. To cudownie, ucieszyła się starsza dama. Obiecała zamówić ptysie w cukierni.

Podrapał się po łysinie.

Potem wyjął pióro, odkręcił je, otworzył kalendarz i zastygł nad otwartą stroną z piórem w dłoni. Gdyby ktoś wszedł, będzie wyglądało, że pracuje. Przecież pracował. Konceptyjnie pracował nad swoją karierą.

Zbliżające się spotkanie regionalnych dyrektorów z zarządem firmy to rzecz poważna. Można tam zabłysnąć, dać się zauważyć. Ale można także pogrążyć się z kretesem jednym głupim zdaniem, niewłaściwym spojrzeniem albo niestosownym gestem. Przede wszystkim trzeba poradzić się Naczelnego. To on mnie holuje. On dał mi awans. Muszę iść za nim.

Jeszcze jestem zbyt słaby, żeby próbować coś ugrać samemu. A Naczelnny to cwany lis. Od niego mogę się jeszcze dużo nauczyć. Zapytam go wprost, co mam mówić, a o czym milczeć. Nie będę się wrywał. Absolutnie nie. Jeszcze nie czas. Naczelnny musi wiedzieć, że pójde za nim w ogień. Każdemu czasem zdarza się popełnić błąd. Trzeba czekać, aż przytrafi się to Naczelnemu. Wtedy ja spróbuję.

Pukanie do drzwi.

— Panie dyrektorze, już. — Asystentka wsunęła głowę z włosami koloru wiśniowego. — Wszyscy już są.

Zamknął kalendarz. Zakreślił pióro. Wstał.

— Idę.

Przeszli do salki, gdzie zazwyczaj odbywały się szkolenia. Kilkunastoosobowa grupa pracowników administracyjnych już czekała. Solenizantka, zaledwie dwudziestoletnie wiotkie dziewczę, rozsyłała radosne uśmiechy. Miała na sobie krótką sukienkę w kolorach wiosny. Takiej radosnej, słonecznej wiosny pełnej kwiatów. Nie takiej, jak tegoroczny zimny i deszczowy maj. Asystentka podała dyrektorowi bukiet kwiatów.

Zawsze był dumny, że udawało mu się w biurze utrzymać miłą, rodzinną wręcz atmosferę. Naczelnemu także się to podobało. Chwalił go za wysoki poziom zdolności komunikacji interpersonalnej.

— Pani Agnieszko, wszystkiego, co najpiękniejsze od załogi — oznajmił, wręczając blondynecze kwiaty.

Cmoknął ją w policzki, ale ona przekreśliła twarz i pocałowała go w usta. Niezbyt długo, lecz wystarczająco miło. Potem patrzył, jak blondynka przyjmuje życzenia od innych.

Nieźła dupa — myślał. — Może wieczorem na imprezie uda mi się ją wyrwać? Bez powodu tak mnie przecież nie całowała. Sama się pcha do łóżka.

Solenizantka Agnieszka rozdawała cukierki. Śliwki w czekoladzie.

Sieciówki, zauważył łysy dyrektor, sprzedawane pod marką sieci handlowej, czyli tańsze. Ale czego chcieć, gdy dziewczyna ma osiemset złotych pensji? No, jeżeli wieczorem dobrze się postara, już od przyszłego miesiąca ma szansę na jakiś awans albo przynajmniej podwyżkę.

Włożył do ust śliwkę i smakował ją tak, jakby już był wieczór, a słodki cukierek był miodą, świeżą, jędrną, zgrabną i chętną sekretarką. Uśmiechał się do swoich myśli nawet wtedy, gdy zaczął go parzyć język.

Pracownicy łódzkiego biura regionalnego firmy ubezpieczeniowej krzyczeli i wypluwali to, co mieli w ustach, na podłogę z paneli koloru olchy.

13.

— Spóźniliście się państwo — powiedział, wstając siwowłoso mężczyzna.

Gdyby Burski dawno temu nie opanował sztuki lekceważenia ludzi, którym wydaje się, że są pępkiem świata, może poczułby się dotknięty.

— Andrzej Laskowski — przedstawił się siwowłoso.

— Duduś Laskowski. — Ten młodszy nawet nie wstał.

W pokoju prokuratora Iwańskiego był także gospodarz oraz komendant policji w Bielsku. Burski i Ola Kostna rzeczywiście spóźnili się ponad godzinę.

— Co nowego? — zapytał Iwański.

Burski z Olą wymienili spojrzenia. On miał mówić.

— Motocyklista wynajął w Kielcach mieszkanie. Byliśmy tam. Prawdopodobnie sam podpisał umowę wynajmu, posługując się kolejnym zagubionym dowodem osobistym. Za pięćset złotych mógł takich dowodów kupić na stacji benzynowej z dziesięć. Możemy się domyślać, że nie ma brody ani wąsów, skoro w takiej charakterystyce wystąpił w Kielcach. Poprosiłem kolegów z Kielc, żeby odszukali ogłoszenia prasowe o wynajmie mieszkania zamieszczone w czasie, kiedy on mieszkania szukał. Przypuszczam, że rozmawiał z różnymi właścicielami mieszkań, zanim zdecydował się na wynajem od kobiety, która... mówiąc eufemistycznie, ma poważne problemy z psychiką. Może trafimy na jakieś ślady brodatego wąsacza w borsalino i przydymionych okularach.

— Proszę mówić dalej.

— Wiemy już, że zespół śledczy z Bielska praktycznie zakończył prace nad odtworzeniem ostatnich dni detektywa Zibika. W ciągu pięciu dni spotkał się i rozmawiał ze stu dwudziestoma ludźmi. Prawdopodobnie wśród tej grupy jest nasz Motocyklista. Jeżeli oczywiście słusznie zakładamy, że śmierć detektywa jest następstwem tego, że wpadł na jakiś trop.

— Sprawdźcie, kto z tych ludzi ma dużą zamrażarkę. Sprawdźcie, kto mógł być zeszłej nocy w Rzeszowie, a dzisiejszej nocy w Warszawie. To powinno wyraźnie zawęzić krąg podejrzanych.

— Tak jest, panie prokuratorze — odpowiedział Burski.

Nie był zdziwiony, że Iwańskiemu zależy, żeby się dobrze zaprezentować przed Laskowskimi. Powtarzał jako swoje zalecenia informacje o planowanym toku śledztwa, które przekazał mu telefonicznie Burski.

— Kiedy go złapiecie? — zapytał senior Laskowski.

— Kiedy popełni jakiś błąd. Kiedy zostawi ślad, dzięki któremu go zidentyfikujemy — wyjaśnił Burski. — On jest sprytny i przewidujący. Działa według przemyślanego planu. Myślę, że szykuje nam kolejne niespodzianki... Ale każdy zawsze zostawia jakieś ślady. Mimowolnie. Znajdziemy je.

— Kiedy? Czy zdaje pan sobie sprawę, ile nas kosztuje wasza nieudolność? — Siwowłoso patrzył na Burskiego bez cienia sympatii.

— Was kosztuje? Przecież okup wpłaciła prokuratura.

— Tak, prokuratura — zirytował się Laskowski. — A prokuratura skąd ma pieniądze, jeśli nie z naszych podatków? Wie pan, ile nasze firmy odprowadzają podatków? Może raczej powinienem powiedzieć: „odprowadzały”. Produkcja zatrzymana. Robotnicy nie chcą słyszeć o bezpłatnych urlopach. Musimy im płacić. Magazyny w „Ziemowicie” pękają w szwach od zwracanego towaru. Jak tak dalej pójdzie, niedługo trzeba będzie zamknąć wszystkie nasze zakłady i kilka tysięcy ludzi trafi na bruk. Czy pan to rozumie? Kto wtedy będzie winien?

— Robimy, co w naszej mocy — odpowiedział Burski. Najspokojniej, jak potrafił.

Laskowski prychnął niczym kot.

Na biurku prokuratora zadzwonił telefon. Iwański podniósł słuchawkę. Wkrótce nie patrzył już na Burskiego. Opuścił wzrok na blat biurka. Odłożył słuchawkę i głęboko odetchnął.

– Znowu – powiedział. – Kilkanaście osób w Łodzi jadło cukierki nafaszerowane trutką na szczyry. Do cukierków sprzedawanych w hipermarkecie ktoś wstrzyknął roztwór trutki.

– Jakich cukierków? – zapytał Laskowski.

– Śliwki w czekoladzie. Wyprodukowane w „Ziemowicie”. Cukierek robiony jako sieciówka dla hipermarketów. Na papierkach nie było napisane, czyj to produkt, dlatego obsługa nie zdjęła ich z półek.

– Motocyklista był zatem wczoraj w Łodzi, zanim pojechał do Warszawy – odezwał się Burski.

– Mógł to zrobić wcześniej – warknął Laskowski.

– Nie sądzę. – Burski pokręcił głową. – Uważam, że pojechał wczoraj z Rzeszowa do Łodzi. Tam znalazł produkt „Ziemowita”, którego nie zdjęto z półek. Dobrze wie, co produkuje i dla kogo. To wasz obecny lub były pracownik. Dużo ludzi ostatnio zwalnialiście? Słyszałem, że blisko tysiąc w różnych fabrykach... W hipermarkecie kupił cukierki na wagę. Wstrzyknął do nich trutkę i wniósł w kieszeni z powrotem na halę. Wnieść do marketu możesz, co chcesz. Ochrona pilnuje tylko, żebyś nie wynosił.

– Wiem, że macie obiecaną pomoc techniczną z wojska i od naszych sojuszników – powiedział Iwański. – Złapcie go jak najszybciej.

– A jeżeli nie, to wkrótce trzeba będzie zbankrutować – dodał senior Laskowski. Bardzo spokojnie. Można było odnieść wrażenie, że spokój ten wypływa z rezygnacji.

Burski miał już dosyć tej szopki.

– A jak tam sytuacja „Ziemowita” na giełdzie? – zapytał.

– Spadki, proszę pana, spadki. Prawie piętnaście procent w dół w ciągu dwóch dni – usłyszał odpowiedź Laskowskiego.

– Ale ktoś jednak skupuje akcje, jak czytałem w gazetach? Gdy za kilka dni sytuacja się uspokoi...

– Panie komisarzu – przerwał mu prokurator. – Takie insynuacje są nie na miejscu. Proszę się zająć swoją pracą.

– Oczywiście.

Burski zauważył, jak Duduś Laskowski badawczo na niego spojrział.

Trafiłem? – pomyślał. – Trafiony, nie zatopiony. Jak w grze w okręty.

Ola Kosma opuściła wzrok i znowu coś notowała.

14.

— Udało nam się skompletować listę stu dwudziestu osób — referował Gawron, szef zespołu śledczych. Siedzieli na zebraniu w siedmioro. Czworo śledczych, aspirant Sołtysik, Burski i Ola Kosma.

— Wygląda na to, że mamy na tych kartkach odnotowane wszystko, co robił Zibik. Spośród tych osób nie udało nam się skontaktować tylko z pięcioma. Dwoje wyjechało na urlop, trzy osoby wyjechały do pracy. Do Irlandii albo do Szkocji. Z dwudziestoma dwiema osobami kontakt mieliśmy jedynie telefoniczny. W „Wępolu” miały miejsce grupowe zwolnienia pracowników. Część ludzi bardzo szybko wsiadła do samolotów i odleciała do Wielkiej Brytanii. Żadna z osób, które wypytaliśmy, nie wzbudziła podejrzeń. Sprawdzamy teraz, czy ci, którzy mieszkają w Bielsku i okolicach, mogli ostatnio podróżować po kraju. Sprawdzamy, czy mają zamrażarki. To czasochłonne, ale...

Burski skrzywił się.

— Daj spokój tym zamrażarkom. Sprawdzajcie alibi. Jeżeli wśród ludzi, którzy są teraz w Bielsku lub okolicach, nie znajdziecie nikogo, kto dwie ostatnie doby spędził w podróży, wówczas zostaną nam tylko ci, których w Bielsku nie ma. Dwadzieścia dwie osoby, tak?

— Plus pięć bez kontaktu, jak dotychczas. Oto lista, szefie... A zamrażarka? Duża zamrażarka? Nie jest ważna?

— Jest. Dlatego proszę dać ogłoszenie do prasy, że poszukujesz do wynajęcia mieszkania w Bielsku. Koniecznie z zamrażarką. Przejrzyjcie gazety. Popytajcie w biurach nieruchomości. Powinno się takie pojawić na rynku. Nasz Motocyklista działa z rozmachem. Zawczasu kupił co najmniej kilka dowodów osobistych. Nie wiemy, ile. Możemy przyjąć, że dużo i posługuje się różnymi nazwiskami. Do zakładania kont w bankach internetowych wykorzystuje dowody osób w zaawansowanym wieku. Wtedy jest większe prawdopodobieństwo, że taki człowiek nie ma już innego konta w wirtualnym banku. Do innych celów może się posługiwać innymi papierami. Jak do wynajmu mieszkania w Kielcach. I b był dowód osobisty studenta. Oczywiście zgubiony w niewyjaśnionych okolicznościach... Czasem marzy mi się, że budzę się rankiem w innym kraju, gdzie obywatele mają szacunek dla współmieszkańców i nie myślą wyłącznie o tym, jak oszukać bliźniego... On wszystko przygotowuje. Mógł także specjalnie dla tej akcji wynająć mieszkanie w Bielsku. Trzymałbyś trupa w kuchennej zamrażarce?

— Gdybym nie miał żony i dzieci, mieszkał sam...

— Motocyklista zainwestował trochę pieniędzy w przygotowania — wtrąciła Ola Kosma.

— Człowiek zamożny? Z dobrymi zarobkami? Może wziął kredyt celowy: na sfinansowanie szantażu.

— Kredyt? — podchwycił Burski. — Który to powiedział...? Nieważne. Obok biura Zibika jest jakieś biuro pośrednictwa kredytowego, tak?

— Aktualnie zamknięte.

— Jadę tam.

Burski spojrział pytająco na Olę.

— Jedź — odpowiedziała. — Ja przyjrę się tej liście dwudziestu dwóch kandydatów, których aktualnie nie ma w okolicach Bielska. Potrzebujemy rysopisów, zdjęć, życiorysów...

— Masz rację. Będziemy w kontakcie. Burskiemu nagle bardzo się spieszyło.

Na parterze kamienicy mieściła się duża księgarnia. Do biur znajdujących się na piętrach wchodziło się drzwiami otwieranymi przez domofon. Burski odszukał przycisk z napisem: „Administrator” i zadzwonił. Wpuszczono go. Wszedł po drewnianych schodach. Na drugim piętrze minął zamknięte na żelazną sztabę drzwi z tabliczką „Biuro Detektywistyczne”. Obok dwie osoby szarpały za kłódkę zamykającą wejście do innego pomieszczenia. Administratora nieruchomości zastał na trzecim piętrze.

— Nie spieszcie się. Wcale a wcale — kręcił głową administrator, gdy usłyszał pytanie o biuro pośrednictwa kredytowego. — Tyłu ludzi oszukał... Mnie to akurat najmniej, bo ja

pinuję swoich interesów. Wiem, na jak długo wystarcza kaucja. Dzień opóźnienia i wchodzę do delikwenta. Zabieram komputer, faks, wypraszam ludzi i zamykam pokój na swoją porządną kłódkę. A wy wcale a wcale się nie spieszcie.

— Kiedy pan zamknął tamto biuro? — Burskiemu szkoda było czasu na zbędne tłumaczenia, więc przeszedł od razu do pytań.

— Równo dziesięć dni temu. Zawsze dzwonię przed pierwszymi płatnościami. Wie pan, jak się wychowa klienta, to się ma klienta. Do niego też dzwoniłem. Oczywiście ćwierkał. Już wysyłał. Ptaszek jeden. Gównu wysłał. Dziewczynę wyprosiłem, sprzęt zatrzymałem w zastaw, a pokój zamknąłem. Więcej już do ptaszka nie udało mi się dodzwonić. Pan popatrz. — Administrator podał Burskiemu ulotkę reklamującą pośrednictwo kredytowe. — Pięć takich biur miał w kraju i centralę w Warszawie. Wszystkie telefony milczą.

— Powiedział pan, że wyprosił dziewczynę?

— No, tę pracowniczkę.

— Ma pan jakiś kontakt do niej?

— Oczywiście. Zawsze mam wszystkie dane ludzi pracujących w mojej kamienicy. Na wszelki wypadek. Może pan sobie przepisać... Wcale a wcale policja się nie spieszy.

— Dzięki za pomoc. Do widzenia.

— To już? A wizja? Lokalu nie chce szanowna policja obejrzeć? Widział pan tych ludzi, co całymi dniami się tam dobijają? Ptaszek oszukał wielu ludzi. Obiecywał tanie kredyty. Ale kończył na pobraniu opłaty manipulacyjnej wraz z wnioskiem o kredyt. Dwie stowy od łba. Dwadzieścia osób dziennie, po dwie stowy, przez miesiąc...? Nieźle, co? Jakies osiemdziesiąt pięć tysięcy zebrał tylko w jednym z pięciu punktów. Po co w tym kraju pracować, skoro można tak?

— Ktoś od nas zgłosił się po papiery, które zostały w tamtym biurze. Niech pan ich nie wyrzuca — odpowiedział Burski.

Nie miał czasu ani ochoty na próżne dyskusje o naiwności i łatwowierności ludzi, zwłaszcza takich, którzy są w potrzebie. A są w potrzebie z powodu łatwowierności i naiwności. Takich każdy kopie. Takie czasy.

Zatrzymał się przed wystawą księgami na parterze kamienicy. Zajrzał do środka. Wszedł, wybrał te stojaka, gdzie stały figurki zwierząt, dinozaurów, rycerzy i baśniowych stworów, jedną z nich. Małą, elastyczną, cętkowaną hienę.

Dwukrotnie telefonował do Knapa. Bez skutku. Wystukał esemesa: „No i jak?”. Wysłał.

Zadzwoił do dziewczyny, która pracowała w nieczynnym już biurze pośrednictwa kredytowego. Umówił się z nią za piętnaście minut. W jej mieszkaniu.

Staram się ostatnio nie wychodzić z domu, wyjaśniła.

— Owszem, wpłynęły jakieś zawiadomienia o popełnieniu wyłudzenia przez to biuro kredytowe — usłyszał Burski, gdy zatelefonował na komendę. — Już wkrótce ktoś się tym zajmie.

— Zajmijcie się natychmiast, a nie w normalnym trybie — odpowiedział. — To jest sprawa priorytetowa. Wiesz, czym ja się teraz zajmuję? Oglądasz telewizję...? Sprawdźcie mi także, i to natychmiast, czy w innych miastach wszczęto już dochodzenia. Najbardziej interesuje mnie Warszawa. Tam trafiały wszystkie wnioski kredytowe. Chcę jej mieć. Wszystkie.

Czasem bywają takie dni, że człowiek po prostu wie. Wie, że tego dnia intuicja go nie zawodzi. Burski czuł, że ma taki dzień. Dlatego zainteresował się tym oszukańczym biurem pośrednictwa kredytowego. Dlatego kupił figurkę cętkowanej hieny.

Drzwi otworzyła młoda, ładna kobieta. Długie włosy, dwadzieścia lat, zgrabna figura i dziewczęca, świeża buzia. Mógłby tak stać w wejściu jeszcze długo i patrzeć na nią.

— Pan z policji? — zapytała.

— Komisarz Burski — otrząsnął się. — Powinniśmy porozmawiać.

— A więc tak — zaczęła, zanim jeszcze zamknęła za policjantem drzwi. — Zostałam zatrudniona przez pana Wybickiego w dniu piętnastego kwietnia, dostałam umowę o pracę na okres próbny, rzecz jasna. Moim zakresem obowiązków miało być...

— Pozwoli pani, że to ja będę zadawał pytania, a pani będzie odpowiadała?

— Chciałam od początku... Proszę usiąść.

— W sąsiedztwie pokoju, gdzie pani pracowała, mieściło się biuro detektywistyczne, prawda?

— Taaak.

— Znała pani tego detektywa?

— Tylko z widzenia. Nie bardzo rozumiem...

— Proszę pozwolić mi zadawać pytania. To moja praca.

Burski uśmiechnął się najbardziej słodko, jak potrafił. Nie zadziałało. Właściwie nigdy nie działało. Wrzasnąć, nastraszyć, dać w zęby, to potrafił robić przekonująco. Uśmiechać się — nie.

— Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci tego detektywa.

— Śmierci detektywa? Jakiego detektywa? — Nerwowo spłotła ręce tuż poniżej kształtnych piersi. — A biuro kredytowe, wyłudzenia, moja niezapłacona pensja to co? To nieważne?

— Tym zajmuje się ktoś inny.

— No?

— Znała pani tego detektywa?

— Nie.

— Ale widywała go pani czasem?

— Tak.

— Pani Ilono, zajmiemy się sprawą wyłudzeń oraz pani straconej pensji. Słyszała pani o szantażyście, który zatruwa produkty w sklepach? Ta sprawa ma związek ze śmiercią detektywa Zibika. To naprawdę ważne.

— A moja pensja już nie jest ważna? No, ładnie. To, że nie mogę wyjść na ulicę, żeby nie zaczepił mnie ktoś z oszukanych ludzi, że nazywają mnie złodziejką, dziwką i w ogóle... — Oczy jej się zaszklily. — To oczywiście nieważne. Kurwa mać! W jakim kraju my żyjemy?! Za co mam płacić rachunki? Co mnie obchodzi szantażysta żądający okupu od jakichś złodziei? Ja też chcę swoje tysiąc dwieście trzydzieści złotych!

— Miała pani dużo klientów w tym biurze?

— Całe tłumy. Kredyty były tanie. Dofinansowywane przez Unię Europejską. Tylko półtora procenta rocznie. Kolejka stała od otwarcia aż do zamknięcia biura.

— Nie było nawet kiedy porozmawiać z sąsiadami?

— Nie było.

— Ale pod różnymi pretekstami starali się do pani zaglądać, prawda? Taka piękna dziewczyna, nic dziwnego. Pani chyba brała udział w finale Miss Polonia, prawda?

— Nie. — Wytarła chusteczką nos. Nawet uśmiechnęła się słabo. — Ale mówiono mi już, że jestem podobna do tej pierwszej wicemiss.

— I to bardzo. Tyle że pani jest oczywiście ładniejsza. Kiedy ostatni raz przyszedł do pani detektyw?

— Chyba dzień przed zamknięciem biura. Tak. Dzień wcześniej.

W dniu, kiedy Zibik zakończył swoje marne życie damskiego boksera, uzmysłowił sobie Burski.

— Czego chciał? Co mówił?

— To, co zawsze faceci mówią. Bajer jakiś.

— Wcale mu się nie dziwię. A może pytał także o kogoś?

— Skąd pan wie?

— O kogo pytał?

— O jakiegoś klienta... Tamten wyszedł chwilę wcześniej. Gość się dopytywał, kiedy dostanie pieniądze, bo wniosek już dawno złożył.

— Pamięta pani jego nazwisko?

— A skąd? Codziennie wysyłałam kilkadziesiąt wniosków do Warszawy. Jak mogłabym zapamiętać wszystkie nazwiska?

— Czego chciał Zibik od tego klienta?

— Pytał tylko. Tak jak pan. O nazwisko tamtego.

— Powiedziała mu pani?

— Nie pamiętam... Może. Chyba gość się przedstawiał, kiedy pytał, czy jego wniosek został już rozpatrzony. Zupełnie niepotrzebnie. Bo takie informacje miały trafiać początkowo bezpośrednio do klienta. Zupełnie niepotrzebnie się na mnie denerwował. Bo co ode mnie zależało?

— Proszę pomyśleć.

Dziewczyna opuściła wzrok na stół. Stół, tak jak wszystkie meble w pokoju, wykonany był z żółtego sosnowego drewna. I polakierowany na błysk.

— Sośnicki? — powiedziała.

— Jest pani pewna?

— Nie.

— To działo się przed południem, prawda?

— Nie, proszę pana. Dlaczego pan tak myśli? Właśnie miałam zamykać biuro. Pracowałam do osiemnastej. Dlatego tamten był taki zdenerwowany, że przed zamknięciem kolejka do niego nie dojdzie.

Na ostatniej kartce z życia kuchennego Gołoty śledczy zaznaczyli:

Godzina siedemnasta, Zibik rozmawia z Bolesławem Duszą, piętnaście minut, wg. p. Duszy. Potem już tylko pusta kartka. Miejsce zostawione, żeby uzupełnić, co działo się z Zibikiem do godziny dwudziestej. O dwudziestej detektyw już nie żył.

Burski dopisał:

Siedemnasta trzydzieści (???) bokser wraca do biura (po co???), kogo spotyka? Sośnicki (???) Kto to? Zibik poszedł za nim?

Już miał wstać od biurka i pójść do działu kadr. Od dwóch dni się z tym zbierał. Ale czuł jakiś dyskomfort, dziwny niepokój. Nie wiedział, jak to nazwać ani skąd się to bierze. Przecież sprawa jest prosta i oczywista. Każdy by tak zrobił na jego miejscu.

Znowu spojrzął na mapę miasta wiszącą na ścianie. Syrenka z mieczem w uniesionej dłoni nie patrzyła przecież na niego. Patrzyła gdzieś w bok. Co jej do mnie i do moich planów? Może to i moje miasto. Jasne, że moje. I co z tego? Przede wszystkim trzeba myśleć o najbliższych. O dzieciach i żonie. Miasto poczeka.

Zamknął książkę. Powtórzył w myślach kilka ostatnich zwrotów. Wstał od biurka i poprawił mundur. Zadzwoił telefon.

— Kowalewski, słucham.

— Masz samochód? Pojedź ze mną na Mokotów. Poproszono nas o pilną przysługę.

— Okay. Czekam na parkingu.

Trzy kwadranse później, gdyż popołudniowy korek w stolicy trwał już w najlepsze, dwaj policjanci dotarli na miejsce. Firma pośrednictwo kredytowego wynajmowała tam dwa pokoje. Administrator budynku otworzył im bez zbędnych ceregieli.

— Od tygodnia nikt się nie pokazuje — wyjaśnił. — Ale dopóki jest zapłacone, to wszystko w porządeczku, prawda?

Kolega Kowalewkiego machnął kartką papieru przed oczami administratora.

— Mamy nakaz.

— Władza to władza. Róbcie swoje, panowie. Ja lokale od lat wynajmuję. Wiem, kiedy już nikt się nie pokaże w lokalu.

Pierwszy pokój był pusty, nie licząc zakurzonego biurka, trzech krzeseł i uschniętej paprotki na parapecie. W drugim pomieszczeniu za to brakowała miejsca. Od podłogi aż po sufit wznosiła się sterta grubych kopert formatu A-4, których nikt nigdy nie otworzył. Towarzysz Kowalewskiego wziął pierwszą z brzegu kopertę. Rozdarł ją. Wysunął kilka kartek.

— Wnioski kredytowe — mruknął. — Po to nas przysłano. Może nam pan pomoże to wynieść do samochodu?

Administrator wzruszył ramionami.

— To wam za to płacą.

Odrzucił się i odszedł.

— Pospiesz się — usłyszał Kowalewski. — Wieczorem masz jeszcze blue taxi.

— Nic nie mówiłeś.

— Szefostwo i ważni z ministerstwa mają imprezę. Potem trzeba będzie wszystkich porozwozić do domów. Potrzeba dziesięciu samochodów. Jak się pospieszysz z tą makulaturą, to może nie dostaniesz kursu do Siedlec, tylko gdzieś bliżej. No, ruchy, chłopie, ruchy. Ja idę coś zjeść.

Jutro z samego rana, myślał policjant Kowalewski, nosząc naręcza listów do samochodu. Jutro pójdę do kadr. Do wyjazdu wykorzystam urlop. Będę ostro szkolił język. A za dwa tygodnie frunę do Irlandii.

Nie odczuwał już tego dziwnego, niezrozumiałego niepokoju. Miał przecież w kieszeni angaż. Zawsze chciał być policjantem. Będzie nadal policjantem.

Ale w Irlandii.

Wieczorne wiadomości telewizyjne rozpoczynała informacja o cukierkach zatrutych truczką na szczyry. Karetki na sygnałach. Szpitalne łóżka. Lekarze ze stetoskopami na szyjach udzielający wywiadów. Tłum reporterów z mikrofonami. Na każdym mikrofonie logo stacji radiowej lub telewizyjnej. Stan niezagrożający zdrowiu, uspokajał lekarz, ledwie widoczny zza reklam na podtykanych mu mikrofonach. Co robi policja? — pytała reporterka.

Następne ujęcie. Zamknięta brama. Na niej szyld: „ZPCHr Ziemowit”. Pod bramą pikietą pracowników. Las mikrofonów. Nie dopuścim do zamknięcia fabryki, krzyczy zasapany jegomość. Niech się policja weźmie do roboty!

Potem puste pólki w supermarketach. Odjeżdżająca limuzyna z lustrzanymi szybami. Próba zadania przez telefon jakiegoś pytania właścicielowi fabryki, skwitowana tekstem: „Abonent jest poza zasięgiem stacji lub ma wyłączony telefon”. Kilka ujęć bankomatów. Oraz gwóźdź programu.

Zdjęcia z kamer przemysłowych. Ubrany na czarno motocyklista w kasku z opuszczoną przybłąką wkłada do bocznych kieszeni kurtki pliki banknotów.

I tak przez dwadzieścia minut.

Dopiero po tym część kabaretowa. Informacje z życia i pracy polityków. Za kilka dni znowu jakieś wybory.

O dziewiętnastej dwadzieścia pięć odezwał się informatyk.

— Znowu się logował.

— Na długo? — zapytała Ola Kosma.

— Dziesięć sekund. Nic nie robił. Tylko sprawdzał.

Burski wiedział już, że działanie modemu EDGE, przez który Motocyklista łączył się z internetem, zostało celowe nieco spowolnione. Jeżeli będzie chciał dokonać następnych przelewów, jak zakładał Burski, znowu połączy się z internetem. Nie pytał nawet Oli, z czyjej pomocy korzystają, skoro teraz wystarczy trzydzieści sekund, żeby zlokalizować miejsce, skąd następuje połączenie. Wiedział, że nie odpowiedziałyby.

Burski popatrzył na mapę Polski, którą wcześniej rozłożył na biurku.

— Gdzie się teraz pojawi? Dwa dni temu wieczorem był w Rzeszowie. — Komisarz zakreślił zielonym markerem okrąg wokół miasta. — Po dokonaniu wypłat z bankomatów przespał się gdzieś po drodze, jadąc do Łodzi. Tam zatrul cukierki. Z Łodzi pojechał do Warszawy. W stolicy były następne wypłaty. A teraz?

— Jest — cicho szepnął informatyk.

Oboje, Ola Kosma i Burski, stanęli za jego plecami. Blisko siebie. Burski z przyjemnością, głęboko wciągał do płuc zapach perfum kobiety. Zdążył już polubić ten zapach. Zerknęła na niego kątem oka. Zorientowała się? Jak? Ach, te kobiety. Skąd one wiedzą, co facet będzie chciał zrobić, zanim on zdąży o tym pomyśleć? No, skąd?

— Dziesięć sekund, piętnaście — cedził przez zęby informatyk. — Robi przelewy... Ciekawe, co on teraz myśli? Dwadzieścia sekund... Jest z siebie zadowolony...?

— Niechybnie — powiedział Burski, wykorzystując ten moment, żeby oprzeć prawą rękę na krześle informatyka. Tak, że mimowolnie niemal objął panią kapitan z AWO. Nie poruszyła się. Wewnętrzną częścią ramienia Burski dotykał jej pleców.

— Trzydzieści... zaraz będziemy go mieć — cicho, ale ze wzrastającym napięciem komentował informatyk. — Trzydzieści pięć... Mamy go, mamy... Koniec połączenia... Jest! Jest w Poznaniu! — krzyknął informatyk, aż kobieta zadrżała i oparła się na Burskim.

— Święty Marcin. Hotspot, cholera...

— To źle? — zapytał Burski.

— O tej porze tam jest tysiąc ludzi — odpowiedziała Ola Kosma. — To jedno z miejsc, gdzie możesz się połączyć z internetem bezpłatnie, nie wykorzystując własnego modemu.

— Święty Marcin — powtórzył informatyk, równocześnie stukając w klawiaturę komputera.

— Skurczybyk. W Poznaniu jest ze czterdzieści hot-spotów. Ale szybkie tylko dwa. Jeden z nich to właśnie Święty Marcin... Są nowe konta! Sześć. Następne konta bankowe. Na nazwisko Anna Rola, pobyt tymczasowy: Kielce. Ten sam adres, co Byczewski.

— To na nic — westchnął Burski. Zdjął rękę z oparcia krzesła informatyka. Niemal mimowolnie jego dłoń zatrzymała się na talii Oli. Została tam chwilę, gdy Burski głośno analizował sytuację/

— Zaloguje się jeszcze kilkakrotnie po dziesięć sekund, żeby skończyć przelewy, prawda? Na sześć kolejnych kont, żeby wszędzie mieć równe kwoty. Pedant. A około północy zaczniesz robić wypłaty. Gdzie?

Kobieta dopiero teraz delikatnie uchyliła się od dłoni Burskiego.

— W czasie czterech godzin, jakie ma do północy, zdąży dojechać daleko — powiedziała. — Zarządzimy kontrole drogowe na wszystkich drogach wyjazdowych z Poznania. Niech policja szuka motocyklisty z notebookiem albo człowieka z notebookiem i kombinezonem motocyklisty w samochodzie.

— Może podróżować z fałszywymi dokumentami — dodał Burski. — Proponuję nie ograniczać się do nazwisk dwudziestu kilku osób z listy Gawrona.

15.

Obudził się i natychmiast wyciągnął prawą rękę do telefonu. Była drętwa niczym kij od miotły. Stado mrówek biegło mu od koniuszków palców aż po łokieć. Drapało, szczypało, ale odrętwienie nie mijało. Potrząsała dłońią. Ruszała całą ręką. Próbował zgiąć palce. Nie reagowały.

Tym razem trwało to znacznie dłużej niż kiedykolwiek.

Wystarczająco długo, żeby zorientował się także, że nikt do niego nie dzwonił. Po prostu obudził się o dwudziestej trzeciej czterdzieści. Jak każdej nocy, ostatnio.

Po dwóch długich minutach mrówki wewnątrz jego ręki przestały wariować. Burskiemu wracało czucie. Wtedy zadzwonił telefon.

— Dzwonię tylko powiedzieć — odezwał się znużony głos informatyka — że logował się jeszcze czterokrotnie. Zbyt krótko na zlokalizowanie zbója. Zrobił inwentaryzację.

Burskiemu wróciło czucie w ręce, ale nie dobry nastrój.

— Co ty pieprzysz?

— Tak jak mówiłeś, teraz ma na wszystkich rachunkach równe ilości gotówki. Trzeba spodziewać się wypłat. Mam dzwonić do pani Oli?

— Sam zadzwonię. Ty pilnuj komputera i telefonuj do mnie natychmiast, jakby co.

Kapitan Ola Kosma już nie spała.

— Wezmę taksówkę i przyjadę do ciebie — powiedziała. — Też nie mogę spać.

Burski natychmiast zatelefonował na radio-taxi i zamówił kurs do całodobowych delikatesów. Po dwie butelki dobrego wina i coś na ząb.

Nie bądź świnią — pomyślała pod adresem Motocyklisty. — Bądź mężczyzną. Jeżeli jesteś facetem, to rozumiesz, że otwiera się przede mną szansa. Nie zepsuj mi tej nocy.

Niewątpliwie był mężczyzną.

Nie takim jak większość. Nie takim jak ci, co przychodzą napruci, szczerzą żółte zęby bez powodu, a bez pomocy ani rusz. Miękką kita. Tyle dobrego, że na takich można zarobić ekstra. Kiedy chcą, żeby Angela wzięła im do buzi bez gумы.

Ten był inny. Całkiem miły i sympatyczny. No i młody. Bez obwisłego brzucha i smrodu próchnicy przemieszanego z fetorem przetrawionej wódki, płynących z ust, gdy jeden lub drugi rwał się do całowania jej zgrabnych piersi. Ten był prężny, silny i wysportowany. Dałaby mu za darmo. No, bez przesady. Może jedna laska za darmo. Leonardo di Caprio to on jednak nie jest.

Leżał na niej z zamkniętymi oczami i rytmicznie robił swoje. Znacznie spokojniej niż za pierwszym razem. Nawet przyjemnie, pomyślała Angela, co jeszcze niedawno była Krystyną. Zanim przyjechała do miasta. Zanim przekonała się, że za osiemset złotych miesięcznie w knajpie lub w sklepie i tak musi robić lody oraz rozkładać nogi. Wołała zarabiać dwa razy tyle w tydzień. Trafiła do agencji. Szybko przestał jej przeszkadzać ten mdły zapach pokoju z dużym łóżkiem i pościelą, na którą przed każdym klientem należało położyć ręcznik. Sprawy już i wypłowiwały.

— Kiedy psity zapomnita o ręczniczku, to bedzieta kurwy płaciły za pościel — tylko raz, dobitnie, ale kulturalnie powiedział pan Rysio. Szef. Ona zawsze pamiętała. Skoro nie była na tyle głupia, żeby targać widłakiem trzytonowe palety w sklepie, to i o ręczniku pamiętała.

Skończył. Szybko i sprawnie wyjęła ręką jego fiuta, przytrzymując gumę. Zsunęła ją palcami i rzuciła obok łóżka, na szmatę. On położył się na wznak. Ciężko oddychał.

— Masz jeszcze sporo czasu — powiedziała, zerknąwszy na duży plastikowy zegar nad drzwiami. — Zapalimy?

— Jak chcesz, to pal. Ja nie palę. To trucizna. Kiedy spalisz, zrobisz mi druta.

— Dobra. Założę smakową gumę. Lubię truskawkowe.

— Bez gумы.

Za darmo zrobię mu laskę następnym razem, pomyślała.

— Pięć dych bez gumy.

— Dam ci później.

Zaciągnęła się camelem i długo wypuszczała dym. Tak robiły laski na starych filmach, kiedy jeszcze na filmach palono fajki. Nosiły długie suknie, siadały na sofach lub szezlongach, zakładając nogę na nogę, a suknie obsuwały im się za kolana. Faceci dostawali na ten widok wytrysków w gacie. Nie to, co teraz. Teraz to nawet filmy są do dupy.

— Albo z góry, albo z gumą — odpowiedziała.

— Dobra.

Wstał, sięgnął do kieszeni spodni. Wyjął plik złożonych na pół banknotów. Rzucił jej pięćdziesiąt złotych.

— Dopał i bierz się do roboty. Dmuchał cię już nie będę, bo jesteś rozjebana jak wiadro na kartofle.

Zaśmiała się. Lubiła gości z poczuciem humoru.

Głodził ją palcami po plecach. Delikatnie, żeby nie obudzić. Pocałował, a raczej musnął tylko czubkami warg. Dotknął końcem języka. Potem położył głowę na jej plecach. Jej ciepło było tak miłe. Jej zapach tak narkotyczny. Nie chciał spać. Chciał leżeć tak wiele godzin, wdychać jej feromony, napawać się jej ciepłem, życ. Znowu żyć.

Ola mruknęła coś przez sen. Burski zastygł w bezruchu. Przestał oddychać. Nie podniósł głowy opierającej się policzkiem o jej plecy. Poruszyła się. Nie za mocno. Nie spychając go. Znowu spała słodko.

Spojrzała na czerwieniejące cyfry zegara w dvd. Piąta trzydzieści. Odgonił od siebie myśli o prowadzonych śledztwach. Skutecznie. .

Kiedy tylko świt zajrzał w okno, ostrożnie wstał. 'Umył się i ogolił. Ubrał. Gdy wrócił ze sklepu z ciepłymi jeszcze bułeczkami, Ola nadal spała. Przygotował talerze. Wyjął nawet z kredensu filiżanki. Wylał je, dawno nie były używane. Na patelnię nałożył masła, wlał soku pomidorowego do szklanek. Usiadł w pokoju naprzeciwko łóżka i dobre pół godziny siedział bez ruchu, patrząc na nią.

Potem rozebrał się i wśliznął do łóżka. Znowu całował jej plecy. Już nie tak delikatnie. Chłonał jej smak i zapach. Zamruczała z przyjemności. Dotknęła dłonią jego męskości.

— No proszę — powiedziała, niemal nie otwierając ust, uśmiechając się tylko. — Mój miły już gotowy.

Każdy kolejny raz, gdy się kochamy, jest przyjemniejszy od poprzedniego, uzmysłowił sobie po kilku minutach. Świat wirowała mu wokół głowy.

Telefon dzwonił.

Ola wycierała kawałkiem bułki patelnię po jajecznicy. Uśmiechała się przy tym łobuzersko, jakby coś zbroiła. Założyła na siebie jego koszulę. Niebieską. Najlepszą, jaką miał. Zapięta tylko na jeden guzik. To jest najsmaczniejsze, powiedziała, nie przejmując się jedzeniem w ustach. Popiła bułkę z resztkami jajecznicy sokiem. Burski patrzył na nią zafascynowany.

Telefon dzwonił.

Machnął ręką. To nieważne. Wszystko jest nieważne. Żaden telefon o siódmej rano. Tylko ty, boski diable... Ola mlasnęła na znak, że skończyła. Oblizła usta.

— Co powiesz na wspólny prysznic? — zapytała, widząc błysk w jego oczach.

— Marzę o nim.

Dwa diabełki w miodowych źrenicach fiknęły koziołki. Wstała. Rozpięła ten jeden guzik i zsunęła męską koszulę na podłogę.

— Idziemy?

Telefon przestał dzwonić.

Cały podły świat na chwilę odszedł. Odpłynął. Ciepła woda lała się z prysznicza. Ściany kabiny parowały.

Kochali się.

— Teraz sprawa jest już prosta, prawda? — Prokurator Iwański zabębnił palcami o blat biurka. — Gość od dwóch dni jest non stop w podróży. Czy to wielka filozofia sprawdzić, kogo z potencjalnie podejrzanych nie ma w domu od czterdziestu ośmiu godzin?

— Właśnie to robimy. — Burski spojrzął na zegarek. — Jest jedenasta przed południem. Za godzinę będziemy mieli komplet informacji z całego kraju. Sprawdzamy ludzi, z którymi miał kontakt Zibik. Jeżeli to okaże się za mało, sprawdzimy wszystkich pracowników zwolnionych ostatnio z firm Laskowskich. Potem ich rodziny. A to będzie już z kilka tysięcy ludzi... Od rana funkcjonariusze wprowadzają do komputerów dane z wniosków kredytowych przejętych w Warszawie. Szukamy człowieka, który być może jako ostatni widział detektywa Zibika. To ponad dwa tysiące nazwisk. Gdy lista będzie gotowa w formacie elektronicznym, resztę zrobi komputer. Skojarzy nazwiska i ludzi z pracownikami Laskowskich, listą Zibika i tak dalej.

— W nocy nie dokonał żadnych wypłat? — Iwański zwrócił się teraz do Oli Kośmy. — Dlaczego?

— Jest ostrożny — odpowiedziała. — Logował się wczoraj na konto kilkakrotnie. Mógł założyć, że ustalimy jego miejsce pobytu i postawimy na nogi całą policję w Wielkopolsce. W minutę od wprowadzenia pinu do bankomatu byłby tam patrol. A on nie chce nam ułatwiać zadania.

— A nocne kontrole drogowe?

Odpowiedziały mu rozłożone ręce.

— Pojawi się dzisiaj zupełnie gdzie indziej?

— Tak myślę — potwierdziła kobieta.

— Pół bańki... — westchnął prokurator. — Wiecie, co z nas wszystkich zostanie, jeżeli go nie złapiecie?

— Mokra plama?

— Gorzej...

Ktoś energicznie zastukał w drzwi.

— Wlazł! — krzyknął Iwański. Czuł się za biurkiem Burskiego jak u siebie.

— Już mamy — oznajmił zasapany Sołtysik. Rozdał każdemu z trójga po kartce wydruku. — Siedem osób. To jest siedem osób z listy Zibika, których nie ma od co najmniej dwóch dni w domach. W nawiasach informacje, gdzie zdaniem rodziny lub sąsiadów mogą być...

Knap Adam, zam. Lublin, miejsce nieznane.

Dusza Bolesław, zam. Bielsko, wg. żony pojechał na szkolenie z „Wępolu” (nie ma szkolenia dla handlowców!!!).

Zbigniew Jaszuk, zam. Tomaszów Lubelski, wg. żony jest w Warszawie lub w Poznaniu. Jeździ na rozmowy o pracę. Kontakt telefoniczny był.

Fajowski Krzysztof, zam. Bielsko, wg. rodziców poleciał do Edynburga. Kontaktu brak.

Roman Zbych, zam. Bielsko, wg. żony jest w Irlandii. Jeszcze nie dzwonił.

Jabłoński Grzegorz, zam. Bielsko, wg. rodziców pojechał do Zakopanego, miał chodzić po górach, w schroniskach brak takiego nazwiska.

Marcin Kolarek. Zam. Bielsko. Irlandia albo Londyn. Rodzina nie wie.

— Z terroryzmem trzeba walczyć wszelki dostępnymi środkami — powiedział dobitnie Iwański. — Wystawię nakazy zatrzymania wszystkich siedmiu. Znajdźcie ich i zamknijcie. Może to nie jest jeden człowiek...? Martwić się będziemy później. Teraz musimy koniecznie zatrzymać jakiegoś podejrzanego lub podejrzanych. Jeżeli nie dzisiaj, to koniecznie jutro. Ale przed siedemnastą.

Burski pokiwał głową. Jakakolwiek dyskusja mijała się z sensem. Prokurator Iwański musiał pokazać zwierzchnikom, a zwłaszcza ministerstwu, że ostro i bezkompromisowo zwalcza przestępczość. Jak wiadomo, nic tak skutecznie nie zwalcza przestępczości, jak zatrzymania podejrzanych w świetle kamer. Stacjom telewizyjnym trzeba dać także trochę czasu na przygotowanie materiału. Dwie godziny to w sam raz.

Stał przy zasłoniętym firanką oknie i patrzył na parking. Wypatrywał taksówki. Minęła już dwudziesta druga. Obiecała, że przyjedzie.

Nie pojedę z tobą, powiedziała, zobaczymy się wieczorem. Przyjadę do ciebie, powiedziała cicho do ucha Burskiego.

Okay, policjant pokiwał głową. Potem zadzwonił do dziewczyny, z którą rozmawiał dzień wcześniej. Tej z biura pośrednictwa kredytowego. Chciał pokazać jej nazwiska osób oraz

zdjęcia ludzi, którzy pracując w „Wętpolu” ubiegali się o kredyt. To były cztery osoby. Żaden z nich nie nazywał się niestety Sośnicki.

Dziewczyna poprosiła, żeby Burski przyjechał za dwie godziny. Wychodziła właśnie na umówioną wcześniej rozmowę w sprawie pracy.

Wsiadł do astry i pojechał do Szczyrku. Ordynatora szpitala zastał w jego gabinecie. Na widok Burskiego lekarz głośno zamknął rozłożoną na biurku książkę i zdecydowanym gestem wyprosił notującą coś stażystkę.

— Przyjechał mnie pan znowu straszyć i szantażować? — zapytał. — Próżny trud.

— Wiem.

Burski bez zaproszenia usiadł na ciepłym jeszcze po pośladkach młodej stażystki fotelu. Jeżeli pan doktor miał coś na sumieniu, a zapewne miał, to dany mu czas wykorzystał dobrze. To właśnie Burski starał się przekazać ordynatorowi szpitala swoim spojrzeniem.

— Przywiozłem panu prezent.

Zaskoczony psychiatra nic nie odpowiedział.

Policjant sięgnął do teczki i wyjął z niej cętkowaną figurkę hieny.

— Zauważyłem, że nie ma pan takiej. — Wskazał na półkę, gdzie starannie ustawiono figurki zwierząt. Jak zawsze były dokładnie oczyszczone z kurzu.

Lekarz wziął do ręki małą hienę. Zwierzak stąpał z nisko pochylonym łbem, przekręcając go na bok.

— Nic pan nie rozumie — powiedział.

— Nie chcę nic rozumieć. Chciałem tylko podziękować za pomoc. Dzięki panu udało mi się odnaleźć pana Arka. Od niego dostałem prezent. Dwie pocztówki z Afryki. Jedna jest dosyć podobna do tamtej.

Burski wskazał na korkową tablicę za biurkiem lekarza. Przypięto do niej kilkanaście pocztowych kart z różnych stron świata.

— Jak zdrowie Panny Nieznajomej?

— Stabilnie.

— Dlaczego nie powiedział mi pan od razu, że to nie jest Mary Kołuchowska?

— Powiedziałem.

— Raczej późno pan to zrobił... Do pana także pisała?

— Tylko raz. W sprawie Ani, tej dziennikarki chorej na epilepsję. Prosiłem, żeby więcej nie pisała. Pan nie wie... nieważne. I tak za dużo powiedziałem. Nie było likaonów?

— Czego nie wiem?

— Gdyby to był likaon, poprosiłbym pan o autograf. Pan przecież nie jest hieną. Pan jest drapieźnikiem. Niepozornym, podstępny drapieźnikiem. Jeżeli jeszcze pan nie wie wszystkiego, to wkrótce może pan się dowie. Proszę już iść.

Burski wołał dalej blefować niż obnażyć żałosny stan swojej wiedzy. Pożegnał się z lekarzem raczej oschle.

— Coś tam wiem.

— To proszę na siebie uważać.

Pół godziny później był już u dziewczyny, która bardziej świadomie czy mniej, ale jednak brała udział w naciąganiu naiwnych ludzi na tanie kredyty.

— Poznaje pani te nazwiska?

Dusza Bolesław, Jaszuk Zbigniew, Kotowski Jan, Bulba Roman.

Pokręciła głową.

— A zdjęcia?

Burski rozłożył na stoliku zdjęcia. Było ich dziewięć. Siedmiu, na których Iwański wystawił już nakazy zatrzymania, i dwóch, Kotowski i Bulba, chociaż w zapiskach damskiego boksera Zibika ich nie było.

Chłopaki szybko się spisali z tymi zdjęciami, pomyślał komisarz. Nie ma co się dziwić. Takie śledztwo? Głośne na cały kraj? Każdy się stara.

— Tego sobie przypominam — powiedziała dziewczyna. — Bardzo sympatyczny był.

Dusza Bolesław, przeczytał Burski na odwrócić.

— To ten, o którego pytał Zibik?

— Nie, co pan. Oczywiście, że nie ten. Ten pan Dusza był sympatyczny, a tamten nerwus jakiś. Nie ma go na zdjęciach.

— Na pewno nie ma? — niemal z rezygnacją zapytał Burski.

— Z całą pewnością.

To mogło być zupełnie inaczej, myślał Burski, gdy szli do samochodu. Hipoteza śledcza z zapiskami niespełnionego boksera może okazać się ślepą uliczką.

Zadzwoił po Sołtysika, żeby zabrał z domu policyjnego rysownika i przywiózł go natychmiast na komendę. Z użyciem środków przymusu bezpośredniego włącznie, jeżeli zajdzie taka potrzeba. To nieważne, że jest niedziela.

Zibik mógł nigdy nie rozmawiać z Motocyklistą. Widział go tylko przelotnie w fabryce „Wępolu”. Potem zobaczył go w biurze kredytowym po sąsiedzku. Zainteresował się. Tę jasne. Przystępstw zazwyczaj nie popełniają ludzie, którzy mają zbyt dużo kasy. A Motocyklista ponosił wydatki, planując swoje przestępstwo. O tym Zibik nie wiedział. Lecz mógł pójść wtedy za nim. Coś zobaczyć? Jak kupuje puszkę karmy w sklepie? Poszedł dalej sprawdzić, czy gość ma psa...? To szyte grubymi nićmi, ale bądźmy szczerzy: Zibik był damskim bokserem i kretysem. Na pewno nie wpadł na żaden trop drogą błyskotliwej dedukcji. Pomógł mu przypadek. „Pomógł” — poprawił się w myślach Burski — to niewłaściwie słowo. Przypadek sprawił, że zginął. Wszedł gdzieś, gdzie wchodzić nie powinien i pewnie nawet nie spodziewał się, że wkroczy na niebezpieczny teren. A potem było już za późno. No, a ten strzęp „Gazety Wyborczej” w ustach? Niepojęte.

Tak jak sprawa z Mary Hurtanyi. Przed kim ostrzegał mnie lekarz? Czego i jak mam się dowiedzieć?

Może coś łączy obie sprawy poza moją skromną osobą?

Burski spojrzał na zegarek. Minęła dwudziesta druga. Taksówka z Olą nadal nie pojawiała się na parking. Wyjął komórkę. Po chwili zastanowienia uznał, że da jej jeszcze piętnaście minut. Może po prostu miodowoooka odpoczywa.

Zajrzał do pliku „wiadomości” w komórce. Może coś przyszło niepostrzeżenie. Nadal wyświetlał mu się raport o treści „oczekuje” pod adresem wiadomości wysłanej do Adama Knapa. To już ponad doba.

Od Młodego także nic nie przyszło. A minął już tydzień, od kiedy także Burski pytał esemesem: „Kiedy ślub? Zostaną zaproszony?” Niepotrzebnie tak napisałem. Zbyt nachalnie. Po co tak? Jakbym się narzucał. To było nieprzemyślane. Młody się wkurzył i milczy. Powinienem był ograniczyć się do gratulacji. Zdecydowanie powinienem.

Złe myśli minęły, gdy zobaczył wysiadającą z taksówki Olę. Wszystko będzie dobrze, pomyślał. Co może stać się złego, kiedy ją spotkałem? Ona jest cudowna. Moja życie odmienia się na lepsze dzięki niej.

Miał dużo czasu. Wcześniej obejrzał dokładnie wszystkie miejsca. Zaplanował kolejność. Wiedział, że tym razem będzie potrzebował więcej czasu. I miał go. Dwadzieścia sekund na wypłatę z jednej karty. W każdym bankomacie po dziewięć kart. To maksimum trzy minuty przy bankomacie. Razem dwanaście minut, plus czas na przejście, nie będzie przecież biegał. Wystarczy zacząć o dwudziestej trzeciej trzydziści. Zaraz po północy następne cztery bankomaty. To będzie na złotówki siedemdziesiąt dwa tysiące złotych. Sporo zjedzą prowizje bankowe. Trudno. Nie bądźmy drobiazgowi.

Był tutaj przed kilku laty. Dostał wtedy pocztówkę na pamiątkę. To jedyne miasto, gdzie na każdej karcie pocztowej z jego panoramą widać na niebie samolot, chwalili się gospodarze. Zawsze jakiś samolot ląduje albo startuje z lotniska. Takie jest wielkie. Pomiędzy terminalami jeździ się kolejką. Jak przystało na bankowców, gospodarze byli niesłychanie oszczędni. Po jednej pocztówce na pamiątkę dla każdego. Ale się szarpnęli.

Zwiedził też wówczas najwyższy w mieście biurowiec. Ten, gdzie na trzydziestym i sześćdziesiątym piętrze urządzono ogrody. Kwitły kwiaty i krzewy, zieleniły się liście drzew. Mamy tu roślinność z całej Europy, podkreślali gospodarze. Na krótko zawieziono ich także na lunch do sali obrad zarządu. Tej na najwyższym piętrze. Lunch był skromny i szybki. Najciekawsza na szczycie drapacza chmur była łaźienka. Męska łaźienka. Bankowcy słyną nie tylko z tego, że wachają każdy cent, zanim go wydadzą. Mają także specyficzne poczucie

humoru. Ściany męskiej łazienki były przeszkłone. Nikt nie mógł przecież zajrzeć w okno najwyższego budynku w mieście. Pisuary umiejscowiono tak, że stojąc przy nich, widziało się pod pisuarem siedzibę centrali innego banku. Największego konkurenta.

On pracował wtedy dla firmy wprowadzającej na polski rynek nowy produkt. Osobiste konta bankowe w wirtualnym banku.

Tak, jak się spodziewał, nic mu nie przeszkodziło dokonać wypłat w centrum miasta. Zanim polska policja mogłaby wystać stosowne prośby na odpowiednich formularzach, a tutejsza policja zechciałaby zainteresować się sprawą, on rozbił się już ze skórzanego kombinezonu.

Do swoich obserwacji na temat bankowców dodał jeszcze jedno spostrzeżenie. Są oszczędni, mają niekonwencjonalne poczucie humoru oraz są wygodni.

City, dzielnica banków i giełdy we Frankfurcie nad Menem, sąsiaduje z dzielnicą rozrywki. Żeby wejść do czerwonej dzielnicy, wystarczy przekroczyć jedną, niezbyt szeroką ulicę. Od największego biurowca w mieście, siedziby Comerzbanku, dosłownie osiemdziesiąt metrów.

Też jestem już niemal bankierem, pomyślał. W końcu każdy z nich kiedyś zaczynał od tego, że musiał kogoś okraść.

Żyrafy nic sobie nie robiły z lądujących i startujących samolotów. Skubały trawę albo liście z drzew na terenie otaczającym lotnisko w Nairobi. Tym bardziej obojętne były im samochody zabierające turystów spod pawilonu portu lotniczego. Europejczycy wystawiali przez okna rozradowane twarze. Pstrykali zdjęcia. Pracowały kamery. Tylko żyrafy i w pewnym stopniu kierowcy busów prezentowali doskonałą, stoicką obojętność.

Afrykańscy kierowcy swoją postawę uzasadniali krótko: Nowa banda zwariowanych mzungu. Przylatują tutaj, żeby oglądać zwykłe zwierzęta. Najzwyklejsze, normalne zwierzęta. Biali nie są normalni.

Bus wiozł turystów, a między nimi Adama Knapa, ulicami Nairobi.

Prowadzona przez właściciela niewielkiego biura podróży, Grzegorza, grupa składała się zaledwie z siedmiu osób. Grzegorz zdobył ich sympatię już w czasie oczekiwania na przesiadkę, na podlondyńskim Heathrow.

— Patrzcie — mówił — po czym odróżnia się wysrańca od podróżnika? Otóż wysraniec ciągnie za sobą, jak psa, walizkę na kółkach, a podróżnik korzysta normalnie, jak człowiek, z plecaka. Już na lotnisku widać, kto jest wysrańcem, a kto podróżnikiem.

Oni podróżowali dumnie z plecakami. Program wyjazdu przewidywał dwutygodniowy trekking dla niezaawansowanych po Kenii i Tanzanii. Czyli bez szaleństw, trzy posiłki dziennie, noclegi oraz podwózka bagaży zapewnione. Lecz by poczuć smak afrykańskiej przygody, mały plecak niesiesz na karku sam. Z założenia omijamy miejsca uczęszczane przez wysrańców. Punktem kulminacyjnym programu miało być wejście na Kilimandżaro. Szlakiem nazywanym co prawda przez tubylców lekceważąco: Coca-cola route.

Pierwszego dnia, od razu z marszu, wybrali się do Hell's Gate. Zwiedzali także okolice jeziora Naivasha, gdzie w ogromnych latyfundiach uprawiano kwiaty. Każdego wieczoru jumbo jęty cargo zabierały na pokłady kontenery z gałązkami pączkujących róż, żeby już następnego ranka mogły one trafić do kwaciarni w Londynie, Paryżu czy w Rzymie. Nigdzie na świecie, jak przekonywał z uśmiechem starszy Holender, właściciel jednego z gospodarstw, nie udają się takie róże. Pozdrówcie ode mnie Lublin, dodał, to według mojego ojca najpiękniejsze miasto na ziemi.

— Ja jestem z Lublina — przedstawił się Knap.

— Moja rodzina mieszkała na ulicy Szerokiej — powiedział plantator róż. — To była główna ulica w Lublinie. To znaczy w naszej dzielnicy. Podobno już jej nie ma. Jakiś plac czy parking jest tam teraz. A wuj studiował w lubelskiej jesiwi chechmej, najśłynniejszej na świecie szkole mędrców. Lublin słynął na cały świat z tej jesiwi chechmej. Słyszałem, że sześćdziesiąt lat po wojnie nareszcie oddano budynek żydowskiej gminie? Tak...? Szkoda, że tato nie doczekał.

Szkoda, potwierdził Knap. Jemu także było przykro i głupio. Więcej wiedział o Jomo Kenyacie, Wielkiej Piątce i Pożegnaniu z Afryką niż o historii miasta, gdzie się urodził i wychował.

Wieczorem byli w Watykanie.

W okolicy równika dzień i noc trwają sprawiedliwie, po dwanaście godzin. Od ósmej do ósmej. Jedynym miejscem w Longido, w którym turyści mogli miło spędzić długi wieczór, był Watykan. Watykan mieścił się przy rynku, prostokącie udeptanej brunatnej ziemi, gdzie rano odbywał się targ. Masajki sprzedawały mleko w tykwach oraz miód z buszu. Kupowały czerwoną tkaninę w kratę i plastikowe koraliki na biżuterię. Kiedy targ się kończył, rynek przestaczał się w boisko. Obdarcy chłopcy kopali szmaciankę.

Przed zmierzchem pod Watykan przyszli turyści z Polski. Byli teraz jedynymi gośćmi w całym Longido, szacującym się tysiącem mieszkańców i siedmioma kościołami. Misjonarze, niezależnie od tego, kto ich przysłał, adwentyści, Rzym czy zielonoświątkowcy, szybko orientowali się, w jaki sposób należy prowadzić kościół w Afryce. Trzeba mieć zapewnioną pomoc dla mieszkańców, przynajmniej raz na miesiąc. W jednej z misji rozdawano mąkę, w innej ubrania, w jeszcze innej ryż albo środki higieny. Dzięki temu każda kaplica mogła liczyć na dużą liczbę wiernych. Afryka, jak wyjaśniał Grzegorz, zwany tutaj „Gregorem from Poland”, jest krajem patentów. Dzięki takiemu genialnie prostemu patentowi jak ten z misjami wszyscy byli zadowoleni. Mieszkańcy Longido i okolic, ponieważ dostawali pomoc, na którą nigdy nie byłoby ich stać. Misjonarze, gdyż czynili dobro. Mocodawcy misji, bo w każdej centrali radowano się z tego, jak szybko przybywa wiernych. Oni akurat nie musieli wiedzieć, że każdy mieszkaniec miasteczka należy do siedmiu kościołów, nie licząc normalnej afrykańskiej wiary w czary i duchy zmarłych zamieszkujące pnie drzew. Zdecydowanie nie musieli i nie powinni tego wiedzieć.

Początkowo Adam Knap myślał, że nazwanie jednego z dwóch barów w mieście „Watykan” coś oznacza. Szybko zrozumiał, że nie. Zwłaszcza że drugi nazywał się: „Five Years Plan”.

Obszarpani chłopcy kopali piłkę. Biegali za szmacianką, wzbijając tabuny gęstego kurzu. Nagle przerwali. Większość rzuciła się w stronę, skąd nadchodził Grzegorz. Piłka potoczyła się pod nogi Knapa.

Dzieciaki obstały Grzegorza, jak wcześniej Adama.

— Daj cukierka!

— Daj długopis!

— Daj cokolwiek! — wołały, aż Grzegorz pozbył się wszystkiego, co miał na takie okazje w kieszeniach.

Kilkanaście minut wcześniej Knap musiał odwiedzić jedyny w miasteczku sklepik, żeby opędzić się od dzieci. Kupił im słodycze. Wszystkie gummy do żucia, lizaki i cukierki w sklepiku nosiły markę Mikę Tyson. Z każdego opakowania uśmiechała się twarz Żelaznego Mike'a. Knap kupił dużą garść mieszanych tysonów i rozdał dzieciom.

— Hej, Dudek! — krzyknął do Knapa jeden z tych roślejszych, który nie podbiegł po cukierki.

— Kopnij piłkę!

Knap nie odważył się kopać szmacianki. Rzucił ją ręką.

— Cześć. — Grzegorz przysiadł obok na betonowej wylewce. — Kibicujesz?

— Jestem pod urokiem tego cudownego miejsca. Siedzę sobie w cieniu, piję tuskerka za mniej niż dolara butelka i dobrze mi jak rzadko kiedy.

— Tuskerka jest w porządku.

— Wziąć ci?

— Z przyjemnością.

Knap znowu wszedł do wnętrza „Watykanu”, gdzie za barem stała właścicielka, pulchna Afrykanka w kwiecistej, długiej sukni. Butelki piwa ułożyła na betonie za ladą i przykryła mokrym ręcznikiem. W Longido nie było prądu. Piwo tak przechowywane było jednak chłodne, a wilgoć na butelce nasuwała na myśl przyjemne skojarzenie ze szronem.

— Zdrowia.

Gdy wrócił, stuknęli się butelkami tuskera. Piwa nazwanego tak na pamiątkę współwłaściciela browaru, co zginął pod łkami słonia, jak głosił tekst na etykiecie.

— Umówiłem ci na jutro matatu — powiedział Grzegorz. — Kierowca wie, gdzie mieszka hrabina Hurtanyi. Zawiezie cię.

— Hrabina? Ona naprawdę jest hrabiną?

— Tak ją nazywają tubylcy. A to znaczy, że jest. Uważają także, że jest potomkiem tego szalonego Węgra, który jako pierwszy mzungu dotarł z wyprawą nad jezioro Turkana.

— A jest?

— Twoje pytania są dziwne. Takie europejskie — skrzywił się Grzegorz. — To jest Afryka, kolego. Tu wierzy się w zabójcze numery telefonów. Jeżeli odbierzesz taki telefon, wkrótce umrzesz. Bo to są czary. Ale tutaj także, kiedy się spotka dwóch Masajów, potrafią ze sobą rozmawiać pół dnia. Umiałbyś tak rozmawiać? Biali dawno już zatracili taką umiejętność rozmawiania.

Szmacianka znowu podtoczyła się pod nogi Knapa.

— Hej, Dudek! — krzyczeli obdarci chłopcy. — Kopnij!

Adam Knap wstał i kopnął piłkę nogą. Poleciała mniej więcej tam, gdzie celował.

— Emanuel Olisadebe front Poland! — zaśmiali się wszyscy gracze.

Knap pomachał do nich ręką. Gestem, którego używa się, gdy trzeba podziękować albo przeprosić.

— Wstawaj! Kurwa! Wstawaj!

Poderwał się. Światło poraziło mu oczy.

— Na ziemię! Kurwa! Na ziemię! — krzyknął inny.

Popchnęli go. Spadł z łóżka. Grzmotnął nosem w podłogę. Szarpnięto go za ręce. Wykręcono je. Zawył. Zatrzasnęli kajdanki.

— O co chodzi...?

— Milcz, kurwa, zbóju!

Leżał bez ruchu. Widział ich czarne buty o grubych podeszwach. Długie lufy karabinów zaglądały mu w oczy. Stali nad nim w kevlarowych kamizelkach, kominiarkach i hełmach. Jeden trzymał reflektor. Kamerzysta filmował przerażoną twarz leżącego mężczyzny w bokserkach.

Potem dwóch podniosło go za ramiona. Kazali iść po schodach i milczeć. Dostał w bok, gdy stanął bosą stopą na kamieniu i syknął. Wepchnęli go do więźniarki. Ktoś rzucił mu śmierzdzący koc. Był w samych bokserkach, a majowe noce są chłodne. Grzmotnęły zamykane drzwi. Zawyla syrena. Suka ruszyła.

Po kilkunastu minutach uspokoił się na tyle, żeby wypowiedzieć całe zdanie.

— Panowie — krzyknął do kierowcy w kabinie za kratą. — O co chodzi? Dlaczego mnie zatrzymano?

— Milcz, zbóju!

— Ale o co...

— Zamknij, kurwa, ryja! — poprawił drugi i włączył radio.

Kate Malua śpiewała o dziewięciu milionach rowerów w Pekinie i miłości.

Więźniarka w asyście dwóch radiowozów mknęła z Poznania do Bielska-Białej. Przez Zgierz, Łódź, Piotrków Trybunalski i dalej gierkówką. Pod Częstochową, kiedy była już najwyższa pora na śniadanie, konwój zatrzymał się przy McDonaldzie.

— Senatora Dwukłosa wieziecie? — pytali ludzie.

— Lepiej — odpowiedział policjant wysłany po kanapki. — Truciciela z Bielska mamy. Tego Motocyklistę.

Rozległy się oklaski.

Było już po południu, radiowe serwisy informacyjne zdążyły podać informację o schwyтaniu Truciciela-Motocyklisty, a jedna ze stacji telewizyjnych wyemitowała nawet film z jego zatrzymania, gdy oficer dowodzący konwojem zapukał do drzwi komisarza Burskiego.

— Przywieźliśmy go wam — powiedział zamiast dzień dobry. Powoli podszedł do biurka Burskiego. Położył formularz. — Pokwituj odbiór towaru.

Położył formularz obok portretu pamięciowego sporządzonego według zeznań dziewczyny pracującej w biurze pośrednictwa kredytowego. Twarz na portrecie przypominała połowę pracowników komendy. Dowódca konwoju także wyglądał podobnie.

— Nie dostałeś informacji? — zapytał Burski. — O której go zatrzymaliście?

— O drugiej osiem, dokładnie.

— Dzwoniłeś do prokuratora?

— W środku nocy miałem panu prokuratorowi przeszkadzać? — wzruszył ramionami oficer.
— Skoro o pierwszej w nocy facet był we Frankfurcie nad Menem, to jak godzinę później spał w łóżku pod Poznaniem? Tego się nie da zrobić.

— Dostałem nakaz? Dostałem. Miałem zatrzymać? Zatrzymałem. Chcieliście, żebym zbroja przywiózł? Przywiozłem. Gdzie jest dziękuję? Nie słyszałem.

— Sołtysik! — krzyknął Burski.

W uchylonych drzwiach pojawiła się głowa aspiranta.

— Dzwoniłeś do Iwańskiego?

— Aha.

— No i co „aha”?

— Pan prokurator powiedział, żeby go zatrzymać do jutra. A jak już będziemy pewni, że to na pewno nie ten, to wtedy kupić mu bilet na PKP i odesłać do domu.

— No i co? — uśmiechał się dowódca konwoju. — Usłyszę dziękuję?

— I kazał jeszcze — dodał Sołtysik, nie wchodząc jednak czujnie do wnętrza pokoju — pogratulować wzorowej akcji antyterrorystom.

— Słyszałeś? — warknął Burski do dowódcy konwoju. — Idź z nim, Sołtysik, odbierz więźnia i przesłuchaj. Ja nie będę robił z siebie idioty.

Jedynym zatrzymanym po wydaniu siedmiu nakazów był Zbigniew Jaszuk. Pozostałych sześciu nadal nie odnaleziono. Czterech z nich przekroczyło granicę. Wszyscy mieli bilety na Wyspy Brytyjskie. Tylko jeden, Adam Knap, poleciał z Heathrow dalej. Do Kenii. Miejsce pobytu pozostałej trójki, którzy odlecieli do Brytanii, nadal było nieznane. Każdy z nich mógł być zeszytej nocy we Frankfurcie. Mogli tam być także dwaj pozostali, Dusza i Jabłoński, chociaż faktu przekroczenia granicy nie odnotowano. Jedynie Zbigniew Jaszuk, zatrzymany w podpoznańskim hotelu, sadzony w bokserkach do więźniarki i przywieziony konwojem do Bielska, nie mógł być Motocyklistą.

Prawdziwy motocyklista potrzebuje jeszcze pięciu dni — myślał Burski. — Za pięć dni wypłaci wszystkie pieniądze. Może pół miliona to nie majątek, ale zawsze. Jeżeli jest sprytny, a na takiego wygląda, to za pięć dni rozplynie się w powietrzu.

Czekał na Olę. Czekał na esemesa od Młodego. Czekał na jakiś znak życia od Adama Knapa. Czekał na wyniki poszukiwań Duszy i Jabłońskiego w kraju oraz trzech innych byłych pracowników „Wępolu” za granicą. Czekał wreszcie, kiedy i co zrobi Motocyklista.

Burski nienawidził czekania.

Ola znowu pojechała w pilnych sprawach do Warszawy. Młody milczał. Knap nadal miał wyłączoną komórkę. Motocyklista zapewne odjechał lub odleciał już daleko z Frankfurtu nad Menem. Następnego dnia może pojawić się w Salonikach albo w Sewilli. Będzie w innym ubraniu. Wyrzucił już skórzany kostium i kask. Powinien tak zrobić.

Wkrótce irlandzka policja poinformowała o odnalezieniu dwóch z poszukiwanych Polaków. Obaj od kilku już dni pracowali w Irlandii. Wzięto ich pod obserwację. W czasie, kiedy nocą we Frankfurcie wypłacono pieniądze z bankomatów, obaj przebywali w Irlandii.

Od tego zdarzenia wspólnie z policyjnymi informatykami dyżurował funkcjonariusz posługujący się językiem angielskim i niemieckim. Gdy Motocyklista pojawił się pod bankomatem w mieście Metz, funkcjonariusz ten zadzwonił do Paryża. Przpomniał pismo rozesłane do wszystkich komend głównych w krajach Unii Europejskiej. Poprosił o pomoc. Trzy minuty później telefonowano z Paryża do Metz. Po kolejnych trzech minutach, czyli bardzo szybko, powiadomiono patrolę znajdującą się w okolicy wspomnianego bankomatu. Nawet jeżeli są tuż obok, myślał Burski, pojawią się pod bankomatem w siedem, osiem minut po nim. Rozłożą ręce. Rozejrzą się. Zadzwonią do firmy odpowiedzialnej za monitoring danego miejsca i poproszą o film.

Przy kolejnym bankomacie, też w Metz, procedura przebiegła znacznie szybciej. Telefony trwały krócej. Radiowóz francuskiej policji był pod bankomatem nie później niż w pięć minut po Motocyklicie.

Informatyk i policjant poliglota popatrzyli na Burskiego. Ten wzruszył ramionami. Także rozumiał, że w ten sposób nigdy za nim nie zdążą.

Gość pobierał pieniądze z pięciu, sześciu kart i odchodził. Nie robił tego, gdy przy bankomacie stali ludzie. Zmienił ubranie. Był w džinsach i nasuniętej na nos czapce. Spod dużego daszka wystawała broda, wąsy i bokobrody. Zapewne te same, których używał w Kielcach. Po wypłaceniu pieniędzy odchodził. Szedł do samochodu, gdzie zdejmował charakterystyczną i odjeżdżał.

Albo nie. Po zdjęciu charakterystycznej w jakiejś bramie wchodził do restauracji. Siadał przy oknie, zamawiał kolację i nie spiesząc, się jadł. Patrzył, jak po przeciwnej stronie drogi zatrzymuje się radiowóz. Jak dwaj policjanci rozglądają się bezradnie wokoło. Zaczepiają kogoś, pytają. Ten wzrusza ramionami. Policjanci rozmawiają przez radio, a on je pastę z wątróbek po strasbursku i popija trunkiem będącym harmonijną mieszanką cabernet i merlot, zwanym bordeaux.

Muszę znaleźć inny sposób, żeby go dopaść — myślał Burski. — Muszę iść inną ścieżką. Nie tą, na której się mnie spodziewa.

Zjadł pastę z wątróbek, poprawił ragout z królika i wypił butelkę bordeaux. Nocował na stacji benzynowej. W samochodzie. W nissanie sunny, którego kupił przed południem w jednym z holenderskich garaży. Zamknął samochód od środka, rozłożył fotel kierowcy i przykrył się kocem. W prawej dłoni trzymał miotacz gazu. Żeby łatwiej zasnąć, odpędził myśli o tym, co ma zrobić jutro. Wszystko było już przemyślane i zaplanowane. Teraz pora na sen. Przywołał obrazy z górskich wycieczek. Siedział pod schroniskiem. Z dachu „Murowańca” kapała woda. Śnieg topił się w promieniach majowego słońca. Patrzył na Karb i Kościelec. Sen zakradał się pod powieki.

Asekuracja.

Otworzył oczy. Dłoń, w której trzymał miotacz gazu, pociła się.

Asekuracja, pomyślał. To zbyt mało. W razie problemów gaz nie wystarczy. Pomiędzy fotelami położyć nóż. Ostrożności nigdy zbyt wiele.

Wysiadł z samochodu. Zaczynał kropić deszcz. Świetnie. Lubił słuchać do snu kropli deszczu. Deszcz jest lepszy do zasypiania niż marzenia.

Dwukrotnie przerzucił zawartość bagażnika. Nie znalazł noża. Senność minęła.

Przed oczami stanął mu obraz sprzed kilku dni. Przypomniał sobie, gdzie może być nóż. Przeszedł go zimny dreszcz. Zaklął w myślach.

Wsiadł do samochodu i zapalił światło. Wyjął mapę. Sprawdzał, którydy będzie najkrócej do Polski.

Dopiero po kilku godzinach, gdy wstawał już szary świt, uspokoił się na tyle, żeby jednak zdrzemnąć się na parkingu pod jakimś Gasthäusern.

16.

Kiedy spod maski żółtej taksówki buchnęła para, Adam Knap zrozumiał, dlaczego bagażnik samochodu był pełen baniek z wodą. Kierowca zatrzymał się, dolał wody do niemal pustej chłodnicy. Ruszyli dalej. Knap spojrział na tablicę ze wskaźnikami. Jedynym, który działał, był wskaźnik temperatury silnika.

— Wszystko w porządku — zapewnił kierowca, pokazując szpaler białych zębów.

Jechali wyboistą drogą, przez brunatną, pooraną głębokimi jarami pustynię. Tymi wadi w porze deszczowej płynęły wezbrane rzeki. Teraz nad księżycowym pustkowiem hulał suchy wiatr, wzbijając w powietrze gęsty kurz, przybierający stożkowate kształty.

Trzydzieści kilometrów wcześniej wynajął za dwadzieścia dolarów taksówkę, kilkunastoletnią toyotę. Podobno mogła zawieźć go bez problemów nawet do Europy, jak zapewniał uśmiechnięty Afrykańczyk w czerwonej koszulce. Pierwszy przymusowy postój nastąpił po trzech kwadransach. Kolejne następowały mniej więcej co dziesięć minut. Kierowca zatrzymywał się w rzadko spotykanych wioskach, gdzie cierpliwie napełniał wodą baterię baniaków z bagażnika.

— Wszystko w porządku, mister. — Nie przestawał się uśmiechać.

Przejechali brunatną pustynię. Za oknami pojawiły się drzewa, płasko jak od linijki zwieńczone akacjowce. Na poboczach wąskiej drogi przesiadywały ciekawskie pawiany. Czasem jakaś grupka antylop przebiegła przez jezdnię. Innym razem na asfalcie stały żyrafy, oskubując przydrożne drzewa z liści.

Po kilku godzinach podróży Adam Knap żałował już, że przyszedł mu do głowy pomysł odwiedzenia pani Hurtanyi. Kazałby kierowcy zawrócić, gdyby nie pewność, że w tempie, w jakim przyszło mu podróżować, wrócą do Longido późno po zachodzie słońca. A podróżowania po Afryce nocą stanowczo odradzał mu Grzegorz.

Skwaszony i milczący, siedział w toyocie, wysłuchując powtarzających się zapewnień, że wszystko jest w porządku.

Kolejny postój wypadł pod akacjowcem, z którego zwisały jak bombki z choinki gniazda małych żółtych ptaków, zwanych w przewodniku wikłaczami. Knap przyglądał się kulistym gniazdom, zawieszonym na samych końcach cienkich gałęzi. Tak, by węże nie mogły dostać się do środka.

— Jak nazywają się te ptaki w języku suahili?

— Ndege — odpowiedział kierowca. Zakończył dolewanie wody i kłapnął kłapą silnika. — Wszystkie ptaki w suahili nazywają się ndege. Po co wymyślać dodatkowe nazwy i utrudniać sobie życie? Życie jest proste!

— Jasne.

— Czy mister mógłby popchnąć samochód?

— Mister mógłby.

Na krótko przed zmierzchem dotarli do Mosquito River, posiadłości pani Helen Hurtanyi.

— Missis wkrótce wróci — oznajmił mu służący, gdy zastukał do drzwi parterowego domu. Nie zaprosił Knapa do środka, lecz wskazał ręką na duży trawnik rozciągający się obok budynku.

Uśmiechnięty kierowca toyoty odjechał, a Knap stał na trawniku w towarzystwie służącego Missis Hurtanyi, nie będąc pewnym, co powinien zrobić. Wdawać się w przyjacielską konwersację ze służącym nie wypadało. Zdradzić, że jest zdezorientowany, tym bardziej.

Z kłopotów wybawił go warkot silnika. Mały samolot szybko rósł w oczach.

— Ndege? — zapytał Knap.

— Oczywiście. Wszystko, co lata, nazywa się ndege. Ty też przyleciałeś z Europy wielkim ndege.

Awionetka wkrótce okrążyła posiadłość i samolot zgrabnie wylądował na trawniku obok domu. Z kabiny wysiadła kobieta. W jednej ręce trzymała papierosa, a w drugiej napoczętą

butelkę whisky.

— Missis Hurtanyi wróciła — oznajmił z dumą służący.

Lampa naftowa dawała niewiele światła. Siedzieli na werandzie. Zjedli ugali z ostrym czerwonym sosem. Popili whisky.

Zza drzew rosnących wzdłuż rzeczki Mosquito River dochodziły odgłosy buszu. Wycie, piski, śmiechy i skomlenie.

— Gościnnosc mamy już za sobą — powiedziała Helen Hurtanyi. — Teraz proszę powiedzieć, dlaczego chciał się pan ze mną spotkać?

— Przepraszam, jeżeli się narzucam, ale... Historia pani córki stała się niedawno także moim udziałem.

— Nie rozumiem. — Starsza pani podniosła szklaneczkę do ust. Miała ponad siedemdziesiąt lat, a piła i paliła jak dwudziestolatka. — Pan także zaginął?

— Nie. Nie zaginałem. Przypadkiem musiałem zainteresować się tą historią. To znaczy znajomy mnie o to poprosił. Złe zacząłem. Nieco chaotycznie. Proszę pani, niedawno w zakładzie zamkniętym dla psychicznie chorych pod Szczyrkami, w Polsce, pewna kobieta przypomniała sobie, kim jest. Po kilku latach amnezji. Wzięła do ręki gazetę i pokazała, że gość na zdjęciu z pierwszej strony to jest jej mąż. — Knap zwilżył gardło tanzańską whisky. — Na zdjęciu był poseł Remigiusz Kołuchowski.

Lampa naftowa oświetlała tylko stół i sylwetkę siedzącej na krześle o wysokim oparciu Helen Hurtanyi. Wyrazu jej twarzy Knap nie mógł już dostrzec.

— Proszę mówić dalej.

— Wtedy przyjechał z Warszawy pan poseł. Nie rozpoznał swojej byłej żony. Zainteresował jednak tą sprawą zaprzyjaźnioną z nim rodzinę Laskowskich. Po co...? Mój znajomy, o którym wspominałem, twierdzi, że pani córka żyje.

— Znam takich, co twierdzą, że Elvis Presley też żyje.

Kobieta przysunęła się do stołu. Nalewała whisky do szklanek. Knap widział wyraźnie, że Helen Hurtanyi się uśmiecha.

Wypił whisky jednym haustem.

Ta kobieta nie jest normalna — pomyślał. — To oczywiste. Zaszła się gdzieś na końcu świata. Pije non stop. Podaje się za hrabinę. Odbiło jej. Po co ja tu przyjechałem?

— Ma pan ochotę na trawkę?

— Słucham?

Helen Hurtanyi wyjęła z kieszeni metalową papierosnicę.

— Tutejsza trawka jest całkiem niezła. Proszę.

— Co to jest?

— Trawa. Nie palił pan nigdy?

— Nie.

No i jeszcze drągi, pomyślał Knap. Babci korba odbiła. Niezłe mnie Bury wrobił.

— Bez obaw — powiedziała Missis Hurtanyi. — To porządne skręty. Sama je robię.

— Chętnie spróbuję — odpowiedział.

Nie czuł już rozczarowania. Przecież ona ma rację. Nie przejmować się. Brać świat takim, jakim jest. Z całą jego podłością. Lekko przejść przez życie, bawiąc się wszystkim. Krocząc wesoło od świtu aż po zachód słońca.

Chwilę potem weranda domu pani Hurtanyi zamieniła się w pokład statku. Płynął po mrocznym morzu, kierując się na wiszący tuż nad horyzontem Krzyż Południa. Szumiały fale. Relingi balustrady unosiły się i opadały. Kobieta śmiała się. On także. Śmiał się głośno.

Potem płakał. Opowiadał o swoich dzieciach oraz o tym, że wszystko stracił. Wtedy przyszła ta druga kobieta. Powiedziała, że nie da się wszystkiego stracić.

— Zabawa była huczna. Cygańska kapela grała do rana. Ona wtedy jeszcze nie wiedziała... Wypiłyśmy trochę, właściwie sporo, jak wszyscy. Naprała się tak, że chciała tańczyć. Zająłem się nią. Zagadywałem. Już wtedy, bardzo szybko zbudowali ten nowy dom z windą dla niej. Zjechaliśmy do piwnicy. Otwierała chyba ze trzy drzwi, zanim zaprowadziła mnie tam, gdzie zamierzała. W piwnicznym pomieszczeniu bez okien stały drewniane skrzynie. Proszę sobie

wyobrazić, takie góralskie, posagowe, złote, rzeźbione i malowane skrzynie na pierzyny, poduszki i obrusy. Otworzyła pierwszą z brzegu.

Waż sobie garść albo dwie, mów, jesteś moją przyjaciółką. Złoto, monety, pierścionki, naszyjniki, kolie. Czego tam nie było? Nie chciałam, ale nalegała. Nie ma sensu kłócić się z pijaną. Zwłaszcza z pijaną kaleką. Wzięłam garść. Wypalałam do torebki. Skąd tyle tego macie, pytam. Ona się śmieje. Ty nie jesteś stąd, z Polski, to pewnie nie wiesz, co to była akcja „Żelazo”. Pracownicy polskiego wywiadu zajmowali się na zachodzie Europy napadami i włamaniami do jubilerów. Kradli złoto, biżuterię, szlachetne kamienie. Część oddawali władzy, żeby być w porządku. Przecież to władza zlecała akcję. Potem wszyscy ważni komuniści mogli sobie robić prezenty z kradzionych złotych zegarków i perłowych kolii.

Błyskawicznie wtedy otrzeźwiałam. Ta głupia baba, może nie wypada tak mówić, o kalece, ale jednak powiem, ta głupia krowa cieszyła się z tego złota i z sukcesów swojego męża. Ona nie wiedziała nawet, kto ją potrafił samochodem. Nie powiedzieli jej. Ja także jej nie powiedziałam. Żałuję tego do dzisiaj. Dlatego spotkałam się z tobą.

Sama dowiedziałam się, gdy wróciliśmy nad ranem z Remkiem do domu. Był nieco ululany, ale nie za bardzo. Remek potrafił zawsze nad sobą panować. Wypił tyle, że zebrał się na odwagę, żeby mi powiedzieć. To on potrafił wartburgiem Laskowską. Nie uciekał z miejsca wypadku. Wezwał pogotowie. Przyjechała także policja. Na przesłuchaniu w prokuraturze zjawił się Andrzej Laskowski, znajomy tego prokuratora. Prosił prokuratora, żeby nie wnosił oskarżenia, że szkoda łamać karierę kogoś, kto jak Remek może jeszcze tyle dobrego dla kraju zrobić. Proszę sobie wyobrazić, że sprawę umorzono. Remek zgodził się na to... Nie powinien, ale... Nie powinien i tyle. Nie tak. Tak się nie robi. Prawda? Dopiero po namyśle przyznajesz mi rację. Może to i dobrze. Gdybyś od razu, skwapliwie się zgodził, oznaczałoby to, że kłamiesz.

Remek zaprzyjaźnił się z Andrzejem Laskowskim. Tamtej nocy, po wizycie w piwnicy Laskowskich i spowiedzi Remka, zrozumiałam, że to Laskowski zrobił z niego posła na sejm i po prostu go kontroluje. Trzyma mego męża na smyczy. Remek śmiał się tylko. Mówił, że to brednie, że on sam najlepiej wie, kim jest.

Kilka dni później wysłałam z domu i zaginęłam. Za złoto z kufra Laskowskich mama kupiła tę farmę w Afryce.

To kolejny powód, dla którego spotykam się z tobą.

Zjawa kobiety, która pojawiła się wieczorem na werandzie, nie była narkotycznym majakiem. Rankiem Adam Knap siedział przy stole naprzeciwko Mary Hurtanyi-Kołuchockiej. Pili herbatę pachnącą imbirem. Słodzili ją brązowym, trzcinowym cukrem.

Knap milczał długo. Patrzył, jak po trawniku oddzielającym dom od Mosquito River biegną czarno-białe małpy o puszystych futerkach.

— Kim według ciebie jest Andrzej Laskowski, ten niemal zawsze grzecznie uśmiechnięty, siwowłósy starszy pan? — zapytał wreszcie.

— Bardzo wpływowym i bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

— Dlaczego opowiedziałas mi to wszystko? Może ja wcale nie chciałem tego wiedzieć?

— Chciałeś. Inaczej byś tutaj nie przyjechał. Chciałeś, tylko teraz strach cię obleciał, prawda?

— No, taki strachliwy to ja znowu nie jestem, przecież... — przerwał nagle i odskoczył przerażony. Na stole wylądowała jedna z małp. Chwyliła cukiernicę w przednie łapki i błyskawicznie dała susa na balustradę, a stamtąd na dach werandy.

— Ach, ty złodzieju! — krzyknęła za nią bez specjalnego gniewu w głosie Mary Hurtanyi. — Proszę nie straszyć mego gościa... Następną cukiernicę z głowy.

Małpka siedziała na dachu, wyjadając łapką cukier z naczynia.

— Czego ode mnie oczekujesz, Mary?

— Weźmiesz do Polski moje oświadczenie. List potwierdzony notarialnie, że ja to ja i że opowiadając tę historię, byłam zdrowa na umyśle. Chciałabym, żeby prawda ujrzała jednak światło dzienne. Dotychczas... Remek był przecież moim mężem. Nie chciałam mu szkodzić. Myślałam, że gdy zniknę i ucieknę na koniec świata, to zapomnę o wszystkim i ten cień przestanie mnie uwierać. Nie przestał.

— Ja? Dlaczego ja?
— Nie chcesz być ostatnim sprawiedliwym?
— Sprawiedliwym może i chciałbym zostać. Ale dlaczego także ostatnim? Jeżeli prawdą jest to, co opowiadasz, ta wiedza może okazać się niebezpieczna.

— Tak?
— Myślę poważnie o tym, żeby zostać w Afryce. Na dłużej. Może nawet na bardzo długo. Podoba mi się tutaj.

— Podoba ci się?
— Tak. Twoje oświadczenie można wysłać pocztą, na przykład.
— Chodźmy. — Wstała od stołu. — Zabiorę cię gdzieś i pokażę coś ciekawego.

Mały jeep vitara jechał gruntową drogą przez wysychający busz. Z brązowej, popękanej ziemi wyrastały karłowate kolczaste krzewy i drzewka o wątlých liściach. Wyżej od nich wznosiły się niektóre termityery. Stożkowate kopce sięgały trzech, czterech metrów. Gdyby wspiąć się na jedną z nich, można by objąć wzrokiem ocean żółtobrązowego buszu. Aż po wieńczące horyzont zielonkawe wzgórza, gdzieś bardzo daleko.

Minęli wioskę domków zbudowanych z puszek po konserwach. W osadzie liczącej mniej niż dziesięć krzywych chałupek zauważyli zaledwie kilkoro ludzi. Wiatr hulający między ruderami podrywał w powietrze śmieci. Ogromną ilość śmieci. Powiewy wiatru przenosiły z miejsca na miejsce strzępy papierów i nadmuchane foliowe torebki. Rozwieszały je na gałęziach kolczastych krzaków.

Tuż za wioską Mary Hurtanyi zatrzymała samochód.

— Dokąd teraz? — zapytał Knap.

— Jesteśmy już na miejscu. W pobliżu jest mały cmentarz. Mały, bo Afrykańczycy nie mają w zwyczaju zakopywać swoich zmarłych. Wynoszą ich do buszu. To się nazywa symbioza.

— Po co prowadzisz mnie na cmentarz?

— W tej wiosce mieszkał kiedyś pewien Polak. Przed wielu laty o jego grobie dowiedziałam się jeszcze w Europie, z gazety. Bodajże z „Polityki”. To tam. — Mary wskazała na kilka kamieni leżących wśród wyschniętych kęp trawy. — Tamten nagrobek. Przeczytaj. Tak mieszkańcy zapamiętali tego Polaka.

Na wskazanym kamieniu nie było żadnych dat. Tylko dwa słowa, niezdarne wykute.

„Kurwa Dupą” — oznajmiał nagrobek.

Mary powiedziała wieczorem, że nie da się wszystkiego stracić. Teraz przywiozła mnie do miejsce, gdzie jak na dłoni widać, że jednak się da — uzmysłowił sobie Knap. — Absolutnie wszystko można stracić.

Popatrzył znowu na kobietę. Dopiero teraz, gdy stała w słońcu, dotarło do niego, że jest bardzo blada. Przy tym przeraźliwie chuda. Opierała się dłonią o pień karłowatego drzewka. Śmiertelnie ją zmęczył pięciominutowy spacer od samochodu na cmentarz.

17.

Przed drzwiami komendanta dreptał w kółko podkomisarz Gawron. Pod pachą trzymał akta postępowania przygotowawczego. Zawsze lepiej było przychodzić do bossa z jakimiś papierami. Podciągnął się chłopak, zauważył Burski. Ten trik działał na każdego szefa w każdym miejscu pracy. Kto nosi ze sobą dokumenty, kalendarz czy notatnik, ten pracuje. Przez cały czas pracuje. Ciągłe ma coś pilnego do zrobienia.

— Jakież nowiny?

Gawron pokręcił głową. Smutny wzrok spuścił na podłogę z terakoty. Grzecznie otworzył przed Burskim drzwi. Weszli.

Komendant złożył gazetę. Zebrał wszystkie leżące na biurku gazety i zsunął je na mały stolik. Trudno się było dziwić, że po lekturze prasy nie wygląda na zadowolonego. Dzień po tym, jak ogłoszono i pokazano w telewizji schwywanie truciela, bielska policja znowu znalazła się w centrum zainteresowania mediów. Tym razem komentarze przybrały ton zdecydowanie krytyczny. Zatrzymanie okazało się pomyłką. Na dodatek wybory samorządowe odbywały się już nazajutrz i każdy ambitny polityk chciałby na aferze z truciелеm zbić jakiś polityczny kapitał.

— Ten facet, Jaszuk...?

— Wszedliśmy go do pociągu. Dostał nawet jakieś ubranie — odpowiedział Gawron. — Pojechał do Poznania. Samochód i wszystkie rzeczy zostawił przecież w hotelu.

— Dałeś ciała — zwrócił się komendant do Burskiego. — Dlaczego go nie przesłuchałeś i nie wypuściłeś od razu?

— To nie ja wydaję nakazy i każę wypuszczać z aresztu. To robi prokurator.

— Prokurator kazał ci go trzymać przez dobę?

— Tak. Jednemu z moich podwładnych tak przekazał.

— Jednemu z twoich podwładnych, ciekawe... Masz to na piśmie?

— Ach — zrozumiał Burski. — A ja się zastanawiałem pod drzwiami, po co Gawron targa te papiery...

— Co? — Komendant zmrużył oczy. — Mógłbyś jaśniej odpowiadać na pytania?

— Odpowiedziałem.

— Zostałeś tak jakby zawieszony. Masz być do dyspozycji, bo siedziałeś w tej sprawie od początku, ale śledztwo przejmuje Gawron. Ty tylko siedź w swoim pokoju, a jeżeli będziesz gdzieś wychodził, to zostaw kartkę.

— Tak jest.

— Coś nowego, Gawron?

— Jeden z poszukiwanych rzeczywiście jest w Szkocji. Pracuje tam w masarni. W czasie, gdy dokonywano wypłat w mieście Metz, miał drugą zmianę. Był w pracy. Zostało nam dwóch podejrzanych: Jabłoński i Dusza. Pierwszy to ten, który miał pójść w Tatry i nie pojawił się w żadnym schronisku ani nie meldował się w żadnym z zakopiańskich pensjonatów. Trzydzieści kilka lat. Wzrost i budowa ciała podobna do Motocyklisty. O właścicielach „Wełpolu”, gdzie do niedawna pracował, wyrażał się zazwyczaj: „Pierdoleni złodzieje”. Ma rodzinę i kredyty. Jest zadłużony. Zamiast szukać nowej pracy, jedzie w góry...? Podejrzane. Co najmniej podejrzane. A drugi, Dusza, przez cały czas jest na zwolnieniu lekarskim. Kombinator. Podobno mimo choroby musiał jechać na szkolenie dla handlowców. Oczywiście żadnego szkolenia „Wełpol” aktualnie nie organizuje. Też trzydziestokilkulatek. Żyje ponad stan. Lubi się zabawić, a to kosztuje.

— Okay. Puszczamy listy gończe. Także międzynarodowe, oczywiście. Tyle że po cichu. On nie może się dowiedzieć, że wiemy już, jak wygląda i jak się nazywa. To mogłoby znacznie utrudnić nam pracę. Burski...?

— No?

— Widzisz przecież, że robię to, co muszę. Ty także się nie obrażaj. To polityka. Dla dobra komendy. Dla dobra nas wszystkich, rozumiesz?

— Pierdołę politykę.

Burski siedział w samochodzie. Chuck Mangione głośno grał na trąbce, aż szyby drżały. Po raz kolejny czytał esemesa od Knapa:

Odnalazłem ją. MH. Miałeś rację. Niezła afera... Wracam jutro. Daruję sobie Kilimandżaro. Bądź na Okęciu o 9.30.

Będę, pomyślał Burski. Spróbował zagwizdać motyw z Dzieci Sancheza. Ta płyta zawsze poprawiała mu nastrój.

Mogą mnie zawieszać, odsuwać i przesuwac. Walę to — powtórzył w myślach. Popatrzył przez okno. Od tylnych drzwi komendy szedł w stronę jego samochodu Sołtysik.

Robię swoje, bo tylko to potrafię jako tako robić. Być policjantem. Stróżem prawa być. Łapać tych niedobrych.

Sołtysik zatrzymał się pół metra od astry i popatrzył pytająco.

— Tak? — Burski ściszył odtwarzacz, uchylił okno.

— Ogłoszenia. Pamięta pan komisarz ogłoszenia?

— Jakie ogłoszenia?

— Że szukam mieszkania. Koniecznie z zamrażarką.

— Ach, tak. Ale teraz to Gawron...

— Nie wiem, gdzie on pofrunął — przerwał mu Sołtysik. — Może pan zechce rzucić okiem. Jest jedno.

— Pokaż.

Aspirant podał Burskiemu małą żółtą karteczkę.

— Właściciel nie ma telefonu. Dzwonił z budki. Jest tylko adres.

— Podjadę zobaczyć, jakby kto się pytał. Akurat mam chwilę.

Uruchomił silnik. Cofnął odtwarzacz do początku płyty.

— Dziękuję, komisarzu — powiedział jeszcze Sołtysik.

— Za co mi dziękujesz? Złe się czujesz?

— Za tego Jaszuka. — Aspirant nie zraził się obcesowością Burskiego. — Słyszałem, co mówił prokurator, więc po przesłuchaniu Jaszuka nie zavracałem panu głowy. Nie chciałem panu i pani kapitan przeszkadzać.

— Przecież kapitan Kośmy nie było wczoraj w Bielsku. Co ty wygadujesz...? To już wszyscy w komendzie o nas wiedzą?

— Każdy ma prawo się zakochać, komisarzu.

— Jadę. Nie mam zamiaru słuchać więcej twoich mądrości.

Chuck Mangione zadął w trąbkę.

Jasne, że każdy ma prawo do odrobiny normalności i ludzkich uczuć. Nawet w takich podłych czasach i w takiej koślawej RP — myślał, jadąc ulicą obwieszoną plakatami wyborczymi.

Dom numer siedemnaście był otoczony z trzech stron wysokim na dwa metry żywopłotem. Od frontu, pomiędzy furtką a bramą do garażu, pysznił się kwiatami krzew bzu. W oknie kuchennym na piętrze zapalono już światło. Popołudnie tego dnia było szare i pochmurne. Starszy pan kiepsko widział. Jego zgarbiona sylwetka pojawiła się w oknie.

Powinien wkrótce wyjść z psem na spacer. To już najwyższa pora, pomyślał. Siedział schowany po drugiej stronie ulicy. Za stertą szarych bloczków belitu. Czekał już blisko godzinę. Starszy pan rzadko wychodził z domu, nie licząc spacerów z psem.

Lubił pana Henryka. Wynajmował u niego mieszkanie przez kilka ostatnich miesięcy, od kiedy rozpoczął przygotowania. Rankiem w niedzielę wielkanocną spotkali się w kościele. Na mszy rezurekcyjnej.

— Nie pojechał pan do domu na święta? — zapytał pan Henryk.

— Mam bardzo dużo pracy — skłamał. — Zbyt wiele czasu straciłbym na przejazdy.

Starszy pan zaprosił go na świąteczne śniadanie. On się wzbraniał.

— Nie przyjmuję żadnych tłumaczeń — upierał się pan Henryk. — Zwłaszcza że miał przyjechać do mnie wnuczek. Przygotowałem wielki garnek pysznego barszczu. Ale jak na

razie nie przyjechał... Pan ma rodzinę?

Oczywiście, że miał. Żonę i córeczkę. To nic, że chwilowo nie mieszkali razem. Tego, że żona zabrała córeczkę i wyjechały obie do jej matki, nikomu nie mówił. To tylko stan przejściowy. Chwilowy problem. Do pokonania. Wkrótce pojedzie tam, na Sycylię. A kiedy wejdzie do ich domu, położy na stole teczkę pełną pieniędzy i otworzy ją... Wtedy przestanie być niezaradnym nieudacznikiem. Znowu będą razem.

W salonie pana Henryka stała meblówka, polakierowana na wysoki połysk. Za szybami połyskiwały kryształowe dzbany, flakony i cukiernice. Pamiątki z lepszych czasów.

— Za komuny to ja byłem panisko — opowiadał starszy pan. — Wie pan, kim ja byłem...? Byłem technikiem urządzeń chłodniczych. Fachowcem. W szpitalu miałem etat, a po godzinach, w domu naprawiałem lodówki i zamrażarki. Lekarze w szpitalu w pas mi się kłaniali. Częściej im się psuły lodówki niż mnie zdrowie. A ja zawsze umiałem zorganizować freon i części do naprawy. Fachowcem byłem. Dolary kupowałem i na konto dewizowe wpłacałem. Dopiero Balcerowicz zrobił ze mnie dziada. Teraz jestem dziadem w dziadowskich czasach. Widzi pan te lodówki i zamrażarki u mnie w domu? Saratowy, Miński, po trzydzieści lat mają i nadal dobrze działają. A te współczesne, dziadowskie? Kupisz pan taką, a ona po roku, jak upłynie już gwarancja, rozsypie się i musisz pan kupować nową. Tych dziadowskich, współczesnych jednorazówek się nie naprawia.

Starszy pan ugotował pyszny barszcz. On nigdy wcześniej takiego nie jadł. Barszcz był przezroczysty. Pływały w nim wiórki chrzanu. Pokrojone w kostkę mięso, jajka, wędzoną kiełbasę i podsuszany biały ser wkładało się do talerzy oddzielnie. Potem zalewało barszczem. Zjadł ze smakiem trzy porcje. Tamtego dnia polubił starszego pana. Nigdy wcześniej nie spotkał nikogo, kto chciał zrobić dla niego coś absolutnie bezinteresownie. Dawno już przestał wierzyć, że ludzie są dobrzy. Wcale nie są. Każdy chce cię tylko oszukać, wykorzystać lub przynajmniej okłamać.

To była bardzo miła Wielkanoc. Zwłaszcza że w końcu pojawił się u pana Henryka długo oczekiwany wnuczek. Siedzieli we trzech i rozmawiali do popołudnia. Nawet zdjęcia wnuczek robił.

Podpierając się laską, pan Henryk wyszedł z domu. Prowadził na smyczy niewielkiego psa.

Odczekał jeszcze, aż sylwetka starszego pana zniknie za zakrętem drogi, i wszedł przez furtkę. Miał klucz od garażu. Otworzył bramę. Z garażu było przejście do mieszkania na parterze, które do niedawna wynajmował. Przez hol, do saloniku z kominkiem. Wszystkie drzwi były otwarte. Pan Henryk nie znalazł jeszcze nowego najemcy.

Obszukał wszystkie kuchenne szuflady. Zajrzał nawet pod kredens. Noża z czerwoną rączką nigdzie nie było.

Wyszedł z budynku. Zaczynał zapadać zmierzch. Naciągnął na głowę kaptur i siedł na furtki, gdy jakiś przechodzień skręcił z chodnika i otworzył furtkę. Wszedł na posesję.

— Pan jest gospodarzem? — zapytał tamten.

On pokręcił głową, uśmiechając się grzecznie. Wskazał ręką na drzwi do domu. Odsunął się na brzeg chodnika i przepuścił tamtego. Wyszedł przed dom. Szybko zniknął za żywopłotem. Nie poszedł jednak prosto do samochodu. Zrobił kółko i schowany znowu za stertą belitu, obserwował mężczyzną dzwoniącego do domu pana Henryka.

Nikt nie otwierał. Wszystkie światła w domu były wygaszone. Burski odwrócił się i rozejrzał. Wyszedł na ulicę, przed budynek.

Kim był ten człowiek? — pomyślał. — Dlaczego nie powiedział mi, że nikogo nie ma w domu? Nigdzie nie widział już tamtego mężczyzny w kapturze. Gość musiałby biegać jak sprinter, żeby zniknąć na końcu ulicy w tak krótkim czasie. Coś tu jest nie tak.

Narastał w nim niepokój. Na uliczce domków jednorodzinnych było pusto. Nie widział nikogo. Żadnego przechodnia ani spacerowicza. Mimo tego czuł czyjąś obecność.

Zaczekał, postanowił.

Po kilkunastu minutach wrócił właściciel domu. Burski początkowo przestawił się jako osoba poszukująca mieszkania. Starszy pan wpuścił psa do domu, wziął klucze od mieszkania na parterze i pokazał Burskiemu salonik z kominkiem oraz kuchnię, gdzie stała duża otwarta

zamrażarka. Wietrzy się, ale jest na chodzie, podkreślił gospodarz. Nawet drzwi do składziku utworzył, gdzie na podłodze leżała nadal sterta gazet.

— Makulatura teraz tania, a na podpałkę do kominka już jest — wyjaśnił pan Henryk.

Burskiemu zrobiło się ciepło. Rozpiął ubranie.

Gazety, zamrażarka, kominek, a tuż za drzwiami garaż, żeby niepostrzeżenie włożyć do bagażnika zamrożone zwłoki — wszystko do siebie pasowało.

Wtedy Burski oznajmił, że jest policjantem i interesuje go poprzedni najemca mieszkania.

Starszy pan nastroszył się. Odpowiadał półśłówkami. Siedli w salonie i Burski starał się go wypytać. Wreszcie wyciągnął od dziadka, że najemca, trzydziestokilkuletni, bardzo kulturalny człowiek, miał na imię Marek. Nazwiska nie znał. Umowy nie spisywali. Po co? Podatki i takie tam trzeba płacić, a ja jestem emerytem. Dziadem. Pan Marek płacił z góry, a ja zawsze jestem w domu. Codziennie.

— Będę musiał zadzwonić po radiowóz, żeby technicy zdjęli ślady w tamtym mieszkaniu na parterze. Dobrze?

Gospodarz niechętnie skinął głową.

— Przywiozą też zdjęcia. Może rozpozna pan na zdjęciu człowieka, którego szukamy. Zaczekam na nich w tamtym mieszkaniu.

Burski wyszedł. Do mieszkania na parterze było wejście tylko od zewnątrz. Stojąc pod drzwiami, wyjął telefon i zadzwonił do Sołtysika.

— Miałeś nosa, Sołtysik — mówił człowiek stojący za żywoplotem. — Wygląda na to, że Motocyklista mieszkał pod tym adresem. Przyjeżdż tutaj z technikiem. Przywieź zdjęcia poszukiwanych... Kto? Jak tylko przyjedziecie, wróć na komendę. Na razie.

Było już ciemno. Razem z nocą spłynęła na miasto mgła. On spoglądał przez szczelinę w żywoplotcie. W słabym świetle żarówki pod plafonem z numerem domu widział lekko zgarbionego mężczyznę. Tamten poruszył się gwałtownie i spojrzął w jego stronę.

Skulił się odruchowo. Przykucnął.

Przygarbiony mężczyzna znowu gdzieś telefonował.

— Myślałem, że dzisiaj już będziesz... — usłyszał jego głos. Tym razem cichszy. I czuły. — Chyba coś znalazłem. Dam ci później znać... W takim razie do jutra. Całuję.

Następny nieproszony natręt — pomyślał.

W każdej pracy trzeba mieć szczęście — myślał z zadowoleniem Gawron. — Oczywiście szczęściu należy także pomagać. Ale szczęście to podstawa. Podobno Napoleon, zanim mianował kogoś generałem, pytał, czy kandydat do awansu ma szczęście. Zaledwie przejąłem sprawę i już mam efekty. Teraz pójdzie z kopyta.

Burski wszedł bez pukania.

— Po południu znaleziono w Tatrach zwłoki — powiedział Gawron. — Pod Giewontem. Toprowcy od razu dali nam znać. Miał przy sobie dowód osobisty na nazwisko Grzegorz Jabłoński. Dane i zdjęcie zgadza się z listem gończym.

— Dawno temu spał?

— Na pewno przed kilkoma dniami. Zwierzęta i ptaki już go napoczęły.

— Dobrze byłoby ustalić, gdzie mieszkał, co robił...

— Po co? — głośniejszy niż trzeba odezwał się Gawron. — To strata czasu i pieniędzy podatników. My już wiemy wszystko, co trzeba. Motocyklistą jest Bolesław Dusza. Innej możliwości nie ma.

— Pokaż mi zdjęcie tego trupa.

Gdyby Burski pierwszy, drugi albo dziesiąty raz widział zmasakrowaną twarz bez nosa i oczu, może by się skrzywił. Albo przynajmniej westchnął.

Niczego takiego nie zrobił.

Zadzwonił telefon.

— Sołtysik z tej strony — usłyszał. — Zdjęliśmy ślady. Starszy pan nie poznał nikogo ze zdjęć.

— Pokazałeś mu zdjęcie Duszy? — upewnił się Burski.

— Oczywiście.

— O co chodzi? — zapytał Gawron.

– O wątpliwości.

Burski popatrzył na małe ptasie oczka Gawrona i zrezygnował z dzielenia się swoimi przeczuciami.

18.

Maj tego roku był wyjątkowo zimny. Tulipany zakwitły późno. Młoda kobieta, nie mogąc sobie od rana znaleźć miejsca w domu, wyszła do ogródka. Postanowiła wypielić ledwie widoczne chwasty w cherlawych czerwonych tulipanach. Ale najpierw wyrzała za furtkę. Dzień wcześniej przed ogrodzeniem wkopała kilka iglaków. Kwiatów za ogrodzeniem już nie próbowała siać ani sadzić. Wyrwano je natychmiast, jak tylko zakwitły.

W miejscach, gdzie powinny być iglaki, zobaczyła tylko dołki w ziemi. Obok nich wielką psią kupę.

— Jeszcze tego brakowało — mruknęła pod nosem. — Nie śpię, martwię się, denerwuję, a tu jeszcze złodziej kradnie mi cyprysiki. Kurwa mać!

Usłyszała znajomy warkot samochodu. Białe punto podjechało pod dom. Jej mąż uśmiechał się zza szyby i machał do niej radośnie. Wzięła się pod boki.

Wysiadł. Radość na jego twarzy nieco przygasła.

— Udane szkolenie? — zapytała tonem, który nie zdradzał przyjaznych zamiarów.

— Męczące. Jak to szkolenie. Szesnaście godzin dziennie...

— No widzę, że męczące — przerwała mu, mierząc wzrokiem worki pod jego oczami. — Ciekawe, że nikt więcej z „Wełpolu” nie jeździł na to szkolenie. Tylko ty.

— Bo to nie „Wełpol” organizował to szkolenie. Mówiłem ci przecież. Na pewno mówiłem — wyjaśniał mąż z lekkością, jakiej nigdy mu nie brakowało. — To organizował „Ziemowit”. Dla najlepszych handlowców w holdingu. Tylko mnie z „Wełpolu” zaproszono — podkreślił.

— A ja myślę, mężu, że ty byłeś na kurwach.

— No, co ty, jak tak możesz bezpodstawnie...

Nie pozwolono mu kłamać dalej. Jak spod ziemi wyrosli ubrani na czarno i uzbrojeni w długą broń policjanci. Rzucili go twarzą na ziemię. Pomiędzy dół po wyrwanym iglaku a psią kupę.

— No to się, Dusza, doigrałeś — podsumowała z satysfakcją żona. — Wszystko przez te kurwy. A uprzedzałam cię. A mówiłam. Po co ci były te kurwy?

Wczesnym rankiem Burski wsiadł do pociągu. Drzemał przez większą część drogi do Warszawy. Z Dworca Centralnego pojechał taksówką do hotelu na ulicy Żwirki i Wigury, niedaleko lotniska.

— Myślałem, że w ogóle nie dojedziesz — przywitał go Knap. — Od ponad godziny w telewizji mówią tylko o zatrzymaniu Truciciela z Bielska.

Adam Knap czekał na Burskiego w hotelowej restauracji. Ubrany był nadal tak, jak wsiadł do samolotu w Nairobi. W popielate, bawełniane spodnie bojówki i takiego samego koloru koszulę, wypuszczoną na wierzch. Brakowało tylko korkowego hełmu.

— Nie podali personaliów tego Truciciela — dodał Knap. — Kto to?

— Niejaki Bolesław Dusza.

— Bolesław! — zaśmiał się Knap.

Burskiemu przeszło przez myśl, czy Knap przypadkiem nie zapadł na jakąś niezmiernie szybko postępującą afrykańską infekcję.

— Co cię tak bawi? — zapytał.

— Bolesław...! Nie wiedziałem, że Dusza ma na imię Bolesław. Nikt nigdy nie zwracał się do niego po imieniu.

— Dobrze go znałeś?

— Bez przesady. Jak pracownika, oficjalnie tylko, chociaż raz... — Knap spoważniał. — Jechaliśmy niedawno samochodem. Kurde. Jechałem z mordercą. Ciarki mnie normalnie teraz przeszły. To naprawdę Dusza?

— Nie jestem przekonany.

— To po co aresztowanie i ten cały szum?

— Nie wiesz, gdzie i kiedy żyjesz? Tak trzeba.

Knap pokręcił głową.

— Wygląda na to, że twój niedawny pracodawca to także ciekawy człowiek.

— Wiesz, Bury, myślałam nad tym wszystkim w samolocie. Praktycznie nie spałam. Masz. — Knap sięgnął do kieszeni na nogawce spodni i położył na stoliku kilkunasturowy plik złożonych we czworo kartek. — List pani Mary. Myślałam nad tym, co opisała, i nadal nie wiem, co o tym myśleć. Nie chce mi się w to wszystko wierzyć. Nie żebym twierdził, że Laskowscy to kryształowi ludzie. To szuje jak wszyscy kapitaliści. Ale nigdy nie byłam zwolennikiem spiskowych teorii dziejów. Takie rzeczy... dzieją się w książkach albo w filmach. Nie w życiu.

— Nie uwierzyłeś jej?

— Ona umiera. Stoi już nad grobem. Po co jej to?

— Tym bardziej powinna mówić prawdę.

— Twoja sprawa. — Knap rozłożył ręce. — Rób z tym, co uważasz. Mnie to, szczerze mówiąc, już nie interesuje. Mam inne, ważne sprawy. Aha, zastanawiałem się, bo ta kobieta z AWO, o której ci wspominałem... Zastanawiałem się, czy jej nie zawiadomić o tych zapiskach. Uznałem jednak, że nie będę nadgorliwy. Zmieniłem się. Oddaje je tobie.

— Kobieta z AWO? — zapytał od niechcienia Burski, nie odrywając wzroku od przeglądanych kartek. — Taka brunetka? Ola, bodajże...?

— Widzę, że chociaż w naszej RP różnych policji teraz jest coraz więcej, to jednak jakoś koordynujecie działania. — Knap pokiwał głową z uznaniem.

— Jakoś sobie radzimy. Przekażę jej kopię.

Burski złożył kartki i wsunął je do wewnętrznej kieszeni kurtki.

I jak tu nie wierzyć w spiskowe teorie? — pomyślał. Moja Ola? To ona? Po co interesowała się Laskowskimi i Knapem?

— Dziękuję za pomoc. Muszę już jechać z powrotem do Bielska. A ty nie wracasz do Lublina?

— Jutro. Dopiero jutro.

— Widzę, że wycieczka do Afryki dobrze ci zrobiła. Wyglądasz znacznie lepiej niż poprzednio.

— A owszem. Udało mi się nawet coś ważnego zrozumieć. Opowiem ci przy okazji.

— Jasne. Dzwonimy się. Pa.

Dawniej Burski bardzo lubił jeździć pociągami. Siedział przy oknie i przez całą drogę patrzył. Zaglądał światu pod koszulę. Z okien pociągu widać świat od drugiej strony. Wiejskie zabudowania od strony zaśmieconych podwórek, koślawych szop i stert wyrzuconych, niepotrzebnych rzeczy. Miasta od strony brudnych magazynów z rampami, wstydliwych ścian kamienic i zakamarków, gdzie żulia, spożywając alkoholowe napoje o egzotycznych nazwach, patrzy na włokące się torami pociągi.

Może dlatego został policjantem. Z czasem zagłądanie światu pod koszulę stało się żmudnym codziennym obowiązkiem. Czar przysł. Pozostał niesmak.

Na komendzie w Bielsku-Białej Burski zjawił się po południu. Poszedł prosto do swojego pokoju. Wyjął kilka kartek papieru. Zapisywał w punktach, trzymając się chronologii, historię posła Remigiusza Kołuchowskiego i jego żony. Gdy skończył, miał przed sobą szkic ponurej opowieści.

Opozycjonista, prawy i szlachetny człowiek, chce zająć się polityką. Zapewne dla dobra ogółu. Wszak polityka, o czym pisał Arystoteles, jest czynieniem dobra publicznego. Czy ktoś o tym jeszcze pamięta w naszej RP? Ambitny polityk powoduje wypadek. Jest sprawcą, ale jak się wkrótce okaże, także ofiarą. Trafia w sidła niejakiego Laskowskiego. Człowieka, o którym milczą akta IPN-u. Na czas uprzątnięte. Albo dlatego, że nie donosił na nikogo. Legalnie i oficjalnie pracował dla komunistów. Miał jakiś związek z akcją „Żelazo”. Mógł mieć. Gdyby historia opisana przez Mary Hurtanyi nie była prawdziwa, to jak wyjaśnić jej postępowanie? Dlaczego Kołuchowski był taki wystraszony, kiedy przyjechał do szpitala w Szczyrku zobaczyć Pannę Nieznajomą?

Wpływy Kołuchowskiego rosną, fortuna Laskowskich pęcznieje. Wszystko jest proste, jasne i zrozumiałe. Istnieje tylko jeden problem. Jak to udowodnić? Oświadczeniem stojącej nad grobem kobiety? Nikt nie będzie zdziwiony, jeżeli Mary nagle odejdzie z tego świata, zanim

sprawy nabiorą tempa. Przecież nikt się nie przyzna. Skończy się na tradycyjnym, wyświechtanym już w RP zwrocie o prowokacji, za którą stoją polityczni wrogowie.

Jest jednak inne wyjście.

Jedyne. Oni, Kołuchowski i Laskowski, nie wiedzą jeszcze, że Mary Hurtanyi żyje. Trzeba to wykorzystać.

– Puk, puk? – W drzwiach stanęła Ola Kosma.

– Wejdz, proszę. – Burski wstał. Miał ochotę ją pocałować. Zauważyła to i pogroziła palcem. Nie tutaj. – Czekałem na ciebie.

– Oglądałam kolejne przesłuchanie pana Duszy, czytałam zeznania i protokoły.

– To on?

– A któż by inny? Gawron kracze z radości. Twój szef urosł o dobre dziesięć centymetrów, a prokurator Iwański rozsyła uśmiechy na wszystkie strony i zaprasza mnie na kolację we dwoje.

– Zgodziłaś się?

– Powiedziałam, że się zastanowię... Pocieszy cię, gdy robisz miny chłopczyka, któremu ktoś chce zabrać łopatkę w piaskownicy.

– Zgodziłaś się?

– Oczywiście, że nie.

– Nie można było tak od razu, bez sprowadzania na mnie stanu przedzawałowego?

Zaśmiała się.

– Jak Dusza? Przyznał się? – zapytał.

– Nie. Wszystkiemu zaprzecza. Twierdzi, że był w jakimś domku w lesie, z pewną damą, której personaliów podać nie może, a nawet gdyby to zrobił, ona i tak by zaprzeczyła, bo to mężatka.

– Genialne alibi. Czy to możliwe, żeby nasz Motocyklista był aż tak głupi?

– Bandyci to na ogół prymitywne typy, wiesz przecież. Zobaczmy, jakie jeszcze dowody czy poszlaki zgromadzi Gawron. W mieszkaniu, gdzie był wczoraj, znaleziono odciski palców Duszy. Oczywiście także sporo innych. Starszy pan wprawdzie nie poznał go na zdjęciu, ale nie każdy świadek od razu jest wiarygodny, prawda? Oszukiwał urząd skarbowy. Nie spisał umowy najmu. Gawron go przycisnie i dziadek pęknie.

– Laskowscy pewnie skaczą z radości?

– Co mnie obchodzą jacyś Laskowscy? – Kobieta ostentacyjnie wzruszyła ramionami. – Dlaczego pytasz?

– Rozmawiałem dzisiaj z Adamem Knapem.

– Tak? – Poprawiła sobie włosy.

– Znaie się?

– Oczywiście.

– Nie wspominałaś mi o tym wcześniej.

– Pytałaś?

– Nie.

– Wygadał się, nie wprost oczywiście, ale wygadał się, że to ty go prowadziłaś.

– Następnego chłopczyka, który chciałby zostać szpiegiem. Dlaczego faceci to takie straszne chwaliپیty? – Zgrabnie obróciła temat w żart.

– Przywiózł mi z Kenii coś, co może cię zainteresować. Masz, przeczytaj, skseruj sobie. Musimy pomyśleć, co z tym zrobić. Mam pewien pomysł. Ale najpierw zapoznaj się z oświadczeniem pani Mary Hurtanyi-Kołuchowskiej.

– Pokaż.

Burski nigdy nie przepadał za kobietami w typie słodkiej-głośnej-wymalowanej-blondynki. Takiej, którą słyhać z daleka, gdy idzie na podkutych obcasach. Bardzo podobały mu się spokój, inteligencja i opanowanie Oli.

A co mi się w niej nie podoba? – zapytał sam siebie w myślach. – To kobieta kompletna, mówiąc językiem piłkarskim. A dla kobiety porównanie z Ronaldinho to przecież największy komplement. Chociażby akurat tego nie rozumiała.

– Ciekawe – powiedziała po pobieżnej lekturze zapisków.

— Mam pomysł. Laskowski i Kołuchowski nie wiedzą jeszcze, że ona żyje — powiedział Burski. — Kto wie? Może fakt zaginięcia pani Mary scementował ich współpracę? Może jeden wykorzystuje to przeciwko drugiemu? Ja coś wiem, a ty się pilnuj... Gra sugestii, niedomówień i domysłów w takiej sytuacji może być bardzo skuteczna.

— Możliwe. Wezmę te dokumenty.

— Daj, skseruję ci.

— Nie kseruj niczego, Bury. To my, AWO, prowadzimy tę sprawę i dokumenty są dla mnie. Mogę oczywiście wystąpić o nie drogą oficjalną, ale, po co, prawda?

— Jasne — odpowiedział, udając lekkie zaskoczenie. — Weź sobie te kwity. Co zrobimy?

— Jeśli będę potrzebowała twojej pomocy, to cię poproszę. Na pewno rozumiesz sytuację. Nie zajmuj się śledztwem AWO.

— Aż tak ostro? Chciałem tylko pomóc.

— Wiem. Dziękuję ci. Muszę już iść.

— A wieczkiem...? — Przysunął się do niej bliżej. Poczul ten miło łechcący podniebienie zapach jej perfum. Chciał ją objąć, ale wymknęła się.

— Będę zajęta.

— Nie zobaczymy się? Wiem, że gadają już o nas na komendzie, ale nie ma się czyni przejmować, prawda?

— Słuchaj, Bury, fajny z ciebie gość. Mam wrażenie, że się zabujałeś?

Nie czekała na odpowiedź. Znała ją. Dodała szybko:

— A to była tylko przygoda. Nie jestem w tej chwili gotowa na jakiś trwały związek.

— A kiedy będziesz?

— A może ja mam partnera? Może mam inne życie...? Nie pytałeś nigdy. Tak jak ja nie pytałam o twoją żonę i syna. Było cudownie. Zawsze będę cię dobrze wspominać. Idę, bo jeszcze mi się tutaj rozplaczesz. Cześć.

Trzasnęły drzwi. Po chwili kurz z powrotem opadł na podłogę. Burski stał na środku pokoju. Znowu sam. Nie licząc towarzyszącej mu bolesnej świadomości, że ponownie coś spieprzył.

Burski wypił dwie setki w barze, zagryzając plackami ziemniaczanymi. Przeliczył zawartość portfela. Stać go było na sklep, a nie najtańszy choćby bar. Tak zrobił. Wyszedł z baru. Samochód zostawił na parkingu przy komendzie, więc ruszył na piechotę, rozglądając się za jakimś radiowozem. Wkrótce zauważył policyjny samochód. Machnął ręką. Wyszedł dwa kroki na ulicę. Zanim wsiadł, rozejrzał się. Wydawało mu się przed chwilą, że ktoś idzie tuż za nim. Teraz nie widział nikogo.

W sklepie pod domem kupił dwie butelki czystej. Zanim dotarł do mieszkania, skrzył w krzaki pod blokiem. Za potrzebą oraz żeby odgonić natrętne, nedorzeczne wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Usiadł w domu przy stole, w towarzystwie telewizora i bełkocących polityków. Właśnie zakończyły się wybory samorządowe. Politycy wycierali sobie usta frazesami o Ojczyźnie, dobru publicznym i sprawiedliwości. Niektórzy czynili to tak sprawnie, że można było niemal uwierzyć w ich szczerłość. Burski pił po pół szklanki.

Nie zadzwoniła.

Zasnął przy stole z petem w ustach i słowami Poety w głowie:

Drogi Amorze,

za karę ci tę strzałę w dupę włożę.

Kierowca uchylił okno. Noc nie była wprawdzie aż tak ciepła, ale mieszanka zapachów różnych perfum wywoływała ból głowy.

Samochód wyjechał z Bielska. Minął ostatnie latarnie. Kierowca włączył światła drogowe. Na bocznej, wąskiej drodze żadnego ruchu już o tej porze nie było. Przyspieszył.

Odblaskowa żółta kamizelka i jarzące się niczym miecz świetlny czerwone światło kazały mu jednak zwolnić i zatrzymać auto. Opuścił do końca szybę w oknie.

— Dobry wieczór. — Policjant podszedł do samochodu. — Wie pan, panie kierowco, z jaką prędkością pan jechał?

— Z taką, jaka jest dozwolona, panie władzo.

— A jaka jest dozwolona na tym odcinku?

- Bezpieczna, panie władzo.
- Ach, tak...? Proszę zapalić światło w samochodzie. – Policjant omiół wzrokiem wewnątrz.
- A dokąd to, jeśli można wiedzieć?
- Wiozę zaopatrzenie do motelu. Pod Świerki.
- No to dlaczego od razu nie mówicie? – Policjant złagodniał. – Jechać i nie przekraczać prędkości, za bardzo oczywiście.
- Dobranoc – uśmiechnął się kierowca.

Motel stał niedaleko. Kierowca nie zamykał już okna. Skręcił w boczną drogę, przejechał przez niewielki, zadrzewiony parking. Na parterze motelu jaśniały światła restauracji. Przy zamkniętych drzwiach palił papierosa rosły mężczyzna. Samochód nie zatrzymał się na parkingu. Skręcił podjazdem gospodarczym na tyły budynku, pod drzwi ewakuacyjne. Tam na schodach czekało już dwóch następnych ludzi.

– Zapraszamy – powiedział jeden z nich. Ten w koszuli rozpiętej na tyle, żeby widać było gruby złoty łańcuch na owłosionej piersi.

Kobiety wysiadały z samochodu. Wszystkie cztery w krótkich sukienkach i delikatnych pantofelkach na cieniotkich, wysokich szpilkach, które przeczyły prawom fizyki.

– Prosimy. – Ten z łańcuchem uśmiechał się rozanielony, kiwał głową z uznaniem i ostentacyjnie mlaskał. – Otwórz pięknym paniom drzwi – powiedział do tego drugiego, w czapce Los Angeles Lakers.

Długowłose nimfy weszły bez słowa do wnętrza. Kierowca rzucił krótkie: „Cześć” i odjechał. Ten w czapce zamknął drzwi za kobietami, a tamten drugi drapał się po owłosionej piersi, nie przestając mlaskać.

W głębi podwórka coś zabrzęczało.

– Idź sprawdź – rozkazał ten z łańcuchem.

– Kot – wzruszył ramionami LA Lakers.

– No to sprawdź tego kota.

Mężczyzna w czapce ruszył w stronę wiaty śmietnika. W taką parną noc z daleka było czuć, że śmieci nie wywożono od kilku dni.

– Szu! – krzyknął.

Dwa koty jeden za drugim przeskoczyły z kubłów, po murku, na dach wiaty. Tam przyczyaiły się i patrzyły zielonymi oczami na człowieka. Na betonowym podłożu obok śmietnika kręciła się pusta butelka. Jak w dziecinnej zabawie w całusy. Na kogo wypadnie, na tego bęc. Ubaw normalnie po pachy.

Butelka zatrzymała się. Szyjką wskazywała w stronę drzwi, gdzie został tamten w łańcuchu grubym jak od psiej budy.

– E! – krzyknął do niego Lakers. – Na ciebie wypadło... – dokończył ciszej i mruknął: – Poszedł, kurwa, za dupami, skurwysyn.

– Nie bluzgaj – usłyszał kobiecy głos.

Mężczyzna gwałtownie odwrócił się, wsuwając dłoń pod połę kurtki. Dwie pary zielonych kocich oczy patrzyły na niego z dachu wiaty.

– Co jest?

Jeden z kotów stanął na wyprężonych łapkach i wygiął grzbiet w łuk.

– Gadający kot?

Wtedy mężczyzna dostał w głowę, aż czapka Los Angeles Lakers poderwała się w powietrze i po krótkim locie sfrunęła na ziemię. Upadła kilka metrów od właściciela, który już leżał.

Dwadzieścia metrów dalej, pod ścianą, tuż obok schodków prowadzących do drzwi ewakuacyjnych leżał ten drugi. W jeszcze bardziej rozpiętej koszuli. Już bez złotego łańcucha na piersi.

Skulona postać przebiegła wzdłuż ściany motelu. Zwinnie wspięła się na murek oddzielający podwórko gospodarcze od ogrodu, a stamtąd na balkon. Z kocią zręcznością przeskoczyła balustradę. Przez niedomknięte drzwi balkonowe wsunęła się do wnętrza pokoju.

Zagrzmiało. Blask błyskawicy przeciął niebo. Wiatr zaszmiał w gałęziach świerków.

– To nic – stęknął mężczyzna siedzący na fotelu. Nawet nie spojrzął w stronę balkonu. Twarz miał zwróconą ku sufitowi. Spodnie ściągnięte do kostek. U jego stóp klęczała

długowłosa kobieta w czerwonej bieliźnie i w butach na cieniutkich szpilkach.

Prokurator Iwański sapał i stękał. Nawet gdyby zobaczył, że ktoś go fotografuje, to zapewne zainteresowałby się tym dopiero później. Znacznie później, bo już niemało wypił tego wieczoru.

Znowu zagrzmiało. Teraz o wiele bliżej. Zaczął padać deszcz.

19.

Duduś Laskowski szybko zbiegł po schodach i ominął kałużę na chodniku. Pogodny poranek, który nastał po nocnej burzy i rzęsistej ulewie, wprawił go w dobry nastrój. W gałęziach drzew rosnących wokół domu śpiewały ptaki. Zanim otworzył drzwi samochodu, obok przystanąła taksówka i wysiadła z niej kobieta.

— Cześć — przywitała ją uśmiechem numer pięć. Tym dla zaufanych, ważnych współpracowników.

— Dzień dobry — odpowiedziała Aleksandra Kosma, tym razem ubrana w dżinsy i krótką kurtkę. — Już tak rano u rodziców?

— Tylko zakupy przywiozłem.

— No proszę. Taki syn to skarb dla starszych rodziców. Zakupy zrobi, śmieci wyniesie, istny brylant.

— To nic wielkiego, tylko codzienne zakupy. Normalna rzecz.

— Jest pan Andrzej?

— Oczywiście. Zaczekaj na mnie, dobrze? Wróć za dziesięć minut, zapomniałem o gazetach dla taty.

— Na pewno zaczekam.

Duduś odjechał swoim jaguarem, a kobieta podeszła do drzwi domu seniora Laskowskiego. Zadzwoiła. Otworzył jej Andrzej Laskowski. Zaprosił do środka, zaproponował kawę.

— Słyszał pan już? — zapytała, siadając w salonie.

— O czym, Olu? O złapaniu Truciciela już wczoraj przecież mówiono. Produkcja ruszyła na nowo.

— O tym... gryzę się w język, żeby sprawy nie nazwać po imieniu, bo jednak nie wypada, ale same brzydkie słowa cisną mi się na usta. O naszym wspólnym znajomym.

— Słyszałem, tak. Co za baran. — Laskowski pokręcił głową. — Tyle pracy na darmo. Teraz to już nawet ja nic nie poradzę. No trudno, dla ciebie, Olu, to nauka. Zawsze trzeba myśleć i planować na wiele kroków naprzód. Żeby przykre niespodzianki nie były za bardzo przykre.

— Tak właśnie staram się robić. — Aleksandra Kosma wstała. — Na pewno kawa już się zaparzyła. Przyniosę z kuchni.

— Dziękuję, dziecko. Mleczko jest w lodówce, a trzepaczka w szufladzie! Dla mnie kawusię z pianką poproszę.

— Oczywiście! — odrzyknęła.

Laskowski poszedł do garderoby. Gdy wrócił w krawacie i z marynarką w ręce, kawa pachniała już na stoliku.

— Spotkałam pod domem Dudusia.

— Wygląda na to, że okres kontestacji i ostrego konfliktu pokoleń ma nareszcie za sobą. Teraz już układa nam się całkiem dobrze. — Laskowski uśmiechał się i obficie słodził kawę.

— Bardzo długo trzymał go pan z dala od naszych spraw.

— Czekałem, aż dorośnie. Ty jeszcze, Olu, nie masz dzieci, ale kiedyś pewnie będziesz miała. Przekonasz się, że w sumie to przyjemne patrzeć, jak dojrzewają. Duduś to bardzo zdolny chłopak. Także bardzo ambitny. Ale zbyt długo był po prostu dużym dzieckiem. Cieszę się, że nareszcie znaleźliśmy wspólny język. — Wytarł z ust drobinę mlecznej pianki i uśmiechnął się znowu swoim słynnym uśmiechem.

— Pan zawsze wszystko potrafi przeprowadzić jak należy, pułkowniku.

— Dawno już nikt tak do mnie nie mówił. — Wypił kolejny łyk kawy. — Nigdy nie byłem żadnym pułkownikiem. Powinnaś to wiedzieć. Pyszna kawusia, prawda...? I lepiej niech tak zostanie. Wystarczy: panie przewodniczący.

— To z szacunku.

— Wiem, dziecko. O kurczę...

— Co się stało?

— Coś... — Laskowski zasyczał. Przyłożył dłoń do brzucha. — Auuu, cholera!
— Stało się coś...? Jak mogę panu pomóc?
— Ślepa kiszka czy co?
— Nie miał pan wycinanej ślepej kiszki?
— Nie... A może ty mi czegoś dolałaś do kawy?
— Zawsze podziwiałam pana opanowanie i poczucie humoru, ale teraz to jest chyba trochę nie na miejscu. Jak mogę panu pomóc?
— Auu! — zawył Laskowski. — Zadzwoń, cholera, po pogotowie...! Nie! Wybierz tylko numer. Sam zadzwonię.

Laskowski wyciągnął się w fotelu i zagryzając zęby, leżał bez ruchu. Kłucie w brzuchu nie ustępowało. Pojawiły się zawroty głowy. Oczy zaszyły mu z bólu łzami.

Po chwili zobaczył, jak w drzwiach pojawili się dwaj aniołowie. Mieli na sobie białe ubrania. Skrzydła łopotały im za plecami. Podbiegli do niego.

— Już będzie dobrze — powiedział anioł o usianej zmarszczkami twarzy. Uśmiechnął się. — Wszystko będzie dobrze.

Kobieta w wózku inwalidzkim wyjechała na balkon i obserwowała, co się dzieje. Patrzyła, jak pielęgniarki niosą jej męża do karetki. Właśnie podjechał jaguarem Duduś. Syn kalekiej kobiety podbiegł do noszy. Rozmawiał z lekarzem. Pomógł i ułożyć nosze w karetce. Przytrzymał chwilę ojca za rękę. Samochód pogotowia ruszył na sygnale. Tuż za nim srebrzysty jaguar Dudusia. Przed domem została tylko młoda kobieta w dżinsach i krótkiej kurtce. Wyjęła telefon, zadzwoniła po taksówkę.

Starsza kobieta w wózku inwalidzkim sięgnęła ręką pod koc, który leżał na jej kolanach. Wyjęła płaską butelkę. Pociągnęła duży łyk.

W oddali zagwizdał pociąg. Niepokojąco.

Andrzej Laskowski słyszał wycie syreny karetki. Leżąc na noszach czuł, że samochód szybko jedzie ulicami miasta. Zastanawiał się, dlaczego aniołowie używają teraz karetek.

Ból powoli ustępował. Zamglone oczy odzyskiwały ostrość spojrzenia. Aniołowie nie mieli już skrzydeł. Jeden z nich przygotowywał zastrzyk.

— Co to? — zapytał Laskowski.

— Ciiii — odpowiedział anioł o twarzy wyglądającej jak labirynt zmarszczek. Znowu się uśmiechał. — Wszystko będzie dobrze.

— Ale co to?

Anioł podwinął Laskowskiemu rękaw koszuli i wbił igłę w przedramię.

— Co to?

— Wszystko już będzie dobrze. Zobaczysz — kiwał głową uśmiechnięty anioł. — To pavulon.

Na twarzy przybyła mu kolejna zmarszczka.

Po chwili syrena umilkła. Samochód zwolnił.

— Mam nową skórę — usłyszał jeszcze Andrzej Laskowski. Drugi z aniołów rozmawiał przez telefon. — Ekstra towar, ekstra stawka.

Boli — myślał Laskowski. — Znowu cholernie boli.

Mówić już nie mógł.

Karetka zatrzymała się na skrzyżowaniu. W miejscu, gdzie wyraźnie było słycać, jak gwizdże pociąg oznajmiający wjazd na stację kolejową.

Duduś jechał za karetką, pilnując, żeby nie oddaliła się bardziej niż na dziesięć metrów i nikt nie zajechał mu drogi. Inne samochody rozstępowały się, tworząc przejazd dla karetki. Pędził za nią, nie zwracając uwagi na kolor świateł ulicznych.

Stary nie może tak po prostu fiknąć — myślał. — Jest jeszcze parę spraw, parę kontaktów, kilka nazwisk. Nie teraz. Za tydzień lub dwa, proszę bardzo, ale teraz muszę jeszcze z nim spokojnie pogadać. Taki ojciec to skarb. Taki ojciec jest lepszy niż kopalnia diamentów. Jak mogłem wcześniej się nie domyślić...? Powiniennem. Wejść na jego miejsce. Ze wszystkimi jego powiązaniem, hakami i teczkami. To będzie Eldorado. Zbuduję firmę, gmach jej widzę ogromny, zbuduję prawdziwą korporację. Ale niech jeszcze staruszek wytrzyma za tydzień. No właśnie... Dlaczego akurat dzisiaj? Akurat w czasie odwiedzin tej Oli? Przypadek? Ale kto w dzisiejszych czasach wierzy w przypadki?

No właśnie.

Nagle wszystkie diody na desce rozdzielczej jaguara zapaliły się jednocześnie. Odezwwał się także komputer pokładowy. Migał czerwony napis: STOP, kobiecy głos powtarzał, żeby natychmiast zatrzymać samochód.

Duduś zjechał jaguarem do zatoki przystanku. Za nim zatrzymała się taksówka. Ktoś wysiadał, płacąc taksówkarzowi przez uchylone okno.

— Wolny pan? — Duduś podbiegł do taryfy.

— Już wolny — odpowiedział kierowca.

— Za tamtą karetką! Szybko!

— Się robi.

Taksówkarz trzydzieści lat robił na taryfie. Nic go już nie dziwiło. Nawet zepsuty jaguar. Poprawił zamszowe rękawiczki na dłoniach i ruszył.

Karetką wyraźnie zwolniła, więc nie musiał łamać przepisów drogowych. Zerknął na zegarek. Pociąg, który gwizdał opodal, przyjechał punktualnie.

Prokurator Iwański nie zatelefonował po taksówkę. Miał czasu pod dostatkiem. Wracał na piechotę do domu. Zamyślony i zły, o mało nie wszedł pod koła rozpędzonej karetki. Na szczęście w ostatniej chwili jakiś życzliwy człowiek przytrzymał go za rękę.

— Dzięki — powiedział prokurator. — Zamyśliłem się.

— Nie ma sprawy. Lubię pomagać innym.

Prokurator popatrzył na twarz tamtego idioty. Tylko idiota może powiedzieć coś takiego.

— Znamy się? — zapytał. Twarz tamtego idioty gdzieś już widział. Ale przecież widział już tysiące różnych, bardziej, mniej i jeszcze mniej przyjaznych twarzy.

— Nie, panie prokuratorze — odpowiedział tamten. — Nie znam pana.

Iwański stał jeszcze przez chwilę na chodniku patrząc, jak tamten odchodzi. Przypomniął sobie.

Łysko. Arkadiusz Łysko. Tamten był kiedyś policjantem. Ale go zgnoiłem i przestał być.

A teraz ktoś mnie chce zgnoić. Szef zachował się nawet wyrozumiale. Odchodził z prokuratury na własną prośbę, powiedział, rzucając na biurko te zdjęcia. Natychmiast. Ja rozumiem, dodał szef ciszej, wyskok na dupy. Ale przygruchał sobie sam albo zapłać ze swoich. Nie w hotelu u zbója, nie jako prezent od bandyty.

Tak zrobię, zgodził się Iwański. Od razu napisał prośbę o zwolnienie.

Jak się trochę sprawa uspokoi — pomyślał — trzeba będzie się zainteresować, kto mi to zrobił. Do prokuratury już nie wrócę, trudno. Ale płazem tego nie puszczę.

Szedł chodnikiem wzdłuż głównej drogi, ostro myśląc. Nie rozglądał się specjalnie, lecz jaguara Dudusia przegapić nie mógł. Był tylko jeden taki samochód na południu kraju. Stał teraz nieprzepisowo zaparkowany w autobusowej zatoce. Strażnik miejski wsuwał za wycieraczkę druk mandatu, a drugi kończył właśnie zapinać blokadę na przednim kole.

Niedaleko, przy wjeździe do nowego tunelu, tworzyło się jakieś zbiegowisko. Ruszył dalej, na wiadukt, żeby lepiej widzieć. Zawodowa ciekawość. Widział, jak do zgromadzonych ludzi podjechał radiowóz. Karetką pogotowia była już wcześniej. Iwański zatrzymał się na wiadukcie, nad torami kolejowymi. Oparł się o barierkę.

— Taki młody — powiedział człowiek, który przystanął obok.

— Kto?

— No, tamten, w tunelu.

— A co się stało? Wie pan?

— Taki młody chłopak, blondynek, niewiele ponad trzydzieści lat, zapewne. Szkoda. Ludzie nie powinni odchodzić tak młodo. No, niech pan się postawi na miejscu jego matki. Żyje jeszcze na pewno kobiecina. Co ona teraz biedna...? Będzie włosy rwać, rozpaczać, może nawet targnie się na swoje nic już nie warte życie. To straszne! Taki był młody...

— Ale co się stało? — powtórzył Iwański. Na moście byli tylko oni dwaj. Prokurator i ten, który opowiadał.

— Młody człowiek miał zapaść w taksówce. Nie żyje.

— Taksówkarz?

— Nie. Taksówkarz gdzieś zniknął. Wyobraża pan sobie...? Uciekł. — Tamten poprawił na dłoniach beżowe, zamiszowe rękawiczki. Rzadko już spotykane. Dawnej używali takich kierowcy. Miały wycięcia na kostki palców.

— Nieboszczyk to pasażer. Taki młody był.

Prokurator Iwański nie był głupi. Szybko kojarzył fakty. Porzucony jaguar Dudusia. Trup w taksówce. Zdjęcia na biurku szefa. No i jeszcze to, co pisali w gazecie o pośle... Wszystko układało się w logiczny ciąg.

Pociąg ruszył ze stacji. Rozpędzał się. Znowu głośno gwizdał.

— Nie dzwonilibyśmy po was, ale facet jest w taksówce sam. Nie ma kierowcy — powiedział ratownik medyczny.

Burski kiwnął głową. Pochylił się. Zajrzał przez otwarte drzwi. Na drugim końcu kanapy siedział człowiek z głową opuszczoną na pierś.

Burski wyprostował się, odwrócił i dyskretnie beknął. Od tych wygibasów odbiło mu się piwem. Pierwsze piwo wypił rankiem jak trzeba. Bez zbędnego pośpiechu. Żeby przywrócić funkcje życiowe i przełknąć kromkę chleba na śniadanie. Drugie otworzył w firmie, gdy już siedział za biurkiem i przeglądał gazetę. To trzeba opić, pomyślał, widząc informację o pośle Kołuchowskim. Nie zdążył. Kazano mu jechać do wypadku. Dopił puszkę po drodze. Złe się pije, gdy człowiek się spieszy, a samochodem trzęsie.

— Przyczyny zgonu? — zapytał.

— Na pierwszy rzut oka naturalne. Zapaść. Pewnie zawał serca — odpowiedział ratownik. — Żadnych zewnętrznych urazów. Jak będziecie chcieli, to ewentualnie zrobicie sekcję.

— Jak będziemy chcieli... — powtórzył Burski. — Chyba już gdzieś widziałem tego gościa. Miał jakieś dokumenty?

— Nic.

Burski jeszcze raz nachylił się do taksówki. Wszedł do środka i podniósł za włosy głowę nieboszczyka. Poświecił latarką. W tunelu było jednak dosyć ciemno.

— Inwestor giełdowy — mruknął. — Pan Duduś Laskowski. No proszę, taki młody, taki zdolny, taki bogaty i taki martwy.

— Szefie — usłyszał z tyłu głos Sołtysika.

— Tak?

— Dwie godziny temu zgłoszono kradzież tej taksówki.

— No, to wiemy, dlaczego nie ma w środku kierowcy. Zabierajcie denata — powiedział do załogi karetki. — Samochód pojedzie lawetą na policyjny parking. Zadzwoń, Sołtysik.

Burski wyszedł z tunelu. Przystanął, opierając się o maskę radiowożu. Nad tunelem biegly tory kolejowe. Słyszał, jak ze stacji PKP rusza pociąg, wesoło pogwizdując.

Dziwna sprawa, pomyślał. Nagły zgon i to w dniu, kiedy na nowo ruszyła produkcja w fabrykach Laskowskich, a minister sprawiedliwości właśnie jedzie do Bielska, żeby na konferencji prasowej ogłosić schwytanie Truciciela. Dziwna sprawa. No i jeszcze ta historia z posłem Kołuchowskim. Jedno z drugim pozornie nie ma nic wspólnego. Tyle, że obaj się znali i obaj dobrze na tej znajomości wychodzili. Ciekawe... Chyba nikt z AWO nie będzie miał do mnie pretensji, jeżeli spotkam się z seniorem Laskowskim w sprawie podejrzanej śmierci jego syna? Porozmawiam sobie z panem przewodniczącym. Porozmawiam.

— Panie policjancie! — krzyczał jakiś człowiek. Biegł w stronę Burskiego.

Komisarz cierpliwie zaczekał. Trzymał się na nogach, ale nadmiarem energii nie tryskał.

— Panie policjancie...! Tam! — sapał człowiek.

— Gdzie i co? — zapytał rzeczowo Burski.

— Nieboszczyk... Facet rzucił się z wiaduktu.

— Może halny znowu idzie?

— Panie... panie policjancie... Ja nie żartuję. Pociąg stoi, facet leży na torach. Bez policji ani rusz. Ja mówię poważnie. Musi pan tam iść.

Poszedł.

I wkrótce zobaczył zwłoki prokuratora. Iwański leżał na plecach. Patrzył w zachmurzone niebo.

Zaledwie trzy metry przed nim zatrzymała się lokomotywa. Ciężko sapała.

— Widzi pan? — mówił człowiek, który przybiegł po Burskiego. — Widzi pan, co się stało?

— Co? — odpowiedział policjant. — Ten człowiek pracował w wymiarze sprawiedliwości. Ryzyko zawodowe. W końcu go dopadła.

Na komendzie policji trwały gorączkowe przygotowania. Sprzątaczkę szalały z odkurzaczami, Burski ze zdziwieniem zauważył, że jest ich aż tyle. Podobnie jak dozorców, którzy strzygli, poprawiali i malowali wszystko, co im stało na drodze.

Szybko zmieniono miejsce planowanej konferencji ministra sprawiedliwości i ministra spraw wewnętrznych. Pierwotnie miała się odbyć w siedzibie prokuratury. Jednak obaj politycy, mimo młodego wieku, mieli już wyrobiony, godny pozazdrosczenia instynkt. Zanim mleko się rozlało, oni już wiedzieli, gdzie należy stać, żeby na nich nie spadła ani kropla. Samobójcza śmierć prokuratora nadzorującego śledztwo to nie była dobra wiadomość medialna i lepiej było ten temat z daleka omijać. A złych wiadomości było akurat pod dostatkiem. Przesilenia w niektórych resortach, afery obyczajowe w koalicyjnej partii czy też zwykła nieudolność potakiwaczy, którym nagle kazano zrobić coś samodzielnie. To wszystko wymagało dywanu. Koberca w kwiatki, co przykryje jałowy ugór. Tym kwiatkiem była godna oprawa schwywania Truciciela z Bielska. Terrorysty, szantażysty i mordercy, zwanego także Motocyklistą.

Helikoptery z ministrami już zbliżyły się do Bielska. Zatrzymano ruch na ulicach, którymi miała jechać kawalkada limuzyn.

Starając się ignorować buczenie odkurzacza i stukanie młotka na korytarzu, Burski uparcie próbował się dodzwonić. Do Oli Kośmy oraz do seniora Laskowskiego na przemian. Oba telefony milczały. W fabrykach Laskowskich nie uzyskał żadnych informacji. W domu także powiedziano mu, że pan Andrzej jest chwilowo nieosiągalny.

Do pokoju wpadł podekscytowany Sołtysik.

— Szefie, właśnie słyszałem od chłopaków, że w samochodzie tego Duszy znalezione dowód osobisty. Za tylną kanapą. Na nazwisko Marek Byczewski.

— Czyżbyśmy mieli dzisiaj Święto Zbiegów Okoliczności? — warknął Burski. — Przyznał się także?

— Nie. Jeszcze nie.

— No to nasz komendant pójdzie w górę jak strzała. A jeszcze dwa dni temu srał w portki ze strachu o stołek.

— Pan bez humoru jakiś... Ach, kobiety. Wiem coś o tym.

— Zamknij się, filozofie.

— Już idę, nie przeszkadzam. Aha, jakiś człowiek czeka na pana w dyżurce. Nie wpuszczą go, wie pan, żeby bomby nie wniósł przed konferencją.

— Już idę.

Przy wejściu do gmachu komendy czekał na Burskiego pan Henryk. Emerytowany technik urządzeń chłodniczych.

— W czym mogę pomóc? — zapytał policjant.

— Przyniosłem zdjęcie.

— Słucham?

— Pytał pan o tego pana Marka, co u mnie mieszkał. Potem tamten drugi policjant pokazywał mi zdjęcia, czy go rozpoznaję, nie pamięta pan?

— Oczywiście, że pamiętam. Zostawili u pana zdjęcia? Ech, fujary... Funkcjonariusze są czasem przepracowani. Proszę o zrozumienie.

— Nie ma problemu. Oni niczego nie zostawili. To ja przyniosłem zdjęcie pana Marka. Wnuczek nam zrobił w Wielkanoc. Dopiero dzisiaj dostałem list ze zdjęciami.

Burski wziął do ręki fotografie. Nogi się pod nim ugięły.

Za stołem, po dwóch stronach wazy z wielkanocnym barszczem siedziało dwóch mężczyzn. Pan Henryk i jego gość. Gość uśmiechał się skromnie do obiektywu. Jak do przypadkowego przechodnia.

Burski widział już ten uśmiech. Dwa dni temu.

Sprawdził, że ma w kieszeni kurtki kluczyki od samochodu. Telefon i teczka zostały w pokoju. Nie warto po nie wracać aż na trzecie piętro, uznał. Wziął od pana Henryka jedno ze

zdjęć, podziękował i postanowił od razu dowiedzieć się, kim jest ten człowiek.

— Komisarzu! — zawołał za nim dyżurny. — Jeszcze coś dla pana.

Podał Burskiemu zaklejoną kopertę. Wrzucono ją do skrzynki na donosy, wymieniając jako adresata komisarza Burskiego. Niektórym życzliwym wydaje się, że jeśli skierują donos imiennie do funkcjonariusza, to przyspieszy ich zemstę. Burski wsunął kopertę do kieszeni.

Piętnaście minut później był już w fabryce „Weł-pol”.

Sekretarka-ważka przed gabinetem prezesa wycierała chusteczką podpuchnięte oczy.

— Potrzebuję informacji — powiedział policjant, kładąc na jej biurku zdjęcie.

Dziewieczyna westchnęła i załkała.

— Taka tragedia — wydusiła z siebie.

— Owszem. Chciałbym się dowiedzieć, kim jest ten człowiek na zdjęciu.

— Obaj panowie tego samego dnia...

— O czym pani mówi?

— Pan przewodniczący Laskowski zmarł w karetce. A chwilę później z rozpaczy pękło serce panu Dudusiowi. Straszna tragedia.

— Owszem. Straszna.

Burskiemu przeszło przez myśl, że może niepotrzebnie zajmuje się jakimś zdjęciem. Podczas gdy w tym samym czasie dzieją się rzeczy znacznie ciekawsze.

Koniecznie muszę skontaktować się z Olą, pomyślał. Natychmiast sięgnął po telefon i przypomniał sobie, że aparat zostawił na komendzie.

— To pan Drewnicki — usłyszał.

— Kto?

— Na zdjęciu jest pan Piotr Drewnicki — powtórzyła sekretarka. — Pracował jako kierownik w dziale handlowym. Ten poprzedni prezes go wykosił. Już dawno, z miesiąc temu.

Dwadzieścia minut później Burski zastukał do drzwi mieszkania pani Ilony. Na szczęście była w domu.

— Znowu pan? — zapytała. — Tym razem już w sprawie tego oszusta Wybickiego?

— Koledzy jeszcze nie byli w tej sprawie?

— Niech pan nie udaje zdziwionego. Oczywiście, że nie byli.

— Powiem im, żeby się pospieszyli.

Skrzywiła się.

— Pan wejdzie. Kawy albo herbaty?

— Niestety, mam mało czasu. — Burski położył na sosnowym stole zdjęcie Drewnickiego z panem Henrykiem. — Przypomina sobie pani tego człowieka?

— No. To ten, co się tak denerwował.

— Detektyw Zibik pytał właśnie o niego?

— No. A potem chyba poszedł za nim. Spojrzałam, gdy wyszedł, i wydawało mi się, że zamiast do swojego biura, skręcił za tamtym. Drewnicki się nazywa ten gość. No, ale to już panu mówiłam. W czym jeszcze mogę pomóc?

— Pomogła mi już pani wystarczająco.

Może gdyby podczas ich poprzedniego spotkania nie była tak zdenerwowana? Może gdyby jej pracodawca nie okazał się oszustem? Gdyby ludzie nie wyzywali jej od złodziejek na ulicy? Gdyby wreszcie nie była wściekła na opieszałość policji? Może wtedy nie przekreśliłaby nazwiska? A może ja? — myślał Burski, omiatając wzrokiem pokój, w którym wszystkie meble wykonane były z sosnowego drewna. — Sośnicki, powiedziała wtedy. Może ja powinienem był się po prostu domyślić?

— Bardzo mi pani pomogła — powtórzył i wyszedł.

— Przepraszamy. Nie wolno — usłyszała od mężczyzny w ciemnym garniturze i w okularach przeciwsłonecznych.

Burski z demonstracyjną niechęcią sięgnął po odznakę.

— Ja tutaj pracuję — powiedział.

— Nie wolno — powtórzył borowik. — Nikt nie wchodzi ani nie wychodzi do czasu zakończenia konferencji prasowej.

— Słuchaj, ja prowadzę ważne śledztwo. W pokoju mam papiery i telefon. Spiesz mi się.

— Nam też. Ale grzecznie stoimy.

Drugi z borowców uśmiechnął się nieznacznie. Obaj stali przed drzwiami komendy. Ręce mieli splecione na wysokości podbrzusza.

— Nie róbcie kaszany. Pozwólcie mi tylko wykonywać swoją pracę. Nie mam złych zamiarów wobec waszych polityków. Nie mam żadnych zamiarów wobec nich, szczerze mówiąc. Nawet w zęby żadnemu bym nie dał. Ominąłbym z daleka.

— Ssspier...

— Słucham?

— Ssspokojnie odejść — odezwał się drugi. — Chłopie, my też tylko pracujemy. Jest rozkaz i koniec. Usiądź na murku. Poczytaj gazetę.

Burski gazetę także zostawił w pokoju. Do poczytania miał tylko list, wręczony mu ponad godzinę wcześniej przez dyżurnego. Otworzył kopertę.

Na kartkę papieru nakleiono dwa słowa wycięte w całości z gazetki reklamowej:

Hipermarket TESCO Pod spodem, wyklejanką z innych już gazet, dopisano:

Wkurzyłem się. 500 tysięcy. Natychmiast. Odblokujcie konta.

Burski rozejrzał się.

Dlaczego podrzucił to mnie? — pomyślał. — Czy ma do mnie coś osobistego?

Pomacał się po ubraniu. Pod kurtką wyczuwał szelki i pustą kaburę. Pistolet był oczywiście w pokoju. Zamknięty w szafie pancерnej.

Siedział na murku. Miał dużo czasu. Konferencja prasowa ministrów dopiero się rozpoczęła.

Z głośników płynęła muzyka buzuki. Na ścianach rozwieszono zdjęcia bajkowych pejzaży z Santorini, Cyklad i innych greckich wysp. Wiatraki stojące w rzędzie na molo, gdy nad morzem zachodziło słońce, poznawał. Tak jak kolumny upamiętniające jelonki, dzięki którym na wyspie nie było węży. Jelonki wszystkie wybiły raciami. Adam Knap był kiedyś na Rodos.

Jedli sałatkę chariatika.

— Słyszałeś już, że doszliśmy do porozumienia? — pytał Krzysztof Bosek, wiceprezes banku.

— Może to i dobrze. Obyło się bez wrogiego przejęcia.

— Nie. Jeszcze nie dotarły do mnie żadne informacje. W gazetach było?

— Dzisiaj podpisaliśmy kontrakt. Media powiedzą o tym jutro.

Adam Knap nie był zaskoczony, kiedy przed południem zadzwonił do niego Bosek. Natychmiast zgodził się na spotkanie. Wiceprezes banku nie był człowiekiem specjalnie wylewnym czy szukającym okazji, żeby wypić ze znajomym. Był typem osoby bardzo konkretnej. Jeżeli umawiał się na spotkanie, miał w tym jakiś cel.

Ostatni raz Knap widział się z nim w Krakowie, ponad tydzień temu. Spacerowali po rynku, rozmawiali, a rynkowi grajkowie raczyli ich różnymi aranżacjami tego samego utworu Mozarta.

— Szybko się zgodzili — zauważył Knap.

— Tak, przejmujemy cały holding. Chociaż dzisiaj pojawiły się pewne problemy. — Krzysztof Bosek polał znowu sałatkę oliwą i winegretem. — Słyszałeś?

— O czym? — zapytał Knap, zasłaniając usta. Sałatka chariatika była naprawdę dobra. Zerknął jeszcze raz na nazwę knajpki, żeby zapamiętać, gdzie warto wstąpić na dobrą grecką kuchnię w stolicy.

— Starszy pan Laskowski zasłabł i zmarł w karetce. A jego młodszy syn Duduś tak się przejął, że dostał zawału w drodze do szpitala.

— O kurczę. — Knap nawet się nie starał, żeby to zabrzmiało szczerze.

— Też zmarł.

— O kurczę — powtórzył Knap. Nawet gdyby bardzo chciał, współczucia dla Laskowskich nie potrafił z siebie wyrzesać.

Zdzciziałem, pomyślał. Trzeba to zmienić. Wszystko zmienić. Siebie zmienić.

— Chcesz wrócić tam do pracy? — zapytał bankowiec. — Do „Wełpołu” albo „Ziemowita”? Może nie na stanowisko prezesa, ale wiceprezes też brzmi niezle.

— Nie. Zdecydowanie nie. Mam inne plany.

— Wiesz, że ja zawsze dotrzymuję słowa, prawda?

— Wiem, ale zamierzam teraz odpocząć od biznesu, a zwłaszcza od historii związanych z Laskowskimi.

— Obiecałem ci, że jeżeli zrobimy interes, to się odwdzięczymy. Interes niestety nie okazał się tak lukratywny, jak przy zastosowaniu innych metod, więc i wdzięczność nie jest zbyt imponująca.

— Tb nieważne, Krzysztof. Nie interesowało mnie to i nie interesuje. Niczego nie chcę. Naprawdę.

— No tak. — Bankier nabił na widelec kawałek pomidora i sera feta. — Zależało ci głównie na tym, żeby się na nich odegrać.

— Tak tylko mówiłem...

— Słucham?

— To zamknięta sprawa, stare dzieje. Wtedy, w Krakowie, tak tylko mówiłem, pod wpływem złości.

— Hm — mruknął Krzysztof. Długo wybierał widelcem następne warzywa z talerza. — Dziwnie się zachowujesz. Nie sądzisz chyba, że podejrzewam cię o to, iż maczałeś palce w nagłych i niespodziewanych zgonach dwóch właścicieli „Ziemowita”?

— To byłoby niedorzeczne.

— Oczywiście, kolego. Po prostu niedorzeczne. Co się stało, to się nie odstanie. Zresztą dlaczego miałyby to mnie interesować?

— No właśnie, zmienimy temat. — Knap zdobył się na lekceważący uśmiešek. — Ciebie to nie interesuje, a mnie ten temat nie bawi.

— Mądrze mówisz.

Krzysztof Bosek nachylił się do teczki. Wyjął z niej mały dyktafon. Nawet podobny do tego, którego w swoim czasie używał Knap. Położył go na stole i włączył.

— A ty właściwie do czego zmierzasz? Co chcesz osiągnąć? — pytał Bosek.

— Odegrać się. Dać im nauczkę. — Knap usłyszał swój głos.

— Zemścić?

— Staromodne słowo. Zaszli mi za skórę. Powinni ponieść karę. Dobrze byłoby ich załatwić. Obu. Seniora i Dudusia.

Potem z dyktafonu popłynęły dźwięki muzyki. Ktoś grał na cymbałach Marsz turecki. Bankowiec ściszył urządzenie, ale nie wyłączył go. Kiedy Knap bezskutecznie usiłował przełknąć ostatni kęs sałatki, słyszał jeszcze szmer rozmowy, a potem znowu melodię Marsza tureckiego. Tym razem wygrywaną na gitarze.

Wreszcie bankier wyłączył dyktafon i schował go do teczki.

— Opowiem ci ciekawą dykteryjkę — powiedział. — Przypomniałem ją sobie, patrząc na te zdjęcia z greckich wysp. Niedaleko brzegu Kreta leży taka kamienista wysepka, nazywa się Cierń. Wystarczy raz zobaczyć te ostre skały, żeby zrozumieć, dlaczego. Przed kilkoma wiekami Wenecjanie wybudowali na niej twierdzę. Gdy Turcy rozpoczęli swój marsz na Europę, bardzo się przydała. Turcy zdobyli wiele sąsiednich wysp, ale Ciernia zdobyć nie mogli. Forteca broniła się przez, wyobraź sobie, kilkadziesiąt lat.

— Kilkadziesiąt? — zapytał Knap, żeby zyskać na czasie.

— Tak, kilkadziesiąt, a wiesz, dlaczego bronili się tak długo?

— Nie wiem, skąd na jakiejś małej, kamienistej wysepce mogli mieć tyle żywności, prochu i wszelkich niezbędnych surowców.

— No właśnie. Mieli wszystko. Ponieważ i Turcy, i Wenecjanie to nacje, że tak powiem, handlowe. A handel to krwioobieg świata, jak wiesz. W dzień walczyli. Turcy atakowali, Wenecjanie się bronili. A nocą handlowali. Do wyspy podływały tureckie łodzie pełne żywności, prochu i wszystkiego, co Wenecjanie chcieli za swoje złoto kupić. Tak trwało to najdziwniejsze w historii oblężenie przez kilkadziesiąt lat. Aż pewnego dnia sułtan uznał, że tak dalej być nie może. Przesłał Turkom nowego dowódcę. Ambitnego człowieka. Ten dla zaspokojenia swoich ambicji zrezygnował z łatwych pieniędzy. Może nawet nie rozumiał, czym jest handel. Nieważne. Istotne jest to, że zakazał handlu. Wkrótce wenecką załogę dopadł głód i choroby. Turecki dowódca zaproponował im honorową kapitulację. Z możliwością odplynięcia do Italii. Oczywiście zgodzili się. Wenecjanie nie mieli już innego wyjścia. Gdy

tylko się poddali, ambitny Turek kazał wszystkich wyciąć w pień. Tak zrobiono. Wrócił na dwór sułtana otoczony splendorem chwały. Niestety nie pamiętam jego imienia. Wkrótce zresztą słuch po tym zdolnym dowódcy zaginął — zakończył Krzysztof.

Nabił na widelec ostatnie kawałki warzyw i sera z talerza. Potem ułamał kawałek białego Chleba. Wycierał nim talerz po sałatce i zjadał. To było najlepsze w sałatce chariatika. Ten sos z oliwy, winegretu i warzyw, który zbierał się na dnie talerza.

— Morał już był? Przeoczyłem?

— Nie przeoczyłeś. Na pewno nie przeoczyłeś. — Bankier spojrział na zegarek. — Przepraszam cię, kolego, ale za dwie minuty jestem tutaj umówiony.

— Tak, wiem, uprzedzałeś. Dziękuję za zaproszenie — odpowiedział Knap bez entuzjazmu. Mimo wszystko starał się, żeby jego głos brzmiał normalnie. Na tyle, na ile to możliwe, oczywiście.

— Jakby co — Krzysztof wstał i długo wycierał ręce serwetką, żeby nie stawić Knapa w kłopotliwej sytuacji wyciągniętą dłonią. — Odzywaj się. Zawsze do usług.

Adam Knap kiwnął głową i wyszedł.

Jestem ostatnim idiotą, myślał. Największym na świecie debilem.

Ministrowie rozdali autografy. Zwinięto czerwony dywan. Limuzyny i wozy transmisyjne odjechały. Burski mógł nareszcie dostać się do swojego pokoju. Poprosił Sołtysika i Gawrona. Zanim przyszli, wyjął z szafy pancernej broń. Sprawdził magazynek i schował pistolet do kabury. Pokazał im list-wyklejankę.

— Epigon? — zapytał Sołtysik.

— Co ty pieprzysz — odezwał się Gawron. — Epigon siedzi razem z całą szajką Rzeźnika.

Sołtysik opuścił wzrok.

Burski powiedział im także o zdjęciu od pana Henryka, o wizycie w „Wełpolu” oraz u pani Ilony. Przemilczał jednak swoje przypuszczenie, że widział Drewnickiego dwa dni temu. Było to jednak bardziej wrażenie niż pewność.

— Moim zdaniem to on jest Motocyklistą — podsumował.

Gawron popatrzył na niego z wyrzutem.

— Jak chcesz, to idź do komendanta. Beze mnie. List to głupi żart, jakich zawsze pełno w takich sytuacjach.

Burski uderzył się w głowę.

— Informatyk!

Zadzwoń do niego. Mina mu zrzęda.

— Po zablokowaniu kont i wycofaniu pieniędzy nie sprawdzano już, czy ktoś usiłował się logować — powiedział. — A szkoda. Gdyby tak było, mielibyśmy dowód. Żaden epigon nie znałby loginu i hasła dostępu.

— Nie, Bury — kręcił głową ptasioko Gawron. — Motocyklista działał w inny sposób. Gdzie przesyłał listy? Dlaczego teraz, zamiast wysłać list do Tesco, wrzucił go do policyjnej skrzynki na donosy? To kretyński żart, powtarzam, i to żart z policji. W dniu wizyty ministrów! Ktoś chce z ciebie zakpić. Właśnie z ciebie. To wszystko.

— A ty Sołtysik, co myślisz? — zapytał Burski. Mimo grubej skóry zabołały go słowa Gawrona.

— Ja tu nie jestem od myślenia — odpowiedział aspirant. — Jak panowie chcą, to mogą skoczyć do sklepu. Ale...

— No?

— Wysłałbym faksy do hipermarketów Tesco. Sklepów po czymś takim nie zamkną, ale w razie czego, my, policja, będziemy kryć. Uprzedzaliśmy.

— Widzisz — Gawron poklepał go po ramieniu. — Jeszcze wyjdiesz na ludzi. Dobrze kombinujesz, młody. Pisz i wysyłaj. Na mnie już czas, panowie. Bankiet czeka.

— Drewnicki mieszkał na stałe w Lublinie — mówił jakby do siebie Burski. — Wsiądę w nocny pociąg i pojedę się tam rozejrzeć.

Jeżeli się nie mylę, to facet może być wszędzie — myślał Burski. — Na przykład znowu za granicą. W Wiedniu, dajmy na to. Co mi da wyjazd do Lublina? Przynajmniej tyle, że uniknę następnej paskudnej nocy w domu.

Po wyjściu z greckiej restauracji Adam Knap wsiadł do taksówki i zamówił kurs do hotelu na ulicy Żwirki i Wigury. W głowie kołatały mu się jeszcze słowa Boska.

A ja uważałem tego faceta za porządnego człowieka — myślał. — A właściwie dlaczego? Czy porządnemu człowiekowi proponowałbym, żeby jego bank odegrał się na Laskowskich? Nie. Sam siebie okłamuję. Jak zawsze. Wybielam swoje postępowanie, bo przecież człowiek ma taką konstytucję psychiczną. Tego, co złe, w sobie nie dostrzegamy. Jestem klinicznym przypadkiem załganego homo sapiens. No, a kim właściwie jest Bosek? Po co mnie straszyl? Nagrywał mnie. Okay. O to akurat nie mam pretensji. Sam to niedawno robiłem. Bosek jest skutecznym biznesmenem. To wszystko. Postraszył mnie. Jasne, że nie chodzi o śmierć Laskowskich. Tylko o tajemnicę służbową. Nagranie z krakowskiego rynku jest dowodem, że tajemnicy nie dotrzymałem. Świnia z niego. Tak mnie ograć. Zaproponował mi jeszcze stanowisko. Oczywiście pro forma. Nie oferuje się ważnego stanowiska komuś, kto nie dotrzymuje tajemnicy służbowej.

Przekombinowałem.

Ale, ale! Kiedy długowłosey gitarzysta grał Marsza tureckiego, tam na krakowskim rynku w pobliżu Księgami Hiszpańskiej, Boska już ze mną nie było. Tam czekał na mnie Dusza. Morderca i terrorysta Dusza? To wszystko jest niedorzeczne. Wręcz komiczne.

Knap parsknął i pokręcił głową. Taksówkarz spojrział na niego w lusterku.

— Przepraszam — powiedział Knap. — Śmieję się sam z siebie.

— To miło — odparł taksówkarz. — Jest pan wesołym człowiekiem. To bardzo dobrze. Weseli ludzie żyją dłużej.

W radio zaśpiewał Myslovitz. Coś o sprzedawcach marzeń. Kierowca zabębnił palcami po kierownicy. Nosił zamiszowe rękawiczki.

— Ile by pan wziął za kurs do Lublina? — zapytał Knap.

— Jak od pana... — taksówkarz zmierzył go wzrokiem w lusterku. — Taki sympatyczny, wesoły człowiek... Cztery stówki pasuje?

— Pasuje. Wezmę tylko z hotelu plecak i zapłacę. Zaczeka pan.

— Oczywiście. Plecak? Z wyprawy pan wraca?

— Aha. Z wyprawy, co odmieniła moje życie.

— No, co pan powie? To są takie wyprawy? A jakie biuro takie wyprawy organizuje, jeżeli można zapytać?

— Byłem złym człowiekiem. Nieczułym i nierozumnym. Już nie będę.

— A to pewnie w Ziemi Świętej pan był i... — taksówkarz nie dokończył. Knap wysiadł, jak tylko samochód zatrzymał się przed hotelem. Szedł rażno, niemal biegnąc. Spieszyło mu się. Wiedział już dokładnie, co robi, kiedy tylko wróci do domu.

Sołtysik podwiózł go do mieszkania, gdzie Burski pobieżnie spakował kilka rzeczy do torby. Potem aspirant odwiózł go na dworzec PKP. Zapowiadała się długa podróż, z przesiadką.

Burski usiadł sam w przedziale. Rozłożył gazetę, której przez cały dzień nie miał kiedy przejrzeć.

GŁUPIA WPADKA

POŚŁA KOŁUCHOWSKIEGO Ten artykuł przeczytał jeszcze raz.

Wpływowy do niedawna polityk koalicji rządzącej nie zna prawa, które sam uchwała!

Wielka mi nowość. A który z nich wie i rozumie, co uchwała? Ib byłaby krótka lista.

Poseł Kołuchowski wystartował w wyborach samorządowych z listy popieranej przez związki zawodowe. Wybory wygrał. Został radnym rady miasta. Zapomniał tylko, że z chwilą wyboru na radnego, automatycznie przestaje być posłem na Sejm RP. Jego dotychczasowi koledzy z parlamentarnych ław wygłaszają na ten temat żartobliwe komentarze, prosząc jednak, żebyśmy ich nie publikowali. To koniec, przynajmniej na najbliższe lata, błyskotliwej kariery politycznej pana posła Kołuchowskiego.

Kohichowski odchodzi w niebyt — myślał Burski. — Senior Laskowski do piekła, jego syn także w tamte okolice. Prokurator Iwański popełnia samobójstwo, załamany kompromitującymi zdjęciami. I wszystko to dzieje się chwilę po tym, jak ktoś dowiaduje się, że Mary Hurtanyi-Kołuchowska żyje i chce złożyć zeznania. O ile jeszcze nadal żyje. Kim jest ten ktoś?

Co ma z tym wspólnego moja droga Ola? Dzwoniłem do niej, pisałem esemesy. Komórka Oli jest wyłączona. Esemesy wracają niedoręczone. Ola wyłączyła komórkę i oddała ją do magazynu. Ola zniknęła. Zakończyła zadanie.

Jakie zadanie? Co ma z tym wszystkim wspólnego Motocyklista?

Czy ten ktoś zrobił to, co ja zamierzałem? Tyle, że na sposób nieco bardziej kowbojski. Ostatecznie i nieodwracalnie. Można i tak.

Obyś żył w ciekawych czasach, mawiali Chińczycy. Żyję. Czasy są ciekawe, ale wcale nie stają się wskutek tego mądrzejszy.

Burski zgasił światło w przedziale. Usadził się przy oknie, wkładając prawą dłoń pod kurtkę, blisko kabury. Przymknął oczy.

Będę udawał, że śpię, postanowił.

Kiedy rozsuwane drzwi cicho pisnęły, zrozumiał, że spał. W słabym świetle z korytarza wagonu widział sylwetkę mężczyzny. Ktoś stał w wejściu do przedziału. Światło padało na jego plecy. Burski nie widział dobrze twarzy człowieka. Pociągami kołysało. Koła miarowo stukają o szyny.

Broń, pomyślał Burski, nie ruszając się i spoglądając przez przymknięte oczy.

W jego drewnianej ręce biegały komiki. Znowu. Drętwa dłoń odmawiała posłuszeństwa. Nie chciał się gwałtownie poruszyć. Był bezradny. Dopóki nie minie odrętwienie palców.

Stary capie, przeszło mu przez myśl, do piachu z tobą, a nie do łapania przestępców. To on! Ten sam człowiek spod domu pana Henryka. Drewnicki!

Mężczyzna stał nadal w uchylonych drzwiach. Kołysał się lekko w rytmie kołysania wagonu. Jakiś głos dobiegł z korytarza. Trzaśnięcie drzwi. Ktoś coś mówił.

Intruz wycofał się.

Burski odetchnął głęboko. Czuł kroplę potu spływającą po nosie. Poruszał palcami dłoni. Odrętwienie mijało. Mógł już zgiąć palce.

Konduktor zapalił światło.

— Dobry wieczór, bilecik poproszę... Dobrze się pan czuje?

Wyśmienicie, chciał odpowiedzieć Burski. Powiedziały to.

Gdyby był w stanie powiedzieć cokolwiek.

Księżyc wisiał tuż nad drogą. Dosłownie na wyciągnięcie ręki. Wielki, okrągły, błyszczący. Kuszący niczym szczęśliwy żeton w kasynie.

— A pan? Co by pan zrobił na moim miejscu? — zapytał Adam Knap, kiedy skończył opowiadać. Siedział na tylnej kanapie taksówki, patrząc na hipnotyczny krążek księżycy.

— Myślę, że to samo, co pan — odpowiedział kierowca. — Te wszystkie kariery, wyścigi szturów, to jest nic nie wartę.

— To mit wymyślony przez pracodawców, żeby łatwiej im było sterować ludźmi — potwierdził Knap. — Sam to robiłem, więc wiem. Sam nabierałem ludzi, rysując im markerem na flipczarcie ścieżkę kariery w firmie. Patrzyli na to z wybałuszonymi oczyma. Notowali. Zapisywali. Planowali kariery. A ja rysowałem, co mi fantazja podpowiadała, zaznaczając strzałkami, jak można się piąć do góry. Kariera. Kariera... Takie coś nie istnieje. To jest jak yeti. Ciągłe go szukasz, tropisz, czasem wydaje ci się, że już widzisz jego cień, jesteś tuż, tuż... a tu zjeja. Nul. Puste ślady na śniegu.

Kierowca pokiwał głową. Poprawił rękawiczki z dziurkami na kostki palców.

— Dla tej wizji kariery poświęcałem, co miałem najcenniejszego — mówił dalej Knap. — Ale już nie będę. Otworzę sobie kiosk albo zakład szewski, bo z czegoś trzeba żyć. Odzyskam dzieci. Namówię żonę, żeby do mnie wróciła. Przecież ją kocham.

— Wszystko będzie dobrze — odpowiedział taksówkarz. — Uda się panu. Trzymam kciuki.

Na potwierdzenie swoich słów pokazał kciuk dłoni w zamszowej rękawiczce.

Świtało, kiedy Burski wysiadł z pociągu na dworcu PKP Lublin Główny. Poszedł do toalety. Umył się. Potem zostawił swoją torbę w przechowalni. Widząc, jak kioskarz rozcina paczkę z prasą, kupił nową gazetę. Nie spieszył się. Zerkał na każdego z niewielu ludzi, jacy przewijali się przez hol dworca. Szukał znajomej sylwetki. Nie zauważył jej. Wreszcie wyszedł przed budynek. Wsiadł do taksówki.

— W Lublinie jest hipermarket Tesco? — zapytał. — Proszę mnie tam zawieźć.

— Już się robi. Niech będzie do Tesco... Co jest z tym Tesco? Jakaś promocja pewnie — mamrotał pod wąsem taksówkarz. — No jak? — krzyknął. — Którędy się jeździ, matole?!

Burski nie słuchał kierowcy. Przeglądał gazetę. Zazwyczaj nie interesowała go rubryka „Biznes”. Tym razem też przerzuciłby stronę po przeczytaniu tytułów, gdyby nie wytłuszczona czcionka informująca o zakupie „Ziemowita”.

W dniu wczorajszym doszło do zawarcia umowy sprzedaży wszystkich akcji holdingu firm należących do rodziny Laskowskich na rzecz funduszu bankowego związanego z bankiem DolVITBank. Kwota transakcji nie została ujawniona.

Transakcja? Kolejny dziwny zbieg okoliczności? Dawniej były nacjonalizacje, uwłaszczenia, później prywatyzacje i reprivatyzacje, a teraz nazywa się to transakcją. Redystrybucja dóbr miewa wiele twarzy. Ale cel ten sam. Nachapać się.

Ktoś szybko i umiejętnie skorzystał z okazji. Ktoś? Ten sam ktoś?

— Jesteśmy — oznajmił taksówkarz. — Tesco.

— Co pan mówił przed chwilą?

— O czym?

— Coś w rodzaju: „Co jest z tym Tesco?”. Dlaczego?

— Pytałem, czy jakieś ekstra promocje są, ale pan się zaczytał w gazecie.

— Dlaczego pan pytał?

— Bo ciekawy świata jestem. Piętnaście złotych... Ledwo jednego pasażera wysadziłem pod Tesco, wróciłem na dworzec PKP, a już następny, znaczy pan, każe się wieźć w to samo miejsce.

— Czy to był ten człowiek? — Burski pokazał kierowcy zdjęcie Drewnickiego.

Taksówkarz podrapał się po nosie.

— Ja, panie, tylko kierowcą jestem. Pasażerom się nie przyglądam.

— Odpowiadaj pan, to ważne. Jestem policjantem.

— Wyglądał jak ten.

Burski wyskoczył z taksówki. Zerkał na zegarek. Szósta trzydzieści. Taksówka jechała dziesięć minut, czyli Drewnicki przyjechał tu przed dwudziestoma minutami. Dwadzieścia minut... Powinien już wychodzić. Gdzie są wyjścia?

Zauważył dwa duże wyjścia z hipermarketu. Na obszernym parkingu było jeszcze pusto. Widział tylko kilka busów dostawczych i cztery samochody osobowe. Poszedł za najbliższą wiatę na wózki. Widział stamtąd oba wyjścia z hali hipermarketu.

Zaspany ochroniarz stał przy samoczynnie otwierającej się bramce do sklepu. Zmierzył go wzrokiem. Jakby zastanawiał się, czy znowu zaczęło padać, skoro człowiek ma kaptur na głowie. Mężczyzna w granatowej kurtce z naciągniętym kapturem wziął koszyk. Wszedł do sklepu. Poszedł prosto główną alejką. Minął promocyjne wyspy z towarami po cztery złote każdy. Zerknął na wielki regał z książkami papieskimi. Doszedł do miejsca, gdzie zaczynała się ekspozycja artykułów spożywczych. Tych objętych promocją. Stały tam wielkie kartony makaronu luzem, pudełka z chrupkami i kartony piwa. Do nielicznych o tej porze klientów uśmiechały się blaszane bombonierki w kształcie serc. Na regale stały słoiki majonezów, chrzanu i dziecięcych odżywek. Obok kolorowymi opakowaniami zachęcał festiwal herbaty. Zupy w torebkach zapewniały o swoich właściwościach odchudzających. Niepozorna woda źródłana z bladą etykietką usunęła się z zawstydzona na sam koniec strefy promocyjnej. Oglądał różne produkty, brał je do rąk i odkładał. Zrobił także niewielkie zakupy. Kiedy skończył, poszedł do kasy. Przed kasą zdjął ze stojaka nową gazetę. Był ciekaw szerszej relacji z wczorajszej konferencji prasowej.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby policja się aż tak nie pospieszyła — myślał. — Gdyby schwytali sprawcę dwa, trzy dni później. Do tego czasu wypłaciłby większość pieniędzy. A tak, po zablokowaniu kont, miał ich o połowę za mało. To ten policjant. Ten zgarbiony gość. To na pewno był on. Teraz poniesie karę. Będzie zaskoczony, bardzo przykro zaskoczony. Ale najpierw zguba. Potem on.

Zapłacił za zakupy. Skierował się do wyjścia. Minął aptekę i sklep z ozdóbkami do domów. Przed salonem AGD wąskie przejście prowadziło do wyjścia ewakuacyjnego, wykorzystywanego także do dostaw sprzętu AGD. Przez uchylone drzwi widać było, jak oklejony reklamami trolejbus zatrzymał się na przystanku. Wyszedł tamtędy.

Szósta czterdzieści pięć.

Czy możliwe, żeby Drewnicki spędził w sklepie trzydzieści pięć minut? Co by tam robił? Kolejek przecież o tej porze nie ma.

Z hipermarketu wyszli już ludzie, których Burski widział wchodzących po zakupy. Ib na nic, pomyślał. Wymknął mi się. Czyżby wyszedł wcześniej, zanim przyjechałem? Jeżeli przyjechał tylko po to, żeby wnieść do sklepu i zostawić na półce to, co wcześniej przygotował, zrobił to szybko. Wystarczyło mu pięć minut. Cholera.

Burski rzucił się biegiem do sklepu.

W punkcie obsługi klienta pokazał policyjną odznakę i zażądał, żeby natychmiast wezwano kierownika. Gdy tamten przyszedł, Burski wytłumaczył swoje podejrzenia. Zapytał, czy otrzymali faks z informacją, że policja w Bielsku dostała list z żądaniem okupu. Owszem, otrzymali, ale takimi sprawami zajmuje się centrala, usłyszał.

— Na waszym miejscu poprosiłbym centralę o zgodę na zamknięcie sklepu. Albo zamknął go sam.

— Proszę pana... — Kierownik zamrugał nerwowo. — Czy pan wie, ile to by kosztowało? Ja zadzwonię oczywiście, zaraz to zrobię, ale decyzja o zamknięciu sklepu nie zależy ode mnie. Zechce pan przejść ze mną do mojego gabinetu? Pomoże mi pan wytłumaczyć sytuację.

— Nie zechcę. Pan tu jest kierownikiem, ja mam swoje sprawy. Niech pan im da mój telefon, proszę. — Burski podał wizytówkę.

Wtedy zauważył stojącego przy samoczynnie otwierającej się bramce ochroniarza w niebieskiej marynarce. Chłopak patrzył na Burskiego z otwartymi ustami. Komisarz podszedł do niego.

— Widziałeś gościa? — pokazał zdjęcie.

— Tak jest.

— Dawno?

— Trzydzieści minut temu.

— Skąd wiesz tak dokładnie?

Ochroniarz ściszył głos.

— Jakby pan musiał tutaj stać osiem godzin — powiedział — to też miałby pan wyostrzony zmysł wpływającego czasu.

— Jak był ubrany?

— Granatowa kurtka. Nosił kaptur na głowie.

— Przejdźmy się po kasach. Może któraś kasjerka też go zapamiętała, dobrze?

— Tak jest — potwierdził z zadowoleniem ochroniarz.

— Wie pan, panie komisarzu — opowiadał, gdy szli wzdłuż stoisk kasowych — niedawno mieliśmy tutaj samobójcę. Chciał się gość spalić. Wszedł już polany benzyną, coś tam krzyczał na dziewczynny w punkcie obsługi i nagle sru! Ogień. Podpalili się. Aleśmy go z kolegą ugasil. Przykryliśmy go marynarkami. Zgasł. Premię dostałem. Sto złotych.

— Nadawałbyś się na policjanta.

— Tak pan myśli?

— Tak. Nie myślisz zbyt dużo, a na pieniądzech i życiu ci nie zależy.

W jednej z ostatnich kas kasjerka poznała Drewnickiego. Wyszedł był dopiero co, powiedziała. Pięć, góra dziesięć minut. Na pytanie, co kupował, podrapała się po czole i powiedziała, że wprawdzie nie pamięta, ale klientów o tej porze jest mało i gdyby w punkcie obsługi zobaczyła paragony, ze swojej kasy to pewnie by poznała jego paragon. Burski i ochroniarz w towarzystwie kasjerki znowu ruszyli na drugi koniec sklepu. Punkt obsługi mieścił się przy głównym wejściu.

— O! — Pięć minut później kasjerka pokazała palcem fragment wydruku komputerowego. — O! Ib będą jego zakupy.

Przecier jabłkowy, gruszczyzna, lasagne z cielęciny, morele przetarte, Gazeta Wyborcza.

— Co to są te cztery pierwsze pozycje?

— Odżywki dla dzieci. Te takie w małych słoiczkach.

— Zdejmijcie je ze sklepu — rozkazał Burski. — On może wrócić i podłożyć zatrute słoiki. Rozdajcie ochroniarzom zdjęcia gościa. Zadzwońcie na policję. Ja będę pod telefonem.

Wyszedł ze sklepu prosto na postój taksówek.

— Ulica Wajdeloty — powiedział.

Byłem tak blisko, myślał. Uciekł mi. A byłem już pod sklepem, kiedy on wychodził. Jest sprytny i przebiegły czy miał po prostu szczęście?

Burski spojrział na zegarek.

Siódma dziesięć.

Obudził się wcześniej. Wstał i zagotował wodę na kawę. Ekspres odszedł razem z żoną, Adam Knap musiał zadowolić się kawą rozpuszczalną. Pijąc neskę, wystukał do żony esemesa.

Wszystko przemyślałem. Wiem już, że zrobiłem wiele głupstw. Wybacz mi. Zmienię się. Zobaczysz, będę dobrym mężem i ojcem. Będę dobrym człowiekiem. Kocham Ciebie i chłopców. Będę Was błagał, żebyście wrócili.

Wysłał. Dopił kawę i zabrał się za sprzątanie mieszkania. Postanowił zacząć od sterty bagażów i ubrań rozłożonych w przedpokoju. Leżały tak od dnia powrotu z Bielska. Nie tknął żadnego garnituru, nie wyjmował niczego z toreb. Na wyjazd do Kenii kupił wszystko nowe. Teraz te niedawno nowe rzeczy leżały upchane w plecaku, obok sterty starszych bagaży. Brudne ubrania zanosił do łazienki. Te tylko pomieści na półki. Jak skończę, zabiorę się za ubytki w meblach, postanowił. Mieszkancko będzie jeszcze ładniejsze i przytulniejsze niż wcześniej. Bożenka będzie miło zaskoczona, kiedy wróci. A wróci. Na pewno wróci.

Pogwizdywał wesołą melodię Jumbo Kenya. Otworzył okna i balkon, żeby przewietrzyć mieszkanie. Zaczynał mżyć lekki majowy deszczyk.

Zaciekawiała go niewielka płócienna torba, której nie poznał. Otworzył ją. W środku było trochę ubrań. Jakieś gazety, pocztówka, nóż do ryb w plastikowym futerale i rulon dużych niebieskich worków na śmieci. Przeszedł go dreszcz. Pobiegł do sypialni po telefon. Wrócił z komórką i stał jeszcze przez chwilę nad cudzą torbą. Drapał się po głowie.

Przypomniał sobie poprzedni dzień i rozmowę z bankierem.

Popatrzył na trzymaną w dłoni komórkę. Schował ją do kieszeni.

Ubrał się szybko i wyszedł. Z najbliższej budki telefonicznej zadzwonił do Burego.

— Mam nadzieję, że nie obudziłem? Knap z tej strony.

— Nie obudziłeś. Słucham.
— Muszę ci coś powiedzieć. Telefonuję z automatu, bo obawiam się, że mogę być podsłuchiwany. Tak, tak. Wczoraj niedwuznacznie mi grożono. A dzisiaj... Myślę, kolego, że ktoś chce mnie zrobić albo nastraszyć.

— W co wrobić?

— Może nie wrobić, raczej nastraszyć. Tak, bardziej nastraszyć. Słuchaj, podrzuciono mi torbę, w której są cudze ubrania, nóż, pocztówka i worki na śmieci. Takie niebieskie. Duże. Kojarzysz? W takich workach leżał w lesie detektyw Zibik.

— No i worków się przestraszyłeś?

— Tak, worków. Nie chciałem się znaleźć w takim worku, rozumiesz?

— Okay. Jestem w Lublinie. Przyjadę do ciebie niedługo. Czekaj — odpowiedział Burski.

— Dobra. Myślę, że to wszystko ma związek z tą kobietą z AWO... Halo? Bury...?! Jesteś tam...?

Połączenie zostało przerwane. Knap wrócił do mieszkania. W radiu rozpoczęły się właśnie wiadomości o ósmej. Zajrzał jeszcze raz do cudzej torby.

Napoczęte opakowanie gotowych do użycia worków. Sugestia oczywista. Nóż. Niepozorny, niby tylko kuchenny nóż do ryb o czerwonym trzonku, z cienkim ząbkowanym ostrzem. Niepozorny i niemiły. Zibika zadżgano nożem. Też jasny przekaz. A pocztówka...? Co ma oznaczać pocztówka ze zdjęciem wielkiego biurowca Commerzbanku we Frankfurcie nad Menem?

Dzwonek do drzwi cicho załkał.

Muszę zmienić ten gong, pomyślał Knap. Jest beznadziejny. Taki płaczący, łzawy, dzwoni jak na pogrzeb.

Otworzył drzwi.

— O, cześć. Co ty tu robisz? Miło, że zajrzałeś. Wejdz, proszę — powiedział.

Burski odczekał dwadzieścia minut. Chowając się za krzakami, których na tym osiedlu rosło dużo. Wiedział z akt osobowych „Welpolu”, że Drewnicki był zameldowany w Lublinie, na ulicy Wajdeloty. Miał żonę i dziecko.

Burski patrzył na okna mieszkania Drewnickiego. Przez dwadzieścia minut czekania nie błysnęło w nich światło, nie drgnęła firanka, nie nastąpił żaden ruch. Nie zauważył także w pobliżu bloku mężczyzny w granatowej kurtce.

Kiedy już miał wchodzić, zadzwonił telefon. Odebrał. Telefonował Adam Knap. Rozmowa zajęła minutę. Nie wszystko na raz, postanowił. Najpierw Drewnicki. Burski upewnił się czy ma swoje wytrychy, i poszedł do mieszkania Drewnickiego.

Otworzył drzwi bez problemu. Wszedł cicho. Chodnik w przedpokoju leżał zwinięty pod ścianą. Włożono go do dużego niebieskiego worka. Na płytkach parkietu widniał kurz. Burski kucnął i popatrzył na podłogę pod jak najmniejszym kątem. Mógłby zobaczyć ślady na powłoce kurzu, gdyby tędy ktoś przechodził w ostatnich dniach. Mógłby, ale nie zauważył. Wstał. Mieszkanie składało się z kuchni i dwóch niewielkich pokojów. Zaglądał do każdego pomieszczenia. Meble przykryto pokrowcami. Dywany zwinięto. Nikt tutaj nie mieszkał od tygodni, uznał. Gdzie w takim razie jest żona i dziecko Drewnickiego?

Wychodząc, zerknął jeszcze raz na chodnik włożony do niebieskiego, dużego worka. Studwudziesięciolitrowy, supermocny worek, jak zachwalano w sklepach. Drewnicki lubi takich używać. Zwłoki Zibika, tutaj zapakowany chodnik, Knap... torba, nóż i worki! Pocztówka? Cudze ubrania! Knap... Kiedy byłem u niego, mówił coś, że znajomy z pracy odwiózł go z Bielska razem z rzeczami. Jaki znajomy? Drewnicki...? Pomylili torby?

Szybko zamknął mieszkanie i zbiegł po schodach. W biegu dzwonił po taksówkę.

Jadąc do mieszkania Knapa, telefonował.

Adam Knap nie odbierał.

O ósmej piętnaście Burski był już pod drzwiami mieszkania kolegi. Naciskał płaczący gong, stukał w drzwi. Nie dłużej niż przez kilkanaście sekund. Wyjął swoje wytrychy i bez większego problemu otworzył antywłamaniowe drzwi. Były jedynie zatrzasknięte.

Adam Knap leżał w przedpokoju. Brzuchem do podłogi. Lewą rękę trzymał podkuloną pod tors. Prawa, zgięta w łokciu, spoczywała tuż obok głowy. Kałuża krwi rozlewała się wokół

ciała.

Burski sprawdził puls w tętnicy szyjnej. Ze złością uderzył pięścią w podłogę. Wyjął komórkę. Wybrał numer policji i zadzwonił. Potem usiadł na podłodze, oparty o ścianę. Siedział tak przez chwilę, otępiejał.

Nie. Otrząsnął się. Nie mogą sobie pozwolić na słabość. Zbrodnie, mordy, wszelkie plugastwo tego świata nie będą górą. W żadnym wypadku. Nie pozwolę wam.

— Wybacz, kolego, że nie zdążyłem — mamrotał pod nosem. — Nie zawsze da się zdążyć.

Obszedł zwłoki Knapa, żeby obejrzeć stertę bagaży. Wydawała się mniejsza niż poprzednim razem, gdy Burski był w tym mieszkaniu. Otwierał torby, zaglądał do nich. Nie znalazł tej, o której wspominał mu przez telefon Knap.

Zauważył za to pocztówkę. Leżała na podłodze. Podniósł ją i odwrócił. Frankfurt nad Menem. Wieżowiec Commerzbanku. Nad nim małe samoloty na błękitnym niebie.

Spojrzał jeszcze raz na ciało kolegi. Wskazujący palec prawej ręki Knapa ułożony był tak, jakby konający usiłował napisać coś własną krwią na panelach. Żle się pisze na panelach. Są śliskie. Krew się rozplywa. Na pewno usiłował coś napisać. Po co kreśliłby kółko własną krwią?

Zrozumiał. To miała być litera D.

Dlatego nie ma torby z nożem i workami. Drewnicki przyszedł po nią.

— Słuchaj, Sołtysik, nie mogę się dodzwonić do komendanta — mówił Burski do telefonu. — Nie ma jeszcze dziewiątej, wiem. Przekaż szefowi i Gawronowi wszystko, co mówię. Znalazłem zwłoki Adama Knapa, niedawnego prezesa „Wępolu”. Knap przypadkiem wszedł w posiadanie torby Drewnickiego. Był w niej nóż, jego rzeczy, nawet worki takie, w jakich zamroził i wyrzucił w lesie zwłoki Zibika. Knap nie żyje. Torba zniknęła. Drewnicki jest w Lublinie, to znaczy przed chwilą jeszcze był... Był także w markecie Tesco. Może usiłuje dokonać kolejnego zamachu. Łapiesz wszystko...? Niech szef dzwoni do mnie, jak tylko będzie mógł. Ja... Ja wracam jak najszybciej do Bielska. Dlaczego? Bo on też wróci... Bo wiem. Wiem i tyle. Na razie nie mam czasu na tłumaczenie. Cześć.

Lekarz z pogotowia kończył pobieżne oględziny zwłok Knapa. Wykonano fotografie, technicy pobierali odciski palców. Oficer z lubelskiej komendy patrzył z nieukrywaną niechęcią na Burskiego.

— Gdyby kolega nie działał na własną rękę, jak Bond jakiś, to może udałoby się uniknąć tragedii — powiedział.

— Szukałem po omacku — odparł Burski. Nie uważał za stosowne tracić czas na zbędne tłumaczenia. — Załatwicie mi helikopter do Bielska?

— Taki ważny jesteś?

— Chłopie, sprawa jest ważna. Pomyśl tylko trochę, nie sil się na dowcipy. Dzwon, gdzie trzeba, i załatw mi ten helikopter.

Medyk stojący obok niego chrząknął. Oficer z lubelskiej komendy oddalił się kilka kroków i zatelefonował.

— Tak?

— Rany kłute. Siedem. W brzuch i klatkę piersiową. Wygląda to tak, jakby denat stał i czekał na ciosy. Ręce nie są pocięte. Nie bronii się.

— Znał napastnika — wyjaśnił Burski.

— Wewnątrz jednego z zamków jest ślad użycia wytrycha — wtrącił technik.

— To ja — przyznał się Burski. — Musiałem się jakoś dostać do środka.

— Dostaniesz helikopter. — Podszedł lubelski policjant. — Odlot za pół godziny.

— Dzięki. Czy ktoś z twoich ludzi mógłby mnie najpierw podrzucić na dworzec PKP? Zostawiłem tam rzeczy.

— Jasne. Sam cię podwiozę, bo...

— Sorki — przerwał mu Burski, a raczej jego telefon.

— Tak, szefie?

— O co chodzi z tym trupem w Lublinie? — zapytał oschle komendant.

— Motocyklista znowu zaatakował. Jest ofiara śmiertelna. Może być także zagrożenie dla ludzi w hipermarkecie. Gdyby szef mógł wpłynąć na centralę Tesco, żeby zamknęli sklep, byłoby dobrze. No i okup...

– Mówisz, Burski, o tym motocyklicście-trucicielu, który siedzi w naszym areszcie?
– To nie on. Nie ten.
– A jakieś dowody masz?
– List, który dostałem jeszcze w Bielsku. Ludzie, taksówkarz i obsługa sklepu widzieli Drewnickiego w Lublinie, morderstwo... to mało?

– Wróć do Bielska. Na razie. Muszę kończyć.

Jechali na sygnale przez miasto. Samochody uciekały im z drogi.

– Sołtysik? – Burski znowu telefonował. – Przekaz, komu trzeba: Drewnicki wróci do Bielska. Przyjechał z Francji, bo zorientował się, że zostawił gdzieś torbę ze swoim bagażem. Szukał jej w Bielsku, u pana Henryka, tam, gdzie wynajmował mieszkanie, kojarzysz...? Widziałem go tam. Nie mówiłem o tym, bo nie byłem pewien, co on tam robił. Teraz rozumiem. Szukał swoich rzeczy. Z Bielska przyjechał pociągiem do Lublina. Może nawet tym samym co ja. Zrobił tutaj swoje, odzyskał torbę i wróci. Wróci do Bielska, ponieważ gdzieś tam ma swoje karty bankomatowe, pieniądze, komputer i samochód. Wróci i popełni błąd. Bo nie był przygotowany na konieczność przyjazdu do kraju. Nie ma już żadnej zawczasu przygotowanej mety. Popełnił już błąd, zostawiając torbę. Ale na razie wymknął mi się. Teraz musimy go dopaść. Drewnicki nie wróci do Bielska pociągiem ani autobusem bezpośrednio stąd. Jest na to za sprytny. Będzie kombinował. Będzie jechał z przesiadkami, okrężną drogą. Dlatego nie wróci szybko, ale dzisiaj pojawi się w Bielsku. Wyślijcie ludzi na dworce nie tylko w Bielsku. Także w pobliskich miejscowościach. Szukajcie w hotelach, motelach, na kwaterach. Gdzieś się skurwiel przecieź zatrzymał. Rozumiesz? Kończę.

Pod przedwojennym, ale odrestaurowanym budynkiem dworca PKP Burski wyskoczył z samochodu. Za nim nieco wolniej szedł policjant z lubelskiej komendy. Przed ladą przechowalni bagażu jakiś młodzian długo sprawdzał, czy małe klódeczki na paskach jego plecaka są nadal na miejscu. Wreszcie podziękował i odszedł. Burski podał swój kwit bagażowy.

– Proszę. – Pracownik przechowalni położył na ladzie torbę policjanta. – Kolega oddał panu rzeczy.

– Słucham?

– Kolega oddał panu te rzeczy – powtórzył starszy jegomość, krzywiąc twarz. Nikt już w tych czasach nie potrafi docenić zwykłej grzeczności, pomyślał.

– Jakie rzeczy?

– Siatka jest w środku.

– Coś nie tak? – Lubelski funkcjonariusz stał już obok Burskiego.

– Zobaczymy...

Burski rozpiął torbę. Od razu zauważył siatkę reklamówkę, której tam być nie powinno. Rozwinął ją. W środku były słoiczki z odżywkami dla dzieci i jakiś przedmiot zawinięty w jasnyniebieski, plastikowy worek. Kiedy Burski rozwinął worek, na ladę wypadł zakrwawiony nóż.

– O cholera – westchnął pracownik przechowalni bagażu.

– A to skurwiel – wycodził przez zaciśnięte zęby Burski. – Patrz. Podrzucił mi. Kpi sobie ze mnie.

– Chyba weźmiemy to do laboratorium, prawda, kolego?

– Oczywiście – odpowiedział Burski lubelskiemu policjantowi. – Zróbcie badania laboratoryjne. Zawieź mnie teraz na lądowisko. Jak go dopadnę... Urwę mu łeb i nasram w szyję.

W hipermarkecie Tesco na ulicy Orkana zebrano z półek wszystkie dania i przeciery dla dzieci. Jutro rano otrzymacie nową dostawę, poinformowano kierownika z centrali. Przerwa w sprzedaży będzie więc do zaakceptowania. Przebadamy te, które wycofacie.

Kierownik wspomniał także o sugestii policji na temat zamknięcia sklepu. Bzdura. Oczywiście, potwierdził. Gdyby ktoś chciał haracz od nas, przysłałby do nas żądanie, a nie podrzucał je policji. Oczywiście, ponownie potwierdził.

Spojrzął na zegarek. Dziesiąta. Żołądek punktualnie sygnalizował porę na drugie śniadanie.

Ktoś zapukał. Weszła jedna z pracownic punktu obsługi klienta w granatowym żakiecie oraz ubrana w obcisłe dżinsy i kusą bluzkę dziewczyna z galerii handlowej. Wszystkie ekspedientki z galerii były takie. Młode, szczupłe, ładne i zadbane.

— Z tą zupką jest coś nie tak — powiedziała dziewczyna w obcisłych dżinsach.

Kierownik spojrzał na opakowanie.

Twój sposób na smukłą figurę. Codzienna porcja warzyw.

Chyba nie wierzy w to, że zupa w proszku działa odchudzająco? — pomyślał. — Po co jej odchudzająca dieta, jest ładna, szczupła i zgrabna... i bardzo błada.

— Dlaczego? — zapytał.

— Śmierdzi — odpowiedziała. — Wypiłam ze trzy łyki i natychmiast pobiegłam do łazienki. Rzygałam jak kotka.

Chwytał opakowanie leżące na biurku. Obejrzał je. U dołu torebki znalazł miejsce, gdzie opakowanie zostało rozcięte żyłką albo skalpelem na długości pół centymetra, a potem zaklejone zwykłą przezroczystą taśmą.

Przełknął ślinę.

— Policja jest jeszcze na sklepie?

21.

— Co za liczne powitanie! — Na Łądowisku w Bielsku czekał na Burskiego Gawron i jeszcze dwóch policjantów. — Wiecie coś nowego?!

Gawron pokiwał głową. Dał znak, żeby poczekali, aż śmigłowiec wystartuje i odleci. Nie zapraszał jednak Burskiego do samochodu.

— Co jest? — zapytał Burski. — Stało się coś złego?

— Owszem — odparł Gawron. — Oddaj broń i odznakę.

— O co chodzi?

— Najpierw oddaj. Bądź rozsądny.

— Jestem. — Burski rozchylił kurtkę. Jeden z pomocników Gawrona wyjął mu z kabury pistolet. — Teraz powiedz, o co chodzi?

— Wsiadaj... Wiesz, Bury, ja do ciebie osobiście nic nie mam. Nie będę się dziwił, jeżeli zechcesz odpowiadać na pytania dopiero po rozmowie z adwokatem. Zrozumiemy. Także jesteśmy policjantami.

Dwaj pozostali przytaknęli mruknięciami i chrząkaniem.

Samochód ruszył. Burski siedział na środku tylnej kanapy pomiędzy Gawronem i drugim, cywilnym funkcjonariuszem.

— Pytam grzecznie: o co chodzi?

— To nie był mój pomysł — zaczął Gawron. Tak, jak zazwyczaj się zaczyna, kiedy człowieka coś gryzie. — Ale... sprawdziliśmy tego Drewnickiego. Jego żona i dziecko od dawna już mieszkają we Włoszech, na Sycylii. Niedawno podobno przyjechał do nich mężczyzna. Samochodem na polskich numerach. Jeszcze nie ma pewności, kto to, ale wkrótce będziemy wiedzieć, czy to Piotr Drewnicki. Tam Polacy nadal pracują na czarno, muszą kombinować...

— Do czego zmierzasz?

— Przyniosłeś list od człowieka żądającego okupu. Pojechałeś do Lublina, podobno widziałeś tam Drewnickiego, podobno nawet przypomniałeś sobie dzisiaj, że widziałeś go trzy dni temu w Bielsku. Ciekawe, dlaczego od razu nie powiedziałaś o tym?

— Ty naprawdę jesteś taki głupi, Gawron?

— Spokojnie, człowieku, spokojnie. Robisz zamieszanie w sklepie, każesz wpłacić okup, no i rzeczywiście w sklepie, gdzie dzisiaj byłeś, ktoś dosypał trutki na szczury do zupek w proszku. Nie wspomnę już o słoikach i narzędziu zbrodni w twoim bagażu.

— Ty dumy... ptaku. Myślisz, że gdybym woził w bagażu nóż, którym zabiłem człowieka, to robilibym na dworcu aferę, że ktoś mi to podrzucił? Opamiętaj się.

— Wiesz, różne są sposoby zmylenia tropu.

— Komendant zarządził obserwację dworców, przejść granicznych, sprawdzanie hoteli i tak dalej...?

— No, a poza tym ty akurat znasz hasło i login do konta tego Truciciela.

— Nie zarządzono szukania Drewnickiego, tak? — z rezygnacją już zapytał Burski.

— Mówiłeś niedawno, że masz dosyć tej roboty. Że zamierzasz wyjechać do Irlandii, prawda? Parę groszy na wcześniejszą emeryturę by się przydało, co?

Burski położył głowę na oparciu kanapy. Patrzył w sufit.

— Która godzina? — zapytał.

— Dwunasta trzydzieści.

— Przypomnij mi, Gawron, jak się spotkamy następnym razem, że mam ci skuć ryja.

— Nie zapomnę — usłyszał wojowniczą odpowiedź. — Na pewno.

Samochód zatrzymał się. Burski wyjrzał przez okno. Byli w lesie. Drugie auto parkowało obok. Nadjechało z przeciwnika.

Komendant wyglądał dziwnie w rozpiętym mundurze. Skinął palcem na Burskiego. Nikt nie przeszkodził mu wysiąść z samochodu. Gawron i tamci dwaj zostali.

— Przejdźmy się.

– Co to za chryja, szefie?

Weszli między drzewa.

– Wyjaśnij mi, co łączy ze sobą te dziwne zdarzenia: śmierć dwóch Laskowskich, rzekome samobójstwo Iwańskiego, zabójstwo Knapa, nagły koniec kariery posła Kołuchowskiego i niespodziewane przejęcie holdingu firm Laskowskich przez jakiś bank. No i sprawę Motocyklisty, rzecz jasna. Jak to się wszystko łączy?

– Ja? Ja mam to wiedzieć?

– Słucham.

Jeszcze nigdy nie widziałem komendanta w takim kiepskim stanie, uzmysłowił sobie Burski. Biedak cierpi. Ulżyć mu trochę?

– Marzył pan kiedyś, żeby dorwać kogoś grubego? Kogoś z nietykalnych? Z tych, którzy po prostu biorą to, czego chcą? Na pewno. Ja też. Wydawało mi się nawet niedawno, że jestem blisko. Grzebałem w starej sprawie zaginięcia Mary Kołuchowskiej, wie pan...

– Co znalazłeś?

Burski przypomniał sobie ostatnie słowa, jakie usłyszał od Knapa. Przez telefon. O Oli. Znowu zerknął na komendanta. Porzucono go. Biedak nie wie, co myśleć, jak się ustawić, kogo słuchać? Nikt mu nie wytłumaczył. Nie ma Iwańskiego ani jego wpływowego przyjaciela Laskowskiego. Wszystkomogący poseł wraca ze stolicy na prowincję. Jako nikt. Ludzie, którzy zawsze biorą to, czego chcą, wzięli sobie fabryki Laskowskich. Takich ludzi czasem nazywa się mafią. Ale nazwa jest tu rzeczą drugorzędną. Oni po prostu są. Zawsze są. Zazwyczaj także wygrywają. Może poróżnili się między sobą? Ktoś do kogoś stracił zaufanie? Dlatego Laskowscy, Kołuchowski i Iwański musieli odejść. Wiele mogłaby wyjaśnić Ola. O aferze „Żelazo”, o rezydenturze „O”, o innych ciekawych, a niebezpiecznych rzeczach. Ola i jej zwierzchnicy wiedzą wszystko. Ale niczego nie wyjaśnią.

– Niczego, szefie, nie znalazłem.

– Mów prawdę. Bo mam cię w rękę.

Rozpaczliwy atak. Żałosny. Zamknij mnie nawet, jak chcesz. Kilka godzin temu mogłem ocalić życie koledze. Ale nie ocalałem. To boli jak cholera. Teraz mogę pozwolić Mary Hurtanyi dożyć ostatnich dni. I tak zrobię. Przełknę już wszystko. Nie narażę nikogo. Może także dla ciebie robię właśnie dobry uczynek, szefie?

– Mów.

– Zabójcą Knapa jest Drewnicki. Motocyklista to on. Szukajmy go. Tyle możemy zrobić. Więcej nic.

Komendant myślał chwilę.

– Szukajmy go.

Burski usłyszał w głosie komendanta wyraźną ulgę.

Dobrze zrobiłem — pomyślał. — Nie narażę już nikogo. A zwłaszcza Oli.

Zaszumił wiatr. W liściach i igliwiu drzew rozległ się szelest kropli deszczu. Burski zapiął kurtkę pod szyję. Jak pancerz. Zbroję, która ma chronić przed światem.

W pustej sali restauracji siedział tylko jeden człowiek. Aleksandra Kosma ubrana była w elegancki żakiet i buty na średniej wysokości obcasach, które nie hałasowały, kiedy podchodziła do stolika bankiera.

– Dzień dobry.

– Witaj, Olu. Świetnie wyglądasz.

– Dziękuję.

– Co nowego?

– Wszystko w porządku, szefie. Ludzie od Laskowskiego grzecznie przyjęli informacje o zmianach w strukturach dowodzenia, że tak się wyrażę.

– Doskonale. A jak ci się podoba twoja premia?

– Słucham, szefie?

– Właśnie siedzisz w środku swojej premii, rozejrzyj się.

– Ta knajpka?

– W dzisiejszych czasach już przed trzydziestką trzeba myśleć o emeryturze.

– Dziękuję. Właśnie że jestem nieco starsza. Naprawdę, bardzo dziękuję.

– Dokumenty są w pokoju pod tytułem: „Dyrektor”. Lokal na własność, ale raty od kredytu na zakup nieruchomości przez kilka lat będziesz musiała spłacać do naszego banku. Niezbyt wysokie. Z dochodu zostanie ci jeszcze parę groszy. Są tam także nowe dokumenty dla ciebie. Nowa, lepsza tożsamość. Nowe, lepsze życie.

– Jeszcze raz dziękuję. Chciałabym jeszcze wspomnieć o Adamie Knapie... Czy to było konieczne?

– Co?

– Knap został zamordowany.

– Nie mamy z tym nic wspólnego, Olu. To musiał być jakiś przypadek.

– Tak pomyślałam. Przepraszam, że pytam. Chciałam mieć pewność.

– Temat Bielska jest definitywnie zamknięty. Nie obawiaj się. O nikogo nie musisz się obawiać.

– Dziękuję.

Celowo głęboko odetchnęła. Żeby rozmówca nie miał wątpliwości.

– Szkoda mi tego Adasia — powiedział bankier. — Był taki wystraszony, że długo albo nawet nigdy nikomu nie wspomniałby o tej historii. Opowiedziałem mu dykteryjkę o oblężeniu wyspy Cierni.

– Z pointą czy bez?

– Oczywiście, że bez. Chciałem, żeby sam się domyślił, co ma wspólnego tamten ambitny turecki dowódca z panami Laskowskimi, Iwańskim i Kołuchowskim.

– Przepraszam, szefie, jak się nazywała tamta wyspa?

– Cierni. Po grecku Spinalonga. O, tamto zdjęcie na ścianie, zobacz, to jest zachód słońca nad wyspą Spinalonga.

– Piękny jest.

Późnym popołudniem dotarł do motelu. Z Lublina wyjechał autobusem w stronę Kraśnika. Tam przesiadł się na okazję do Rzeszowa. Z Rzeszowa do Krakowa podróżował ekspresem. Potem już prosto do Bielska. Tyle, że wysiadł kilkanaście kilometrów przed Bielskiem.

Motel, w którym się zatrzymał, leżał na uboczu. Wbrew nazwie rzadko odwiedzali go zmotoryzowani podróżnicy. Częściej ludzie, którym polecono ten ukryty wśród drzew, okazały dom przy bocznej uliczce małego miasteczka. Przyjeżdżali zazwyczaj goście z Bielska, żeby dobrze się zabawić, korzystając z dyskretnej obsługi i dużego wyboru niezobowiązującego towarzystwa.

Najpierw sprawdził samochód. Stał na parkingu, oddzielonym od dziedzińca wysokim, szczelnym ogrodzeniem. Upewnił się, że nikt go nie otwierał. Pomiędzy progiem a każdymi drzwiami nadal leżał skrawek papieru, tak, jak je zostawił. Poszedł do pokoju. Tam także wszystko było na swoim miejscu.

Na dzisiaj koniec pracy, uznał. Jutro wyjazd. Nie pojedzie do Czech ani w kierunku Niemiec. Wyjadzie przez Ukrainę na Węgry. Ale najpierw musi mieć pewność, że dostanie pieniądze. Jutro sprawdzi, czy wpłacili. A jeżeli nie — wyśle maila do Tesco z ponagleniem. Wpłaca.

Teraz odpoczynek. Sięgnął po stojący na stoliku telefon.

Od dwóch dni wszyscy mówili do niej: „Gwiazda”. To było nawet miłe.

Gruby miał kontakty i jeszcze tego samego dnia, kiedy prokurator rzucił się z mostu, Gruby miał już te zdjęcia. Wniebowzięty prokurator i pracowita blondynka. Kazał ją zawołać. Pokazał zdjęcia. Był podniecony. Zrobiła mu łaskę, kiedy siedział przy biurku.

— Masz na pamiętkę. — powiedział Gruby, dając jej dwie odbitki, gdy już zapiął spodnie. Zarechotał. — Tę premia. Jesteś teraz gwiazdą showbiznesu.

Wzięła zdjęcia. Podziękowała. Ale wcale jej się nie podobały. Podarła je.

Siedziała na fotelu, czytając kolorową gazetę. Vivienne, jak kazała na siebie mówić ta czarna krowa, oglądała brazylijski serial. Zdecydowanie za głośno.

— Gwiazda? — Do pokoju wszedł kierowca. — Jedziesz do klienta?

— Chętnie — odpowiedziała.

Nie lubiła tej czarnej Bułgarki ani jej brazylijskich seriali. Wołała popracować. Pierwszy klient już o osiemnastej zapowiadał dobrą noc.

Kwadrans później była w motelowym pokoju. Znała ten motel. Nieraz już w nim pracowała.

— Ładna jesteś — powiedział mężczyzna, który na nią czekał. — Jak ci na imię?

— Ostatnio Gwiazdka.

— Rozbierz się. — Mężczyzna wygodnie usadowił się w fotelu. — Nie za szybko.

— Mamy dwie godzinki?

— Aha.

Lekko się kołysząc, zdjęła sukienkę, biustonosz i majteczki. Pantofelków na szpilkach nie zdejmowała. Poprawiła włosy. Pozwoliła, żeby gościowi pociekła ślinka.

Wstał. Objął ją. Działo się. Jak zawsze. Uśmiechnęła się. Wyczuwała już brzuchem zgrubienie w jego spodniach. Próbował ją pocałować.

— Nie w usta — uchyliła się.

Musiła przecież coś zostawić dla narzeczonego.

W usta nikt jej nie będzie w pracy całował.

— Kładź się — rozkazał.

Było nawet niezłe jak na pracę. Nie gryzł. Nie zginał jej piersi. Nie jęczał jak zarzynany kozioł. Dopiero po godzinie wyszedł do łazienki.

Szybko wstała. Frajerzy zwykle chowają portfele za kaloryferami. Tacy są sprytni. Żeby ich dziewczynki nie oskubały. No i nie oskubują. Wyjmują tylko kilka, kilkanaście banknotów, w zależności od grubości portfela. Po co miałyby się frajer zorientować i robić schizy?

Wsunęła palce za kaloryfer. Jest. Wyczuła schowany portfel. Taki nieduży. Wyjęła go. Cholera, zakłęta w duchu. Same karty kredytowe, ze dwadzieścia. I kilka dowodów osobistych. Poza tym ani grosza.

— Czego tam, suko?!

Zbyt długo szukała. Nie usłyszała, gdy otworzył drzwi. Wypuściła z rąk portfel. Karty bankomatowe rozsypały się po podłodze. Uśmiechnęła się przeprasząc.

Uderzył ją w twarz. Raz i drugi. Upadła na łóżko.

— Dziewczyn się nie bije! — krzyknęła.

— Zasłużyłaś.

— Jak będą ślady, zapłacisz Grubemu, zobaczysz.

— Nie będą. Spadaj.

— Ale jeszcze godzina... zapłać. I za to, że mnie uderzyłeś, też zapłać.

— Masz, dziwko, i spadaj.

Wzięła pieniądze, ubrała się, nie patrząc już nawet na niego i bez pośpiechu wyszła. Kręciła pupą. Niech cham żałuje. Wstąpiła do łazienki na korytarzu. Prawy policzek mocno czerwieniał. Będzie siniak jak nic, pomyślała. Skurwiel jeden.

A mamy jechać w weekend, żeby Zbysio mnie przedstawił swoim rodzicom. No i jak ja się teraz przyszyłam teściom pokażę? Pomyślą jeszcze, że jakaś baba ze wsi jestem i krowa mnie kopnęła.

Od dziesiątej rano, jak tylko przekazał Gawronowi informacje od Burskiego, jeździł i szukał. Nie wierzył, że komisarz Burski kombinuje coś na własną rękę. Każdy, ale nie Burski, myślał Sołtysik. Nie on.

Odpalił swojego malucha i jeździł po przedmieściach Bielska. Pytał w hotelach, motelach i domach z tabliczkami: „Pokoje gościnne”, czy człowiek ze zdjęcia się tam nie zatrzymał. Objechał peryferie miasta. Notował na mapie, gdzie już był. Potem postanowił sprawdzić drogi wyjazdowe. Dwadzieścia kilometrów w każdym kierunku. Oby tylko maluch wytrzymał, myślał.

Zadzzwonił do Burskiego tylko dwa razy. Komisarz nie odbierał. Jak będzie mógł, oddzwoni, uznał aspirant Sołtysik. Kiedy zaczęło się ściemniać, ogarnęło go zwątpienie. Próbowałem, tłumaczył sobie. Zrobiłem, co mogłem.

Dojeżdżał do Bużkowic. Ostatnia miejscowość, postanowił. Rozpadało się na dobre. Wycieraczki w maluchu resztkami sił zgarniały wodę z szyby. W hotelu na rynku nikt nie poznał Drewnickiego. Jest jeszcze motel na Słonecznej, powiedział mu recepcjonista. Wyjaśnił, jak dojechać. Maluch charczał coraz gorzej. Krztusił się i dławił. Wreszcie stanął. Tuż za wjazdem w ulicę Słoneczną.

Dam mu odpocząć, postanowił Sołtysik. Zamknął samochód. Upewnił się, czy zamek zadziałał. Poszedł w stronę, gdzie nad wysokim płotem widział podświetlony szyld: „Motel”.

Nie mógł zajrzeć na parking, położony za budynkiem i solidną zamkniętą bramą. Wszedł do recepcji. Pokazał legitymację policyjną i zdjęcie Drewnickiego.

— Nie, panie władzo. — Recepcjonista kręcił głową. — Nigdy człowieka nie widziałem.

— Dziękuję.

Sołtysik wyszedł.

Nasunął kaptur na głowę. Deszcz zaczął coraz mocniej. Do tego zepsuty maluch. Wszystko do bani. Pomyślał, żeby jednak zerknąć na hotelowy parking. Jeżeli coś jest starannie zamknięte i ukryte, to aż się prosi, żeby policjant tam zajrzał. Skoro i tak już tu jest.

— Proszę pana — usłyszał za plecami kobiecy głos. — Pan jest z policji, prawda?

— Tak.

— Tam na górze jest taki skurwiel jeden — powiedziała. Trzymała w dłoni duży parasol. Była ładna i Sołtysika zdziwiło, dlaczego odwraca twarz, jakby nie chciała jej pokazać.

— W jedenaste. Jakiś przestępca czy co. Widziałam, że ma z pięć dowodów osobistych i mnóstwo kart kredytowych. Chował to za kaloryferem.

— A kim pani jest?

— Mówią na mnie Gwiazdka.

— Pięknie... Proszę spojrzeć na to zdjęcie. Może to ten?

Kiwnęła głową i odsunęła się przestraszona.

— Ja nic nie mówiłam. Pójdę już.

Dziewczyna szybko odeszła.

Chyba nie powinienem pozwolić jej odejść, myślał Sołtysik. To znaczy, że on tam jest. Drewnicki. Przełknął ślinę. No i co teraz, kowboju? Pójdiesz go aresztować? Facet zabił już przynajmniej dwie osoby, a ty byłeś dwa razy na strzelnicy w tym roku i nigdy nie strzelałeś do człowieka.

Odszedł kilkanaście kroków od budynku i ponownie zadzwonił. Tym razem Burski odebrał.

— Jak dobrze — westchnął Sołtysik.

— Co tobie, Sołtysik?

— Znalazłem go, szefie. Drewnicki jest w motelu. Pokój numer jedenaście. Miejscowość Bużkowice. Ulica Słoneczna.

— Czekaj pod motelem. Nic nie rób — powiedział stanowczo Burski. — Będę za dwadzieścia minut.

Recepcjonista zapukał do pokoju numer jedenaście. Drzwi się otworzyły. Mężczyzna był już ubrany. Kończył pospieszne pakowanie.

— Najmocniej przepraszam, że niepokoję, ale psiarnia o szanownego pana pytała. Przed chwilką. Pokazywał zdjęcie. Powiedziałem oczywiście, że nigdy pana na oczy nie widziałem.

— Świetnie. Dziękuję.

Drewnicki sięgnął do kieszeni spodni. Podał recepcjoniście kilka banknotów.

— Wystarczy?

— Oczywiście, proszę pana. Wyjście ewakuacyjne jest tam, za drzwiami na taras. Prościutko na parking... Proszę się nie kłopotać. Ja zamknę i zgaszę światło... Aha, z parkingu jest drugi wyjazd. Gruntową drogą, ale zawsze.

— Jest pan bardzo uczynnym człowiekiem.

— Taki mam zawód.

Drewnicki jeszcze raz sięgnął do kieszeni. Wyjął kolejne banknoty. Tym razem kilkaset euro. Recepcjonista uśmiechnął się usługowo.

Sołtysik nie mógł ustać w miejscu. Dreptał, nasłuchując. Zerkał na wyjście z motelu. Gdy pojawiła się w nim ta sama kobieta, z którą przed chwilą rozmawiał, w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, cofnął się w krzaki. Noc była pochmurna i ciemna. Nie obawiał się, że go zauważą. Stojąc w grząskiej ziemi, policjant przyglądał się nadchodzącemu mężczyźnie. Serce waliło mu w piersi, zagłuszając plusk deszczu. W dłoni trzymał pistolet.

To nie Drewnicki, zobaczył wreszcie. Podeszli do bramy. Mężczyzna wpisał kod do szfrowego zamka i brama zaczęła się otwierać. Migąło pomarańczowe światło.

Ukryty w krzakach Sołtysik zerknął jeszcze do wnętrza samochodu, który wyjeżdżał z parkingu. Nie zauważył w nim nikogo więcej. Samochód odjechał. Brama zamknęła się samoczynnie. Pomarańczowe światło zgasło.

Wtedy usłyszał drugi samochód. Gdzieś dalej. Ktoś uruchamiał auto na parkingu. Silnik tego wozu nie pracował już tak cicho. Widocznie samochód był znacznie bardziej wysłuchony. Policjant usłyszał, jak kierowca dodaje gazu i rosną obroty silnika. Ruszył.

Pomarańczowe światło nie migąło. Brama się nie otwierała. Odgłos pracującego silnika oddalał się. Deszcz przybierał na sile. Siekl krzaki.

Niewiele myśląc, Sołtysik rzucił się na bramę. Wspiął się na poprzeczny pręt i przeskoczył na drugą stronę. Trzasnęła rozdzierana kurtka. W tej samej chwili zawył alarm. Znowu migąło pomarańczowe światło, teraz znacznie szybciej.

Sołtysik biegł już za odjeżdżającym samochodem. Auto podskakiwało na wyboistej drodze. Światła reflektorów niezdarnie cięły noc. Policjant ścisnął w dłoni pistolet i biegł. Gnał ile sił.

Zbliżał się do samochodu. Dwadzieścia pięć, dwadzieścia metrów...

— Stój! — wrzasnęła.

Wypalił w powietrze. Poprawił. Huk wystrzałów rozniósł się wokół.

Samochód stanął. Drzwi od strony kierowcy się uchyliły. Ktoś wysiadał. Sołtysik nie biegł już. Podchodził powoli, trzymając broń w obu rękach. Mimo deszczu czuł, jak dłonie pocą mu się coraz mocniej.

— Ręce do góry! — krzyknął. — Policja!

Tamten posłusznie podniósł ręce.

Gdy Sołtysik podszedł na odległość kilku kroków, poznał go.

Recepcjonista z motelu.

Kiedy zaczął wyc alarm, kilka osób z obsługi wybiegło na zewnątrz. Także dwóch gości z restauracji wstało od stolika, żeby sprawdzić, czy to nie ich drogie samochody odjeżdżają bez wiedzy właścicieli.

Drewnicki zabrał ze sobą tylko komputer i jedną niewielką torbę. Nie chciał rzucać się w oczy. Resztę zostawił. Wyszedł przed budynek motelu. Nie widział nigdzie radiowozów, podejrzanych samochodów ani policjantów. Założył czapkę z daszkiem. Na nią kaptur. Powoli, spokojnym krokiem oddalał się od budynku. Nie w stronę miasta. Szedł tam, gdzie ciemniała ściana lasu. Kusiło go, żeby podbiec. Jeszcze tylko dwie słabe latarnie, jakie ustawia się czasem przy bocznych uliczkach, oświetlały ostatni odcinek drogi. Za nimi czekała już noc. Pochylił się, poprawiając sznurowadło. Zerknął za siebie. Pusto.

Ktoś krzyknął w oddali. Huk wystrzału rozdarł powietrze. Zaraz po nim drugi. Drewnicki zamarł. Mimowolnie zacisnął pięści.

To gdzieś daleko, zrozumiał po pierwszym Szoku. Gliniarze pobiegli za samochodem.

Przedostatnia latarnia. W aureoli światła widać gęste strugi deszczu. Grube krople klaszczą o asfalt. Przyspieszył. Trzydzieści metrów. Dając duże kroki, to tylko kilkanaście sekund. Niepotrzebnie się przejmuję. Uciekłem. Dzięki swojemu opanowaniu, dokładności i precyzji postępowania. No i co? Jestem nadal nieudacznikiem? Jestem...? Nie, proszę państwa.

Piętnaście kroków.

Jestem bardzo sprawnym menadżerem. Szkoda, że ten kretyń Knap się o tym nie przekona. Koniec z pomiataniami mną. Nie sprawdziłeś się.

Dziękujemy. Życzymy sukcesów w dalszej karierze. Spadaj.

Już.

Ostatnia latarnia.

Droga przechodzi w wąską ścieżkę. Szedł nią kiedyś, gdy był tu za dnia. Ścieżka prowadzi do lasu. Mężczyzna oddycha z ulgą. Głęboko. Nie przejmuje się błotem pod nogami. Pozwala objąć się nocy. Zagłębia się w nią. Noc nie ma końca. Jest tylko noc. Świat jest nocą.

Deszcz.

Burski zatrzymał samochód obok malucha Sołtysika. Widocznie nie bez powodu akurat tutaj aspirant zaparkował, uznał. Dalej ruszył piechotą. Widział już podświetlony szyld: „Motel”. Gdy usłyszał syrenę alarmu i zamigotało pomarańczowe światło, przyspieszył. Zszedł z drogi. Biegł tuż przy ogrodzeniach, po śliskich od deszczu trawnikach. Pomiędzy drzewami i krzewami.

Był tuż przed motelem, gdy zobaczył Drewnickiego. Tamten wyszedł z posesji na drogę i skręcił, oddalając się od miasta. Nie więcej niż pięćdziesiąt metrów dzieliło go od Burskiego. Policjant oczywiście nie widział jego twarzy, jedynie sylwetkę w słabym świetle latarni. Ale to był na pewno on. Kto by szedł w stronę lasu z komputerem na ramieniu?

Przekradają się skrajem ulicy. Szybko. Zbliżał się do Drewnickiego. Gdy usłyszał krzyki, a potem wystrzały, zawahał się.

A jeżeli coś się stało Sołtysikowi? Przede wszystkim liczy się partner. Zbój jest mniej ważny. Sołtysik... Cholera. Nie. Do kogo by strzelał? Drewnicki działał przecież sam. A jeżeli ten młokos Sołtysik wpakował się w jakieś kłopoty? Wymachiwał bronią. Pokrzykiwał. Trafiał na niewłaściwych ludzi.

Burski zatrzymał się. Sięgnął po komórkę. W ostatniej chwili, bo właśnie zapalał się jej ekran i zaczynała dzwonić.

— Co? — szepnęła, chowając telefon w obu dłoniach.

— Uciekł mi — usłyszała głos Sołtysika. — W jego wozie był recepcjonista i...

— Dobra. Ja go mam.

Burski wyłączył telefon. Znowu podbiegł. Wycierał dłonią twarz. Czapkę zostawił w samochodzie, a kaptura nie miał. Woda spływała mu po mokrych włosach. Zalewała oczy. Wlewała się za kołnierz. Drewnicki zbliżał się już do ostatniej latarni.

Policjant zwołnił i teraz szedł za nim, kuląc się. Wyjął pistolet. Gawron oddał mu odznakę i pistolet. Ciekawe, czy włożył magazynkę? Gdy oddawałem broń na lądowisku, jego człowiek wyjął magazynkę. Wkrótce przekonam się, czy mam magazynkę. Spokojnie, chłopie. Czujesz przecież, że klamka jest ciężka. Masz magazynkę. Bez paniki.

Teraz szybko!

Biegnie. Błoto chłapie mu pod nogami. Drewnicki zatrzymuje się. Odwraca. Zbyt blisko na zmianę planu.

Piętnaście metrów.

— Stój, kurwa, policja! — wrzeszczy Burski, biegnąc. — Ręce do góry!

Tamten unosi ręce. Trzyma coś w prawej dłoni. Podłużny przedmiot.

Nóż!

Burski naciska spust. Strzela.

Drewnickim szarpnęło. Wygiął się w pałąk. Rozpaczliwie zatańczył.

Policjant pakował w niego kulę za kulą. Po piątej przestał.

Drewnicki upadł.

Burski pomyślał o jakimś źródle światła. Komórka. Włączył telefon. Przysunął wyświetlacz do twarzy zabitego. Odetchnął. To on. Jeszcze chwilę temu nie miał absolutnej pewności.

Poświecił na prawą dłoń Drewnickiego. Był w niej batonik Mars.

Przetarł dłońmi twarz. Deszcz ustawał.

— Sam jesteś sobie winien, ćwoku — powiedział Burski. — Trzeba było nie atakować policjanta niebezpiecznym narzędziem.

Słyszał już za plecami kroki nadbiegającego Sołtysika.

Usiadł na mokrej ziemi. Popatrzył w niebo. Deszcz zelżał. Znowu obtarł twarz. Haczykowany księżyc nieśmiało wyjrzał zza chmury.

— Masz. — Burski podał Sołtysikowi swoją odznakę i broń.

Tamten schował ręce za plecy. Spoglądał na trupa z batonikiem w dłoni i znów na komisarza. Wreszcie powiedział:

— To był morderca, szefie. Nie powinien pan mieć żadnych wyrzutów sumienia. Takich dewiantów trzeba eliminować.

No właśnie, pomyślał Burski. Właśnie w tym jest problem.

Burski nie miał wyrzutów sumienia.

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.